MIESIĘCZNIK

Fantastyka

4 (19) KWIECIEŃ 1984 CENA 50 ZŁ



VALLEJO



BORIS VALLEJO

Okładka i prezentowane ilustracje pochodzą z albumu IMAGES

Boris W. Vallejo ur. 1941 w Limie, światowej sławy twórca ilustracji fantastycznych, od 1975 roku specjalizujący się w okładkach książkowych. Studiował w Escuda Nacional de Belias Arles oraz School of Visual Arts pod kierunkiem Jacka Pottera. Członek Society of Illustrators, jego prace prezentowano w Greengrass Gallery i nowojorskim Cornell Club. Sylwetką Vallejo przypomina Conana. W ciągu trzech lat, dzięki intensywnym ćwiczeniom kulturystycznym upodobnił się do postaci barbarzyńskiego władcy. Już w młodości interesował się ilustracją fantasy, chociaż równie poważnie traktował studia medyczne. Teraz zarówno pod względem popularności, jak i ilości wykonanych dzieł stawiany jest na równi z takimi sławami jak Frank Frazetta czy Kelly Freas. W ciągu ponad 10 lat czytelnicy powieści Edgara Rice Burroughsa, Leigha Bracketta, Lina Cartera poznawali jednocześnie charakterystyczny dla ilustracji Borisa świat romantycznej przygody. Pierwszym krokiem na nowej drodze Vallejo była rezygnacja z medycyny i wyjazd z Nowego Jorku. Dla mieszkańca Peru Stany Zjednoczone były daleką, nieznaną krainą. Na początku zdobył zajęcie w dziale reklamowym pewnego supermarketu. Pierwsza zawodowa praca późniejszego twórcy herosów stał się rysunek wielkiej... lodówki o miękkich opływowych kształtach. Wierny fantastyce namalował piekielną otchłań, w która precyzyjnymi liniami wykomponował żądany przedmiot. Pomysł chwycił i Boris zaczął pracować samodzielnie. W tym czasie ogromną popularnością w USA cieszyły się komiksowe czasopisma „Creepy” i „Eerie”, Współpracował z nimi min. Frank Frazetta. Vallejo wzorując się na jego rysunkach wykonał kilka szkiców. Jeden z nich, przedstawiający potężnych wojowników i uskrzydlone potwory trafił do Jamesa Warrena z „Eerie”, który umieścił go na okładce 34 numeru. Sukces był natychmiastowy.



„Nightmare”, „Tales of Zombie”, „Dracula Lives!”, „Sabbath”, „Sword of Conan” prześcigały się w zamówieniach. Z czasem okładki rysowane przez Borisa uzyskały swoisty, odmienny styl. Vallejo tak o tym mówi: *Kiedy patrzysz na moje prace powinieneś widzieć to, co nastąpi dopiero za moment. Myślę, że gdybym narysował zakończoną akcję, bez odwoływania się do wyobraźni widza, próba zainteresowania go moją wizja by się nie powiodła. To tak, jak z filmem o którym mówią: „ciekawy ale inaczej to sobie wyobrażałem.” Chcę, żeby ludzie nie mówili „no tak, to jest to”, tylko „teraz się zacznie” i dopowiadali ciąg dalszy we własnej wyobraźni.*

Modelami rysunków Vallejo są popularni aktorzy, lecz przede wszystkim członkowie rodziny syn artysty - Dorian i żona Doris, która porowata do wielu postaci heroin bądź krzywdzonych dziewcząt, W Ciągu trzech lat Boris Va!lejo stworzył ponad 100 okładek.

Opracowali:
Agnieszka Żuławska Umeda





Mieć wszystko, czego się tylko zapragnie, być czym się zechce - co by się stało, gdyby takie marzenia mogły się stać rzeczywistością za sprawą jakiejś dobroczynnej siły. Czy naprawdę byłaby to siła dobroczynna? Wizja argentyńskiej autorki budzi wątpliwości. Chyba w jakiejś mierze uzasadnione...
Angelica Gorodischer: „Zalążki fioletu”

Opowiadania i nowele

Timothy Zahn
Gambit pionka

„- Witaj. Jestem Kelly McClain, człowiek.
Obcy nie cofnął się, ani nie rzucił się Kelly'emu do gardła. Wyciągnął przed siebie ręce, skrzyżowawszy nadgarstki i Kelly zauważył, że mógł chować pazury jak kot”.

József M. Bárdos
Donos

Mininowelka węgierskiego autora na temat może nie tyle stary jak świat, ile przynajmniej tak dawny jak pisarskie zainteresowanie naturą kobiety.

Angelica Gorodischer
Zalążki fioletu

„- Są właścicielami i władcami na Salari II - nieomal krzyknął Savan. - Każdy z nich ma do swego użytku cały kontynent. A czegokolwiek zapragną, mogą to otrzymać z tych fioletowych plam!”

Powieść

Siergiej Śniegow
W jądrze Galaktyki (2)

Druga część powieści zamykająca cykl przygód dobrze znanych polskim czytelnikom bohaterów „Dalekich szlaków”. Siły z jakimi zetknęli się w centrum galaktyki, znacznie przewyższały całą moc ludzkiej cywilizacji gwiezdnej. Czy to jednak miało znaczyć, że człowiek wobec nich był zupełnie bezradny?

Z polskiej fantastyki

Jacek Piekara
Amulet

„- Co to było, Steve - zapytała matka.
- Czyżby młody człowiek był brzuchomówcą? - zaśmiał się ojciec. - Idź teraz spać synu, napracowałeś się. Zniknąć kandydata na prezydenta, to wielki wysiłek...”

Ryszard Głowacki
Powiew nieprawdopodobieństwa

„Od tej chwili minie trzydzieści sekund zanim w podziemnym laboratorium Projektu zaczną się pierwsze zapłodnienia wyselekcjonowanego materiału genetycznego. W tym samym czasie czoło fali powinno dotrzeć do Ziemi...”

Dział krytyki

Słownik polskich autorów fantastyki

Leon Gomolicki i fragment jego powieści „Arka” oraz recenzja z „terapii przestrzennej” - ostatniej książki tego autora.

Recenzje

„Macunaima” Mario de Andrade w ocenie Doroty Walasek. „Tajemnica doktora Honigbergera” Mircei Eliadego w ocenie Leszka Bugajskiego i „Pierwszy Ziemianin” Bohdana Peteckiego w ocenie Sławomira Kędzierskiego.

W przededniu boomu

Literatura SF oglądana oczami jej krytyków. Tadeusz Gosk (tłumacz i krytyk), Marek Oramus (pisarz i krytyk), Antoni Smuszkiewicz (krytyk, pracownik naukowy), Andrzej Niewiadowski (krytyk, pracownik naukowy), Maciej Parowski (pisarz, krytyk) - dyskutują oSF.

Parada wydawców

SF na Węgrzech

Wybitny wydawca węgierski Peter Kuczka (również prozaik i poeta) przedstawia problemy ruchu wydawniczego SF na Węgrzech.

Nauka i SF

Kamień do odwrócenia

Maciej Iłowiecki o dalekosiężnych konsekwencjach odkrycia doktora Williama Schopfa.

Poszukiwacze planet

Mimo, że żyjemy w erze lotów kosmicznych, wciąż jeszcze nie potrafimy odpowiedzieć z całą pewnością na pytanie, ile planet jest w naszym układzie słonecznym.

To już półtora roku z „Fantastyką” na rynku. Nadal jeszcze dorobek daleki od jakichś jubileuszowych rozważań, jednakże nie tylko samego mnie, ale i moich kolegów, a także i Czytelników, nurtują pytania o to, jaki wpływ wywarło nasze pismo na sytuację literatury science fiction w naszym kraju. Czy zaspokoiło w jakimś stopniu zapotrzebowanie na ten gatunek twórczości? Czy tanowie są zadowoleni? Czy zapełniliśmy lukę między tym co w te) dziedzinie zrodziło się już na świecie, a tym co winno się o SF naprawdę wiedzieć? Z korespondencji wynikałoby, że na każde z postawionych pytań można skinąć potwierdzająco głową. Również i nakład ciągle zbyt mały (150 tysięcy), ciągle przechwytywany z rąk do rąk po coraz to wyższych cenach zdaje się świadczyć, że nie pracujemy na darmo. Ale równocześnie obserwuje się wraz z zadomowieniem się pisma nowe zjawiska. Myślałem, że dwieście tysięcy wydrukowanych egzemplarzy numeru 11-12/83 zaspokoi w jakimś stopniu popyt. Tymczasem zniknięcie „Fantastyki” z kiosków było jeszcze szybsze niż zazwyczaj. Oznacza to, że głód, częściowo zaspokojony, uległ jak gdyby podsyceniu. Większość bogatej korespondencji nadsyłanej do naszej redakcji zawiera postulaty zwiększenia-nakładu i objętości pisma, co wydaje się na razie marzeniem ściętej głowy. Zamieszczane na naszych łamach listy książek, które ukazały się u nas po wojnie z dziedziny science fiction, ewokują natychmiast nawoływanie, o wznowienia. A przecież książki fantastyczne straszliwie rzadko się powtarza. Na powtórki szkoda papieru - wołają inni Czytelnicy - broń Boże, abyście pozwalali sobie na dublowanie tego, co ma szanse ukazania się w księgarniach w postaci książek; drukujcie same nowości, jesteśmy spragnieni najnowszej literatury SF, przede wszystkim „fantasy”. Tak jest, wołanie o baśń fantastyczną jest w korespondencji od Czytelników coraz powszechniejsze, stare typy fantastyki naukowej przeżywają się. Oto następne zjawisko, które tutaj warto odnotować. A piszę to, ponieważ wiem, że wszystko co dotyczy zmian w ruchu SF chłoną miłośnicy niemal z wypiekami na twarzy, oceniają z właściwą sobie gorącością, nawet - można by rzec bez przesady - z gwałtownością. Zjawiskiem, które oczywiście tylko częściowo można wiązać z wychodzeniem naszego pisma jest jego działanie bodźcowe na wydawnictwa. Przejawia się ono w zwiększeniu



liczby tomów, które w ciągu ubiegłego roku znalazły się w księgarniach. Około 50 pozycji (coś mogłem przeoczyć, więc rzucam tę okrągłą liczbę na szalę mych rozważań) w dwunastu już oficynach wydawniczych. Ich przytłaczająca większość wypuszcza całe serie utworów SF. I to w sporych nakładach, sięgających od 30 do 40 tysięcy egzemplarzy w „Czytelniku”, „Śląsku” i „Naszej Księgarni”, przez 50 tysięcy w „Iskrach” - po 100, a nawet 400 tysięcy (np. „Bajki robotów” Lema) w KAW-ie. Postęp naprawdę ogromny. Dobrze jeszcze pamiętam z jaką nieśmiałością wydawano w latach pięćdziesiątych (nawet Lemowi) książki SF - w kilku zaledwie tysiącach nakładu. A jeszcze bardzo niedawno 30 pozycji wydawniczych było liczącym się rocznym osiągnięciem. Niestety, dobór lektury - jak wynika z przeglądu tytułów - bywa ciągle ubogi i najczęściej przypadkowy, zależny od osobistych kontaktów tłumaczy z pisarzami zagranicznymi, a także od skromnych możliwości płatniczych, nie pozwalających w wielu przypadkach na sięgnięcie po światowe bestsellery. No cóż, trzeba jakieś pole do popisu zostawić redaktorom „Fantastyki”, trzeba skłonić ich do ekwilibrystyki, której wynik także zwykle zależy od osobistych kontaktów, od międzynarodowych spotkań i zjazdów.
Wiadomo, że sytuacja w ruchu wydawniczym na Zachodzie bardzo różni się od naszej. Tytułów książek więcej, za to nakłady niskie i pewien zastój w zakupach. Mówi się wręcz o kryzysie książki, podczas gdy u nas takiego boomu, jaki obecnie przeżywa SF jeszcze nie było. Nieco niepokojącym natomiast zjawiskiem u nas jest zbyt mała liczba książek naszych autorów w większości (i to przytłaczającej) polskich oficyn edytorskich. Czyżbyśmy nie mieli dostatecznej liczby pisarzy SF? W almanachach wykazano, że pretendentów do zaszczytnej nazwy pisarz jest u nas około stu. Publikuje się także w fanzinach, w pismach redagowanych przez fanów, utwory autorów nie znanych jeszcze normalnej machinie wydawniczej. Że wśród tej liczby debiutantów czy adeptów literatury są prawdziwe talenty wykazał nasz zeszłoroczny konkurs. Kilka osób - laureatów tego konkursu - zasługuje w pełni na normalne wydania książkowe. Wielu innych rokuje niezgorsze nadzieje. Następna bolączka - obok ogólnie skromnej liczby utworów rodzimych autorów wydawanych w książkach - to zbyt uboga reprezentacja oryginalnych, nowych tytułów. Rachujmy - w sumie: 16. Reszta to tłumaczenia i trochę tylko rodzimych wznowień. Mało, za mało.
Systematyczny druk utworów z dziedziny krytyki i historii literatury SF w „Fantastyce” przyniósł pewne ożywienie w tej sferze w pismach literackich, a także w plonie książek wydanych z tej dziedziny. Początkowo zwłaszcza, kiedy „Fantastyka” błyskawicznie wdrapywała-się swym nakładem ponad inne liczne czasopisma, zainteresowanie tym zjawiskiem jak gdyby obudziło krytykę, skierowało jej zainteresowania ku nam, ku sferze literatury SF, ale wkrótce przyzwyczajono się do naszej obecności, czy raczej naszego szybkiego znikania z kiosków. Skończyły się szersze materiały omawiające, pozostało natomiast trochę, mniej lub bardziej, uszczypliwych uwag. Nie można tego przyjmować jednostronnie, powiedzieć sobie - oni winni, nie my. Być może nazbyt głęboko ugrzęźliśmy w grajdołku fantastycznym. A więc działa odrębność tego gatunku literatury i niestety ciągle rodzi niechęć krytyki. Podczas zjazdów skarżą się na to najwięksi na świecie wydawcy. I chyba trochę tej goryczy, budzącej refleksje, nie zawadzi.

1 0 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

Adam Hollanek

Skan i opracowanie **GTW**

MIESIĘCZNIK literacki
Fantastyka
02-784 Warszawa-Ursynów,
ul. Służby Polsce 2,
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy).

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. Działu reportażu i informacji), Marek Kubala, Maciej Makowski (kier, działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier, działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier działu nauki), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red), Darosław J. Toruń.
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski,
Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.
Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.
Warunki prenumeraty: ● Dla zakładów pracy: instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy. ● Dla prenumeratorów indywidualnych: osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy; osoby zamieszkałe w miastach - siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”. ● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa P. Z. Graf. RSW Łódź

Zam. 792/84 r.Nakład 140000 egz.

LĄDOWANIE XIV

Chodzi mi o „Lądowania”, które od pewnego czasu pojawiają się w naszym (?) piśmie: publikujecie w nich listy czytelników z propozycjami zmian, lecz pozostawiacie je bez żadnego komentarza. A co gorsza - mimo że niektóre postulaty powtarzają się w każdym prawie liście, są one przez was lekceważone... Jeśli macie jakiś wpływ na plastyków współpracujących z naszymi wydawnictwami - wyrzućcie wszystkich, poza Żwikiewiczem!

Artur Knypiński ze Szczecina

Nieprzypadkowo oczywiście zacząłem od tego listu, jednego z wielu. Listu mówiącego o braku komentarza i reakcji na Wasze propozycje. Wielu Czytelników dziwi się czemu wybieram materiały najbardziej krytyczne i publikuję właśnie te, a nie chwalące nas (których, nawiasem mówiąc, jest przytłaczająca większość). Otóż za słuszne uważam eksponowanie krytycznego stosunku do pisma, a to dlatego, że pragnęlibyśmy je stale ulepszać. Drukujemy więc nawet i złośliwe uwagi pod naszym adresem. Niech Ci, którzy nas czytają, wiedzą wzajemnie o swoich opiniach i poglądach. Rodzi się wówczas dyskusja. Wyciągamy z niej wnioski. Nie możemy reagować i nie uważamy za rzetelne reagowanie na uwagi pojedyncze, w dodatku uwagi, z których wielu nie da się wprowadzić w życie. A że wyciągamy jednak pewne wnioski, niech zaświadczy ograniczenie - wyraźne - ilości materiałów naukowych. Mniej ich na korzyść „czystej” literatury. Zlikwidowaliśmy też krytykowaną rubrykę „Kosmos zaczyna się na Ziemi”. Zajęliśmy się wnikliwszym obserwowaniem klubów Janowskich i nawiązywaniem z nimi bliższych kontaktów.
Oto dalsze listy, które proponują nam zmiany na lepsze i unikanie błędów. Dlatego figurują one pod nagłówkiem „to słuszne”. Podobnie jak chętnie podpisalibyśmy się pod pochwałą, jakże findesieclowych (sprzed stu lat), okładek projektowanych przez Żwikiewicza.

To słuszne

Średnia to jest około 5 opowiadań w każdym numerze „Fantastyki”, jak na pierwszy rok pisma, to rzecz co najmniej dobra. Z tym, że powinna zostać zwiększona liczba opowiadań rodzimych. Ich niedobór w rezultacie utrudnia całościowe oszacowanie i ustosunkowanie się do polskiej SF... Jestem zdania, że redakcja winna co roku ogłaszać konkurs na trzy najlepsze opowiadania autorów zagranicznych i trzy najlepsze - rodzimych.

Piotr J. Biurko ze Szczebrzeszyna

Proszę mi powiedzieć czemu się tak dzieje, że „Fantastyka” to właściwie jedyne pismo literackie w kraju, które zamieszcza tyle utworów literackich. Nie chce się wierzyć, że w tylu innych czasopismach, jakie u nas się ukazują tak strasznie ubogo z rodzimym piśmiennictwem. Co się dziele? Redaktorzy zapomnieli w swoich pismach literackich o literaturze. Może byście swoje łamy otwarli dla tych pisarzy, którzy wprawdzie nie tworzą w stylu SF, ale tworzą, choć właściwie nie mają za bardzo gdzie drukować.

Jan Gnist z Warszawy

Miłośnicy komiksu

To prawdziwa granda. Komiks zniknął z Waszych łamów. Obiecanki - cacanki, a nowego nie widać. Funky'owie nie rodzą się. oj nie rodzą, na naszych rodzimych kamieniach I co wy na to?

Józef Wandziia z Krakowa

Chciałem pogratulować nagrody „Euroconu - 8”. Zasłużona, mimo „złego” papieru Ale to przecież nie wasza wina. Natomiast trudno mi darować zniknięcie komiksu. Serdeczne pozdrowienia dla panów Parowskiego, Rodka i Polcha. Nareszcie w naszym komiksie coś się zaczęło dziać.

Patryk Pawęska ze Świebodzic

Kupa luda przestanie was czytać, jeśli wreszcie nie wznowicie działalności komiksowej. Jak tak można traktować czytelników.

Zdzisław Chydzlk z Poznania

Przypominam sobie na waszych łamach w „Lądowaniach” te drukowane krytyki niby-czytelników pod adresem komiksu, to mówienie o głupim komiksie i o naiwnych bohaterach, o słabiutkich autorach. A pan redaktor od „Lądowania” ręce zaciera, sam się przecież przyznawał, że komiksu nie kocha. Więc nas długo przygotowywał do komiksowej nicości.

Józef Pałaszyński z Łodzi

Otóż i macie. Niewdzięczni i Niewdzięczne (coraz więcej Pań do nas pisze). Przysięgam, że to nie z moje redaktorskiej winy nie otrzymaliście odpowiedniej nowej porcji wrażeń obrazkowych, których z takim napięciem i żalem (do nas, do mnie szczególnie) wyczekujecie. Wielu z Was wręcz żąda wznowienia komiksu. I to w wykonaniu tej spółki autorskiej, którą tak krytykowano To autentyczne fragmenty listów zamieszczałem (z ubolewaniem) w naszym niejednym „Lądowaniu”. W dodatku jest mnóstwo osób domagających się nie tylko wznowienia komiksu, lecz także drukowania go w kolorach. Prawda wygląda w ten sposób. Zamówiliśmy u dobrego rysownika krakowskiego komiks do tekstu i scenariusza jednego z naszych kolegów. Niestety, rysownik pracuje powoli. Zrobił dotychczas, to znaczy do początków stycznia 1984 roku, dwa zaledwie odcinki. Nie wydrukowaliśmy ich w obawie co będzie, jeśli nie dostarczy następnych. Musimy mieć całość. Równocześnie, wiedząc że listy Czytelników przypierają nas coraz bardziej do muru, prowadzimy rozmowy z panem Polchem i poprzednimi autorami scenariusza i tekstów komiksu, prosząc ich o ciąg dalszy lub o nową serię. Jestem pewny, że coś z tych naszych pertraktacji się wyłoni. Może uda się także (z czasem) drukować komiks kolorowy. Jeszcze trochę cierpliwości. Jedno jest pewne: zgodnie z życzeniem większości - nie zrezygnujemy z komiksu!

Czego brakuje

Chodzi o sprawę tłumaczenia opowiadania Joan D. Vinge „Płonący statek”. Jak wynika z treści, autorka miała na myśli tzw. statek-pułapkę, który w języku polskim ma swoje własne określenie, szczególnie znane w terminologii marynistycznej Chodzi o określenie „brander”, które w języku angielskim brzmi właśnie „fireship”. Choć tytuł „Płonący statek” brzmi efektownie, nie ma jednak nic wspólnego ze znaczeniem, o jakie chodzi w treści opowiadania. „Fantastyka” jest coraz lepsza. Szkoda, żeby szpeciły takie drobiazgi.

Leszek Nocoń z Opola

Na Boga. nie niszczcie znanych pisarzy. Nie drukujcie fragmentów ich skądinąd (w całości) dobrych czy nawet znakomitych dzieł. Jeśli już decydujecie się na druk autora nie piszącego nowel, to niech to będzie /ego cała powieść. Chociaż wam lepie/ pasują nowele czy opowiadania. Niestety, nasi autorzy jakby zapomnieli o krótkich formach.

Jerzy Grecewicz z Warszawy

Do białej gorączki doprowadzają mnie drukowane w „Fantastyce” fragmenty powieści. Wyrwane z kontekstu są niezrozumiałe, pozbawione całkiem sensu. Jesli mają zachęcić do przeczytania całej powieści, to jest to zbyteczny trud. Liczba wydawanych książek SF jest tak niewielka, ze nie ma obawy, aby czytelnik po nową powieść nie sięgnął, gdy wyjdzie w druku w wydawnictwie. Tym bardziej że przeważnie powieści są autorstwa znanych pisarzy.

Janusz Wieczorek z Rzeszowa

Sprawa jest istotnie diabelna i utrudnia nam redagowanie pisma. Nasi wydawcy, w pogoni za sukcesem wydawniczym (czytaj ekonomicznym) ubrdali sobie, kierując się widocznie doświadczeniem z innych dziedzin beletrystyki, iż najbardziej poszukiwana jest w Polsce powieść SF. Na pohybel więc nowelistyce. O sprawie tej dyskutowaliśmy niedawno z dość szerokim i reprezentatywnym gronem przedstawicieli naszych oficyn wydawniczych. Przyznają rację i pragną odtąd, tak przynajmniej twierdzą, położyć większy nacisk na pozyskiwanie od naszych autorów, autorów polskiej SF, opowiadań i nowel. Zobaczymy czy to się spełni. Zwłaszcza że choć ukazanie się „Fantastyki” przyczyniło się nawet mocno do zwiększenia liczby utworów SF w wydawniczych planach, to jednak wydawcy nie bardzo wsłuchują się w słowa krytyki. Ciągle więc dobór książek fantastycznych bywa raczej przypadkowy niż celowy, uzasadniony wartościami dzieł. Dziękujemy wszystkim Państwu za życzenia z okazji pierwszej rocznicy „Fantastyki”, za życzenia świąteczne i noworoczne. Złe życzenia, a zdarzały się i takie, uważamy za dobry prognostyk: jeszcześmy nie skrzepli, jeszcze się nie zrutynizowaliśmy. Żyjemy..

Redaktor



Timothy Zahn

Gambit pionka

(Pawn's gambit)

DO: *Biuro Dyrektora Rodau 248700, Instytut Badań Obcych Cywilizacji, Clars*
NADAWCA: *Biuro Dyrektora Eftisa 379214, Instytut Gier, Var 4*
TEMAT: *30 roczny raport, przekazany 12 Tai 3829*
DATA: *4 Mras 3829*
Szanowny Panie Rodau,
Wiem, że jest pan przeciwny przysyłaniu uzupełnień po zakończeniu analizy raportu, mam jednak nadzieje, że zrozumie pan moje intencje ze względu na wyjątkowość tego przypadku. W naszym ostatnim rocznym sprawozdaniu jest zawarta jedynie krótka wzmianka o odkrytej przez nas ostatnio rasie - Ludziach. Dane, które od tego czasu zgromadziliśmy mogą okazać się ważne i sądzę, że pana zainteresują.
Załączam film z opracowaniami i wynikami. Zagadkowość tego problemu polega na niepokojącej niezgodności z typowymi wzorami. Jest to rasa na dosyć niskim poziomie, pod pewnymi względami nawet prymitywna. U większości badanych sprowadzenie tutaj przez Transfer wywołało przerażenie, a nawet histerie. Jednakże zdziwiła mnie psychiczna i emocjonalna odporność tego gatunku, niespotykana u innych ras prymitywnych. Prawie każdy z nich opanował strach i przystąpił do gry I Stopnia. W czasie gry wykazywali się wyobraźnią, zręcznością i agresywnością, niezwykłą u tak młodego gatunku. Wskazuje to na podobieństwo miedzy Ludźmi a Chianis. Myślę, że właśnie wystąpienie tych analogii odwiodło mnie od odłożenia danych aż do następnego raportu. Ludzie nie stanowią dla nas zagrożenia ze względu na niemożność masowego opuszczania swojej planety. Jednakże, gdyby okazali się chociaż w jednej dwunastej tak niebezpieczni jak Chianis, będziemy musieli działać szybko. W związku z tym proszę o pozwolenie na natychmiastowe, przejście do Fazy III (szczegółowy plan w załączniku). Zdaje sobie sprawę, że jest to posuniecie niedozwolone w przypadku gatunków na tym etapie rozwoju, ale uważam za konieczne wypróbowanie zdolności Ludzi w kontekście innych ras o większych zdolnościach. Proszę o jak najszybsze przekazanie mi swojej decyzji.
Łącze wyrazy szacunku
Eftis

DO: *Biuro Dyrektora Eftisa 379214, Instytut Gier, Var 4*
NADAWCA: *Biuro Dyrektora Rodau 248700, IBOC, Clars*
TEMAT: *Uzupełnienie 30. rocznego raportu*
DATA: *34 Forma 3829 Szanowny Panie Eftis,*
Dziękuje panu za zwrócenie naszej uwagi na Ludzi. Dobrze wypełnił pan swój obowiązek.
Jestem, podobnie jak pan, zainteresowany i zaniepokojony tym gatunkiem i zgadzam się w zupełności z pańską propozycją rozpoczęcia Fazy III. Jak zwykle taśmy z upoważnieniem dotrą zapewne za kilka tygodni, ale - nieoficjalnie - udzielam panu zezwolenia na rozpoczęcie przygotowań. Popieram również pańską sugestie, by przeciwnikiem tych Ludzi była rasa o rozwiniętym systemie komunikacji międzygwiezdnej: Olyt albo Fi walic. Z pańskiego sprawozdania wynika, że Olyci zaczynają odnosić sie z niechęcią do naszych badań, lecz nie powinien się pan tym przejmować, gdyż wyniki badań wykazują jasno, że nie stanowią oni dla nas żadnego zagrożenia.
Proszę o dalsze przekazywanie informacji na ten temat, szczególnie jeśli odkryje pan w tej nowej rasie kolejne cechy analogiczne do cech Chianis.
Z poważaniem
Rodau

Lśniąca, nieprzejrzysta mgła, która otaczała go od pięciu minut zniknęła równie nagle jak powstała i Kelly McClain zobaczył, że znajduje się w pokoju, którego nigdy przedtem nie widział. Rozejrzał się powoli i ostrożnie. Serce biło mu mocno. Większość strachu wykrzyczał już z siebie w ciągu pierwszych chwil niewoli, ale czuł, że znowu ogarnia go panika. Opanował się z trudem. Jasne było, że nie jest już w swoim biurze w atomowym laboratorium uniwersytetu, ale poddanie się przerażeniu nie sprowadziłoby go tam z powrotem.
Siedział w półkolistej wnęce, zwrócony twarzą w stronę niewielkiego pokoju. Jego własne krzesło i trzy czwarte biurka odbyły wraz z nim te niezwykłą wycieczkę. Ściany pozbawione jakichkolwiek ozdób, sufit i podłoga pomieszczenia były zrobione z rudawego metalu. W prawym i lewym jego końcu zauważył płyty, które wyglądały na odsuwane drzwi. Uznał, że niewiele przyjdzie mu z siedzenia cicho w nadziei, że zniknie ta przedziwna sceneria. Poczuł, że znów może utrzymać sie na nogach, wiec wstał i przecisnął się przez wąską szczelinę ‘ miedzy biurkiem a ścianą wnęki. Zwrócił uwagę na to, że biurko jest przecięte równo, prawdopodobnie przez białą mgłę lub coś co w niej było. Najpierw podszedł do płyty po prawej stronie, ale jeśli to rzeczywiście były drzwi, to i tak nie miał pojęcia jak je otworzyć. Oględziny płyty po lewej stronie również nie dały żadnych rezultatów.
- Hej! - krzyknął. - Czy ktoś mnie słyszy?
Gruby głos odpowiedział mu tak nagle, że aż podskoczył.
- Witaj Człowieku - usłyszał. - Witaj w Instytucie Gier Stryfkar na Var-4. Mam nadzieje, że podróż odbyła się pomyślnie? Instytut gier?
Kelly przypomniał sobie fragmenty artykułów, które widział w różnych czasopismach, wiadomości z ostatnich miesięcy o ludziach porwanych do centrum gier przez istoty pozaziemskie. Dla rozrywki przeglądał niektóre z nich i zauważył podobieństwo miedzy różnymi opowiadaniami: za każdym razem brano dwoje ludzi i kazano im ze sobą grać w dziwną grę, a potem odsyłano do domu. Wtedy Kelly uważał te wiadomości za typowe sensacyjne bzdury.
Wynikało z tego, że jest to po prostu kawał.
Tylko jak oni zrobili te mgłę?
Na razie nie pozostawało mu nic innego, jak tylko włączyć się do zabawy.
- Och, podróż miałem świetną. Chociaż trochę nudną.
- Bardzo szybko przystosowałeś się do naszej sytuacji - powiedział głos i Kelly'emu zdawało się, że wyczuł w nim nutkę zdziwienia. - Nazywam się Slaich, a ty?
- Kelly McClain. Nieźle posługujesz się naszym jeżykiem jak na obcego - a skąd jesteś?
- Ze Stryfu. Nasz komputer tłumaczący jest bardzo dobry i zebraliśmy dane od kilku twoich rodaków.
- Tak, słyszałem o tym. Po co ciągniecie ludzi aż tutaj, gdziekolwiek to „tutaj" jest, żeby grali w jakieś gry? A może to tajemnica państwowa?
- Nie. Chcemy się o was czegoś dowiedzieć. Gry są jedną ze stosowanych przez nas metod psychologicznych.
- Dlaczego nie spróbujecie z nami po prostu porozmawiać? Albo dlaczego nas nie odwiedzicie? - Bardzo chciał wierzyć nadal, że jest to tylko żart, ale było to coraz trudniejsze. Ten głos - inny niż głos komputera, ale zupełnie nie przypominający głosu człowieka - wywoływał w nim nieprzyjemne uczucie, że wszystko, co mówi jest prawdą. Czuł jak zimny pot zbiera mu się na czole.
- Rozmowy nie wystarczają do zbadania tego, o co nam chodzi wyjaśnił rzeczowo Slaich. - A jeśli chodzi o odwiedzenie Ziemi, to Transfer ma ograniczone zdolności, a nie posiadamy statków, które mogłyby pokonać taką odległość. Nie chciałbym polecieć na Ziemie sam.
- Dlaczego? - napięcie Kelly'ego wzrosło maksymalnie, napełniając go szaleńczą odwagą. - Chyba nie wyglądasz aż tak okropnie. Pokaż mi się, natychmiast.
- Dobrze - odparł obcy bez wahania i fragment lśniącej ściany przed Kellym pociemniał. Nagle pojawił się w tym miejscu trójwymiarowy obraz - dwunożna i dwuręczna zjawa z koszmarnego snu. Kelly wstrzymał oddech, kiedy niekształtna głowa zwróciła się w jego stronę. Otwór w kształcie litery X zaczął sie poruszać.
- No i jak, Kelly? Bardzo się różnie od ludzi?
- Ja... ja... ja. - jąkał się Kelly, nie mogąc wydusić z siebie słowa,, koncentrując całą wole na opanowaniu reakcji żołądka. Stojące przed nim stworzenie było prawdziwe - żaden mistrz charakteryzacji nie mógłby zmienić człowieka w coś takiego. A poza tym kolorowe hologramy takich rozmiarów i w takiej ostrości będą możliwe dopiero za kilkadziesiąt lat... na Ziemi.
- Przepraszam, zdaje się, że cie przestraszyłem – powiedział - Slaich sięgając do małej konsoli, której Kelly przedtem nie zauważył. Widać było jak mięśnie poruszają się w naciskającej guzik sześciopalczastej

dłoni. Obraz zniknął i ściana odzyskała swój kolor.
- Może chciałbyś coś zjeść i odpocząć - zaproponował gruby głos. Drzwi po lewej stronie Kelly'ego odsunęły się, odsłaniając niewielki pokój. - Będziemy mogli zacząć dopiero za kilka godzin. Zawołamy cie.
Kelly, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, kiwnął głową i wszedł do pokoju. Drzwi zamknęły się. W połowie pomieszczenia stało przy ścianie normalnie wyglądające łóżko. Kelly'emu udało sie do niego dotrzeć, zanim nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Długo leżał, cicho łkając, z twarzą wtuloną w poduszkę. Głupio mu było, że zachowuje się jak dziecko - zawsze starał się być twardy i nieugięty - ale gdy chciał się opanować, jego samopoczucie jeszcze bardziej się pogarszało. Wreszcie poddał się, musiał jakoś wyrzucić z siebie napięcie.
Po jakimś czasie uspokoił się i znów mógł w miarę logicznie myśleć. Obrócił się na bok, nieświadomie przybierając pozycje embrionu, patrzył na rdzawą ścianę i myślał. Wyglądało na to, że przynajmniej na razie nic mu nie zagraża. Z artykułów wynikało, że obcy rzeczywiście chcieli tylko przeprowadzić swoje badania psychologiczne, a potem odsyłali uczestników do domu. Wszystko, co stało się do tej pory zdawało się to potwierdzać - na pewno zarejestrowali jego reakcje na słowa i nagłe pojawienie się Slaicha. Wstrząsnął się na wspomnienie tej obcej fizjonomii. Poczuł kiełkującą złość. Nawet jeśli był to test psychologiczny, nigdy nie wybaczy Slaichowi, że nie przygotował go jakoś na ten szok.
W każdym razie, najważniejsze jest zachowanie spokoju i granie roli posłusznego przedmiotu badań, tak by móc wrócić do domu bez większych kłopotów. A jeśli uda mu się to zrobić z godnością, tym lepiej.
Nie zauważył nawet, kiedy zasnął. Obudził się z przerażeniem na dźwięk czyjegoś głosu.
- Tak?
- Już czas - poinformował go komputer. - Proszę przejść z pokoju odpoczynkowego do sali testów.
Kelly usiadł rozglądając się dokoła. Jedyne drzwi w tym pokoju to te, którymi wszedł, sala testów musi wiec znajdować się za drugimi drzwiami w pokoju z wnęką.
- Skąd jest mój partner? - zapytał kierując się do wyjścia. - Czy zabieracie z Ziemi przypadkowych ludzi?
- Zwykle nastawiamy Transfer na miejsca, gdzie koncentrują sie źródła rozszczepieniowe albo termojądrowe, jeśli takie istnieją odparł Slaich.
- Jednakże wyszedłeś z fałszywego założenia. Twoim przeciwnikiem nie będzie Człowiek.
Kelly stanął w drzwiach jak sparaliżowany. Następny szok.
- Rozumiem. W każdym razie dziękuje za ostrzeżenie. Hm... kim on jest?
- Olyt. Jego gatunek jest na nieco wyższym poziomie niż twój, Olyci założyli potężne państwo ośmiu planet w siedmiu gwiezdnych układach. Badamy ich dokładnie, mimo że najbliższy ich świat znajduje się w odległości trzydziestu lat świetlnych od Instytutu.
Kelly z wysiłkiem ruszył znowu w stronę drugich drzwi.
- Czy z tego wynika, że jesteśmy sąsiadami? Nie powiedziałeś mi jak daleko stąd jest Ziemia.
- Około czterdziestu ośmiu lat świetlnych stąd i trzydziestu sześciu od Olytów. Stosunkowo niedaleko.
Drzwi po przeciwnej stronie pokoju otworzyły się, kiedy Kelly zbliżył się do nich. Skoncentrował się i przeszedł przez próg. Sala gier była mała i dość ciemna, jedyne źródło światła stanowiły jarzące się czerwone konsole. Środek pokoju zajmował stół z diżą, skomplikowaną planszą do gry. Poza tym były tam jeszcze tylko dwa krzesła, jedno przedziwnej konstrukcji. Przed drzwiami, po przeciwnej stronie pokoju stał obcy. Tym razem Kelly był lepiej przygotowany na szok i idąc w stronę stołu odczuwał przede wszystkim ciekawość. Olyt był o pół głowy niższy od niego, jego szczupłe ciało pokrywało coś przypominającego wielkie, białe łuski. Dwie nogi i dwie ręce zaopatrzone były w szpony. Długi pysk był uzbrojony w dużą ilość zębów, czarne oczy osadzone głęboko pod krzaczastymi brwiami. Wyobraźcie sobie białego, bezogoniastego aligatora ubranego w obszerny skórzany worek, beret i szeroki pas... Przy stole stanęli niemal równocześnie. Z bliska plansza okazała sie być mniejsza, od obcego dzieliło go niewiele ponad dwie długości rąk. Kelly ostrożnie podniósł otwartą dłoń, mając nadzieje, że ten gest zostanie właściwie zrozumiany.
- Witaj. Jestem Kelly McClain, człowiek.
Obcy nie cofnął się, ani nie rzucił Kelly'emu do gardła. Wyciągnął przed siebie ręce, skrzyżowawszy nadgarstki i Kelly zauważył, że mógł chować pazury jak kot. Stwór poruszył ustami wydając dziwne dźwięki. Kilka sekund później niewidoczny głośnik podał tłumaczenie.
- Witam cie. Jestem Tlaymasy z Olytów.

Timothy ZAHN

amerykański pisarz najmłodszego pokolenia. Opowiadanie „Gambit I pionka” zamieszczone w antologii D.A. Wolheima „The 1983 Annual World's Best SF” jest jego pierwszym utworem, który znalazł uznanie w oczach krytyki.

(djt)

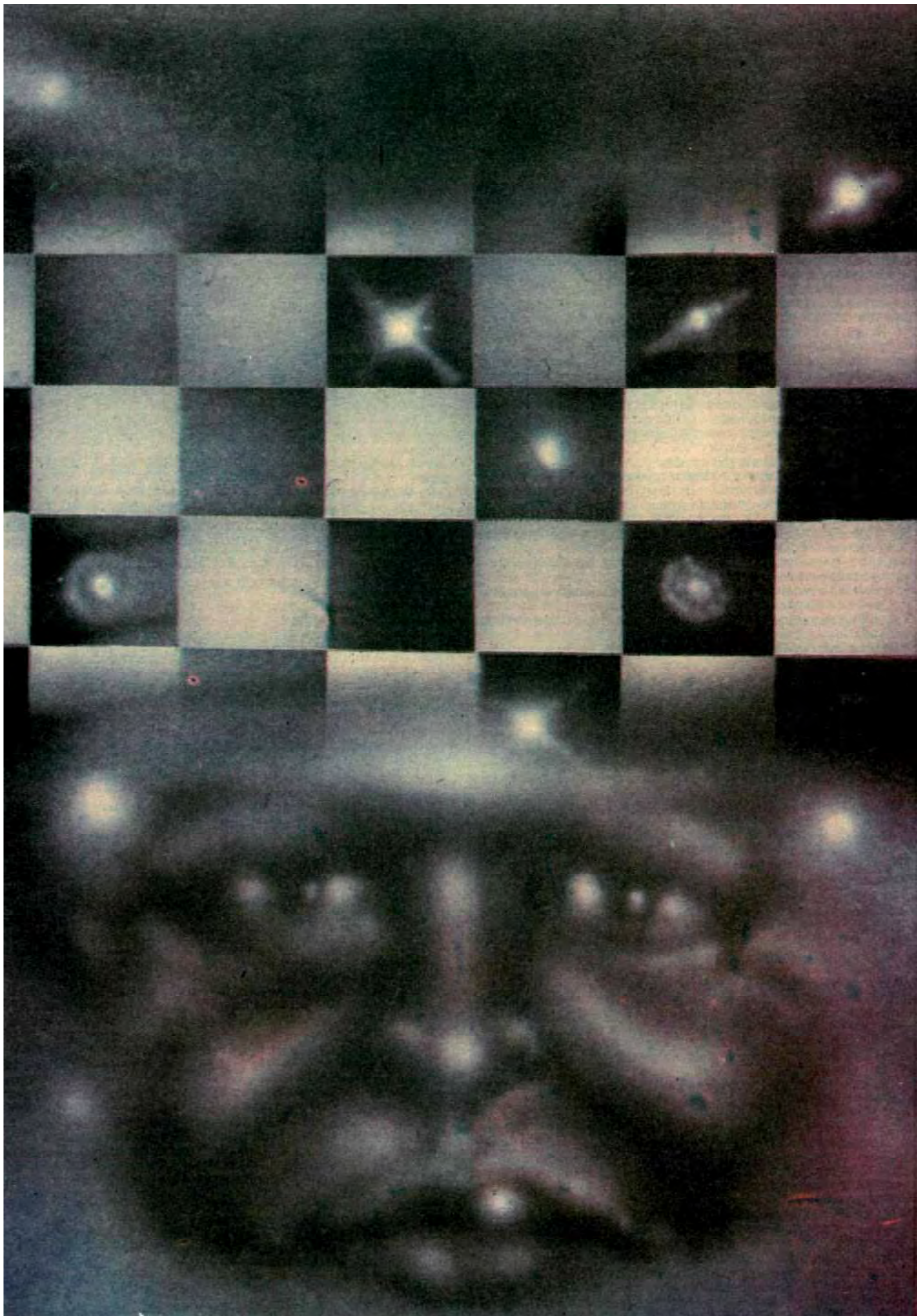
- Usiądźcie, proszę - wydał polecenie Slaich. - Możecie zacząć, jak tylko ustalicie zasady gry.
Kelly otworzył szeroko oczy.
- Jak to?
- Gra nie ma ustalonych reguł. Zanim zaczniecie, musicie sami zdecydować, jaki będzie cel i sposób gry.
Tlaymasy odezwał się znowu:
- O co chodzi?
- Chcemy zbadać wzajemne oddziaływanie Olyta i Człowieka odparł Slaich. - Z pewnością inni przedstawiciele twojego gatunku opowiadali ci o tym eksperymencie.
Kelly zmarszczył brwi.
- Już kiedyś braliście udział w czymś takim?
- W ciągu ostatnich szesnastu lat ponad stu dwudziestu ośmiu przedstawicieli mojej rasy trafiło tutaj - poinformował go Olyt. Kelly żałował, że nie potrafi odgadnąć co oznacza wyraz twarzy obcego. Głos komputera brzmiał obojętnie, ale same słowa kryły w sobie oburzenie. - Niektórzy mówili o tej grze bez zasad. Jednakże moje pytanie dotyczyło stawki.
- Ach. Jak zwykle tutaj: zwycięzca może wrócić do domu. Kelly'emu serce zabiło mocniej.
- Chwileczkę. A skąd się wzięła ta zasada?
- Ogólne reguły ustalamy my - odparł stanowczo Slaich.
- Tak, ale... A co będzie z tym, który przegra?
- Zostaje, żeby zagrać z innym przeciwnikiem.
- A jeśli odmowie udziału w grze?
- To jest równoznaczne z przegraną.
Kelly skrzywił się, ale nic nie mógł na to poradzić. Z godnością, pomyślał chłodno i zabrał się do oglądania planszy. Wyglądało na to, że można ją było zastosować w co najmniej kilkunastu różniących się znacznie grach. Była kwadratowa, z dwoma rzędami pięciokolorowych kwadratów dookoła obwodu, w jednym wzór powtarzał się, w drugim pola były ułożone przypadkowo. Wewnątrz była szachownica, z narzuconymi na nią współśrodkowymi kołami i rozchodzącymi się promieniście liniami. Po jednej stronie planszy leżał stos przeźroczystych krążków i zestaw podnóżków do nich, po drugiej stronie były pionki różnych rozmiarów, kształtów i kolorów, a także karty, wielostronne kostki i jakiś przyrząd z małym ekranem.
- Wygląda na to, że jesteśmy nieźle wyposażeni - powiedział do Olyta, który również przyglądał się temu zestawowi. - Myślę, że możemy zacząć od wybierania pól. Proponuje czerwone i - czy to jest niebieski?
- te kwadraty. - Wskazał na szachownice.
- Dobrze - zgodził się Tlaymasy. - Teraz musimy ustalić w co gramy. Czy znasz Cztery Warstwy?
- Nie sądzę, ale może u nas jest coś podobnego. Opisz mi, jak sie w to gra.
Tlaymasy zaczął wyjaśniać, demonstrując niektóre ruchy pionkiem w kształcie motyla.
- Myślę, że mogę spróbować - powiedział Kelly. - Oczywiście masz dużą przewagę, bo grałeś w to już przedtem. Zgadzam sie pod dwoma warunkami: pierwszy, o ataku na trzecim i czwartym poziomie trzeba uprzedzić jeden ruch wcześniej.
- To wyklucza możliwość zaskoczenia - sprzeciwił się Tlaymasy.
- Właśnie. Ale znasz grę na tyle dobrze, że chyba możesz ustąpić mi w tym jednym, prawda?
- Dobrze. A drugi warunek?
- Najpierw zagramy dla wprawy. Innymi słowy, druga gra zadecyduje, kto poleci do domu. Czy może tak być? - dodał patrząc w górny róg sali.
- Każda zasada, na którą obaj się zgodzicie będzie obowiązująca
- odpowiedział Slaich.
Kelly spojrzał na swego przeciwnika.
- Tlaymasy?
- Dobrze. Zaczynajmy.
Kelly przekonał się, że nie była to trudna gra, chociaż na samym początku popełnił błąd i przez resztę gry musiał się bronić. Nietrudno było rozszyfrować Tlaymasy'ego i pod koniec Kelly potrafił już przewidzieć następny ruch Olyty.
- Interesująca gra - zauważył Kelly, kiedy zebrali figury z planszy i przygotowywali się do drugiej partii. - Czy jest u was popularna?
- Dosyć. W starożytności używano jej do ćwiczenia logicznego myślenia. Jesteś gotowy?
- Tak - odpowiedział Kelly. Czuł, że zasycha mu w gardle. Tym razem Kelly'emu udało się uniknąć błędów, które popełnił na początku poprzedniej rozgrywki i w miarę jak plansza pokrywała się figurami, jego pozycja stała się równie mocna jak Tlaymasy'ego. Pochylony nad szachownicą walczył o utrzymanie pozycji, starając się przewidzieć każdy następny ruch.
W pewnej chwili Tlaymasy popełnił zasadniczy błąd, odsłaniając jedno skrzydło swej armii na podwójny atak. Kelly ruszył pełną parą i w czterech następnych ruchach zagarnął sześć pionków przeciwnika - niszczący cios.
Nagły, głośny syk. Kelly aż podskoczył. Podniósł wzrok znad stołu i triumfalny uśmiech zniknął z jego twarzy. Olyt patrzył na niego, w otwartej paszczy widać było rzędy ostrych zębów. Obie ręce miał na

stole i Kelly widział wysuwające się i chowające na przemian pazury.
- Uhm... czy coś jest nie w porządku? - zapytał ostrożnie, napięty i przygotowany do obrony.
Przez moment było zupełnie cicho. Potem Tlaymasy zamknął paszcze i schował szpony.
- Zdenerwowałem się moim głupim posunięciem. Już mi przeszło. Grajmy dalej.
Kelly kiwnął głową i ponownie spojrzał na plansze, ale jego entuzjazm minął. W ferworze gry niemal zapomniał, że gra o bilet do domu. Nagle okazało się, że może gra również i o życie. Wybuch Tlaymasy'ego uświadomił mu w mało subtelny sposób, że Olyt nie pogodzi się łatwo z przegraną. Gra trwała nadal: Kelly starał się jak mógł, ale nie potrafił się skupić. W dziesięciu ruchach Tlaymasy nadrobił wcześniejszą stratę. Kelly rzucał na niego ukradkowe spojrzenia, zastanawiając się, czy obcy nie zaplanował sobie tego od początku. Z pewnością, sam będąc więźniem na obcej planecie, nie rzuciłby się na niego... a może? Gdyby, na przykład, honor ważniejszy był dla niego niż życie, a honor ten nie pozwalałby mu przegrać z kimś z innej planety?
Na czoło Kelh/ego wystąpiły krople potu. Nie miał dowodu na to, że Tlaymasy rozumuje w ten sposób... ale, ale nie miał też powodu sądzić, że tak nie jest. Odruch obcego na pewno nie należał do serdecznych i przyjacielskich.
Nietrudno było mu podjąć decyzje. Ostrożność nigdy nie zaszkodzi - a kilka dodatkowych dni w tym miejscu nie będzie aż tak strasznym przeżyciem. Z premedytacją przeprowadził śmiały atak na siły Tlaymasy'ego, musiałby mieć niezwykłe szczęście, żeby mu się powiodło.
Niezwykłe szczęście rzadko się trafia. Jeszcze siedem ruchów i Tlaymasy wygrał.
- Gra skończona - rozległ się głos Slaicha. - Tlaymasy, wróć do sali Transferu i przygotuj się do opuszczenia Instytutu. Kelly McClain, wróć do pokoju odpoczynkowego.
Olyt wstał i skrzyżował nadgarstki pozdrawiając Kelly'ego, po czym odwrócił się i zniknął za drzwiami. Kelly odetchnął z ulgą i ruszył do swojego pokoju.
- Nieźle grałeś, jak na pierwszy raz - dobiegł go głos Slaicha.
- Dziękuje - burknął Kelly. Teraz, kiedy nie miał już przed sobą kłów i szponów Tlaymasy'ego, zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił rezygnując z wygranej. - Kiedy mam znowu grac?
- Za około dwadzieścia godzin. Transfer trzeba będzie przestawić po podróży Olyta.
Kelly już miał wejść do pokoju odpoczynkowego.
- Dwadzieścia godzin? - powtórzył zatrzymując się. - Chwileczkę. Zwrócił się w stronę wnęki, w której stało jego biurko - ale zaledwie zrobił dwa kroki, kiedy buchnęły przed nim czerwone iskry. - Ej! - wrzasnął, gdy uderzyło w niego gorące powietrze. A to co takiego?
- Nie wolno ci podchodzić do urządzenia transferującego. - Głos Slaicha zabrzmiał ostro.
- Bzdura! Przecież nie będę przez cały dzień dłubał w nosie. Chce. wziąć książki z mojego biurka.
Przez chwile panowała cisza, a potem Slaich powiedział znowu swoim spokojnym głosem:
- Rozumiem. Myślę, że na to można się zgodzić. Weź je.
Kelly skrzywił się i powoli podszedł do wnęki. Wybuch nie powtórzył się. Otworzył dolną szufladę biurka i wyciągnął trzy książki, które zawsze tam trzymał, żeby poczytać sobie w wolnej chwili. Z drugiej szuflady wziął kilka czasopism i po namyśle jeszcze kilka długopisów i notes. Cofnąwszy się na środek pokoju wyciągnął swój łup.
- Widzisz? Zupełnie nieszkodliwe. Ani jednej bomby neutronowej.
- Wróć do swojego pokoju. - Slaich nie był tym rozbawiony. Emocje gry sprawiły, że Kelly zapomniał o obiedzie i kolacji. Teraz jednak pusty żołądek dał mu znać o sobie. Zgodnie z instrukcjami Slaicha zamówił i wziął posiłek z automatu w ścianie. Posiłek był mdły, ale sycący i Kelly czuł jak w miarę jedzenia wraca mu dobry humor. Potem wybrał jedną z książek i wyciągnął się na łóżku. Ale nie od razu zaczął czytać. Patrzył w sufit i rozmyślał.
Nie mógł mieć żadnych wątpliwości, że to co się z nim działo, nie było żartem. Nie mógł teraz mieć nadziei, że uda mu się uciec. Jedyne wyjście z tych pomieszczeń prowadziło przez Transfer, którego mechanizm, ukryty za metalowymi drzwiami pewnie i tak był niezrozumiały. Na to, że Stryfkar zamierzał odesłać go do domu miał tylko słowo Slaicha, a ponieważ dotrzymał słowa danego innym ludziom, Kelly nie miał powodu, by mu nie wierzyć. To prawda, że zasady gry były tym razem inne, ale Tlaymasy sugerował, że Stryfkar już kilka razy przeprowadzał taki eksperyment z Olytami i zwalniał ich zgodnie z planem. A wiec pozostawało pytanie, czy Kelly wygra następną gre. Zmarszczył brwi. Nigdy nie był szczególnie dobrym graczem, często wygrywał w szachy, ale tylko czasami w inne gry, których znał niewiele. A jednak dzisiaj był zadziwiająco bliski wygranej. I to w dodatku w grze z obcym, którego rasa założyła państwo ośmiu planet. Mogło to być bez znaczenia, oczywiście, Tlaymasy też mógł być kiepskim graczem. Ale musiałby być kompletnym idiotą, żeby zaproponować grę, w której nie był dobry. A poza tym, trzeba zwrócić uwagę na reakcje Slaicha, jasne było, że Stryfkar nie spodziewał się, że Kelly'emu pójdzie tak dobrze. Czy miało to znaczyć, że Kelly, przeciętny gracz, był lepszy od świetnego obcego?
Jeśli to była prawda, to w zasadzie nie istniał żaden problem. Kimkolwiek będzie jego następny przeciwnik, nie powinien mieć trudności z pokonaniem go, szczególnie jeśli wybiorą gre mało znaną obydwu graczom. Gdyby ten nowy nie był Olytem, mogliby wybrać Cztery Warstwy. Łatwo było nauczyć się w nią grać. A swoją drogą będzie mógł wprowadzać ją na rynek po powrocie do domu. Nie zbije na tym fortuny, bo produkcja rozmaitych gier kwitnie, ale zawsze coś niecoś zarobi. Z drugiej strony... po co się tak spieszyć? Kelly poruszył się niespokojnie, bo wpadł mu do głowy szalony pomysł. Jeśli naprawdę był lepszy niż większość obcych, to wynikało z tego, że mógł wrócić do domu kiedy tylko zechce, po prostu wygrywając którąś z kolejnych gier. Jeśli rzeczywiście tak jest to dlaczego nie miałby zostać jeszcze tydzień i nauczyć się paru innych gier z innych światów?
Im dłużej o tym myślał, rym bardziej mu się ten pomysł podobał. Wiązało się to wprawdzie z pewnym ryzykiem ale nie da się go uniknąć, jeśli się chce zarobić grubszą forsę. Ryzyko nie mogło być zbyt duże - to w końcu tylko psychologiczny eksperyment.
- Slaich? - zawołał w stronę metalowego sufitu.
- Tak?
- Jeśli przegram w następnej grze, to co się stanie?
- Zostaniesz tutaj aż wygrasz lub do chwili zakończenia doświadczeń.
Wiec nie będzie ukarany lub coś w tym rodzaju, jeśli ciągle będzie przegrywał. Jego zdaniem, Stryfkar wymyślił sobie mało skomplikowany eksperyment. Ludzie, na ich miejscu, prawdopodobnie wykombinowaliby coś bardziej wyszukanego. Czyżby to miało znaczyć, że ludzie byli lepszymi strategami niż rodacy Slaicha?
Interesujące pytanie, ale Kelly nie miał na razie zamiaru się tym zajmować. Wystarczyło mu, że znalazł możliwość manewrowania w tej ściśle określonej sytuacji. Ustalone przez nich zasady były, według niego, stworzone po to, by je naginać do własnych planów.
A jeśli już chodzi o zasady... Kelly odłożył książkę, zeskoczył z łóżka i podszedł do rozkładanego stołu. Najpierw obowiązek, potem przyjemność, powiedział sobie stanowczo. Wziął długopis i notes i zaczął rysować plansze do Czterech Warstw i wypisywał reguły gry.

DO: *Biuro Dyrektora Rodanu 248700, IBOC, Clars*
NADAWCA: *Biuro Dyrektora Eftisa 379214, Instytut Gier, Var-4*
TEMAT: *Ludzie*
DATA: *3 Lysmo 3829 Szanowny Panie Rodau,*
Nasze badania ujawniły niepokojące aspekty sprawy Ludzi i jesteśmy coraz mocniej przekonani, że natknęliśmy się na następną rasę Chiani. Szczegóły zostaną przesłane po zakończeniu analizy, ale chciałem poinformować pana o tym, żeby dać panu jak najwięcej czasu na przygotowanie ataku, jeśli uzna pan takie posuniecie za stosowne.
Zgodnie z pozwoleniem, rozpoczęliśmy trzecią Fazę badań osiem dni temu. Nasz Człowiek grał z przedstawicielami czterech ras: Olyt, Fiwalic, Spromsa i Thim-fra-chee. Za każdym razem wybierano grę ze świata nie należącego do ludzi, z drobnymi modyfikacjami wprowadzanymi przez Człowieka. Tak jak można sie było tego spodziewać, Człowiek niezmiennie przegrywał - ale w każdym przypadku miał wyraźną przewagę aż do ostatnich kilku ruchów. Nasz specjalista Slaich 898661 już wcześniej sugerował, że Człowiek może specjalnie przegrywać, ale ponieważ chodzi o jego honor i wolność, Slaich nie potrafi wyjaśnić takiego zachowania. Jednakże w rozmowie z 1 Lysmo (nagrania załączone) Człowiek sam potwierdził nasze podejrzenie, że motywem może być chęć materialnego zysku. Wykorzystuje nasze badania w celu zapoznania się z grami swoich przeciwników, zamierzając wprowadzić je z korzyścią na rynek w swoim świecie. Z pewnością zauważył pan podobieństwo do psychiki Chiani: żądza korzyści, nawet jeśli wiąże się to z ryzykiem, i założenie, że własne zdolności wystarczą do uwolnienia się, kiedy tylko zechce. Jak wiemy z historii, te właśnie cechy Chiani doprowadziły do ich nieprawdopodobnych podbojów. Należy również podkreślić, że ten Człowiek nie postępuje jak ktoś, kto przeszedł wojskowe łub inne taktyczne szkolenie, trzeba wiec uznać go za przeciętnego przedstawiciela rasy.
O ile dalsze badania nie ujawnią cech wykluczających rozwój w tym, co Chiani kierunku, sądzę, że powinniśmy wziąć pod uwagę konieczność jak najszybszego zniszczenia tej rasy. Ze względu na konieczność zbadania maksymalnych zdolności strategicznych rasy - i ze względu na niechęć przedmiotu badań do współpracy-jesteśmy zmuszeni wprowadzić silniejszy bodziec. Wyniki dalszych doświadczeń powinny wiele wyjaśnić i zostaną panu wysłane natychmiast.

Z poważaniem
Eftis

Drzwi odsunęły się i Kelly wszedł do sali testów, patrząc z ciekawością z kim też przyjdzie mu współzawodniczyć tym razem. Przyćmione czerwone światło wskazywało na to, że znowu będzie to ktoś z planety o czerwonym słońcu i kiedy wzrok Kelh/ego przyzwyczaił się do półmroku, zobaczył, że do stołu pod1 chodzi przypominający aligatora Olyt.
- Witam - powiedział Kelly, wyciągając przed siebie skrzyżowane ręce, tak jak widział przy pierwszej grze. - Jestem Kelly McClain, człowiek.
Olyt pozdrowił go w ten sam sposób.



- Jestem ulur Achranae, Olyt.
- Miło mi cie poznać. Co znaczy ulur?
- To jest mój tytuł. Dowodzą siedmioma statkami wojennymi. Kelly przełkną! ślinę. Wojskowy. Dobrze, że nie spieszyło mu się, żeby wygrać i wrócić do domu.
- Ciekawe. No cóż, zaczynamy? Achranae usiadł.
- Skończmy szybko te szaradę.
- Co rozumiesz przez słowo „szarada"? - zapytał Kelly ostrożnie, zajmując swoje miejsce. Nie był ekspertem, jeśli chodzi o uczucia Olytów, ale mógł przysiąc, że ten był zły.
- Nie zaprzeczaj - warknął obcy. - Widziałem twoje imię w sprawozdaniu i wiem jak grałeś na polecenie Stryfkaru z innym przedstawicielem mojej rasy. Obserwowałeś go jak królika doświadczalnego zanim pozwoliłeś mu wygrać i wrócić do domu. Nie podoba nam się sposób w jaki traktujecie nas, zabierając tak...
- Ej! Chwileczkę, ja nie pracuje dla nich. Ludzi też tak zabierają. Mysie, że to jakieś doświadczenia psychologiczne.
Olyt wlepił w niego wściekły wzrok, milcząc przez chwile.
- Jeśli naprawdę w to wierzysz, to jesteś głupcem - powiedział wreszcie, już spokojniejszy. - No dobrze, zaczynajmy.
- Zanim to zrobicie, musze powiedzieć wam o ważnej zmianie w zasadach - wtrącił się głos Slaicha. - Zagracie w trzy różne gry, nie w jedną, za każdym razem ustalając reguły. Ten, kto wygra dwie lub więcej wróci do domu. Drugi straci życie:
Minęło trochę czasu, zanim dotarło do nich znaczenie jego słów.
- Co? - wrzasnął Kelly. - Nie możecie tego zrobić!
Po drugiej stronie stołu Achranae zasyczał przeciągle. Odsłonięte pazury drapały lekko blat stołu.
- Tak zostało ustalone - odpowiedział obojętnym głosem Slaich. Zaczynajcie.
Kelly spojrzał bezradnie na Achranae.
- Nie będziemy grali o życie. To barbarzyński pomysł, a my jesteśmy istotami cywilizowanymi.
- Cywilizowanymi. - Niespodziewanie głos Slaicha był pełen pogardy.
- Ludzie potrafią wysłać statki zaledwie poza granice atmosfery i ty uważasz się za istotę cywilizowaną? A twój przeciwnik jest niewiele lepszy.
- Rządzimy przestrzenią o średnicy piętnastu lat świetlnych Achranae przypomniał spokojnie Slaichowi.
Kelly doszedł do wniosku, że wprawdzie Olyci szybko wpadali w gniew, ale też równie szybko ten gniew im mijał.
- Te twoje osiem gwiazd to nic w porównaniu z naszymi czterdziestoma.
- Krążą pogłoski, że Chiani mieli zaledwie pięć, kiedy was zaatakowali.
Głośnik zamilkł złowieszczo.
- Kto to są Chiani? - zapytał Kelly. Miał ochotę wyszeptać to pytanie.
- Słyszałem, że była to mała liczebnie, ale brutalna i agresywna rasa, która o mało co nie podbiła Stryfkaru wiele lat temu. Tak przynajmniej mówili nam handlowcy, ale nie wiem czy to prawda.
- Prawda czy nie, uderzyłeś we właściwą strunę - powiedział Kelly. -Jak uważasz, Slaich? Ma racje?
- Macie zaraz zacząć - rozkazał Slaich, ignorując pytanie Kell'ego.
Kelly spojrzał na Achranae, żałując, że nie potrafi odgadnąć wyrazu jego twarzy. Czy Olyci potrafią blefować?
- Powiedziałem, że nie będziemy grali o życie.
W odpowiedzi znajome czerwone iskry buchnęły tuż przed jego twarzą. Instynktownie odepchnął się od stołu, przewracając sie wraz z krzesłem do tyłu. Rąbnął się tak, że zobaczył gwiazdy, fiknął koziołka i wylądował na brzuchu na podłodze. Ostrożnie uniósł głowę i zobaczywszy, że czerwony meteor zgasł, z trudem podniósł się na nogi. Achranae stał z dala od stołu w pozycji obronnej.
- Jeśli nie będziecie grać, to zginiecie obydwaj. - Głos Slaicha był spokojny, niemal obojętny, ale Kelb'emu ciarki przeleciały po plecach. Achranae miał racje: to nie było zwykłe doświadczenie psychologiczne. Stryfkar szukał potencjalnego wroga i zarówno Olyci, jak ludzie trafili jakoś na jego listę. Nie mieli żadnej szansy ucieczki. Patrząc na Achranae Kelly bezradnie wzruszył ramionami.
- Wygląda na to, że nie mamy wielkiego wyboru, nieprawdaż? Olyt powoli wyprostował się.
- Chyba nie.
- Ponieważ te zawody są tak istotne dla nas obydwóch - zaczaj Kelly, kiedy ponownie usiedli - proponuje, żebyś ty wybrał pierwszą gre, a ja wprowadzę do niej zmiany. W drugiej grze odwrotnie. Oczywiście za każdym razem zmiany będzie musiała zaakceptować strona przeciwna.
- To wydaje się uczciwe. A trzecia gra?
- Nie wiem. Omówimy ją później, dobrze?
Opracowanie pierwszej gry, razem z poprawkami zajęło prawie godzinę. Achranae użył trzech dodatkowych przezroczystych krążków i ich podnóżków do zbudownaia trójwymiarowego pola gry: sama gra przypominała Okręt Wojenny z elementami szachów i Monopolu, a nawet pokera. Zadziwiające, ale taka mieszanka była całkiem niezła i gdyby nie wysokość stawki, o którą grali, Kelly z pewnością dobrze by się bawił. Jego wkład w ustalenie zasad polegał na niewielkiej zmianie kształtu pola - co, jak sądził, musiało zmienić ustaloną taktykę przeciwnika - i na wprowadzeniu pojęcia atu.
- Proponuje też, żebyśmy najpierw zagrali na próbę - powiedział.
Olyt spojrzał na niego bacznie ciemnymi oczyma.
- Po co?
- Dlaczego nie? Nigdy w to przedtem nie grałem, ty też nie przy takich zasadach. Dzięki temu prawdziwa gra będzie uczciwa. Bardziej honorowa. Tak samo zrobimy przy drugiej i trzeciej grze.
- Aha, to sprawa honoru? - obcy przekrzywił głowę w prawo. Dobrze. Zaczynamy.
Nawet ze zmianami gra - Niebieski Marsz, jak nazwał ją Achranae - nie była obca Olytowi i wygrał ją bez trudu. Kelly podejrzewał, że ćwiczenia w Niebieskim Marszu były obowiązkowym zajęciem w akademii wojsk przestrzennych Olytów.
- Czy ten Stryf powiedział prawdę, że nie macie komunikacji międzygwiezdnej? - zapytał Achranae, kiedy ponownie ustawili pionki.
- Co? A, tak - odpowiedział z roztargnieniem Kelly, pochłonięty myślami o posunięciach w następnej grze. - Nie mamy prawie wcale statków kosmicznych.
- Dziwne, bo tak szybko pojmujesz zasady taktyki wojny przestrzennej.
- Machnął ręką z ukrytymi pazurami. -1 szkoda, bo nie będziecie mogli się bronić, jeśli Stryfkar postanowi was zniszczyć.
- Myślę, że nie, ale po co mieliby to robić? Nie stanowimy dla nich żadnego zagrożenia.
Achranae wskazał na plansze.
- Jeśli jesteś przeciętnym przedstawicielem, to wydaje mi się, że twoi rodacy mają niezwykłe zdolności taktyczne i odznaczają sie agresywnością. Te cechy czynią z was cennych sprzymierzeńców i niebezpiecznych przeciwników dla każdej kosmicznej rasy.
Kelly wzruszył ramionami.
- W takim razie powinni starać się nas przekonać.
- To mało prawdopodobne. Stryfkar słyną ze swojej dumy i nie uznają żadnych sprzymierzeńców. Sposób w jaki nas traktują odzwierciedla ich stosunek do obcych.
Kelly zauważył z niepokojem, że w Olycie znowu zaczęła wzbierać wściekłość. Zmiana tematu wydawała się konieczna.
- No tak. Zaczniemy? Achranae zasyczał po swojemu:
- Dobrze.
Kelly od początku nie miał żadnych szans. Starał się jak mógł, ale widać było, że Olyt potrafi myśleć trójwymiarowo lepiej niż on. Kilka razy stracił pionka tylko dlatego, że nie przyszedł mu do głowy zupełnie oczywisty ruch, który powinien był zrobić. Zlany potem próbował opanować się, poświęcać więcej czasu na każde posuniecie. Ale to nic nie pomogło. Achranae nieubłaganie zaciskał pętle i, już było po wszystkim.
Kelly odchylił się do tyłu, oddychając głęboko. W porządku, mówił sobie, mógł spodziewać się, że przegra w grze, w której obcy miał przewagę, bo znał ją lepiej. Ale następna będzie inna, do Kelh'ego będzie należał wybór broni... Achranae przerwał mu rozmyślania:
- Czy już zdecydowałeś, w co będziemy grali?
- Poczekaj chwile, dobrze? - burknął Kelly, obrzucając obcego niezbyt przyjemnym spojrzeniem. - Daj mi się zastanowić.
To nie była łatwa sprawa. Kelly najlepszy był w szachach, ale Achranae już udowodnił, że jest świetnym strategiem, przynajmniej w grach wojennych. A wiec wybranie szachów byłoby ryzykowne. W grach karcianych wiele zależy od szczęścia, a w tej drugiej grze Kelly powinien zapewnić sobie jak największe szanse wygranej. Gry literowe nie wchodziły w rachubę. Warcaby, to zbyt proste. A może... A może jakaś gra sportowa?
- Slaich? Czy możemy dostać jakiś dodatkowy sprzęt? Potrzebny by mi był dłuższy stół, rakietki i jakieś sprężyste piłeczki.
- Gry, które wymagają sprawności fizycznej ze względu na swój charakter nie mogą być zastosowane w takim współzawodnictwie - odparł Slaich.
- Nie mam nic przeciwko temu - odezwał się Achranae. Kelly spojrzał na niego zdziwiony. - Powiedziałeś, że możemy wybierać gry i zasady, a tym razem wybiera Kelly MoClain.
- Zajmujemy się psychologią - odparł Slaich. - Nie interesują nas wasze mięśnie. Macie wybrać gre, do której wystarczy sprzęt, który jest przed wami.
- To poniżające!
- Nie, w porządku, Achranae - wtrącił Kelly, wstydząc się, że zaproponował coś takiego. - Slaich ma racje, to nie byłoby zupełnie uczciwe. Nie postąpiłem honorowo proponując to. Przepraszam.
- To nie twoja wina - powiedział Olyt. - Wstydzić powinni się ci, którzy nas tu ściągnęli.
- Tak - zgodził się Kelly, spoglądając ponuro na sufit. Obcy dobrze to ujął. Achranae nie był jego wrogiem, tylko partnerem w grze. Prawdziwym wrogiem był Stryfkar. wiadomość tego niewiele zmieniła jego sytuacje. Chrząknął.
- Dobrze, Achranae, myślę, że jestem gotów. Ta gra nazywa sie szachy...
Olyt szybko pojął zasady i ruchy, tak, że Kelly zastanawiał sie czy obcy nie mają podobnej gry. Na szczęście, wyglądało na to, że ruchy skocz-



ka są dla niego zupełną nowością i Kelly miał nadzieje, że zmniejszy to trochę taktyczne możliwości partnera. Achranae wysunął propozycje, żeby pionki można było cofać. Kelly zgodził się i zabrali się do gry próbnej. Okazała się trudniejsza niż Kelly się spodziewał. Ruch pionków w rył sprawiał mu spore kłopoty, głownie dlatego, że jego umysł ciągle eliminował taką możliwość. W ośmiu ruchach stracił obydwu gońców i jednego z cennych skoczków, a królowa Achranae groziła mu w każdej chwili.

- Interesująca gra - zauważył Olyt kilka posunięć później, kiedy Kell'emu udało się uciec przed druzgocącym atakiem. Czy uczyłeś się tego w specjalnej szkole?

- Nie - odpowiedział Kelly zadowolony z chwili wytchnienia. - Po prostu grałem dla rozrywki z przyjaciółmi. Dlaczego pytasz?

- Zręczność w grze jest odzwierciedleniem zdolności do radzenia sobie z prawdziwym niebezpieczeństwem. Sądząc z twojej gry, masz spore zdolności.

Kelly wzruszył ramionami.

- Myślę, że to nasza cecha narodowa.

- Ciekawe. U nas tego typu umiejętności nabywa się w czasie długiej nauki. - Achranae wskazał na szachownice. - Mamy podobną grę, gdybym nie studiował jej kiedyś, przegrałbym w kilku ruchach.

- Taak - mruknął Kelly. Był prawie pewien, że dotychczasowe sukcesy Achranae nie były wyłącznie wynikiem szczęścia, ale miał cichą nadzieje, że się myli. - Wróćmy do gry, co?

Kelly wygrał w końcu, ale tylko dlatego, że Achranae stracił królową i Kell'emu udało się wykorzystać ten błąd bez większych strat.

- Czy jesteś gotowy, żeby zacząć właściwą grę? - zapytał Achranae, kiedy sprzątali plansze.

Kelly skinął głową, ze ściśniętym gardłem. Tym razem wiele miało zależeć od Wyniku.

- Myślę, że tak. Do dzieła.

Rzucając wielostronną kostkę ustalili, że Olyt weźmie białe pionki. Achranae zaczął ruchem króla, na co Kelly odpowiedział ruchem, który jak mgliście pamiętał nazywano obroną sycylijską. Obaj grali ostrożnie: w pierwszych dwudziestu posunięciach odpadły tylko dwa pionki. Spocony mimo klimatyzaq'i Kelly obserwował jak przeciwnik stopniowo przechodzi do ataku, podczas gdy on sam bronił się jak mógł.

Druzgocący atak, obrona i poszło następnych osiem pionków ...a Kelly stracił wieże.

Drżącą ręką odgarniając kosmyk włosów, Kelly oddychał ciężko, przyglądając się szachownicy. Bez wątpienia był w tarapatach. Achranae opanował środek, a jego król był lepiej chroniony. Co gorsza, obcy opanował już ruchy skoczka, a Kelly ciągle miał kłopoty z pionkami. Gdyby Olyt wygrał i tym razem...

- Jesteś zdenerwowany?

Kelly ocknął się i spojrzał na przeciwnika.

- Tylko... - Drżał mu głos. - Tylko trochę.

- Może przerwiemy, będziesz mógł się lepiej skoncentrować zaproponował Achranae.

Ostatnia rzecz, której sobie życzył Kelly, to litość obcego.

- Nic mi nie jest - odparł niecierpliwie.

- W takim razie, ja chciałbym trochę odpocząć. Czy może tak być?

Kelly patrzył na niego. Znaczenie słów Achranae docierało do niego powoli. Jasne, że Olyt nie potrzebował odpoczynku; jeszcze połowa gry i będzie w domu. Poza tym, Kelly wiedział jak wygląda wytrącony z równowagi Olyt, a u Achranae nie było najmniejszych oznak gniewu. Nie, danie Kell'emu szansy, żeby się uspokoił, mogło przynieść korzyść tylko człowiekowi... i spojrzawszy Olytowi prosto w oczy Kelly zrozumiał, że Achranae w pełni zdaje sobie z tego sprawę.

- Tak - odezwał się wreszcie Kelly. - Przerwijmy na trochę. Może pól godziny?

- Zgoda. - Achranae wstał i skrzyżował ręce. - Bede gotowy kiedy tylko zechcesz.

Sufit nad łóżkiem Kell'ego był zupełnie gładki, bez najmniejszej rysy. Ale pokój odbijał się w nim o wiele gorzej niż można się było spodziewać. Kelly zastanawiał się nad tym, ale tylko przez chwile. Miał ważniejsze zmartwienia.

Może to dziwne, ale szachy przestały już być jego głównym problemem. Prawda, ze nie był w najlepszym położeniu, ale odpoczynek doskonale mu zrobił i już wymyślił kilka obiecujących posunięć. Jeśli tylko nie straci głowy, ma dużą szanse zmiany sytuacji. I tu właśnie zaczynał się dylemat... bo jeśli mu się to uda, to nastąpi trzecia gra. Gra, w której albo on, albo Achranae będzie musiał przegrać.

Kelly nie chciał umrzeć. Było wiele wzniosłych powodów, dla których powinien żyć choćby dlatego, że nikt inny na Ziemi nie wiedział, jakie niebezpieczeństwo kryje się za tymi „grami" - a poza tym po prostu nie chciał umierać. Jakakolwiek by była ta trzecia gra, wiedział, że będzie walczył ze wszystkich sił. Jednakże...

Kelly poruszył się niespokojnie. Achranae również nie zasługiwał na śmierć. I jego zmuszono do tego szalonego pojedynku, a ponadto celowo odrzucił szanse wygranej. Może kierował sie nie tyle uczciwością, co sztywnymi zasadami postępowania zgodnie z honorem, tego Kelly nigdy się nie dowie. Ale to nie ma znaczenia. Jeśli wygra w szachy, będzie to zawdzięczał Olytowi. Trzecia gra...

Co byłoby najuczciwsze? Wymyślenie gry, w którą żaden z nich przedtem nie grał? Wtedy wrodzone umiejętności Kelly'ego i wyuczone Achranae dawałyby im równe szanse. Z drugiej strony, dla Stryfkaru byłaby to jeszcze jedna możliwość obserwowania ich sposobu działania, a Kelly nie miał ochoty na współpracę z gnębicielami. Wiedział też, że Achranae myśli podobnie. Ciekawe od jak dawna Stryfkar porywał Olytów i dlaczego pozwalali na to. Kelly uznał, że pewnie nie mieli pojęcia, gdzie znajduje się ten Instytut Gier - zastosowanie Transferu utrudnia trafienie na ślad porywaczy. Ale uniemożliwienie Stryfkarowi zdobycia nowych danych było związane z całkowitym zdaniem sie na łut szczęścia, czego Kelly nie mógł zaakceptować. Dźwięk, mimo że się go spodziewał, przestraszył go.

- Już czas - oznajmił bezbarwny głos Slaicha. - Masz wrócić do sali testów.

Kelly skrzywił się, wstał i podszedł do drzwi. Może Achranae coś wymyślił.

- Czy jesteś w lepszym nastroju do gry? - zapytał Achranae kiedy znów usiedli naprzeciw siebie.

- Tak - kiwnął głową Kelly. - Dziękuje, że zaproponowałeś przerwę. Naprawdę była mi potrzebna.

- Wyczułem, że honor me pozwala ci prosić o nią. - Obcy wskazał szachownice. - Teraz twój ruch.

Teraz, kiedy był już opanowany, Kelly bez trudu nadrobił straty i ponownie przeszedł do ataku. Widząc, jak Olyt przywiązuje dużą wagę do królowej, Kelly zastawił pułapkę, wysuwając swoją królową na przynętę. Achranae dał się na to złapać i... Kelly wygrał w pięciu ruchach.

- Świetne posuniecie - powiedział Olyt z podziwem. - Zupełnie sie nie spodziewałem tego ataku. Miałem racje: twoje taktyczne umiejętności są niesamowite. Będziecie kiedyś naprawdę wspaniałym gwiezdnym mocarstwem.

- Zakładając, że w ogóle kiedyś wyjdziemy poza swoją planetę odparł Kelly sprzątając plansze. - Na razie sami jesteśmy pionkami w grze.

- Każdy z was raz wygrał - odezwał się Slaich. - Czas wybrać ostatnią grę.

Kelly przełknął ślinę i spojrzał na Achranae napotykając jego równie pytający wzrok.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał.

- Nic konkretnego. Najbardziej uczciwa byłaby gra, w której wy-; grana zależy od szczęścia. Poza tym, jeszcze nie wiem czego wymaga mój honor.

- To znaczy?

- Czy ja powinienem ocaleć, żeby wrócić do swoich, czy nie powinienem, zostawiając te możliwość tobie.

- Co za szkoda, że nie możemy wyzwać Stryfkaru na taki pojedynek - stwierdził kwaśno Kelly.

- To byłoby najlepsze wyjście - zgodził się Achranae. - Ale obawiam się, ze nie przyjęliby takiego wyzwania.

Zapadła długa cisza... Kell'emu nagle przyszedł do głowy pewien pomysł. Ryzykowny na tyle, że mogli obydwaj stracić życie. Ale istniała możliwość, że się uda... a każde inne rozwiązanie skazywało jednego z nich na pewną śmierć. Kelly zacisnął zęby i podjął decyzje.

- Achranae - zaczął ostrożnie - myślę, że znalazłem odpowiednią grę. Czy zaufasz mi na tyle, żeby zgodzić się na nią teraz, zanim wyjaśnię o

co chodzi i zagrać bez próby? Pysk Olyta drżał lekko kiedy wpatrywał się w człowieka. Przez dłuższą chwile Kelly słyszał tylko bicie własnego serca. Wreszcie, powoli, Achranae przechylił głowę w prawo.
- Dobrze. Wierze w twój honor. Zgadzam się na te warunki.
- Slaich? Czy nadal obowiązują te same zasady? - zawołał Kelly.
- Oczywiście.
- Dobra. - Kelly wziął głęboki oddech. - W tej grze biorą udział dwa rywalizujące ze sobą królestwa i ziejący ogniem Stwór, który gnębi i jednych, i drugich. Tu jest podziemna jaskinia potwora. - Ustawił czarny pionek na planszy, a potem trzy przezroczyste krążki z podstawkami. - Te dwa królestwa nazywają sie Królestwo Gór i Nizinne Miasto. Królestwo Gór jest większe, tu jest jego środek, a tu granica. - Postawił duży czerwony pionek na górnym krążku, a dwa kwadraty dalej dodał pierścień sześciu mniejszych. Przesunął czarny pionek dokładnie pod brzeg pierścienia i wziął duży żółty pionek. - To jest Nizinne Miasto - powiedział, przesuwając go powoli ponad środkowym krążkiem. Przyjrzał się bacznie planszy. Miedzy poziomami było dziesięć centymetrów... umieścił żółty znaczek osiem kwadratów od czerwonego, cztery kwadraty w bok. Nie była to idealna pozycja, ale nie było innej możliwości. - No i wreszcie, to są nasze wojska. Miedzy dwoma królestwami porozmieszczał po kilkanaście czerwonych i żółtych motyli.
- Zwycięstwo oznacza spełnienie dwóch warunków: potwór musi być zabity i siły strony przeciwnej nie mogą znajdować się w pobliżu i zagrażać królestwu. W porządku?
- Tak - odpowiedział Achranae powoli, dokładnie przyglądając sie planszy. Po raz któryś z kolei Kelly żałował, że nie potrafi wyczytać nic z wyrazu twarzy Olyta. -Jak oceniane będą wyniki walki?
- Przez porównanie ilości biorących w nich udział wojsk i rzut kostką. - Kelly ustanowił system zasad, które pozwalały na walkę każdej z trzech stron ze sobą i według których tylko wspólne działania obydwu królestw mogły doprowadzić do pokonania potwora. - W jednym ruchu można przesunąć się o dwa kwadraty albo jeden poziom i za każdym razem można ruszyć na całą armie - zakończył. - Masz jakieś pytania?
Achranae wpatrywał się w niego, jakby próbował odgadnąć jego myśli.
- Nie. Kto zaczyna?
- Ja, jeśli nie masz nic przeciwko temu.
Zaczynając od pionków najbliższych królestwa Olyta, Kelly przesunął je od czerwonej figury w stronę czarnej. Achranae zawahał się przez chwile, ale poszedł za jego przykładem, przesuwając swoją armie w dół. Dwa pionki znalazły się niebezpiecznie blisko pionków Kelly7ego, ale człowiek zignorował je, ruszając dalej do przodu. Po następnych kilku ruchach chmara żółtych i czerwonych pionków skupiła się wokół czarnej figury. Ziejący ogniem potwór nie miał żadnej szansy.
- A teraz...? - Achranae siedział sztywno, z na wpół wysuniętymi szponami. Ruch Olyta zniszczył potwora i kolejne posuniecie należało do Kelly'ego... a siły Achranae nadal pomieszane były z siłami człowieka. Trudno sobie wyobrazić słabszą pozycje i Achranae dobrze o tym wiedział.
Kelly uśmiechną] się i odchylił do tyłu.
- No cóż, potwór zabity - a twoje siły nie zagrażają mojemu królestwu. Wiec sądzę, że wygrałem.
Po drugiej stronie stołu rozległ się przeciągły syk, a pazury Achranae ukazały się w całej okazałości. Kelly wstrzymał oddech i napiął mięśnie w gotowości do skoku. Przecież Achranae z pewnością był na tyle bystry, żeby to zauważyć... i nagle szpony schowały się.
- Ale moje królestwo również nie jest zagrożone - odezwał się Olyt. - W takim razie, ja też wygrałem.
- Naprawdę? - Kelly udał, że jest zdziwiony. - Niech mnie kule biją. Rzeczywiście. Moje gratulacje. - Spojrzał na sufit. - Slaich? Dziwnym zbiegiem okoliczności, obydwaj wygraliśmy trzecią grę, wiec myślę, że obydwaj wracamy do domu. Jesteśmy do tego gotowi w każdej chwili.
- Nie. - Monotonny głos Stryfa tym razem zabrzmiał stanowczo.
Kelly zesztywniał.
- Dlaczego nie? Powiedziałeś, że ten kto wygra dwie gry wróci do domu. Sam wprowadziłeś te zasadę.
- Wiec ją cofam. Tylko jeden z was może stąd odjechać. Wybierzcie nową gre.
Słowa Slaicha zawisły ciężko w powietrzu, jak wyrok śmierci... Kelly czuł jak paznokcie wbijają mu się w dłonie. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się, żeby obcy pozwolili mu nagiąć zasady na swoją korzyść - już wiedział, że dla nich to nie była gra. A jednak miał nadzieje... teraz nie miał wyboru, musiał zaryzykować. Ostatnie posuniecie.
- Nie będę w nic więcej grał - powiedział bez ogródek. - Dość mam posługiwania się mną w tych waszych zwariowanych poszukiwaniach. Możecie sami wziąć się za łby.
- Nieprzystąpienie do gry jest równoznaczne z przegraną - przypomniał mu Slaich.
- Ładna mi pogróżka - burknął Kelly. - W końcu i tak macie zamiar zniszczyć Ziemie, czyż nie tak? Wiec co za różnica, gdzie zginę?
Slaich zwlekał z odpowiedzią.
- Dobrze - odezwał się wreszcie - Sam dokonałeś wyboru. Achranae, wróć do Transferu...
Obcy wstał powoli. Kelly myślał, że zaprotestuje, wstawi się za nim. Ale Olyt nie powiedział ani słowa. Przez chwile patrzył na człowieka. Potem, w milczeniu wyciągnął skrzyżowane dłonie i zniknął za drzwiami.
- Wrócisz teraz do pokoju odpoczynkowego - rozkazał mu Slaich.
Kelly westchnął głęboko, wstał i sprzątnął plansze, ustawiając wszystko z powrotem na swoim miejscu. A wiec i tak wszystko zależeć będzie od szczęścia, pomyślał, czując się nagle znużony. Kości zostały rzucone i pozostało mu tylko czekanie... i nadzieja, że Achranae zrozumiał.

DO: *Biuro Dyrektora Rodau 248700, IBOC, Clars*
NADAWCA: *Biuro Dyrektora Eftisa 379214, Instytut Gier, Var-4*
DATA: *21 Lysmo 3829*
XXXXX PILNE XXXX
Szanowny Panie Rodau,
Jest gorzej niż oczekiwaliśmy, stwierdzam wiec oficjalnie, że Ludzkość powinna być zniszczona. Załączone materiały należy dokładnie przestudiować,szczególnie te, które dotyczą trzeciej gry. Przez zastosowanie swych umiejętności w ułożeniu gry, w której i on, i jego przeciwnik mogli wspólnie wygrać, Człowiek wykazał zdolność do współpracy oraz rzadko spotykane przejawy litości. Mimo że nic w ten sposób nie zyskał - i że tego typu postępowanie mogłoby być uznane za wynikające z poczucia obowiązku - nie możemy założyć, że zawsze tak będzie. Należy zwrócić szczególną uwagę na niebezpieczeństwo wiążące się z predyspozycjami Ludzi do współdziałania. Gdyby Chiani potrafili zawierać korzystne sojusze, prawdopodobnie nigdy nie udałoby się ich zatrzymać.
Przewidujemy konieczność dokładnej analizy psychofizjologicznej naszego okazu Człowieka dla ułatwienia opracowania strategii sił zbrojnych. Prosimy wiec o przysłanie odpowiednich ekspertów i urządzeń, gdy tylko to będzie możliwe. Wskazany jest pośpiech, nie jestem bowiem w stanie zagwarantować, że Człowieka będzie można utrzymać przy życiu dłużej niż rok.
Eftis

Pierwszym sygnałem, że długie oczekiwanie się skończyło był dla Kelly'ego dochodzący zza ściany dźwięk przypominający kucie lub wiercenie. Obudziło go to z głębokiego snu, ale nie miał nawet czasu się zdziwić, gdyż drzwi pokoju nagle rozbłysły i wypadły z framugi. W tej samej chwili powietrze zawirowało. Kell'emu zatkały się uszy, ponieważ ciśnienie powietrza spadło gwałtownie. Ale kiedy próbował zwlec się z łóżka trzy postacie w kombinezonach przedarły się przez szalejący huragan i zanim sie zorientował wpakowały go do ogromnego balonu z syczącym zbiornikiem na dnie.
- Kelly McClain? - z pudełka obok zbiornika powietrza rozległ sie metaliczny głos - nic ci się nie stało?
Trzej wybawcy przewrócili Kell'ego na plecy i przenieśli przez zdemolowane drzwi. - Czuje się świetnie - powiedział do pudełka. - Czy to ty, Achranae?
Minęło prawie piętnaście sekund, zanim usłyszał odpowiedź, najwyraźniej komputer Olytów nie tłumaczył tak szybko jak Stryfkaru,
- Tak, cieszę się, że żyjesz. - Kelly uśmiechnął się.
- Ja też. Do licha, jak się cieszę, że mnie zrozumiałeś. Wcale nie byłem pewien, że złapiesz o co chodzi.
Byli już w sali Transferu i Kelly mógł się rozejrzeć. W suficie było widać wyrwę, ciągnącą się przez co najmniej dwa pietra w skale. Po pokoju krzątało się kilkunastu Olytów w białych, wyglądających na wojskowe, kombinezonach.
- To było genialne. Bałem się, że i mnie mimo wszystko nie pozwolą odejść.
- Ja też się tego bałem, ale wygląda na to, że niepotrzebnie sie martwiliśmy - Kelly znowu się uśmiechnął. - Jak to dobrze rozmawiać z przyjacielem! Założę się, że Stryfkar nie połapał sie jeszcze co zrobiłem. Widzieli tyle różnych gier na tej planszy, że nie przyszło im do głowy, że nam się kojarzy ona z Niebieskim Marszem, naszą wspólną grą. W moim układzie królestw i potwora tylko ty dostrzegłeś symbole naszych planet i tej tutaj i zapamiętałeś przybliżone odległości. Zaryzykowałem i myślę, że mi się udało.
Kelly był teraz pod dziurą i do balonu przymocowano liny.
- Mamy nadzieje, że umiejętność wygrywania w takich sytuacjach należy do cech twojej rasy - powiedział Achranae. - Zniszczyliśmy bazę Stryfkaru i przechwyciliśmy wiadomość, że wkrótce przybędzie tu wielka armia. Nawiązaliśmy kontakt z twoimi rodakami, ale jeszcze nie wyrazili zgody na zawarcie przymierza. Może ty będziesz mógł ich przekonać. A przynajmniej mamy nadzieje, że pomożesz nam w opracowaniu planów taktycznych.
Liny napięły się i Kelly uniósł się w górę.
- Jestem pewien, że Ziemia wam pomoże - powiedział poważnym głosem. - A jeśli chodzi o mnie, to zrobię to z przyjemnością. Stryfkar musi się jeszcze wiele nauczyć o nas, pionkach.

Przełożyła **Anna Miklińska**

József M. Bárdos

Donos

Szanowny Towarzyszu Główny Inspektorze! Proszę o wybaczenie, że niepokoje Was moim listem, lecz jestem początkującym dziennikarzem i nikt nie traktuje mnie poważnie. Gdybym próbował ogłosić te rzecz w moim czasopiśmie, przesunięto by mnie z działu „Stąd i zowąd” do „Poczty czytelników”, o ile w ogóle natychmiast by mnie nie zwolniono.

Chwyciłem za pióro z powodu sprawy KKK. Kiedy cała rzecz się wydarzyła, w redakcji nie było ani jednego reportera i redaktor naczelny wysłał mnie z fotoreporterką Werą. Wszystko to wydało mi się podejrzane już w chwili, gdy szef zaczął mówić, że oto mogę zrobić pierwszy duży reportaż w moim życiu. Nie sądziłem jednak, że nawet komentarz do jedynej opublikowanej fotografii każą napisać komuś innemu.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, ogień był już zlokalizowany. Wera zrobiła kilka zdjęć, a ja próbowałem naciągnąć na parę słów inspektora. Oczywiście nic mi nie powiedział. Budynek, w którym mieściły się laboratoria KKK, spłonął całkowicie i był tak zrujnowany, jakby uderzyła w niego bomba. Co prawda, o bombie nie było mowy, lecz okazało się, że zginęło Wiele osób. Kiedy dowiedziałem się, że wśród ofiar są także profesor Bilów i jego żona, przyszła mi do głowy myśl, która od tamtej pory nie daje mi spokoju. Możliwe, że się mylę, że wszystko to jest jedynie chorobliwym wytworem mojego mózgu. Lecz mimo wszystko boje się. Bo jeśli gdzieś indziej także... To nawet bardzo prawdopodobne! Łamałem sobie głowę, co mogło spowodować katastrofę. Ofiary są - poza jednym wyjątkiem - członkami grupy badawczej profesora Bilowa. Oczywiste jest wiec, że to w ich laboratorium coś się wydarzyło. Coś takiego, od czego runął i spłonął cały budynek.

Z pewnością Wy także do tego doszliście. Ale ten jeden wyjątek! Dlaczego znajdowała się tam żona profesora Bilowa, przecież ona nie pracowała w KKK! Rzecz jasna, odpowiadają mi, że cóż za problem, że z pewnością odwiedziła męża lub coś w tym rodzaju. Ale... No i dlatego zwróciłem się do Was. Sądzę, że wiem, dlaczego znalazła się tam ta kobieta.

Niedawno bawiłem wraz z profesorem w pewnym towarzystwie. Rozmowa toczyła się na temat ludzkich potrzeb, ambicji i żądz. Przybrała ona ciekawy obrót w chwili, gdy Lisenko, psycholog, zamknął nam usta twierdząc, że nie wiemy, o czym mówimy. Oświadczył: „niech nas nieba chronią od pełnego i nieskrępowanego wyzwolenia ludzkich żądz”. Wtedy odezwał się Bilów i opowiedział, że w ostatnich latach pracuje ze swoją grupą właśnie nad skonstruowaniem takiego systemu (na razie w skali laboratoryjnej), który pod wpływem impulsów mózgu niemal natychmiast (oczywiście z opóźnieniem paru nanosekund) spełniałby, niejako „materializowałby” pojawiające się żądze człowieka. Nie całkiem to zrozumiałem, nie jestem specjalistą, ale to nie jest istotne. Profesor zakończył stwierdzeniem, że niedługo nastąpią pierwsze próby. Na to, ku mojej wściekłości, moja żona wtrąciła się paplając, że profesor mógłby ją zaprosić na pierwszy eksperyment, że przecież nauce i tak wszystko jedno, czyje życzenia się spełniają, a ona ma teraz tyle różnych potrzeb. Było to bardzo nieprzyjemne, ale profesor uprzejmie odpowiedział, iż żałuje, lecz obiecał to już swojej żonie. Wtedy myśleliśmy wszyscy, że żartuje... Ale teraz... Przemyślcie to.

Wszyscy są na miejscu. Zaczynają pierwszy eksperyment. Włączają urządzenie i żądze kobiety...Czy macie żonę?...

Z poważaniem
W. Pietrow
dziennikarz-praktykant

Przełożył **Wojciech Maziarski**

Angelica Gorodischer

Zalążki fioletu

(Los embriones del violeta)

Przewrócił się na drugi bok pod kocem. Zdołał uchwycić wątek snu, który był o Ulissesie; wsłuchał się w spokojne tchnienie nocy w Vantedour. U stóp łóżka Bonifacy z Salomei przeciągnął sie i wysunął różowy języczek, aby zadośćuczynić rutynie leniwych ablucji. Jednak świt jeszcze nie wstał, wiec obydwaj ponownie ułożyli się do snu. Wsparty o framugę drzwi, pochrapywał Tuk-o-Tut.

Po drugiej stronie morza Matrony kołysały Słodką Twarzyczkę. Stąpając z rozwagą, aby się nie potknąć i nie wstrząsnąć jajem, ostrożnie przeniosły je na świeże powietrze i zdjęły pokrywę. Ogromna kołyska poruszała się w rytm pieśni, a żółte słońce przeświecając przez liście drzew lizało jego uda. Poruszył się, otarł o miękkie ściany kołyski i zapłakał. Matrony zaśpiewały, a jedna z nich zbliżyła się i pogłaskała go po policzku. Słodka Twarzyczka uśmiechnął się i ponownie usnął. Matrony westchnęły z ulgą.

Na wyspie zapadł już zmrok; klawikordy rozbrzmiewały Sonatą Opus 17 w tonacji B Bemol Powójny. Theophilus przygotowywał się do następnego natarcia: Severius zakończył już swoją operacje i teraz była jego, Theophilusa, kolej na wygłoszenie olśniewającej repliki. Ale gdzieś w jego wnętrzu nagle rozbrzmiało zdanie: „Ta dusza także kocha Cimarose”. Czyżby uciekały mu słowa, które zamierzał wygłosić, znaczenie przeciwstawnego spójnika, szczególny odcień przymiotnika, za pomocą którego mógłby w sposób nieco pejoratywny ocenić rzekomo uniwersalny model percepcji? Wydało mu się, że Severius był trochę za bardzo z siebie zadowolony.

Skręcony niczym kawałek postronka, zarośnięty i brudny, śmierdzący wymiotami i potem, zdobył się na jeszcze jeden wysiłek, aby zmienić pozycje na siedzącą. Lewą dłonią oparł się o ziemie, przyciskając ją mocno, mocno, aby powstrzymać drżenie, i uchwycił się jakiegoś krzaka. Prawą reke uniósł w górę i wparłszy ją w pień drzewa zaczął się dźwigać. Czuł mdłości i gorzka ślina wypełniła mu usta. Splunął, strużka śliny spłynęła mu po podbródku.
- Śpiewajmy - rzekł - śpiewajmy życie, miłość i wino. Siedem słone było w jego głowie, a dwa na zewnątrz. Jedno z nich miało odcień pomarańczowy i można nań było patrzeć bezkarnie.
- Chce mieć - powiedział - nowe ubranie. To są już parszywe szmaty. Nowe ubranie z zielonego aksamitu. Zielone, otóż to, zielone. I wysokie buty. Laskę i koszule. I whisky w kuflach od piwa.
Ale znajdował się w dużej odległości od fioletu i nie miał siły, aby tam dojść.

Fasada domu była wykonana z szarego kamienia. Sam dom zaś był wzniesiony na skale i od wewnątrz pocięty niezliczonymi korytarzami, do których nigdy nie dociera światło. Sale przeznaczone na trofea były puste. Na szczycie Myśliwi piekli sarninę. Znajdowały się tu też sale obite czarną materią, do których niekiedy -wchodzili Sędziowie. Wszędzie panowała cisza, jak zresztą prawie zawsze; okna pozostawały zamknięte. W podziemiach znajdowała się izba tortur i tam też prowadzono Lesvanoos z rekami skrępowanymi na plecach.

Tymczasem w ciemnościach zbliżyło się piętnastu zmęczonych mężczyzn. Jedenastu z nich zostało wybranych ze względu na możliwości fizyczne, odwagę i zdyscyplinowanie; czterej pozostali z uwagi na swe umiejętności. Siedmiu z nich zasiadło wokół stołu.
- Powiedzmy, że jeszcze dziesięć godzin - stwierdził Komendant.
Leonidas Terencjusz Sessler pomyślał, że zbyt wiele mówiono podczas tej podróży i prawdopodobnie nadal będzie się mówić zbyteczne słowa. Dyskusje, utarczki, krzyki, rozkazy, prośby o
wybaczenie, przekonywania, przemowy moralizatorskie (na jego, wyłącznie na jego, barkach). Nigdy nie było jego zamiarem sprawiać wrażenie moralizatora, ale pragnąc złagodzić nieco to, co jak wiedział w uszach innych zabrzmiałoby cynicznie, w tajemnym procesie przetwarzania myśli w słowa coś tak modyfikował, że ostatecznie miażdżył morałami wszystkich dookoła. Miał czas, aby wielokrotnie przeanalizować ten proces, i doszedł do konkluzji, że natężenie mowy, krzyk, jeżyk, nazwa były niczym innym jak potwornym wypaczeniem.
- Powinniśmy - oświadczył - ograniczyć słowa i porozumiewać sie za pomocą muzyki.
Komendant uśmiechnął się, kręcąc głową jak krótkoskrzydły, nieufny ptak.
- Nie mowie tego wyłącznie w odniesieniu do nas - wyjaśnił Leo Sessler - ale w ogóle do ludzkości.
- Drogi doktorze - powiedział inżynier Savan - czy według pana jest to odpowiedni moment, aby otworzyć usta i zaśpiewać marsz tryumfalny?
- Mhm.
- I nie będzie to samo, jeżeli zawołamy wiwat, wiwat, hurra, hurra?
- Oczywiście, że nie.
- Dwanaście dźwięków to niewiele - nieoczekiwanie powiedział młody Reidt.
- A dwadzieścia osiem znaków to za dużo - odparł Leo Sessler.
- Zobaczymy co z tą kawą - powiedział Komendant.

O godzinie jedenastej czasu pokładowego wylądowali na tak zwanej Pustyni Puma. Nie było to zupełne pustkowie, lecz rozległa dolina, pokryta trawą w rdzawym kolorze.
- Ponura okolica - stwierdził Leo Sessler.
- Jest godzina dziesiąta minut pięćdziesiąt cztery - odpowiedziano.
Usłyszał też:
- W ogóle nie spałem w nocy.
- A kto spał? - odrzekł ktoś inny. ,
Pustynia Puma rozciągała się, oszukańczo wyschnięta, zaś brzegi jej wznosiły się na kształt ogromnego talerza wypełnionego zupą. Ludzie nakładali, stojąc każdy obok swojej kajuty, białe kombinezony, twarde, połączone w sposób przegubowy rękawice i buty do kostek - kompletne wyposażenie wyjściowe. Leo Sessler nałożył okulary, a na nie następne szkła ochronne przewidziane regulaminem; idiotyczne środki ostrożności. Sayan pogwizdywał.
- Kiedy będziecie gotowi - powiedział Komendant, który zawsze był gotów pierwszy - zbiórka w komorze wyjściowej. - Otworzył drzwi.
- Wolałby pan umrzeć czy oślepnąć, Savan? - zapytał Leo Sessler.
- Proszę? - spytał od drzwi Komendant.
- Te słońca - odparł Leo Sessler.
- Nie ma obawy - odpowiedział Komendant. - Młody Reidt wie co robi.
- Zamknął drzwi.
Młody Reidt poczerwieniał; upuścił rękawice, aby móc schylić sie po nią i ukryć twarz przed innymi.

Theophilus był pewien, że coś wylądowało, a przynajmniej dowiedział się, że dostrzeżono na niebie jakiś obiekt i że obiektów przybywał w ich kierunku. Nadzieje - usuniętą i, jako rodzaj zagrożenia, czym prędzej zapomnianą - już od dawna zastąpiło poczucie zadowolenia z sytuacji Jednakże ciekawość sprawiła, iż zachował kontakt z Mistrzem Astronomem. W ten sposób dowiedział się w którym miejscu wylądował czy też spadł ów obiekt i, jakkolwiek bez entuzjazmu odniósł się do pomysłu podróżowania bez odpoczynku, poprosił o skontaktowanie go z Mistrzem Nawigatorem.
- Uciszcie te muzykę.

Klawikordy umilkły w połowie trzydziestej sonaty.
Wydłużonym galopem wjechał na dziedziniec jeździec. Pan na Vantedour podniósł się z łoża i, zarzuciwszy na ramiona płaszcz, zbliżył się do balkonu. Mężczyzna w dole coś krzyczał i wskazywał ręką na zachód.
- Po śniadaniu - powiedział, Pan na Vantedour.
W komnacie nie było nikogo kto mógłby go usłyszeć, jedynie Bonifacy z Salomei milczeniem wyraził swą aprobatę.

Słodka Twarzyczka lizał wilgotne ściany kołyski. Lesvanoos, nagi, przywiązany do stołu wpatrywał się w kata, a kat czekał.
Odziany w strój z zielonego aksamitu, wspierając się na lasce, ze śpiewem oddalał się od fioletu. W reku trzymał kielich. Słońce polśniewało w szkle i w perłowych guzikach koszuli. Było mu dobrze, a szczęście okazywało się tak łatwe.

Ośmiu z nich zeszło: Komendant, Leo Sessler, inżynier Savan, drugi radiooperator i czterej inni członkowie załogi. Wszyscy posiadali lekką broń, ale jedynym, który czuł swoją śmieszność był Leo Sessler. Savan podniósł głowę, aby popatrzeć na niebo i obcym, wydostającym się spod maski głosem, powiedział:
- Młody Reidt miał racje. Przynajmniej jedno z nich jest nieszkodliwe. Niech pan spojrzy w gore, doktorze.
- Nie, dziękuje. Przypuszczam, że i tak prędzej czy później zrobię to bezwiednie. Słońce zawsze budziło we mnie pewną nieufność. A co dopiero, kiedy mam przed sobą dwa. Zaczęli wspinać się na łagodne zbocze.
- Kiedy wydostaniemy się z tego zagłębienia... - zaczął Komenidant i urwał.
Naprzeciwko ozłoconego horyzontu galopował źrebak, czarny w padających ukośnie promieniach światła. Stanęli w miejscu, nieruchomi, zdumieni; jeden z członków załogi uniósł broń. Leo Sessler dostrzegł to i wykonał przeczący ruch ręką; na oczach wszystkich źrebak galopował skrajem doliny, jakby pozwalając sie podziwiać, kipiący siłą, chłostany chłodem poranka, podniecony strumieniami gorącej krwi w grzbiecie, w pęcinach, w nozdrzach rozszerzonych i kpiących. Zniknął nagle zbiegając na drugą stronę zbocza.
- Ach nie - powiedział inżynier Savan. - Alеż to był koń. Jednocześnie

odezwali się inni.
- Panowie widzieli? - zapytał Komendant.
- Koń - odrzekł jeden z załogi. - Koń, panie Komendancie, ale nie mówiono nam, że napotkamy zwierzęta.
- Wiem! Pomyliliśmy sie- Wylądowaliśmy w innym miejscu.
- Niech pan się zamknie, Savan, i nie opowiada głupstw. Wylądowaliśmy dokładnie tam gdzie powinniśmy.
- „Przemknęły rumaki pędzące w nicość, ziemskich szałwii świeżość czując jeszcze w pyskach". Tylko, że tu nie Ziemia i nie powinno być koni - powiedział Leo Sessler.
Komendant nie kazał mu milczeć. Powiedział:
- Naprzód.

Mistrz Nawigator dał znać, że wszystko zostało przygotowane. Usadowiony naprzeciwko odbiornika, Theophilus słuchał: „Przemknęły rumaki pędzące w nicość, ziemskich szałwii świeżość czując jeszcze w pyskach. Tylko, że tu nie Ziemia i nie powinno być koni".
I następnie inny głos nakazał:
„Naprzód".

Zanim dotarli na brzeg Pustyni Puma, żółte słońce rozgrzało już zewnętrzną warstwę białych kombinezonów, ale oni wewnątrz nie odczuwali tego ciepła.
Zatrzymali się na skraju świata zieleni i błękitu, poplamionego fioletowymi punktami. Byli na Ziemi, o brzasku pierwszego dnia nowej ery z dwoma słońcami, z końmi, z dębowymi i sykomorowymi lasami, polami ziemi uprawnej, słonecznikami i ścieżkami.
Leo Sessler usiadł na ziemi; coś skakało w jego żołądku, coś ścisnęło gardło i podchodziło wyżej. Proteusz, legendy. Opanował sie, zmusił do zachowania spokoju. Doszedł do wniosku, że Savan jest blady, a Komendant zdecydowany pozostać Komendantem. Leo Sessler wiedział, że był to człowiek chory. Pomyślał, że na szczęście młody Reidt pozostał na statku. Komendant rozłożył mapę i zwracając się do wszystkich przedstawił sprawę. W oddali, walcząc z wiatrem, galopował źrebak.

Powiedzcie Mistrzowi Nawigatorowi, że już schodzę - powiedział Theophilus. Słodka Twarzyczka zwinął się, kolana przycisnął do podbródka.
Lesvanoos błagał, aby go wychłostano; kat otrzymał rozkaz; czekać dalej.
Kręcąc laską trzymaną w prawej ręce, lewą podniósł do ust kufel. Whisky lała się po zielonym aksamicie.
- Ilu ich jest? - spytał Pan na Vantedour.
- Ośmiu - odpowiedział wartownik.

Sprawa wygląda następująco - zaczął mówić Komendant dane się nie zgadzają, a wiec gdzieś musi tkwić błąd. Sądzę, że to niemożliwe, abyśmy się pomylili. Błąd z pewnością znajduje się w informacji jaka, została przekazana. Poinformowano nas o ubogim życiu roślinnym, mchach, porostach, nielicznych krzewach, a my napotykamy drzewa...
- Uprawne sady, co gorsza - wtrącił się Leo Sessler.
- ...wysokie trawy, wreszcie florę zdumiewająco bogatą i urozmaiconą. Nie licząc zwierząt. Według wcześniejszych raportów powinniśmy byli ujrzeć tu trochę owadów i jakieś robaki.
- Jest też problem wody - stwierdził Leo Sessler.
- Co?
- Proszę posłuchać.
Z oddali dochodził ryk wodospadu.
- Woda, otóż to, woda - powiedział Komendant - następna rozbieżność.
Savan usiadł na ziemi obok Leo Sesslera. Komendant zakasłał.
- Sądzę - powiedział - że nastąpiło tu zjawisko zakamuflowania opadów, ciągłych z jednej, a okresowych w innej strefie planety. Ale obecnie najistotniejsze jest rozstrzygnięcie, co powinniśmy zrobić. Możemy iść dalej. Możemy również zawrócić i odbyć coś w rodzaju narady, mając przed oczyma poprzednią informacje w celu porównania jej z tym co tu widzimy.
- Kiedyś jednak będziemy musieli pójść dalej - zauważył inżynier Savan.
- Zgoda - rzekł Komendant. - Pomyślałem mniej więcej to samo. Naradę będzie można zrobić w terminie późniejszym, a kontynuowanie marszu da te korzyść, że będziemy dysponować obszerniejszymi danymi. W każdym bądź razie, jeżeli ktoś chce zawrócić - to obejmowało również i załogę, przypuszczalnie z wykluczeniem drugiego radiooperatora - może to zrobić. Ale nikt się nie poruszył.
- Wobec tego ruszamy dalej.
Złożył mapę. Savan i Leo Sessler podnieśli się.
- Trzymajcie broń w pogotowiu, ale niech nikt jej nie użyje bez mojego rozkazu, cokolwiek by ujrzał.
Źrebaki? Kabinę telefoniczną? Pociąg? Piwiarnie? Czy to co oczekiwane: robaki i opady wody, ciągłe i sezonowe.
- Wszystko wydaje się być takie spokojne.
Leo Sesslerowi przyszło na myśl jedno z jego słynnych powiedzeń i zaśmiał się sam do siebie. Pewnego dnia napisze swoje wspomnienia samotnego człowieka i znajdzie się w nich osobny rozdział poświęcony wyłącznie jego słynnym sentencjom, maleńkim enuncjacjom dogmatycznym, które zrodziły się w obliczu zaskakujących sytuacji, których nie rozumieli inni ani on sam. Na przykład, w tym wypadku, to całe piękno, bo wszystko to było matczynym pięknem, nie gwarantowało bynajmniej przyjaznego przyjęcia. Mogły tu istnieć ciche pułapki. Lub potwory. Albo też śmierć mogła tu przybrać formy bardziej przyjemne. Syreny lub trucizny unoszone powietrzem. Czy emanacje, które umacniałyby w człowieku pragnienie śmierci. Co nie wyjaśniało ani źrebaka, ani pól uprawnych.
- To jest droga - powiedział Savan. Ani dróg.
Zatrzymali się przed bitą drogą.
Ani nic tak znajomego jak słoneczniki.
- Drogą - oświadczył Komendant - łatwiej nam będzie iść niż przez pola.
Nawet zawodowy wojskowy mógł posiadać cechy godne podziwu i jest pewne, że cechy te równie dobrze mogły właśnie tworzyć te cześć zespołu skłonności zalet, które skłaniały człowieka do wyboru tej odrażającej profesji. To zdanie, zdecydował Leo Sessler, było zbyt długie, nie mogło tworzyć części rozdziału słynnych sentencji, lecz, powiedzmy, rozdziału zatytułowanego „Refleksje o Zmierzchu". Słońca stały nad ich głowami, buty wzbijały małe wiry kurzu, białego kurzu, który uniósł się przez chwile, zanim miękko opadł na ślady stóp. Komendant powiedział, że przemaszerują jeszcze z godzinę i, jeśli nie napotkają nic nowego, wrócą i zaprogramują na dzień następny badania bardziej szczegółowe. Droga biegła przez dębowy las. Słychać było śpiew ptaków, ale nikt tego nie skomentował; źrebak zreasumował w sobie wszystkie te zwierzęta, które nie powinny były tu istnieć.

- Istotnie, jest to możliwe - powiedział Pan na Vantedour. Jak ich Pan usłyszał.
- Budując odbiornik. Bardzo proste, proszę przypomnieć, abym to panu objaśnił.
- Korzyści bycia znawcą wyższej elektroniki - uśmiechnął sie Pan na Vantedour. - Dlaczego przyszedł pan zobaczyć się właśnie ze mną?
- A oczekiwał pan, że z kim pójdę się zobaczyć? - ze swej strony zapytał Theophilus. - Z Morritzem? Kesterren pozostaje poza zasięgiem. Z Levalem można się zobaczyć kiedy jest Les-Van-Oos, ale obawiam się, że obecnie większość czasu spędza jako Lesvanoos.
- Chciałem przez to, spytać, czy oczekuje pan, że coś zrobimy.
- Nie wiem.
- Ale oczywiście rozumie pan, że możemy zrobić wszystko.
- Mówiąc „wszystko", ma pan na myśli zgładzenie ich - powiedział Theophilus.
- Tak.
- To było pierwsze, co przyszło mi do głowy. Ale...
- Otóż to - przyznał Pannna Vantedour. - Ale...

Droga opuściła dębowy las, a Słodka Twarzyczka domagał sie pieszczot, więcej pieszczot, podczas gdy mężczyzna w stroju z zielonego aksamitu upadł ponownie, kufel stłukł się w kawałki, zaś Pan na Vantedour i Theophilus usiłowali dojść do porozumienia co zrobią z ośmioma ludźmi z Nini Paume Uno.

Leo Sessler jako pierwszy dostrzegł mur strażnicy, ale szedł dalej nic nie mówiąc. Usłyszeli galop, źrebak? Pozostali także ujrzeli jeźdźca wspinającego się po najbliższym zboczu lub być może zdali sobie sprawę z obydwu tych rzeczy jednocześnie, z widniejącego przed nimi muru i z podążającego w ich kierunku jeźdźca. Komendant gestem nakazał opuścić broń. Jeździec powoli się zbliżył.
- Pozdrowienia od Pana na Vantedour, panowie. Oczekuje was na zamku.
Komendant pochylił głowę, jeździec zeskoczył z konia i poszedł na czele grupy, prowadząc konia za cugle. Koń był anglikiem lub przynajmniej miał wygląd anglika czystej krwi, o prostonosym profilu, wysoki w kłębie. Uprząż była wykonana ze skóry zabarwionej na kolor ciemnoniebieski, z wypalonymi na niej złotymi gwiazdami. Munsztuk, łańcuszek, pierścienie, wodze i strzemiona były srebrne. Koń był przykryty czaprakiem tego samego koloru co wodze, ozdobionym gwiazdami na brzegu.
- Equus incredibilis - powiedział Leo Sessler.
- Proszę? - zapytał Savan.
- Lub może Echippus Salariis improbabilis. Savan nie pytał o nic więcej.
Jeździec był mężczyzną młodym i bez wyrazu, ubranym na czarno i niebiesko. Obcisłe spodnie koloru czarnego, koszula błękitna ze złotymi gwiazdami na obrzeżach. Peleryna przykrywała mu głowę i opadała na ramiona.
Komendant polecił drugiemu radiooperatorowi, aby połączył sie z Nini Paume Uno, podając kierunek, w którym się udawali, bez żadnych dodatkowych wyjaśnień i informacji, obiecując, że połączą się ponownie. Mężczyzna pozostał z tyłu.
Przeszli przez obwarowany zębatym murem podjazd nad wyschłą fosą i przez zwodzony most. Znaleźli się na kamiennym podwórcu. Był tam zbiornik na wodę, ludzie odziani podobnie jak ich przewodnik, rozlegało się szczekanie psów, unosił sie zapach zwierząt, palącego się drewna, skór i ciepłego chleba. Otoczeni przez zębate wieże z flankami i strzelnice, prowadzeni przez Komendanta, dla którego cały ten przemarsz musiał być męką, pozwolili wieść się do Bramy Tryumfalnej. Zanu-

rzeni do połowy w głębokim cieniu wejścia, który pozwalał jedynie dojrzeć nogi oblane kałużą światła, jakie słońce nakreśliło na posadzce z kamiennych płyt, oczekiwali ich dwaj mężczyźni. Przewodnik oddalił się, a Komendant powiedział:
- Tardon!
- Pan na Vantedour, drogi Komendancie, Pan na Vantedour. Proszę wejść, chce panów przedstawić Theophilusowi.
Ośmiu mężczyzn wkroczyło do salonu.

Na wyspie Mistrz Astronom komponował swoje dziewiętnaste wspomnienia, obecnie na temat Konstelacji Łoża Afrodyty. Szef ogrodników pochylił się nad nową odmianą róży o barwie zmatowiałej ochry. Severius czytał Doktrynę Platoniczną o Prawdzie. Peonia studiowała swoją nową fryzurę. W kuchniach przyrządzano mrożonego ibisa, którego wydrążony żołądek miał zawierać lody, stanowiące deser wieczornego posiłku. Lesvanoos ejakulował na chropowatą posadzkę izby. Słaby i obolały, z oczami pełnymi łez, wyschłymi wargami i płonącym gardłem, podniósł prawą dłoń i wskazał drzwi. Kat głośno krzyknął i Zwycięzca wszedł trzymając rozwiniętą płachtę, którą narzucił na Lesvanoosa. Owinąwszy go, wziął w ramiona i wyniósł. Mężczyzna w stroju z zielonego aksamitu spał pod drzewami. Siedem psów wyło do pięciu księżyców. Słodka Twarzyczka obudził się i Matrony przemawiały do niego łagodnie, gruchając i imitując gaworzenie dziecka.

- Ufam - powiedział Pan na Vantedour - że pewne wyjaśnienia sprawią, iż lepiej się zrozumiemy. Siedzieli wokół stołu w Dużej Sali. Na kominkach płonęły drwa, wesołki i trubadurzy oczekiwali ukryci w zakamarkach komnaty. Służący wnieśli wino i pieczone mięso. Damy zostały wykluczone z towarzystwa. Było ośmiu mężczyzn z Ziemi, Pan na Vantedour i Theophilus. Bonifacy z Salomei zwinął się na kolanach Leo Sesslera i swymi bursztynowymi oczami wpatrywał się w niego uważnie. Tuk-o-Tut z rękoma skrzyżowanymi na piersiach sprawował warte w drzwiach wejściowych do Sali Zbrojnej.
- Proszę sobie wyobrazić Luz Dormida Tres, spadający w kierunku tej planety z szybkością znacznie większą od przewidywanej.
- Rozbijemy sie!
Moritz wymiotuje, Leval nieruchomy jak z kamienia. Komendantowi Tardon udaje się zahamować - niedużo, nie tyle ile byłoby konieczne - samobójczy pęd Luz Dormida Tres, który na koniec wypręża się nad nieznaną planetą, wprawiając w wibracje ich kości. Ale powierzchnia Salari II jest gliniasta, wyschnięta i słaba, pod wpływem ciężaru osuwa się, statek przechyla się i przewraca.
- Ranni - kontynuuje Pan na Vantedour - długo pozostawaliśmy bez przytomności.
Biały świt; światło słońca dostaje się przez dziury w kadłubie.
- Wyszliśmy tak jak zdołaliśmy. Kesterren wyglądał najgorzej, wyciągnęliśmy go. Luz Dormida Tres leżał na równinie. Świat jest zimnym odłamkiem miedzi pod dwoma słońcami. Kesterren się skarży. Podczas gdy Leval z nim zostaje, dostaje się na Luz Dormida Tres z Sildorem, w poszukiwaniu wody i surowicy. Mam poparzone dłonie, Sildor jest ranny w twarz i ciągnie jedną nogą. Na zewnątrz zaczął wiać wiatr i zrobiło się strasznie.
- Żyliśmy miedzy pustkowiem a Luz Dormida Tres, utrzymując sie przy życiu minimalnymi racjami żywności przez wiele dni, nie umiem powiedzieć, ile. Wszystkie instrumenty uległy zniszczeniu, a zapasy wody wkrótce miały się wyczerpać. Kesterren w końcu zaczął reagować, ale nie mogliśmy go poruszyć, stopa Sildora stała się olbrzymia i sztywna, moje ręce były obnażone do żywego mięsa. Moritz spędzał całe dnie siedząc z twarzą na kolanach i ramionami splecionymi wokół nóg, czasem szlochał bez wstydu.
Leo Sesslerowi wydało się (Bonifacy z Salomei drzemał na jego kolanach), że wstyd jest kwiatem, który bardzo łatwo może przekwitnąć w opustoszałym świecie, w którym brak wody, żywności i lekarstw, w świecie z dwoma słońcami i pięciu księżycami, do którego człowiek przybywa po raz pierwszy z misją prekolonizacyjną, na krótki wypad* zwiadowczy i w którym widzi się zmuszonym przeciwstawiać swoim ostatnim, nielicznym chwilom.
- Zdecydowałem się wówczas zabić ich. Rozumiecie panowie? powiedział Pan na Yantedour.- Wejść na Luz Dormida Tres,
wystrzelać ich stamtąd i zabić siebie samego. Nie mogliśmy wyjść w poszukiwaniu wody. A nawet gdybyśmy ją byli znaleźli - zrobił pauzę, okazując jawną wzgardę opadom ciągłym i sezonowym, i niemożliwym - nasze szanse przeżycia były tak niewielkie, że nieomal nie istniejące. Pewnego dnia wylądowałaby tu inna ekspedycja, wy, i znaleźlibyście resztki statku oraz pięć szkieletów z dziurkami po kuli w głowie. - Uśmiechnął się - w dalszym ciągu mam celne oko.
- Komendancie Tardon - zaczął Savan.
- Panie na Vantedour, bardzo proszę, lub po prostu: Vantedour.
- Ale pan jest Komendantem Tardon.
- Już nie.
Komendant Nini Paume Uno poruszył się w swoim fotelu i powiedział, że on jest tego samego zdania co Savan, Tardon nie mógł przestać być tym kim był, kim był w rzeczywistości. Pytanie Savana nie zostało sformułowane; zapobiegła temu delikatna interwencja Theophilusa.
- Proszę opowiedzieć jak odkryliśmy fiolet, Vantedour.
- Proszę nam powiedzieć, skąd się to wszystko wzięło - rzekł Komendant, wskazując gestem Wielką Sale, Trubadurów, kamienne kominki, Paradne Schody, Tuk-o-Tuta wspartego o drzwi Zbrojnej Sali, ozdobionego naszyjnikami, z bułatem u pasa i ciżmami na nogach; kobiece główki przystrojone wysokimi, białymi kapelusikami, wychylające się z krużganków.
- To jest to samo - odpowiedział Pan na Vantedour.
- Niech pan im powie, że jesteśmy bogami - wysunął sugestie Theophilus.
- Jesteśmy bogami.
- Ależ proszę!
Wędrówka dookoła rozbitego statku w oczekiwaniu, że w ten sposób skróci się dzień. Sildor kulejąc wychodzi mi naprzeciw i spacerujemy obaj, zataczając powoli koła. Unikamy stąpnięcia na dwie duże plamy fioletowego światła, tak jak to czyniliśmy od początku. Mają nieregularne brzegi i wydają się pulsować, poruszać, być może są żywe, a być może są śmiercionośne. Nieodczuwalny ciekawości, ponieważ znamy już jedną odpowiedź.
- Nie chce jeść.
- Zamknij się Sildor. Są zapasy.
- Kłamstwo.
Myślę, że go uderzę, ale on się śmieje. Daje dwa kroki w jego kierunku; cofa się nie patrząc gdzie stąpa.
- Nie chciałem pana obrazić - mówi. - Chciałem tylko wytłumaczyć, że nie mam ochoty jeść, ale dałbym wszystko za papierosa.
- Skąd pan wziął tego papierosa? - krzyczę.
Sildor spogląda na mnie z lekiem, następnie odzyskuje spokój.
- Niech pan posłucha, Komendancie Tardon, nie mam papierosów. Jedynie powiedziałem, że mam chęć na papierosa. Rzucam się na niego jakbym zamierzał z nim walczyć, chwytam jego dłoń, podnoszę do oczu.
W ręce trzyma dwa papierosy.
- Jedyne rozsądne wytłumaczenie - kontynuuje Pan na Vantedour - to, że obydwaj byliśmy szaleni.
Świat wali się na mnie, miękki i lepki. Ułożony na łożu Afrodyty, przygnieciony wiekiem trumny, z oddali słyszę głosy Sildora i Levala. Wołają mnie, mają megafon, wiem, że za sobą zostawiliśmy wszelkie granice, dzwoni mi w uszach i śnie o wodzie. Uderzają mnie po twarzy i pomagają usiąść. Kesterren pyta co sie dzieje. Chce przekonać się, że papierosy istnieją rzeczywiście. Dotykamy ich i wąchamy. W końcu wypalamy we trzech jednego i jest to papieros. Decydujemy się na jedną chwile uznać, że nie oszaleliśmy i zrobić próbę.
- Chce papierosa - mówi Leval i patrzy na swoje ręce, które pozostają puste.
Powtarza to nie patrząc na dłonie. Naśladujemy słowa, gesty i wyrażenia, które mieliśmy w momencie, kiedy zaistniał pierwszy papieros. Sildor staje naprzeciw mnie i mówi: „Nie chciałem pana obrazie. Zamierzałem wyjaśnić, że nie chce jeść, ale dałbym wszystko za jednego papierosa". Nic się nie dzieje. Śmieje się po raz pierwszy od chwili, kiedy Luz Dormida Tres, już w obrębie atmosfery, rozpoczęła lot ze zbytnim przyspieszeniem.
- Chce - mowie - lodówkę z żywnością na dziesięć dni. I letni domek na brzegu jeziora. Płaszcz z futrzanym kołnierzem. Samochód marki De Luxe. Syjamskiego kota. Pięć trąbek.
Leval i Sildor również się śmieją, ale jest jeden papieros. Spaliśmy źle, jest chłodniej niż w poprzednie noce i o ile Moritz już się prawie nie odzywa i nie porusza, o tyle Kesterren nie przestaje się skarżyć.
Ale następnego poranka, przed porą wyznaczoną na śniadanie, jeżeli to co jedliśmy można było nazwać śniadaniem, wstałem zanim jeszcze inni się obudzili, i zaintrygowany tym co zaszło poprzedniej nocy, poszedłem do Luz Dormida Tres w poszukiwaniu broni. Kiedy spojrzałem w dół na namiot i niezmierzony, bury świat, który zaczynał się rozjaśniać oświetlony promieniami dwu słone, na fioletowe plamy, które wydawały się być wodą lub źródłami - pomyślałem, że szkoda iż tak się stało. Nie czułem leku, nie bałem się śmierci, ponieważ nie myślałem o śmierci. Po pierwszym ataku leku przeżytym w dzieciństwie odgadłem, że te i rzeczy trzeba zaakceptować takie jakimi są, bo w przeciwnym razie nas pokonają. Ale przypomniałem sobie o papierosie i zszedłem. Wypaliłem go, skostniały z zimna jakim przenikał poranny wiatr. Dym miał odcień błękitnofioletowy, prawie taki jak plamy na powierzchni Salari II. Ponieważ tego dnia miałem umrzeć, poszedłem w kierunku jednej z nich, stanąłem na niej i przekonałem się, że nie odczuwam nic specjalnego. Powiedziałem, że chce mieć elektryczną maszynkę do golenia i rzeczywiście zapragnąłem jej ze wszystkich sił, poczułem się nie jakby mnie golono tą maszynką, ale jakbym sam stał się elektryczną maszynką do golenia. Sparzyłem sobie palce papierosem, i ból oparzeliny na dłoniach już popalonych sprawił, że krzyknąłem. W ręce trzymałem elektryczną maszynkę do golenia. Obok kominka karty grały w kości. Linoskoczki i trubadurzy im kibicowali. Jeden z akrobatów wygiął się niczym łuk ponad głowami grających: płomienie strzelające z polan oświetliły jego twarz. Służący spoglądali nań i śmiali się.
- Jak śmierć - mówił dalej Pan na Vantedour - to było coś, co trzeba było zaakceptować. I nawet gdybyśmy byli szaleni, to mogliśmy zapalić nasze szaleństwo, ogolić się naszym szaleństwem, napełnić żołądek naszym szaleństwem. Pogodzenie się z tym było nie tylko dogodne, ale

wręcz nieuniknione. Obudziłem Sildora i stanęliśmy nad jedną z fioletowych plam. Poprosiliśmy o rzekę słodkiej i czystej wody, z rybkami i piaszczystym dnem, w odległości dziesięciu metrów od miejsca, w którym się znajdowaliśmy... i otrzymaliśmy ją. Poprosiliśmy o drzewa, dom, jedzenie, samochód marki De Luxe i pięć trąbek.

Ośmiu mężczyzn spędziło cały dzień i pozostało na noc w zamku Pana na Vantedour. Theophilus powrócił na wyspę. Bonifacy z Salomei i Tuk-o-Tut znikli w ślad za Panem. Tej nocy młody Reidt miał koszmary senne. Trzej pielęgniarze w fartuchach splamionych krwią popychali na szczyt góry wózek na kółkach, w którym siedział. Po dotarciu na szczyt puszczali wózek i zostawiali go samego, zbiegając szybko tą samą drogą, którą weszli; nadmuchiwali balony, balony wypełniały się powietrzem i unosiły ich w górę. On pozostawał w swoim fotelu na skraju bezdennej przepaści. W stromym zboczu były wykopane stopnie. Podnosił się z fotela i usiłował zejść czepiając się każdej nierówności. Krzyczał, bo wiedział, że kiedy opuści stopę nie napotka



następnego stopnia, że rzuci się w dół, próbując nogą czy nie znajdzie następnego otworu, rozewrze dłonie i spadnie. Tej nocy pierwszy radiooperator odnotował raport podpisany przez Komendanta, w którym informowano o znalezieniu odpowiedniego miejsca na założenie obozu i spędzenie noclegu. Tej nocy Les-Van-Oos zbrojny jedynie we włócznie zabił trzy węże morskie i tłum okrzyknął go bohaterem. Słodka Twarzyczka zamknąwszy oczy wewnątrz macicy-kołyski wsunął rękę miedzy nogi, a Matrony dyskretnie się oddaliły. Pod bladnącymi gwiazdami serce mężczyzny w stroju z zielonego aksamitu galopowało i waliło w swojej klatce.
Tej nocy Leo Sessler podniósł się z łóżka, i przy towarzyszącym mu szumie wodospadu i świetle pochodni, przebiegł korytarze i wspiął się schodami aż do miejsca, gdzie wsparty o drzwi wejściowe drzemał Tuk-o-Tut.
- Chce widzieć się z twoim panem - powiedział Leo Sessler trącając go nogą.
Czarny podniósł się błyskając zębami, z dłonią na rękojeści bułata.
- Chce się widzieć z Panem na Vantedour. Czarny uczynił przeczący ruch głową.
- Tardon! - zawołał Leo Sessler. - Komendancie Tardon! Proszę wyjść! Chce z panem mówić!
Czarny wydobył szable z pochwy; drzwi otworzyły się do środka.
- Nie, Tuk-o-Tut - powiedział Pan na Vantedour - Doktor Sessler może tu wejść ilekroć zechce.
Czarny uśmiechnął się.
- Proszę wejść, doktorze.
- Musze prosić o wybaczenie za wtargniecie o porze tak niefortunnej.
- Ależ skąd. Rozkaże, aby przyniesiono nam kawę. Lep Sessler roześmiał się.
- Podobają mi się takie sprzeczności: średniowieczny zamek, w którym brak elektrycznego światła, ale w którym można napić sie kawy.
- Czemu nie? Światło elektryczne mnie drażni, natomiast lubię kawę. - Podszedł do drzwi, powiedział coś do Tuk-o-Tuta i usiadł naprzeciwko Sesslera. - Posiadam także wodę bieżącą, jak pan zapewne zauważył, ale nie mam telefonu.
- A pozostali? Mają telefon?
- Theophilus tak, aby porozumiewać się z Levalem, kiedy Leval jest w stanie porozumiewać się z kimkolwiek. Kesterren prawie nigdy nie jest w stanie, a Moritz definitywnie nigdy.
Była to ogromna komnata, a dwaj mężczyźni siedzieli w centrum. Łóżko, umieszczone na podstawie z rzeźbionego drewna, zajmowało całą północną ścianę. Ściana zachodnia nie istniała: trzy arkady wsparte na kolumnach wychodziły na galerie z krużgankami ponad dziedzińcem. Widać stąd było także pola i lasy. Stropy znajdowały się zbyt wysoko, na podłodze rozłożono skóry, a ściany obwieszono gobelinami. Nie dochodził tu żaden dźwięk, nic, poza potężnym hukiem wodospadu, którego Sessler jeszcze nie widział, ale który nawet z odległości wydawał się być gigantyczny.
- Co zrobimy, Vantedour?
- Już po raz drugi w dzisiejszym dniu zostaje mi zadane to pytanie. I przyznam się panu szczerze, że nie widzę powodu, dlaczego ja miałbym być tym, który zadecyduje. Theophilus zadał mi to samo pytanie, kiedy dowiedzieliśmy się o waszym przybyciu, on dzięki środkom o wiele doskonalszym i powiedzmy, nierównie nowocześniejszym, niż ja. Wówczas chodziło o podjecie decyzji co zrobimy z wami. Wydaje mi się, że obecnie chodzi o to, co zrobimy z nami.
- Odniósłbym to raczej do wszystkich, do was, i do nas - zauważył Leo Sessler. -Jednak przyznaje, że jestem nieufny, jeśli chodzi o mnie samego i motywy mojego postępowania. Podejrzewam, że - niezależnie od wagi problemu - nie są one niczym innym jak zręcznym manewrem, aby skłonić pana do udzielenia mi pewnych wyjaśnień.
Pan na Vantedour uśmiechnął się.
- Nie zadowala pana to, co powiedziałem podczas wieczerzy? Do komnaty bez pukania wszedł Tuk-o-Tut. Za nim podążał służący z kawą.
- Cukier? Może troszkę śmietanki?
- Nie, dziękuje. Pije właśnie taką, czarną, bez odrobiny cukru.
- Ja przeciwnie. Widzi pan, lubię smak słodyczy. Utyłem. Gimnastykuje się, jeżdżę konno, urządzam polowania, jednakże rozkosze podniebienia robią swoje spustoszenia.
Podniósł do ust filiżankę i wypił łyk słodkiej kawy.
Tuk-o-Tut i służący wyszli. Bonifacy z Salomei przyglądał się im usadowiony na łóżku i otoczony swoim ogonem.
- Nie chce słuchać dykteryjek, Vantedour. Interesuje mnie pana zdanie odnośnie tego zjawiska... Nie wiem jak je określić i to mi przeszkadza. Przywykłem do tego, że wszystko ma swoją nazwę, swoje określenie, nawet to maniackie poszukiwanie właściwej nazwy. A mimo to jestem człowiekiem, który nienawidzi słów.
- Rozumiem, że potrzebuje pan nazw, aby określić rzeczy. Czyż jest pan tym, kogo nazywają człowiekiem wiedzy?
- Mhm, Wyśmienita kawa.
- Z naszych plantacji. Koniecznie musi je pan zwiedzić.
- Chętnie. Załóżmy, że jestem człowiekiem wiedzy. Ze sprzecznościami tego sformułowania, oczywiście. Chce przez to powiedzieć, że mógłbym być „Doktorem akupunktury i górnikiem w kopalni soli, mytnikiem czy kowalem”.
- Dziś mówił pan o rumakach pędzących w nicość.
- Skąd pan to wie?
- Theophilus wymyślił aparat, dosyć skomplikowany, jak sądzę, za pomocą którego mógł was słyszeć od momentu lądowania.
- To nas kieruje w stronę mojego pierwszego pytania: co pan sądzi o zjawisku otrzymywania rzeczy z niczego.
- Nic nie sądzę. Ale mam na to nieskończoną liczbę odpowiedzi odrzekł Pan na Vantedour. - Mogę panu powtórzyć, że jesteśmy bogami lub że przekształcono nas w bogów. Również mogę powiedzieć, że jest to coś niezwykle użytecznego i gdyby istniało na wszystkich planetach, moglibyśmy wyeliminować wiele problemów zbytecznych, religie, doktryny filozoficzne, przesądy i tak dalej. Zdaje pan sobie z tego sprawę? Nie byłoby pytań na temat człowieka. Niech pan da komuś aparat wszechmocy, a otrzyma pan wszystkie odpowiedzi, proszę mi wierzyć. Lub niech pan nie wierzy, nie musi mi pan wierzyć; niech pan poczeka i zobaczy co fiolet zrobił z Kesterrenem, z Moritzem, z Levalem, czy też, co oni sami zrobili ze sobą przy pomocy fioletu. - Odstawił filiżankę na stół. - Theophilus i ja jesteśmy najlżejszymi przypadkami, przynajmniej pozostaliśmy ludźmi.
- A czy wy obydwaj nie moglibyście czegoś za nich zrobić?



- Nie istnieje żaden powód, dla którego mielibyśmy coś robić za nich. Najstraszniejsze jest to, że oni, my również, ale to już odrębna sprawa, najgorsze jest to, że oni ostatecznie są szczęśliwi. Rozumie pan, co chcą przez to powiedzieć, Sessler?
- Nie, ale mogę się domyślić.
- Fakt, że osiągnęliśmy szczęście, w pewnym sensie stawia kropkę nad „i". Z łatwością mogę również odpowiedzieć na pana pytanie, co zrobimy z wami. Theophilus może nakreślić dowolną rzecz, aparat, truciznę, broń, która sprawi, że zapomnicie o wszystkim, a nawet uwierzycie, że sami stwierdziliście brak śladów życia na Salari II, że nastąpił tu wybuch, który nas zabił w momencie wypełniania naszej misji badawczej, albo też, że planeta ta stała się niebezpieczna dla człowieka, czy cokolwiek innego.
- My także moglibyśmy użyć fioletu.
- Musze pana rozczarować; Sessler, ale nie. Nie możecie. My odkryliśmy sposób, ponieważ byliśmy zdesperowani. Wy nie jesteście i zajmiemy się tym, abyście nie byli podczas całego swego pobytu na Salari II. Mówię o tym panu, aby uniknąć bezużytecznych prób; nie wystarczy stanąć na fioletowej plamie i powiedzieć „chce klejnotów koronnych", ażeby je otrzymać.
- Bardzo dobrze, wy znacie sekret i nie zamierzacie go nam wyjawić. Proszę nie sądzić, że tego nie rozumiem. Ale co to są... lub co to jest w tych fioletowych plamach?
- Nie wiem. Nie wiem, co to jest. Na początku robiliśmy pewne eksperymenty. Kopaliśmy, na przykład, i fiolet rozciągał się nadal w dół, ale nie jako właściwy tej glebie składnik, tylko jako refleks. Ale kiedy stojąc tam szuka się źródła tego refleksu w górze czy po bokach, to nie znajduje się nic. Są ciągle, zawsze trochę pulsujące, również nocą, czy na śniegu kiedy pada. Nie wiem czy są. Mogą przypuszczać wiele rzeczy. Że bóg przestał istnieć rozpadając się na drobne kawałki i odłamki jego upadły na Salari II. To dobre wytłumaczenie, tylko że mnie osobiście nie odpowiada. Że na każdej planecie znajdują się miejsca, w których można pod pewnymi warunkami, nie zapomnijmy o tym, otrzymać wszystko, ale na Salari II są one bardziej widoczne. Według tej teorii znajdują się one także i na Ziemi, ale nikt ich nie odkrył, lub prawie nikt, i tak mogłyby znaleźć swoje wytłumaczenie niektóre legendy. Że te fioletowe rzeczy są żywe i bogami są one, a nie my. Ze to wszystko jest złudzeniem - uderzył stopą w podłogę - i ze na Salari II człowiek podlega zmianie, cierpi na rodzaj delirium, które pozwala mu widzieć i odczuwać, że wszystkie jego pragnienia się spełniły. Że to jest piekło, a fiolet jest naszą karą. I tak w nieskończoność. Proszą wybrać, która z tych teorii najbardziej panu odpowiada.
- Dziękuje, ale żadna mnie nie przekonuje.
- Zgoda, mnie również. Ale ja nie zadaje sobie pytań. A jak pan sądzi, Sessler, jakiego pokroju człowiekiem jest pan?
- Słucham?
- Tak, jaki pan jest? Jutro lub pojutrze ujrzy pan jak żyją pozostali, reszta załogi Luz Dormida Tres. Co pan by zrobił będąc na ich miejscu? Jak by pan żył?
- O, Vantedour, to niesprawiedliwe.
- Dlaczego? Zobaczył już pan jak ja żyje, poznał to czego pragnąłem, o co prosiłem.
- Tak. Jest pan despotą, człowiekiem, który nie czuje się zadowolony, jeśli nie znajduje się na szczycie piramidy.
- Ależ nie, doktorze Sessler, nie. Nie jestem panem feudalnym, jestem człowiekiem, który zamieszkuje w feudalnym zamku. Nie posyłam nikogo na tortury, nie konfiskuje dóbr, nie ścinam głów, nie postarałem się o wielmożów rywali, ani o króla, któremu mógłbym odbierać władzą. Nie posiadam oddziałów zbrojnych ani feudalnego dominium; zamek to wszystko.
- A mieszkańcy zamku?
- Także powstali z fioletu, oczywiście, i są tak autentyczni jak tamten papieros i tamta maszynka. I powiem panu coś więcej: są szczęśliwi i czują do mnie sympatie, sympatie, nie uwielbienie, bo ja ich począłem w ten sposób. Starzeją się, chorują, skarżą jeśli upadną, umierają. Ale są szczęśliwi i kochają mnie.
- Kobiety też?
Pan na Vantedour wstał bez słowa.
- A wiec, kobiety nie?
- Nie ma kobiet, Sessler. Z powodu warunków, powiedzmy tak szczególnych, pod którymi można otrzymać coś od fioletu, żaden z nas nie mógł otrzymać kobiety.
- Ależ ja je widziałem.
- To nie były kobiety. A teraz, jeśli pan Wybaczy i mam nadzieją, że nie uzna mnie za pozbawionego względów amfitriona, nadeszła już chyba pora, abyśmy udali się na spoczynek. Jutro czeka nas wiele pracy.
Była godzina trzecia nad ranem, kiedy doktor Sessler wyszedł na zamkowy podwórzec, przeszedł przez księżyce, szukając na ziemi fioletowej plamy. Z krużganków galerii Pan na Vantedour patrzył za nim.

Odnaleźliśmy załogę statku Luz Dormida Tres - obwieścił Komendant.
- Jak zginęli? - zapytał młody Reidt.
- Nie zginali - odparł Leo Sessler. - Żyją, są zdrowi i zadowoleni.
- W jaki sposób zabierzemy ich ze sobą, proszę pana? - spytał oficer nawigator. - Pięć osób to zbyt duże obciążenie dodatkowe.
- Nie wydaje mi się, aby chcieli wrócić - stwierdził Leo Sessler.
- Są właścicielami i władcami na Salari II - nieomal krzyknął Savan.
- Każdy z nich ma do swego użytku cały kontynent, a czegokolwiek zapragną, mogą to otrzymać z tych fioletowych plam.
- Jakich fioletowych plam?
- Powoli - powiedział Komendant. - Proszę zebrać załogę.

Piętnastu mężczyzn wsiadło do pojazdu Theophilusa, kierowanego przez Mistrza Nawigatora. Pojazd ślizgał się po powierzchni Salari II.
- Może wolą panowie lecieć?
- Nie - powiedział Theophilus. - Jedźmy tak. Tak niewiele wiecie o Salari H
- Tu żyje Kesterren.
- Gdzie?
- Gdzieś w pobliżu. Nigdy się zbytnio nie oddala.
Wędrowali przez pola, próbując szczęścia z fioletowymi plamami.
- Tutaj leży jakiś włóczęga - zawoła! jeden z członków załogi. Pan na Vantedour schylił się nad człowiekiem odzianym w szmaty zielonej barwy. Był bosy, a w ręce trzymał laskę.



- A jeśli nas zaatakuje? - zapytał jeden z mężczyzn, z ręką na kolbie pistoletu.
- Każcie mu to zostawić w spokoju - zwrócił się Theophilus do Komendanta.
- Kesterren!
Pan na Vantedour potrząsnął nim. Mężczyzna w łachmanach otworzył oczy.
- Nie możemy już mówić - powiedział.
- Kesterren! Niech się pan obudzi, mamy gości.
- Gości z niebios - zabełkotał mężczyzna. - Kim są teraz ludzie z nieba?
- Kesterren! Z Ziemi przybyła następna ekspedycja.
- Bądźcie przeklęci - ponownie zamknął oczy. - Powiedzcie im, żeby się wynosili, przeklęci, i wynoście się razem z nimi.
- Słuchaj Kesterren, oni chcą z panem mówić.
- Wynoście się.
- Chcą panu opowiedzieć o Ziemi i chcą posłuchać tego co im pan powie o Salari II.
- Wynoście się.
Odwrócił .sie i wyciągniętymi ramionami zakrył twarz. Ziemia i suche liście sypały się ze strzępów ubrania z zielonego aksamitu.
- Chodźmy - powiedział Pan na Vantedour.
- Ależ, Tardon, nie możemy zostawić go w takim stanie, jest zbyt pijany, coś może mu się stać - zaprotestował Komendant.
- Proszę się nie obawiać.
- Opuszczony tutaj, umrze.
- Wątpliwe - stwierdził Theophilus.

Pojazd zahamował przed szarą fasadą szarego domu w skale. Drzwi otworzyły się zanim w nie zastukali i pozostały otwarte dopóki nie wszedł ostatni człowiek. Potem zamknęły się. Powędrowali ciemnym korytarzem, pustym i długim, do innych drzwi. Theophilus otworzył je. Za drzwiami znajdowała się mała salka pozbawiona okien, oświetlona zwisającymi z sufitu lampami. Dwie bardzo młode kobiety siedząc na dywanie grały w karty. Pan na Vantedour zbliżył się do nich.
- Witajcie - powiedział.
- Ona mnie oszukuje - oświadczyła jedna z kobiet, spoglądając na niego.
- To niedobrze - stwierdził Pan na Vantedour.
- Nieprawdaż? Ale ja i tak ją kocham. Wszystko jej mogę wybaczyć.
- Ach - powiedział. - Gdzie możemy znaleźć Les-Van-Oosa?
- Nie wiem.
- Tam gdzieś jest uczta - poinformowała druga.
- W złotej sali - dodała pierwsza.
- Gdzie to jest?
- Nie zechce pan chyba, żebym ją zostawiła samą, prawda? Nie mogę iść z wami. - Pomyślała chwilkę. - Wyjdźcie tymi drzwiami, nie, tamtymi, a kiedy napotkacie Łowców, zapytajcie ich. Zajęły się znowu kartami.
- Oszustka - usłyszał Leo Sessler zanim wyszedł.
Następny korytarz podobny do poprzedniego i korytarze podobne do tego i do poprzednich tworzyły prostokąty. Dotarli wreszcie do okrągłej sali ze stropem wykonanym ze szklanych tafli, przez które sączyło się światło. Grupa mężczyzn, jedząc, siedziała za stołem.
- Czy jesteście Łowcami?
- Nie.
- Jesteśmy Gladiatorami - odpowiedział jeden.
- Gdzie jest Les-Van-Oos?
- W złotej sali.
Mężczyzna podniósł się, ocierając ręce w opaskę na biodrach.
- Chodźcie.
Przemaszerowali korytarze wiodące do złotej sali.
Rozwalony na Tronie Zwycięstwa Heros miał na głowie wieniec laurowy i absolutnie nic więcej. Na widok wchodzących spróbował dźwignąć się na nogi.
- Ach, przyjaciele, moi drodzy przyjaciele!
- Posłuchaj, Les-Van-Oos! - zawołał Pan na Vantedour, otwierając szeroko ramiona.
Muzyka, krzyki, hałas, zagłuszyły wszystko co mówił.
- Wina! Więcej wina dla moich gości!
Pan na Vantedour i Theophilus zbliżyli się do Tronu. Leo Sessler przyglądał się jak rozmawiali i widział jak śmiał się Heros, uderzając otwartą dłonią o poręcze Tronu. Tron był inkrustowany szlachetnymi kamieniami, zaś poręcze, nogi i oparcie, wykończono Gorgonami z kości słoniowej z oczami z klejnotów.
- Wspaniale, wspaniale - wył Heros. - Sprowadzimy tancerki, zorganizujemy turnieje! Niech podadzą więcej wina! Słuchajcie, słuchajcie! Pozdrówcie moich gości, okażcie im swoje umiejętności! Przybywają z nędznego świata, w którym nie ma bohaterów, nie ma bohaterów poza tymi, którzy zostali w legendach i stanach wyższych!
Podniósł się i chwiejnie, nieomal padając, podążył w kierunku środka sali, mając za sobą Theophilusa i Pana na Vantedour. Hałas częściowo się uspokoił, przestały powiewać suknie, przycichła muzyka.
- Przybywają ze świata, w którym ludzie oglądają telewizje, jedzą na plastykowych obrusach, a sztuczne kwiaty wkładają do wazonów z ceramiki; gdzie wypłaca się zasiłek rodzinny, ubezpieczenie na życie, podatki od kloak; gdzie są pracownicy banku, sierżanci policji i grabarze. Nalejcie im wina! - Każdy z mężczyzn musiał przyjąć kielich wypełniony aż po brzegi. - Więcej wina!
- Dzbany pochyliły się nad kielichami, kielichy się przepełniły. Piętnastu mężczyzn z Ziemi stało w milczeniu, podczas gdy wino lało im się na buty i spływało po posadzce.
- Starczy, durnie, poczekajcie aż wypiją!
Nagi i ukoronowany laurem, z ciałem pokrytym bliznami i strupami, Les-Van-Oos pozdrawiał ich.
- Widziałem ziemie rozdartą na kawałki, bezpłodną pod ciężarem genealogii - recytował - zjeżdżałem do kopalń, produkowałem noże, poznałem smak soli rozpuszczonej w moich ustach, śniłem sny rozwiązłe, otwierałem drzwi sfałszowanymi kluczami. Dajcie wina bezbarwnym ludziom z Ziemi, nieroby! Nie widzicie, że ich kielichy są puste?
Kielichy piętnastu mężczyzn pozostały pełne. Leo Sesslerowi przyszło do głowy, że chętnie by zabrał Les-Van-Oosa, tak jak stał
- sprośnego i pijanego - w jakieś miejsce, w którym mógłby go zmusić, aby mówił dalej, ale tutaj, na tej szalonej uczcie, z kompletną załogą z Nini Paume Uno za plecami, to czego pragnął najbardziej, to bić go, dopóki by nie upadł bez przytomności na marmurową posadzkę. Les-Van-Oos był wrakiem. Słaby i pokancerowany, zaśliniony i nagi megaloman. Gdyby go zaczął bić, gdyby go zaatakował, goście mogli się na niego rzucić i rozszarpać na strzępy. Lub być może nie. Możliwe, że by go posadzili na Tronie Zwycięstwa, nagiego. Przez ten czas Les-Van-Oos widział wiele, dokonał niezwykłych czynów i przechodził samego siebie.
- Widziałem tajne obrzędy i wielkie oszustwa, widziałem jak emigrowały całe narody, widziałem cyklony i jaskinie, i baranki z trzema głowami, i lombardy. Widziałem grzech, oglądałem grzeszników i uczyłem się od nich. Widziałem ludzi jedzących innych ludzi i oglądałem ucieczki. Ja galernik!
Wszystko zakończyło się czkawką i łkaniem. Wzięli go na ręce i zanieśli na Tron, na który opadł bezsilny i zdyszany.,
- Zostawcie te kielichy i chodźmy - powiedział Pan na Vantedour.
Leo Sessler postawił swój na posadzce w kałuży wina, w którejstał.
Les-Van-Oos krzycząc błagał, żeby mu zdjęto wieniec laurowy,
gdyż go pali, pali mu czoło.
Gladiatorzy zdjęli i poszli sobie, zostawiwszy brudne naczynia i wywrócone krzesła. Kobiety dalej grały w karty.

Zapadł już zmierzch kiedy dotarli do Vantedour. - Chciałbym zobaczyć kiedyś ten wodospad - powiedział Leo Sessler. Pan na Vantedour stał obok niego.
- Kiedy tylko pan zechce, doktorze Sessler. To trochę daleko, ale możemy tam pójść w każdej chwili. Powinien pan także obejrzeć plantacje kawy. I szklarnie Theophilusa.
- Dlaczego wodospad?
- W rzeczywistości jest to duża katarakta, większa niż jakakolwiek, którą pan widział. To dlatego, że znaczną cześć życia spędziłem w pobliżu katarakty.
- Jak można mieć dom w pobliżu katarakty?
- To nie był mój dom, ja nigdy nie miałem domu, doktorze. Pan na Vantedour poprowadził ich przez Honorowy Podwórzec.
Theophilus ponownie towarzyszył im przy kolacji, a Tuk-o-Tut ponownie zajął miejsce przy drzwiach do Sali Zbrojnej. Komendant wygłosił przemówienie i Leo Sessler śmiał się z niego w duchu. Pan na Vantedour wstał i w imieniu tych, którzy ongiś tworzyli załogę Luz Dormida Tres delikatnie odrzucił przedstawioną sobie propozycje. Bonifacy z Salomei w sposób ewidentny zgadzał się z przedmówcą, zaś Tuk-o-Tut, oparty o drzwi, i kobiety w białych kapelusikach, stojące w krużgankach, uśmiechnęli się.
- Nie widzę innej możliwości rozwiązania problemu - oświadczył Komendant.

- Najprostsze i najrozsądniejsze jest to, aby pozostawić wszystko tak jak jest - powiedział Theophilus. - Wróćcie na Ziemie, a my pozostaniemy tutaj.
- Ale musimy zdać raport i przedstawić dowody rzeczowe. Nie możemy zabrać wszystkich, to pewne, ale przynajmniej Kesterrena, który pilnie potrzebuje pomocy lekarskiej, a być może i Levala, również wymagającego pewnej kuracji.
- Pan jeszcze nie widział Moritza - stwierdził Theophilus.
- Według naszych obliczeń możemy zabrać dwóch, zobaczymy jeszcze których,
- Nie ma mowy. Wracajcie, sporządźcie wasz raport, ale obejdźcie się bez nas.
- Raport bez dowodów rzeczowych?
- Nie stanie się tak po raz pierwszy. Nikt nie zabierał na Ziemie kolumn z Tammerden ani glifów z Arfe.
- To było mniej prawdopodobne niż...
- Niż my.
- Tak czy inaczej, tych ludzi trzeba leczyć, to kwestia zwykłego humanitaryzmu. I jeszcze coś: kiedy przybędą tu kolonizatorzy, wy będziecie bezprawnymi okupantami tej ziemi i zostaniecie zmuszeni do powrotu.
- Ośmielę się oświadczyć panu, Komendancie - powiedział Pan na Vantedour - że nie będzie tu żadnych osiedleńców, a my nie wrócimy.
- Czy to groźba?
- W, żadnym wypadku. Proszę to sobie rozważyć na chłodno: kolonizatorzy na planecie, na której można wszystko dostać z niczego? Nie, Komendancie, to nie jest pogróżka. Proszę nie zapominać, że jesteśmy bogami, a bogowie nie grożą, lecz działają.
- To mi przypomina słynne sentencje - powiedział Leo Sessler.
- Być może pewnego dnia nią będzie, doktorze Sessler. Ale proszę skosztować tych różowych winogron. Musi pan obejrzeć także i winnice.
Leo Sessler roześmiał sie-
- Vantedour, myślę, że jest pan komediantem i to dość dobrym.
- Dziękuje.
Komendant nie życzył sobie próbować winogron.
- Powtarzam, że będziecie zmuszeni do powrotu. Jeżeli nie z nami, to z którąś z następnych ekspedycji. Do raportu dołączę zalecenie, aby wam pozwolono zabrać ze sobą coś z tego co macie, a także tych, których pragnęlibyście mieć ze sobą na Ziemi. Spojrzał w kierunku krużganków. - Któraś z nich jest Kasztelanką na Vantedour, komendancie Tardon? Pan wie, że zalecenia dołączone do raportu są brane pod uwagę bardzo poważnie. Theophilus śmiał się.
- Pozwoli mi pan, Komendancie, uczynić dwa zastrzeżenia. Po pierwsze, nic stworzonego przez fiolet nie może opuścić Salari II. Nie przyszło panu do głowy, że najbardziej logiczne przed dziesięciu laty było poprosić o statek zdolny zawieźć nas na Ziemie? Poprosiliśmy o to, Komendancie. Ale byliśmy dostatecznie nieufni lub wystarczająco dobrze zorientowani, aby nakreślić statek zdalnie sterowany z planety. Gdyby Bonifacy z Salomei zechciał towarzyszyć na Ziemie Panu na Vantedour, zniknęłby po wyjściu z atmosfery.
- A wiec nic z tego wszystkiego nie jest realne!
- Nie? Proszę skosztować choć jedno różowe grono, Komendancie.
- Niech pan zostawi winogrona, Tardon! Pan wspomniał o dwu zastrzeżeniach, Sildor. Jakie jest to drugie?
- Nie ma nikogo, kogo pragnęlibyśmy zabrać ze sobą, nawet gdyby to było możliwe; nie ma Kasztelanki Vantedour, nie ma ani jednej kobiety na całej Salari II. .
- Słuchaj pan! - krzyknął Savan. - Widziałem je tutaj i w tym domu obłąkanych, iw...
- To nie są kobiety.
Leo Sessler czekał. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, z wyjątkiem młodego Reidta, który siedział blady i nieruchomy, z kurczowo zaciśniętymi pod stołem rekami. Pan na Vantedour powiedział:
- Pan jest takim zwolennikiem dowodów rzeczowych, Komendancie. Może pan je zawołać i poprosić, aby się obnażyły; żadna sie nie sprzeciwi. Właściwe określenie, to efebowie.
- Ależ te kobiety w domu Levala, te które grały w karty na podłodze, one miały piersi!
- Oczywiście, że miały piersi. Lubią to. A my możemy dla nich zdobyć hormony i skalpele, i chirurgów, którzy potrafią tych narzędzi użyć. A chirurg może zrobić wiele, zwłaszcza jeżeli jest zdolny. To czego nie możemy osiągnąć, to kobieta.
- Dlaczego nie? - zapytał Leo Sessler.
Młody Reidt poczerwieniał; na górnej wardze osiadły mu kropelki potu.
- Z powodu owych specyficznych i niezbędnych warunków, pod którymi należy wyobrazić sobie rzeczy w celu ich stworzenia powiedział Pan na Vantedour. - Gdyby któryś z was poprzedniej nocy włączył magnetofon lub posiadał pamięć absolutną, odkryłby sposób w tym co wówczas powiedziałem.
- To definitywnie zmienia postać rzeczy - ocknął się Komendant.
- Czy tak? Fakt, że przynajmniej czterech z nas sypia z chłopcami tak dalece zmienia sprawę?
- Oczywiście. Panowie są lub byli, ale ośmielę się twierdzić, że są w dalszym ciągu oficerami Sił Powietrznych.
- Nie - sam do siebie powiedział Leo Sessler. - Nie, nie. Człowiek nie może przebyć przestworzy, stąpać po innych światach, wniknąć w cisze, zanurzyć w nieznane atmosfery, zapytać samego siebie czy jeszcze powróci i po co tu przybył, i w dalszym ciągu być niczym więcej jak Komendantem Sił.
- Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za splamienie honoru Sił, zawożąc na Ziemie pięciu oficerów homoseksualistów.
I wówczas młody Reidt nie wytrzymał. Leo Sessler w dwu sekundach był przy nim; uderzył go w twarz.
- Nie możecie! - wrzeszczał młody Reidt, a krew, która w wyniku brutalnego ciosu Sesslera spływała mu z nosa do ust barwiła i zmywała po drodze kropelki potu, skrapiając twarz Sesslera czerwonym deszczem.
- Nie możecie mnie zmusić do pozostawania obok tego plugastwa! Śmierdzące plugastwo! Ohydne pedały! Zboczeńcy! - Następny cios. - Wyrzućcie to błoto! Oni mnie splugawili! Czuje się nieczysty!
Leo Sessler zacisnął pieść.
- Zabierzcie tego durnia z mego domu - powiedział Pan na Vantedour.
Dwu z członków załogi podniosło nieprzytomnego chłopca, ujmując go za kolana i pod pachami.
- I pan twierdzi, że my potrzebujemy opieki lekarskiej?-zapytał Theophilus. - Co pan powie o swojej załodze, Komendancie? My czujemy się zaspokojeni, w granicach rozsądku; żyjemy w zgodzie z nami samymi, gramy często; ale noce tego rodzaju muszą być orgią skruchy i rozpasania. Czy pan odczuwa skruchę, Vantedour?
- Mógłbym kazać go zabić - powiedział Pan na Vantedour. Zabierzcie go stąd i zamknijcie na statku, Komendancie, albo „każe go ściąć.
- Zabierzcie go - rozkazał Komendant. - Jest aresztowany.
- Proszę użyć mojego wozu - zaproponował Theophilus.
- Wydaje mi się, że musimy prosić panów o wybaczenie.
- Słuchaj pan, Sessler - zaprotestował Komendant.
- Prosimy o wybaczenie nam tego incydentu, panowie - powiedział stojąc Leo Sessler.
- Usiądźmy. Zapewniam pana, że zapomniałem już o tym nieszczęśniku. Proszę, kontynuujcie deser. Może woli pan raczej pigwy niż winogrona, Komendancie?
- Słuchaj, Tardan, niech pan przestanie mówić o jedzeniu.
- Vantedour, Komendancie, Pan na Vantedour, przypominam o tym po raz ostami i jest to cena mojego wybaczenia.
- Jeśli się panu wydaje, że może mnie pan traktować jak jednego ze swoich służących...
- Oczywiście, że może, Komendancie - powiedział Leo Sessler. Najlepiej będzie, jak pan usiądzie.
- Doktorze Sessler, pan także jest aresztowany!
- Przykro mi panie Komendancie, ale jest to arbitralna decyzja, nad którą pozwolę sobie przejść do porządku dziennego. Komendant Nini Paume Uno z siłą odepchnął fotel, na którym siedział podczas kolacji. Fotel z hałasem się wywrócił.
- Doktorze Sessler, postaram się, aby wyrzucono pana z Sił Zbrojnych! A wy, wy...
Leo Sessler przeżył chwile grozy. Nie wiadomo jak, wobec tak wielkiego napięcia, może zareagować serce piećdziesiecioośmioletniego mężczyzny, chorego, zmęczonego przestrzenią, ciążeniem i próżnią. Jeśli Komendant umrze...
- Polecę, aby wysterylizować Salari II. Aby wyeliminowano wszelkie ślady życia i wszystko, co się tu znajduje!
- Gdyby zechciał pan zająć miejsce, Komendancie...
- Nie chce waszych winogron ani waszych pigw!
- Gdyby zechciał pan zająć miejsce, wytłumaczę panu, dlaczego nie powinien pan tego robić.

Słodka Twarzyczka spał, a Lesvanoos szlochał wtulony w ramiona kobiet grających w karty. Mężczyzna pod drzewami odzyskał już swój strój z zielonego aksamitu, ale tym razem był to jaśniejszy odcień zieleni, buty były ozdobione posrebrzanymi klamerkami, a na kamizelce połyskiwał złoty łańcuch. Zła sprawa, te sny.

-Każdy z nas, Theophilus i ja, nawet Leval lub Kesterren, może zlikwidować was wszystkich, zanim zdoła pan wydać rozkaz.
Komendant usiadł.
- Nie jest pan taki głupi, jak sądziłem.
- To jest komplement, panie Komendancie - zauważył Leo Sessler. - Nasze pfzybycie tu, i pan o tym wie, zachwiało równowagę na Salari II.
- Mamy środki, aby tego dokonać - powiedział Theophilus. Faktem jest, że dysponujemy, już w te] chwili, dwoma jednakowo szybkimi i drastycznymi sposobami.

Angelica GORODISCHER

Urodzona w Buenos Aires (Argentyna). Obecnie mieszka w Rosario (Prowincja Santa Fe), gdzie pracuje jako sekretarka medyczna. Niektórzy uważają ją za najlepszą przedstawicielkę poetycko-fantastycznej szkoły w Rosario, której wyrazicielem jest pismo „El lagrimal trifurca". Pisze nie tylko utwory SF, - lecz także opowiadania współczesne i kryminały. Z dziedziny SF największe uznanie zdobyła jej powieść political fiction „Opus Dos" (1967).

- W porządku - powiedział Komendant - wasze na wierzchu. Co chcecie abyśmy zrobili?
- Ależ nic, Komendancie, absolutnie nic. Poza zatrzymaniem kaznodziei zamkniętego na statku - nic więcej. Proszę skończyć kolacje. Pospacerować, jeśli macie chęć. Widzieliście pięć księżyców? Jeden z nich okrąża planetę trzykrotnie w ciągu doby. A następnie, proszę udać się na spoczynek.

Pojazd Theophilusa zawiózł ich do rzeki, a stamtąd musieli ruszyć na piechotę.
- Po drugiej stronie nie ma dróg - wyjaśnił Theophilus. Przeszli wiszącym mostem; po drugiej stronie rozciągała się jedynie łąka pokryta trawą, zieloną i wiotką. Znaleźli tam kwiaty, ptaki i trzy fioletowe plamy. Ludzie stawali na plamach i prosili o złoto, beczki piwa, samochody wyścigowe; później szli dalej. Ani Komendant, ani Leo Sessler nie próbowali szczęścia. Natomiast Savan, tak; prosił o platynową bransoletkę z brylantami na prezent dla Ledy. Rozległ się krzyk: Savan trzymał w ręce platynową bransoletkę z brylantami.
- Widzicie, to nie jest takie trudne - powiedział Pan na Vantedour. - Pan, inżynierze, nieświadomie spełnił niezbędne warunki.
- Ależ ja nic nie zrobiłem.
- Oczywiście, że nie.
- Jakie są te warunki?
- Na tym polega nasza przewaga, inżynierze. Po co chce pan to wiedzieć? Musiałby pan pozostać na Salari II, aby zachować to, co pan uzyskał.
Savan ze smutkiem popatrzył na bransoletkę Ledy. Ludzie skakali, otwierali ręce, prosili o rzeczy głośno i szeptem, śpiewając, modląc się, siadając i kładąc się na fiolecie. Theophilus powiedział im, że to bezskuteczne, a Komendant rozkazał iść dalej.
Zdołali odciągnąć ich od fioletowych plam; ludzie byli niezadowoleni. Leo Sessler mógł sobie wyobrazić, co czuli do Theophilusa i do Pana na Vantedour. (Nie odważą się, zbyt długo poddawano ich zbyt ścisłej dyscyplinie. A ponadto wiedzą, że wszystko to rozpłynie się po opuszczeniu atmosfery Salari II. A jeżeli bransoleta Ledy nie zniknie?)
Bransoletka Ledy przechodziła z rąk do rąk, wszyscy jej dotykali, wąchali, próbowali zębami. Jeden z załogi tarł nią po twarzy, a drugi zawiesił ją sobie na uchu.
- To tutaj.
Rosły tu drzewa, ale oni zbliżali się do otworu jaskini, widocznego w zboczu wzniesienia. Trzy stare, grube, ciężkie kobiety wyszły na ich spotkanie.
- To są oni, Matrony.
- Kto?
- Chce powiedzieć, że to też nie są kobiety. Moritz nazywa ich Matronami; to niektóre z jego matek.
- A Moritz? Gdzie jest Moritz?
- Moritz żyje we wnętrzu swojej matki, Komendancie.
- Bądźcie pozdrowieni - powiedziały chórem kobiety.
- Wy również - odpowiedział Pan na Vantedour. - Chcemy zobaczyć Słodką Twarzyczkę.
Leo Sessler współczuł Komendantowi.
- Nieee - odpowiedziały Matrony. - Śpi.
- Czy możemy zobaczyć jak śpi?
- Pan już tu przedtem był. Dlaczego chce mu pan przeszkadzać?
- Nie chcemy mu przeszkadzać, zapewniam was. Będziemy cicho, popatrzymy tylko na niego.
Matrony popatrzyły po sobie z wahaniem.
- Chodźcie - powiedziała jedna z nich - ale na paluszkach. Leo Sessler zdecydował, że nigdy nie napisze swoich pamiętników; nie byłby zdolny opisać samego siebie, maszerującego na palcach przez łąkę na Salari II, razem z innymi mężczyznami, też stąpającymi na palcach, podążając za trzema grubymi staruchami, które były trzema przebranymi mężczyznami, w promieniach dwóch słońc, jednym żółtym, a drugim pomarańczowym, w kierunku jaskini na zboczu wzniesienia.
- Cichutko, cichutko.
Ale piasek wyścielający podłogę jaskini zgrzytał pod podeszwami i Matrony się niepokoiły.
U wejścia do groty znajdowały się jeszcze dwie Matrony, a dwie następne w głębi, w bardzo łagodnym oświetleniu, kołysały ogromne jajo w obydwu końcach umocowane siatką, która umożliwiała poruszanie nim i obracanie.
- Co to jest? - zapytał Komendant.
- Ćśś...
- To jest Wielka Macica, Matka - szeptem wyjaśnił mu Theophilus.
- Ćśś...
Leo Sessler dotknął. Jajo było szare i włókniste. Posiadało biegnący poprzecznie brzeg, jak gdyby przecinający obie połowy, tak aby mogły się oddzielić. Mogły się oddzielić. Matrony uśmiechały się i wskazywały na człowieka znajdujące-
go się wewnątrz jaja, z podbródkiem dotykającym kolan i ramionami splecionymi wokół nóg, uśmiechniętego przez sen. Wnętrze jaja było wilgotne, ciepłe i miękkie.
- Moritz! - powiedział Komendant prawie głośno. Przerażone Matrony uniosły w górę ramiona. Słodka Twarzyczka poruszył się i, nie budząc się ze snu, zakwilił. Jedna z Matron wskazała ręką wyjście; to był rozkaz. Leo Sessler zmienił zdanie: napisze swoje wspomnienia.

Tej nocy byli gośćmi Theophilusa; klawikordy zamiast potoków.
- Parę miesięcy temu było gorzej - zauważył Pan na Vantedour. Starożytna muzyka chińska.
Siedzieli za szklanym stołem, wspartym na hebanowych, ozdobionych złotem, nogach. W mozaice (ochra i złocenia) pokrywającej posadzkę, nie powtarzał się żaden rysunek. Ze ścian spoglądały na nich Dama i Jednorożec. Załoga statku czuła się tu nieswojo, śmiali się, żartowali, trącali łokciami; przed każdym nakryciem leżały cztery widelce, cztery noże i trzy kieliszki. Biało ubrani służący podsuwali półmiski, a za krzesłem Theophilusa stał majordomus. Leo Sessler ciągle miał przed oczami mężczyznę-płód, zwiniętego wewnątrz ciepłej i lepkiej macicy-kołyski, i zastanawiał się czy to wspomnienie pozwoli mu jeść. Ale kiedy na obrotowym stole wniesiono lodowe rzeźby i jedna z nich zapaliła się błękitnym płomieniem, przekonał się, że zjadł wszystko - miał nadzieje, że przy użyciu właściwych sztućców i że zjadłby również pokrytE szronem owoce i lody, kiedy rozpuszczą się już mrożone sfinksy i łabędzie. Komendant półgłosem rozmawiał z Theophilusem. Leo Sessler zorientował się, że Savan nie miał pojęcia o tym, iż widelec był tym przyrządem, którego należało użyć do ryb (on tak, była to jedyna rzecz której był pewien), ale nie miało to znaczenia ani dla niego, ani dla Theophilusa. Mistrz Astronom obwieścił, że odczyta im swój prolog do Wspomnień o Konstelacji Łoża Afrodyty. W oddali ujrzeli wchodzącą Peonie; Theophilus pozdrowił ją, ale nie prosił, aby dołączyła do reszty towarzystwa. Leo Sessler miał szczerą chęć zobaczyć go z bliska i porozmawiać. Natomiast róże o barwie matowej ochry, owszem, zostały umieszczone pośrodku stołu.
- Jednak sądzę, że trzeba się nimi zająć, przynajmniej Moritzem.
- Dlaczego? - zapytał Theophilus.
- On jest chory. To nie jest normalne.
- Pan jest normalny, Komendancie?
- Nie przekraczam granic normalności.
- Proszę spojrzeć na to trochę inaczej - powiedział Pan na Vantedour - kuracja psychiatryczna, ponieważ istotnie jesteśmy w stanie zdobyć dla Moritza psychiatrę, skaże go na wieloletnie cierpienia, i w jakim celu? Licząc na pomoc fioletu, tak jak my wszyscy, zacząłby, już zdrów i wyleczony, od nowa prosie o matkę i pragnienie to, przekształcając się lub zwyrodniając, zakończyłoby się ponownym utworzeniem macicy-kołyski. Ponieważ to jest to, czego on pragnie. Podobnie jak Leval pragnie oscylować pomiędzy heroizmem a upokorzeniem, Kesterren - pogrążyć sie w wiecznym pijaństwie, Theophilus - posiadać na własność Cimarose, muzykę chińską, mrożone desery wewnątrz figur lodowych, niemieckich filozofów i makaty, zas ja - dwunastowieczny zamek. Kiedy ma się możliwość otrzymania wszystkiego, kończy sie to zwycięstwem naszych wewnętrznych demonów podświadomości. Co stanowi, nie wiem czy zdaje pan sobie z tego sprawę, Komendancie, inny sposób opisania szczęścia.
- Szczęście! Być zamkniętym i lizać ściany własnego wiezienia? Przechodzić od oklasków do podziemi, gdzie jest się chłostanym i gdzie rozpalonym do czerwoności żelazem ściskają ci podbrzusze? Żyć bez świadomości, że się żyje, pogrążony w niekończącym się pijaństwie?
- A tak, Komendancie, to również może być szczęściem. Jaka istnieje różnica pomiędzy zamknięciem się w sztucznej macicy a łowieniem ryb nad brzegiem rzeki? Poza tym, że ryby można usmażyć i zjeść, a słońce nadaje zdrowy wygląd. Jeden sposób jest tak samo dobry jak i drugi; wszystko zależy od osobnika, który szuka szczęścia. Wśród urzędników bankowych i przedsiębiorców pogrzebowych - że pozwolę sobie zacytować Les-VanOo6a - możliwe, że macica będzie postrachem, zaś łowienie ryb rzeczą przyjemną. Ale na Salari II?
Nie było już sfinksów ani łabędzi. Leo Sessler przekroił oszronioną pomarańcze i odkrył, że została ona wypełniona wiśniami, które z kolei nadziano miąższem pomarańczy.
- To samo, Komendancie, to samo - odpowiadał Pan na Vantedour - macica, pijaństwo, bat.
Mistrz Astronom odchrząknął i powstał.
- A teraz usłyszycie, panowie, coś bardzo ciekawego - zapowiedział Theophilus.
Przed każdym z gości postawiono filiżanki do kawy z ciętego szkła. Widoczna w przejrzystych pucharkach mgła wodna zaczęła się powoli zagęszczać, przybierając ciemną barwę.
- Prolog do Wspomnień o Konstelacji Łoża Afrodyty - rozpoczął Mistrz Astronom.

Tej nocy w Vantedour Kasztelan był tym, który przebiegł galerie i schody prowadzące do pokoju doktora Leo Sesslera. W ramionach trzymał Bonifacego z Salomei, a Tuk-o-Tut podążał za nim.
- Dobry wieczór, doktorze Sessler. Pozwoliłem sobie złożyć panu wizytę.
Leo Sessler zaprosił go do środka.
- Pozwoliłem sobie także zamówić dla nas kawę i koniak.
- Myślę, że to świetny pomysł. Wie pan, nie będę chyba już miał czasu, ażeby obejrzeć plantacje kawy i winorośli.
- O tym chciałem pomówić z panem.
- Chce przez to powiedzieć, że-jutro startujemy.

- Tak.
Wniesiono kawę. Tuk-o-Tut zamknął drzwi i usiadł na korytarzu.
- Czemu pan nie zostaje, Sessler?
- Proszę nie sądzić, że o tym nie myślałem.
- W ten sposób mógłbym się wreszcie przekonać, czy jest pan takim człowiekiem jak mi się wydaje.
- Poprosić o dom w stylu ascetycznym i surowym - mówił Leo Sessler - bielony w środku i na zewnątrz, białe ściany, sufit, komin; kominek, polowe łóżko, szafa, stół, dwa krzesła, i zasiąść do pisania moich wspomnień. Prawdopodobnie raz w tygodniu wybrałbym się łowić ryby.
- Co pana wstrzymuje? Przeszkadza panu niemożność posiadania kobiety?
- Szczerze mówiąc, nie. Nigdy nie spałem z mężczyzną, nie zaznałem miłości homoseksualnej, jeśli wykluczyć przyjaźń na pograniczu tego w wieku lat trzynastu z towarzyszem z kolegium, ale to nie wykraczało poza granice normalności, jakby powiedział nasz Komendant. Nie odwrócę się z przerażeniem, jak młody Reidt. Ja również uważam, że jest niemożliwe utrzymać na Salari II moralność seksualną Ziemi. Zadał pan sobie kiedy pytanie „co to jest moralność", Vantedour?
- Oczywiście; zespół norm, których należy przestrzegać, aby czynie dobrze i unikać zła. Nie sądzę, abym kiedykolwiek słyszał coś bardziej głupiego. Znam tylko jedno dobro, doktorze Sessler, nie używać przemocy wobec mego bliźniego. I jedno zło: myśleć zbyt wyłącznie o sobie samym. I doświadczyłem obydwu. Dlatego to, co panu proponuje, proszę traktować jako zaproszenie, ale jeśli woli pan odejść, nie będę nalegał.
- Tak, zdecydowałem, że chce wracać.
- Czy mógłbym zapytać dlaczego?
- Nie jestem pewien, czy sam to dobrze rozumiem. Z powodu jakichś niejasnych przyczyn organicznych, ponieważ nie znalazłem się na Salari II wskutek katastrofy statku, ponieważ nie miałem czasu, aby stworzyć tu, wokół siebie, Ziemi według moich wewnętrznych demonów podświadomości, ponieważ zawsze wracałem i tym razem również pragnę wrócić.
- Z kim pan żyje na Ziemi?
- Nie, to nie jest powód, dla którego odmawiam. Mieszkam sam.
- Doktorze Sessler, pożegnamy pana uroczyście. Ale chciałbym jeszcze o czymś uprzedzić: cała załoga Nini Paume Uno zapomni wszystko, co tu widziała.
- A wiec to była prawda?
- Wówczas nie. Obecnie tak.
- Jak tego dokonacie?
- To sprawa Theophilusa. Nikt nie będzie się orientował, że coś zostało wprowadzone do jego mózgu. W pół godziny po zamknięciu luków statku wszyscy będą przekonani o tym, że odkryli planetę niebezpieczną dla życia, zniszczoną promieniowaniem, które prawdopodobnie zabiło załogę Luz Dormida Tres. Komendant poinformuje o braku możliwości skolonizowania planety i zaleci odczekanie stuletniego okresu do czasu podjęcia następnej próby lądowania.
- Szkoda. To piękny świat. Zamierzam spisać moje wspomnienia, Vantedour, wie pan o tym? Przykro mi będzie opisywać Salarii II jako planetę martwą i pustą. W tym momencie nie mogę sobie tego wyobrazić, ale przypuszczam, że to przyjdzie samo. Pan na Vantedour uśmiechnął się.
- Dziwi mnie, że mi pan o tym w ogóle powiedział - dodał Leo Sessler.
- Tak? Jeszcze coś panu powiem. Nikt nie może otrzymać nic od fioletu, jeśli nie czuje się zidentyfikowany z przedmiotem, który pragnie posiadać. Rozumie pan? Dlatego jest niemożliwe stworzyć kobietę. Gdy Theophilus za pierwszym razem zapragnął papierosa, tak bardzo chciał zapalić, że zidentyfikował się nie z palącym, ale z papierosem. Był papierosem: poczuł zapach tytoniu, papier, dym, dotknął włókien; był każdym włóknem. Powiedziałem to tamtej nocy, opowiadając o maszynce do golenia, drugim doświadczeniu, jeśli nie liczyć następnego papierosa, z którym było to samo, oczywiście. Powiedziałem wam, że czułem sie nie jak golący się człowiek, ale jak przyrząd. Ale, zgodnie z tym czego oczekiwałem, zgubiliście sens tej wypowiedzi pomiędzy wszystkimi rzeczami, które wam wówczas powiedziałem.
- A wiec to takie proste.
- Tak. Inżynier Savan musi bardzo pragnąć tej kobiety. W którymś momencie poczuł się owinięty wokół przegubu jej reki i zapragną bransoletki. Dlatego pana próby się nie powiodły. Ale jeśli ma pan chęć spróbować teraz, możemy iść do fioletu.
- Pan mnie widział?
- Widziałem pana z balkonu. Zresztą spodziewałem się, że spróbuje pan szczęścia. Teraz może pan to wykonać z lepszym skutkiem.
- Dziękuje, ale myślę, że lepiej nie. Zwłaszcza że mógłbym to zatrzymać tylko przez jedną noc, a jutro niczego już nie będę pamiętał.
- To prawda - przyznał Pan na Yantedour i podniósł się.
- Żałuje, że nie przeczytam pana wspomnień, doktorze Sessler. Dobrej nocy.
Bonifacy z Salomei został w pokoju i Leo Sessler musiał mu otworzyć drzwi. Właśnie zbliżał się do nich Tuk-o-Tut i Bonifacy z Salomei skoczył w wyciągnięte ku niemu czarne ramiona.

Już na schodkach Nini Paume Uno załoga odwróciła się i zasalutowała. Leo Sessler nie wykonał wojskowego gestu, zadowolił się uściskiem dłoni. Po zamknięciu luków mieszkańcy Vantedour cofnęli sie; statek zaczął dyszeć. Umocowany na swoim miejscu Leo Sessler z zamkniętymi oczami jeszcze raz przebiegał Salari II. Za dwadzieścia minut, dziewiętnaście minut pięćdziesiąt osiem sekund, dziewiętnaście minut pięćdziesiąt trzy sekundy - zapomni wszystko. Wszyscy milczeli. Młody Reidt miał spuchniętą twarz. Komendant polecał komuś, aby się tym zajął. Leo Sessler bawił sie zamkiem pasa bezpieczeństwa.. Komendant mówił, że niezwłocznie zabierze się do redagowania raportu dotyczącego pobytu na Salari II. Trzy minuty czterdzieści dwie sekundy.
- Dołączy pan jakieś zalecenie specjalne, Komendancie?
- To oczywiste. Jeżeli chce pan, abym mu powiedział szczerze to co myślę, to powiem panu, że - według mnie - sytuacja na Salari II jest stanem zagrożenie i wymaga interwencji natychmiastowej, proszę mnie dobrze zrozumieć, na-tych-mias-to-wej.
Leo Sassler galopował po łąkach Salari II, a w uszach świstał mu wiatr, dwie minuty pięćdziesiąt i jedna sekunda.
- Z tego powodu zalecę wysłanie ekspedycji ratunkowej.
- Kogo pan chce ratować, Komendancie?
- Czy można wiedzieć skąd pochodzi to brzęczenie? - Komendant zdjął z podstawki mikrofon. - Sprawdzić pochodzenie obcego dźwięku - odłożył mikrofon na miejsce.
- W ceki unormalizowania sytuacji załogi statku Luz Dormida Tres...
Dwie sekundy. Jedna. Brzęczenie umilkło.
-...która z pewnością zginęła na skutek promieniowania... Leo Sessler z pośpiechem pomyślał o Salari II, ostatnie wspomnienie, i ujrzał ją zieloną i błękitną w promieniach dwu słońc. Pustynie Puma, źrebaka, zamek Vantedour, Theophilusa, Vantedoura, Bonifacego z Salomei, Kesterrena, Peonie, cios pięścią w szczękę młodego Reidta, Vantedour, Tron Zwycięstwa, Słodką Twarzyczkę zamkniętego w macicy, pięć księżyców i Pana na Vantedour, dającego mu możliwość pozostania na Salari II i ostrzegającego, że o wszystkim zapomni; ale on nie zapomniał.
- To przykre - mówił Komendant - to przykre, że nie mogliśmy zejść ze statku, aby poszukać szczątków w celu dołączenia ich do raportu jako dowodów rzeczowych, ale to promieniowanie zabiłoby nas pomimo odzieży ochronnej. Młody Reidt się nie myli. Kto był fizykiem na Luz Dormida Tres?
- Jonas Leval, sądzę.
- Ach tak. No cóż, doktorze, zabiorę się chyba do redagowania szkicu raportu. Do zobaczenia.
- Do zobaczenia, Komendancie. Nie zapomniałem, nie zapomnę.

- Żałuje, że nie przeczytam wspomnień doktora Sesslera powiedział Pan na Vantedour.
- Pan uważa, że Sessler jest godny zaufania? - zapytał Theophilus.
- Mhm. A jeśli nie, to proszę sobie wyobrazić rezulataty. Czternastu ludzi mówiących o planecie radioaktywnej i on opisujący średniowieczne zamki i gigantyczne macice.
- Czemu pan go na to skazał, Vantedour?
- Pan uważa, że to była kara?

Na pokładzie Nini Paume Uno Komendant pisał, Savan pił kawę, młody Reidt tarł ręką policzek.
- Musiałem się uderzyć przy starcie.
Leo Sessler siedział przed nietkniętą filiżanką kawy.

- Chyba powinni żałować, że w tym kierunku zostały zamknięte drogi kolonizacji - zauważył Theophilus.

- Szkoda - stwierdził inżynier Savan - w ten sposób zostają zamknięte w tym sektorze drogi kolonizacji na wiele lat.

Kesterren śpiewał, obejmując ramionami drzewo, Słodka Twarzyczka przesuwał jeżykiem po wilgotnych ściankach kołyski-macicy, Lesvanoos schodził po stopniach wiodących do podziemi, Pan na Vantedour mówił:
- I skarżyć się, jaką wstrętną kawę muszą pić na statku.

- Ta kawa jest obrzydliwa - stwierdził oficer nawigator. - Na statku badawczym nigdy nie można dostać dobrej kawy. Co innego luksusowe krążowniki, tam mają dobrą kawę.

Theophilus się zaśmiał.
- A także życzyć sobie takiej kawy, jaką podają na krążownikach obsługujących wielką turystykę.

Leo Sessler nie spróbował swojej kawy.
- „I tam odeszli - powiedział - w hałas skrzydeł ziemskiej atmosfery wielcy Wędrowcy snu i czynu. Rozmówcy żądni przestrzeni. Oskarżyciele ryczących przepaści. Wielcy Badacze bieli bezkresu" - ale nikt go nie usłyszał.

Przełożyła **Maria Nowakowska**

Siergiej Sniegow

W JĄDRZE GALAKTYKI

(Kolco obratnogo w Temieni)

przełożył Tadeusz Gosk

2

CZĘŚĆ TRZECIA

Zerwane więzi czasu

1.

O odtworzeniu anihilatorów nawet nie było co marzyć, bo ich konstruktorzy zatroszczyli się o to, aby w razie nieszczęścia hipotetyczny wróg nie tylko nie dostał tej broni w swoje ręce, ale nawet nie mógł sie domyślić, jaka potęga kryła się pod rufowym pancerzem. Po obejrzeniu uszkodzeń Olga wyznała mi:

- Nawet nie pomyślałam, że w ten sposób można zmienić tor gwiazdolotu. Po prostu nie mieściło mi sie w głowie, że można się bronić niszcząc własną broń... Nosiłam ten klucz jak zwyczajny breloczek czy medalion. Jak zdołałeś sobie o nim przypomnieć?

- Pomyślałem o nim pewnie dlatego, że przez ostatnie dni myślałem prawie wyłącznie o rzeczach nie mieszczących się w głowie - powiedziałem. - Poza tym już raz popełniłem ten błąd, że poddałem nieuszkodzony gwiazdolot Orlanowi.

- Na szczęście mogliśmy się wówczas ograniczyć do rozregulowania mózgu pokładowego.

- Co teraz za nas zrobili wrogowie! - zauważyłem z goryczą.

W tym czasie było już jasne, że nasz MUK nie da się szybko naprawić, chociaż również nie miał żadnych widocznych uszkodzeń, jak unieruchomiony niedawno MUK „Tarana". Tamten jednak jakoś funkcjonował, myląc przyczyny ze skutkami nasz natomiast po prostu nie działał.

Udało się jednak doprowadzić do porządku urządzenia sterowania ręcznego. Statek mógł się zatem poruszać, ale ruchem prymitywnym i powolnym. Osiągał jedynie taką prędkość, na jaką pozwalał ślimaczy, w porównaniu z maszynowym, refleks sterujących nim żywych nawigatorów...

Do rejsów galaktycznych taki statek już się nie nadawał.

Nagle ożyły odbiorniki:

- ...woła „Strzelca"! „Koziorożec" woła „Strzelca"! Odbiór!

Nawiązaliśmy normalną łączność stereowizyjną i wtedy Oleg poprosił Olgę i mnie o przybycie na pokład flagowca. Powiedział też, o czym już sami wiedzieliśmy, że zagładzie uległo trzy czwarte eskadry: „Cielec" i większość ciężarówek kosmicznych, z których zostały tylko dwie. Mózgi pokładowe „Koziorożca" i „Węża" również przestały działać, a mechanicy wątpili, aby udało się szybko je uruchomić.

Gdy przybyliśmy planetolotem na „Koziorożca", Mary rzuciła mi się z łkaniem na pierś. Opłakiwała mnie tak, jakbym zginął. Otarłem jej łzy i powiedziałem:

- Przypatrz mi się dobrze! Jestem żywy, zdrowy i długo jeszcze zamierzam takim zostać!

- Zemdlałam z przerażenia, kiedy zobaczyłam, dokąd pędzi „Strzelec"! - Wpatrywała się we mnie niedowierzającym wzrokiem. - Byliście już tak blisko epicentrum eksplozji!...

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, co musieli przeżywać nasi przyjaciele z „Węża'' i „Koziorożca". Lękałem się o nich, ale oni mieli jeszcze większe podstawy, aby lękać się o nas.

Romero powiedział gorzko, tym szczególnym tonem, którego używał zawsze, kiedy uciekał się do przykładów z historii:

- Rzuciliśmy „Cielca" na pożarcie, drogi admirale. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że wrogowie są potężniejsi od nas.

- Nie wiem czy potężniejsi - odparłem - ale z pewnością sprytniejsi. A przygnębionemu Olegowi powiedziałem:

- Przeszłości nie da się odwrócić, myślmy zatem o przyszłości. Zadam ci teraz pewne pytanie. Od twojej odpowiedzi zależy bardzo wiele, dobrze się wiec nad nią zastanów. Wasz MUK zacinał się dwukrotnie, prawda? Najpierw odmówił posłuszeństwa, potem pracował przez parę sekund normalnie i znów, tym razem już ostatecznie, stanął?

- Było dokładnie tak, jak mówisz, Eli - powiedział ze zdziwieniem. -Jakie wnioski stąd wyciągasz?

- Niezwykle ważne - zapewniłem go i zażądałem zwołania poufnej narady wąskiej grupy kierownictwa wyprawy.

Zażądałem, aby poufną naradę zwołano w dobrze odizolowanym od reszty statku pomieszczeniu. Oleg uznał, że najodpowiedniejsza będzie dawna stajnia pegazów, gdyż w innych ekranowych kabinach Włóczęga, który naturalnie miał w naradzie uczestniczyć, po prostu by się nie zmieścił. Kiedy tam przyszedłem, wszyscy już na mnie czekali. Kamagin i Osima zameldowali co działo się na „Wężu" i „Koziorożcu", Olga zrelacjonowała wydarzenia na pokładzie „Strzelca". Na wszystkich gwiazdolotach nieznane pole odcięło mózgi pokładowe od mechanizmów wykonawczych, przy czym na „Koziorożcu" odbyło się to w dwóch fazach. Na „Strzelcu" i „Koziorożcu" udało się szybko uruchomić ręczne sterowanie, a na „Wężu" te urządzenia nie zostały w ogóle zablokowane. Wszystkie statki przed naprawieniem MUK niezdolne były do kontynuowania zamierzonego rejsu ani do powrotu na bazę. „Strzelec" ucierpiał tak mocno, że mógł być wykorzystany jedynie jako statek towarowy. W ten sposób z ogromnej eskadry zostały nam dwa niezbyt sprawne gwiazdoloty załogowe i trzy ciężarówki kosmiczne.

- Eli, narada została zwołana na twoje żądanie - zwrócił się do mnie Oleg. - Obiecałeś złożyć ważne oświadczenie. Zatem słuchamy.

Zacząłem od pytania zadanego smokowi.

- Włóczęgo, czy mózg biologiczny, powiedzmy równie potężny jak twój, może wpływać na MUK nie przez wydawanie mu zewnętrznych poleceń, jak my to robimy, lecz przez równoległe dublowanie pracy wszystkich jego obwodów?

Smok patrzył na mnie z niezwykłą u niego powagą. Pytanie było zbyt ważne, aby dało skwitować sie jakimś żarcikiem.

- Zbyt wiele żądasz od zwykłego mózgu, Eli. MUK liczy z szybkością kilku miliardów operacji na sekundę, a mózg biologiczny nie jest do tego zdolny. Poza tym działa na innej zasadzie logicznej, nie jest czysto analityczny, lecz raczej intuicyjny. Nie atomizuje sytuacji, ale ogarnia ją całościowo... Przynajmniej ja tak pracowałem na Trzeciej Planecie.

- A zatem twoim zdaniem mózg biologiczny nie jest zdolny do

takiego działania. Skoro jednak potrafiliśmy zbudować MUK, to możliwe są również konstrukcje o wiele doskonalsze. I jeśli taka superpotężna maszyna myśląca znalazłaby się w naszej eskadrze i zapragnęła brutalnie wyłączyć MUK, to przyczyny awarii przestałyby być zagadką, nieprawdaż?

Włóczęga nie odpowiedział, a Oleg wykrzyknął z niedowierzaniem w głosie:

- Ale najpierw trzeba dowieść, że ów potężny wrogi mózg istotnie znajduje się na jednym ze statków.

- Ten mózg znajduje się na „Koziorożcu".

- Wymień jego imię! - krzyknął Ellon.

Nie lubił wydłużać szyi, ale teraz jego głowa wystrzeliła niemal pod sufit. Był pewien, że to jego mam na myśli.

- Uspokój się, Ellonie - powiedziałem sucho. - Gdyby to o ciebie chodziło, z pewnością nie zostałbyś zaproszony na naradę. Tajny agent wroga nosi imię Oan.

Podniósł się gwar. Wszyscy zaczęli mówić na raz. Oleg raz jeszcze zażądał dowodów. Poprosiłem o zadawanie mi pytań, na które mam odpowiedzieć. Pytań jednak nie było, były wątpliwości. Kamagin powiedział, że hipotetyczny wrogi mózg musiałby działać z równą co najmniej szybkością co MUK, a struktury biologiczne, jak to przed chwilą dowiedziono, nie są do tego zdolne. A zatem należy z kolei dowieść, że Oan nie jest istotą żywą, tylko zakamuflowaną maszyną. Osima dodał, że MUK zużywa niemało specyficznej energii wyspecjalizowanych pól, a skąd Oan miałby potajemnie otrzymywać taką energie? Olga z kolei zauważyła, że agent zakłócający prace mózgu pokładowego musiałby przekazywać swoje rozkazy na inne statki przy pomocy jakichś pól, ale obecności takich pól w przestrzeni nie zarejestrowano. Wreszcie Orlan przypomniał, że szpieg musiałby rozszyfrowywać zamysły astronautów nie będąc obecnym przy ich rozmowach, musiałby odczytywać zdalnie i potajemnie ich myśli. Nawet Demiurgowie tego nie potrafią, a w imperium Niszczycieli technika podsłuchiwania stała przecież na niezłym poziomie!

- Poza tym wszędzie mamy takie szczelne ekrany - włączył się do dyskusji Gracjusz. - Nie mogę sobie na przykład wyobrazić, aby stąd przeciekły jakieś informacje. A inne pomieszczenia są wcale nie gorzej zabezpieczone.

- Krótko mówiąc szpieg, musiałby być istotą nadprzyrodzoną! - zakonkludował Oleg.

- Cóż to jest istota lub zjawisko nadprzyrodzone? - powiedziałem. - Każdemu z naszych przodków anihilowanie przestrzeni lub podróże z prędkością ponadświetlną wydałyby się cudem, a przecież dokonujemy tego my, zwykli śmiertelnicy. Moim zdaniem zetknęliśmy się z niecodziennym zjawiskiem, którego wytłumaczenie może być zupełnie banalne.

Po czym przypomniałem, w jaki sposób trafił do nas Oan, który chciał przedostać się do innych czasów lecąc pod prąd czasu. Jeśli jego wyjaśnienie było prawdziwe, to było z pewnością również zdumiewające jako sprzeczne z tym, co dotychczas wiemy o biegu czasu we Wszechświecie. I drugi zdumiewający fakt: wszyscy towarzysze Oana zginęli, a on jeden ocalał. Ale to jeszcze nie koniec szeregu niecodziennych faktów i wydarzeń. Oan nie tylko potrafił wykraść gwiazdolot, którego konstrukcji i zasad działania nawet my nie potrafiliśmy rozszyfrować, nie tylko nauczył się go obsługiwać, ale również wyruszył nim w przestwora Kosmosu w towarzystwie podobnych mu przedstawicieli na pory dzikiego narodu! Kim Oan jest wśród Aranów - swoim czy obcym? Powiedział kiedyś mimochodem, że Okrutni Bogowie żyją na Aranii w postaci jej mieszkańców. On sam zatem musi być rezydentem Ramirów wśród pająkokształtnych. Wrogim zwiadowcą przebranym za Arana!

- A po zetknięciu się z nami zmienił obiekt zainteresowania - kontynuowałem. - Z oczywistych, względów nie mógł przybrać postaci któregoś z nas: człowieka, Demiurga, Galakta, Anioła czy smoka, gdyż natychmiast zostałby zdemaskowany. Ale mógł działać w swym dotychczasowym kształcie, mógł nie tylko przenikać w nasze plany i uszkadzać nasze maszyny. Mógł także zabijać, bo nie kto inny jak on spowodował śmierć Lusina! Popatrzcie na ekran.

Na ekranie pojawiła się scena pod szafotem. Wielokrotnie w samotności przeglądałem ten zapis i stale czegoś mi w nim brakowało, cos w tej scenie wydawało się niezborne. I dopiero po powrocie na „Koziorożca" z tragicznej wyprawy na „Strzelcu" zrozumiałem, gdzie należy szukać rozwiązania trapiącej mnie od dawna zagadki.

- Użyłem wielokanałowego chronoskopu, przyjaciele. Poszczególne kanały dostroiłem do naszych indywidualnych pól, a niektóre z nich zaprogramowałem na indykacje pól obcych. Patrzcie uważnie! Oto Lusin z wczepionym w niego strażnikiem. A teraz Lusin zwija pole rażące atakujących go przyspieszaczy i sam pada do wnętrza pieca pod ciężarem szarpiącego się strażnika. I znów Lusin wyzwala swoje pole. Sprawdźcie czas! Lusin zareagował na jedną dziesiątą sekundy przedtem, zanim nastąpiło wyładowanie miedzy elektrodami. A jedna dziesiąta sekundy to bardzo wiele czasu. Tymczasem jego pole nie zadziałało, a właściwie zostało zablokowane obcym polem, którego nasze przyrządy nie zarejestrowały. Teraz spójrzcie tu. Oan przez jedną dziesiątą sekundy, akurat przez te samą jedną dziesiątą sekundy stał bez ruchu, a potem przesunął się w bok i dokładnie w tym samym momencie pole hamujące zniknęło...

Gracjusz pokręcił z powątpiewaniem głową:

- Eli, twoje spekulacje robią wrażenie, ale niczego konkretnego nie zawierają. Nasze znakomite analizatory nie zarejestrowały żadnego kontrpola, a tylko to mogłoby stanowić niepodważalny dowód winy Oana.

- Wobec tego popatrz na ciąg dalszy tej sceny, zmontowanej zresztą w innej niż rzeczywista kolejności. Wyzwolone przez Lusina pole rozrzuciło Aranów po placu jak garść plew. Tylko jeden z nich stoi nieruchomo jak spiżowy pomnik na lekkim wietrze. I tym jedynym jest znów Oan. Policzcie, ile musiałby ważyć ten fałszywy Aran, aby nawet nie drgnąć pod uderzeniem pola?

- Co najmniej sto pięćdziesiąt ton! - odparła niemal natychmiast Olga.

- Słyszeliście? Co najmniej sto pięćdziesiąt ton. A Oan waży nie więcej niż sto kilogramów. Czy to nie wystarczy za dowód?

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Dopiero po dłuższej chwili Romero zauważył ostrożnie:

- Admirale, sprawca śmierci nie zawsze musi być mordercą... Zdarza się, że bywa jedynie nieświadomym narzędziem w czyichś rekach. Zanim wyrobie sobie ostateczne zdanie wolałbym porozmawiać z samym Oanem.

- Z zabójcą Lusina, Pawle? Zamierzasz pogawędzić sobie z nim po przyjacielsku?! - Nie posiadałem sie z oburzenia.

- Po co ta ironia, Eli? W starożytności używano w takich okolicznościach określenia „przesłuchanie". I to pan powinien je przeprowadzić. My zaś będziemy świadkami, obrońcami i widzami, drogi admirale. Nasi przodkowie zawsze tak postępowali.

Długo by jeszcze zapewne rozwodził się na temat starożytnych ziemskich obyczajów, gdyby nie Oleg, który zaproponował, abyśmy wrócili do zasadniczego tematu narady. Niebawem ustaliliśmy wspólnie, że Oan zostanie przesłuchany nazajutrz, gdyż do tej przykrej operacji trzeba było przygotować się nie tylko psychicznie, lecz również technicznie.

- Porozmawiajmy teraz o promieniu, który zniszczył „Cielca" - zaproponował Oleg.

- Nie sądzę, aby to miało większy sens - zauważyłem. - Wiemy tylko tyle, że nic nie wiemy. Lepiej z omawianiem tego problemu zaczekać do jutra, kiedy spróbuje wysondować Oana. Może on powie nam coś o naturze tej śmiercionośnej broni. Gdybyśmy dowiedzieli gdzie się i jak ten promień jest generowany, dopiero wtedy moglibyśmy się zastanowić nad metodami obrony.

- Zaczekaj, admirale - powiedział Ellon, kiedy wszyscy zaczęli się już rozchodzić. - Przekonałeś mnie, że Oan jest agentem Ramirów, ale czy w takim razie otwarte przesłuchiwanie go nie będzie rzeczą lekkomyślną? Jeśli jest naprawdę tym, za jakiego go uważamy, może nas gwałtownie zaatakować.

- Dlaczego nie powiedziałeś tego w trakcie narady, Ellonie?

- Nie jestem zwolennikiem narad, za którymi ludzie tak przepadają - skrzywił się pogardliwie Demiurg. - Mam zresztą powody, dla których wole rozmawiać z tobą na osobności, admirale. Nie znam lęku przed śmiercią tak powszechnego wśród ludzi i Galaktów. Demiurgowie są pod tym względem doskonalsi od was... Ale żal mi Ireny i pana też żal, admirale.

Nie odpowiedziałem Ellonowi od razu, tylko poklepałem smoka po łapie, na której siedziałem i zwróciłem się do niego:

- Włóczęgo, w ogóle nie zabierałeś głosu na naradzie. Może teraz coś powiesz.

- Ellon ma racje? - wychrypiał smok. - Przesłuchanie jest niebezpieczne. Chcesz przyprzeć Oana do, ściany, a jego trzeba starannie omijać. Rozsądniej byłoby zrezygnować z przesłuchania, Eli.

- Najrozsądniej byłoby w ogóle nie pchać się do gromady Ginących Światów, ale skoro już tu jesteśmy, to musimy zachowywać się konsekwentnie. Oana trzeba zdemaskować!

- Wobec tego pomówmy o czym innym. Stupięćdziesieciotonowe pole Oana to dla moich generatorów fraszka. Poradzę sobie nawet z tysiącem ton - powiedział Ellon. - Zogniskować pola ochronne i uniemożliwić Oanowi skontaktowanie się ze swoimi. Przesłuchaj go w konserwatorze - zakonkludował rzeczowo.

2.

Oan przybiegł do konserwatora jak zawsze skwapliwy i uniżony. Powitał nas pełnym szacunku gestem swoich splecionych weżowłosów, a ja znów odniosłem wrażenie, że to nie istota żywa, lecz tylko doskonały, niemal w pełni materialny fantom. Powiedziałem jednak spokojnie.

- Oanie, dwie trzecie naszej eskadry uległo zagładzie. Zginęli

nasi towarzysze. Czy wiesz coś o źródle i naturze niszczycielskiego promienia, który rozpylił „Cielca”?

Zadając te pytania zauważyłem pełen zmieszania niepokój pająkokształtnego. Zdumiało go widocznie, że dzisiaj nie potrafi tak swobodnie czytać naszych myśli jak dawniej. Jego odpowiedzi też nie rozlegały się w naszych mózgach ze zwykłą wyrazistością. Urządzenia zakłócające zainstalowano w konserwatorze przez Ellona w jakimś stopniu przeszkadzały i nam.

Jak należało się spodziewać, Oan nic nie wiedział o śmiercionośnym promieniu, gdyż w ich gromadzie gwiezdnej podobnego zjawiska nigdy nie zaobserwowano. Legendy też o nim nie wspominały.

- Znasz może jednak miejsce generacji promienia lub przyczyny, dla których uderzył w nasz gwiazdolot.?

Na to Oan miał swoją zwykłą odpowiedź:

- Rozgniewaliście Okrutnych Bogów i bogowie surowo was ukarali.

- Ukarali? Za co? Czym rozgniewaliśmy mściwych bogów?

- Nie mściwych, Eli, tylko surowych.

Poprawka Oana w mózgu każdego z nas zabrzmiała właśnie w ten sposób. Poprosiłem wcześniej wszystkich obecnych na przesłuchaniu o zapisywanie w osobistych deszyfratorach wszystkich odpowiedzi fałszywego Arana. Później porównaliśmy nagrania. Treść wypowiedzi, choć wyrażona w różnej formie, była u wszystkich ta sama, ale to akurat zdanie brzmiało na każdej taśmie jednakowo.

- W porządku. Surowych, a nie mściwych. Nie będziemy czepiać się słów. Spróbuj teraz wyjaśnić nam co innego. Nasze maszyny myślące zostały zablokowane przez wrogie siły. Mózg pokładowy „Tarana” miał rozchwiany układ logiczny...

- Układ więzi czasowych - przerwał mi Oan. -Już wam mówiłem, że maszyna zapadła na raka czasu.

- Tak, już to mówiłeś. Ale powiedzieć nie znaczy wytłumaczyć. Porozmawiajmy wiec o chorym czasie, Oanie, bo właśnie tego zupełnie nie rozumiemy. Dlaczego zachorował czas w Ginących Światach?

- W wyniku działalności Okrutnych Bogów.

- To też już mówiłeś. Ale na czym polega ich działalność?

- Nie wiem.

- Pewnie! Skąd niby zwykły Aran mógłby się dowiedzieć o istocie działalności bogowi Przecież oni nie naradzają się z wami, prawda Oanie? Wróćmy jednak do problemu czasu. Czas chory, gąbczasty, rozerwany, to przecież określenie różnych odmian tego samego zjawiska. Po cóż więc podjąłeś wraz z towarzyszami śmiertelnie niebezpieczną próbę wyrwania się w inny wymiar czasowy, skoro na miejscu miałeś różnych czasów pod dostatkiem?

- Pomyliłeś czas chory z czasem przetransformowanym. Nasz czas jest gąbczasty, słaby, trudny do wykorzystania. Kiedy wiec w okolicach Aranii. pojawił się kolapsar, wokół którego czas jest gesty, nie mogliśmy pominąć takiej okazji. Gdyby bowiem udało się opanować taki czas, można byłoby ewakuować w przeszłość, w przyszłości lub boczne „teraz” każdą planetę i całe gwiazdozbiory ginące w słabnącym czasie.

Miałem go. Zerknąłem na Ellona, który lekkim gestem dał mi do zrozumienia, że jest gotowy. Oan też zrozumiał, że został zdemaskowany. Dwoje dolnych oczu nadal patrzyło wzrokiem pokornym i uniżonym, ale trzecie, niedobre oko gwałtownie się rozjarzyło.

- Mówiłeś przedtem, że ty i twoi towarzysze byliście uciekinierami - zauważyłem. - A teraz okazuje sie, że wcale nie uciekaliście, tylko dokonywaliście eksperymentu. Nie zamierzaliście wcale uciekać, tylko opanować, okiełznać gesty czas wokół kolapsaru. Dobrze cie zrozumiałem, Oanie?

Nie poddał się jednak, tylko podjął rozpaczliwą próbę uratowania twarzy:

- Owszem. W przyszłość można się przedostać jedynie okrężną drogą, omijając naturalny prąd czasu. Próbowaliśmy zbadać czy nie uda się prześliznąć również w przeszłość. Przekroczyć granice teraźniejszości można jedynie w sprasowanym, zawirowanym polu temporalnym kolapsaru, gdzie gałęzie spirali czasowej leżą bardzo blisko siebie. Tak blisko, że niemal się dotykają.

- I po tym wszystkim , co nam tu opowiedziałeś, będziesz nadal utrzymywał, że twoi polegli towarzysze i ty sam jesteście Aranami?

Nie odpowiedział mi. Odchodził. Był i przestawał być. Stawał się przezroczysty, przekształcał się z ciała w cień. Zapadał się w niezbyt, powoli ale nieuchronnie.

- Ellonie! - krzyknąłem rozpaczliwie.

Ellon zawahał się na moment, bo nie chciał nam zrobić krzywdy, ale nie miał innego wyjścia i z pełną mocą wyzwolił pole. Rzuciło nas na podłogę, laseczka Romera szerokim łukiem przeleciała przez konserwator i omal nie wbiła się w ścianę, ale Oan został. Kleszcze pola siłowego uchwyciły go akurat w tym momencie, kiedy jeszcze nie całkiem zniknął.

Teraz wisiał nad nami jak ćwierćmaterialna zjawa dwunastonogiego pająka. Iskra, która w momencie znikania przeskakiwała miedzy wężowłosami, zawisła w pół drogi i tak już na zawsze została. Ucieczka z naszego czasu nie powiodła się. Oan został schwytany w ostatniej mikrosekundzie swego tutejszego-bytu i zakonserwowany na wieki.

- Znakomicie to zrobiłeś, Ellonie! - wykrzyknąłem i spróbowałem podejść do unieruchomionego wroga, ale natychmiast boleśnie uderzyłem się o niewidzialną przeszkodę. - Czy on żyje? A jeśli tak, to czy klatka siłowa jest dość mocna, aby go utrzymać?

- Żyje, ale jest nieprzytomny i nie powinien się ocknąć - odparł Ellon. - Gdyby jednak nawet powrócił z niebytu, to i tak nic nam z jego strony nie grozi.

- Co zrobimy z tym strachem na wróble, Eli? - zapytał Oleg.

- Zostawmy go tutaj. Niech morderca patrzy na swoją ofiarę - odparłem, myśląc o Lusinie.

- Przesłuchanie niewiele nam dało - powiedział Oleg z westchnieniem. - Nie dowiedzieliśmy się najważniejszego : czym tak rozgniewaliśmy Ramirów, że nas postanowili zniszczyć. Dalej też nie wiemy nic o ich śmiercionośnym promieniu.

- Za to dowiedzieliśmy się, że Ramirowie nie są tak wszechmocni, jak się tego obawialiśmy. Ich agent wyznał, że eksperymentował z zawichrowanym czasem wokół kolapsara. A zatem oni też nie wiedzą wszystkiego, nie wszystko potrafią. Czy to nie jest pocieszające?

- Tak się pan z tego cieszy, admirale - uśmiechną) się ironicznie Romero - jakby naprawdę sądził pan dotychczas, że Ramirowie są prawdziwymi bogami!

- Jedno w każdym razie osiągnęliśmy, przyjaciele. Nie ma już wśród nas nieprzyjacielskiego szpiega. Unieszkodliwiliśmy go, a to równa się wygranej bitwie!

3.

Wszyscy chcieli zobaczyć pokonanego wroga i przez kilka dni z rzędu konserwator był najczęściej odwiedzanym miejscem na statku. Nawet Włóczęga, który nie przyszedł do siebie po śmierci Lusina, dowlókł się tam z trudem i wsunął głowę do wnętrza. Popatrzył na cień Oana i powiedział do mnie:

- Jesteś pewien, że on nie żyje, Eli? Zmienił się, to prawda, ale w tym dziwnym świecie transformacje cielesne nie są niczym nadzwyczajnym...

- Żyje, ale jego aktywność została całkowicie zatrzymana, a to praktycznie równa się śmierci. Ellon, kiedy już umieścił klatkę siłową Oana na wyznaczonym jej miejscu, powiedział z nieukrywanym zadowoleniem:

- Admirale, uwięziłem czas. Wyłączyłem go. Pająk, którego na nasze nieszczęście sprowadziłeś na statek, znalazł się poza czasem. Zestarzejemy się, umrzemy, tysiąckrotnie odrodzimy się w potomkach, a on wiecznie będzie tam trwał. To mam już za sobą i teraz mogę zająć się o wiele ważniejszym problemem. Spróbuje zdynamizować czas. To nie udało się dotychczas żadnemu Demiurgowi! I człowiekowi - dodał niemal uprzejmie.

- Co masz na myśli, Ellonie? - zapytałem.

Rozdziawił w szerokim uśmiechu swoją przerażającą paszczeke. Wszyscy byli przygnębieni, a on sie cieszył. Dla niego sens istnienia polegał na rozwiązywaniu coraz to nowych problemów technicznych. Teraz znalazł nowy przedmiot badan, przeczuwał ważne odkrycie, jakże wiec mógł się nie cieszyć?

- Postaram się wytworzyć mikrokolapsar i zobaczyć, jak on transformuje czas. - Dostrzegł wyraz niepokoju na mojej twarzy i pospiesznie dodał: - Nieubawiaj się, na razie zamierzam eksperymentować na poziomie atomowym. Dopiero kiedy uda mi się uruchomić generator mikroczasu, spróbujemy pokazać ciemnym Ramirom, że daleko im jeszcze do nas. Podczas gdy oni muszą wyszukiwać kolapsary kosmiczne, ja stworze własny w laboratorium. I jak zwykle zakończył przeraźliwym bezdźwięcznym chichotem.

Poszedłem na stanowisko dowodzenia, gdzie Oleg z Osimą i Olgą, pozostawiwszy statek pod dozorem automatów, opracowywali plan ratunku dla pozostałych resztek eskadry.

- Eli - powiedział Oleg - „Strzelec” nie nadaje się. nawet na ciężarówkę. Olga uważa, że trzeba jego załogę przenieść na „Węża” i „Koziorożca”, zdemontować ważniejsze urządzenia, przeładować zapasy, a sam statek anihilować.

- I spowodować nowy atak Ramirów! - zaprotestowałem. - Może zapomniałeś, że okrutni władcy Ginących Światów nie znoszą anihilacji mas materialnych?

- Wobec tego wysadźmy „Strzelca” przy pomocy materiałów wybuchowych. Ramirowie nie reagują na eksplozje konwencjonalne, nawet sami je wywołują, o czym najlepiej świadczy załoga naszych statków. A teraz sprawa najważniejsza i najpilniejsza, Eli. Trzeba uruchomić MUK. Zajmij się tym z Ellonem.

- Ellon zamierza zmieniać bieg czasu w procesach laborato-

ryjnych, żeby rozszyfrować istotę zjawiska, które Oan nazwał rakiem czasu.

- Admirale! - wybuchnął nagle Osima. - Nie pora teraz na zajmowanie się głupstwami! Eskadra znalazła się w niebezpieczeństwie i pan, jako kierownik naukowy wyprawy ma obowiązek to niebezpieczeństwo od niej odsunąć. Musi pan opracować plan ratunku, który my niezwłocznie zrealizujemy. Nie poznaję pana, admirale! Dawniej działał pan o wiele szybciej i skuteczniej!

Spuściłem głowę. Nie tylko ja się zmieniłem, ale w niczym to mnie nie usprawiedliwiało. Oleg milczał, ale tym milczeniem również mnie potępiał.

- Macie racje, przyjaciele - powiedziałem. - Najpilniejszym zadaniem jest przywrócenie sterowności statków. Zajmijcie się ewakuacją „Strzelca”, a ja w tym czasie postaram się coś zrobić z mózgami pokładowymi.

Prosto ze stanowiska dowodzenia poszedłem do Włóczęgi, który leżał płasko rozpostrty na podłodze. Na jego grzbiecie Trub z Gigiem zapamiętale grali w durnia.

- Przyjaciele - powiedziałem - musze porozmawiać z Włóczęgą w cztery oczy.

Trub bez cienia urazy machnął skrzydłami i poleciał do wyjścia, ale Gig poczuł się trochę urażony, mrugnął wiec do niego porozumiewawczo. Poweselał i przestał się dąsać.

- Włóczęgo, jak się dzisiaj czujesz? - zapytałem, gdy zostaliśmy sam na sam.

- Jak się czuje? - wychrypiał, łypiąc na mnie z ironią swoim bursztynowym okiem. - Nie najlepiej. Teraz to ciało jest dla mnie zbyt wielkie. Przytłacza mnie.

- A może zrobić to ciało nieważkim? Będziesz mógł wówczas swobodnie unosić się w powietrzu. Dziwne, że do tej pory o tym nie pomyśleliśmy...

- I bardzo dobrze, żeśmy nie pomyśleli. Zwrócisz mi młodość?

- Niestety, tego nie potrafię.

- A po co mi nieważkość bez młodości? Czy latający starzec jest lepszy od pełzającego? Ja nie łubie sie oszukiwać, chociaż tęsknie do działania, do ruchu. Ruch całe życie był moim największym marzeniem.

- Nawet wówczas, kiedy zostałeś smokiem?

- Nie, wtedy byłem prawdziwie szczęśliwy, bo miałem posłuszne mi ciało. Moje cielesne życie było krótkie, ale nie oddałbym za nie nieśmiertelnej wieczności w swym poprzednim kształcie. Dziękuje ci, Eli, że podarowałeś mi te radość.

- Mówisz tak, jakbyś się już żegnał. Niepotrzebnie. Do końca ci jeszcze daleko.

- Mylisz się, mój koniec jest już bardzo bliski. Chciałbym tylko przed śmiercią przekonać się, że nic wam nie grozi, że wyrwaliście się z pułapki.

- Możesz nam w tym pomóc - powiedziałem.

- Nie rozumiem! W jaki sposób?

- Posłuchaj, Włóczęgo. Oglądałeś zapis przesłuchania Oana? Szpieg przyznał się, że Ramirowie-przeprowadzają eksperymenty z czasem. A zatem istnieje coś, czego i oni nie potrafią! Ellon, który wpadł na interesujący pomysł transformacji czasu, nazwał ich nieukami.

- Ellon to chwalipięta.

- Istotnie, zbyt skromny nie jest, ale ważne jest co innego: z Ramirami można walczyć. Rzuciliśmy sie do boju nie przygotowani i drogo za to zapłaciliśmy. Nie cofniemy się jednak, bo nie możemy się wycofać: nasze statki są praktycznie unieruchomione...

- Wola twoja, Eli...

- Pomóż nam! Przypomnij sobie jak twojej woli podporządkowywały się gwiazdy i planety. Ożyw nasze gwiazdoloty!

- Mam ożywić statki? Ja, schorowany smok?...

- Właśnie ty, bo nikt inny tego nie potrafi. Nie ty się zestarzałeś, tylko twoje ciało. Twój potężny intelekt jest nadal sprawny, zastąp wiec nasz MUK, podporządkuj sobie analizatory i mechanizmy wykonawcze!

- Zapomniałeś o moim strupieszałym cielsku, Eli...

- Wyzwolimy cie z niego. Przywrócimy ci poprzednią postać. Wiem, że nienawidziłeś tamtego bytowania, ale wtedy było ono życiem niewolnego nadzorcy więziennego. Ja natomiast proponuje ci role wyzwoliciela, zbawcy przyjaciół, którzy tak cie kochają i tak potrzebują twojej pomocy.

- Tylko Lusin mógłby to zrobić, a Lusin nie żyje, Eli.

- Zrobi to Ellon: Demiurgowie kiedyś wypreparowali twój młody mózg z ciała Galakta, wiec i dziś potrafią powtórzyć te operacje.

- Ellon mnie zabije.

- Będzie przeprowadzał operacje pod nadzorem Orlana, a jemu chyba wierzysz?

- Orlanowi wierze, ale chciałbym, żebyś i ty był przy tym obecny. - Dobiegło mnie słabe westchnienie, któremu nie towarzyszył najmniejszy bodaj kłębuszek dymu. - Pospiesz się wiec, Eli! Życie wycieka ze mnie, jak woda z dziurawej beczki...

Poszedłem do Orlana.

4.

U Orlana siedział, a właściwie majestatycznie zasiadał na kanapie Gracjusz. Dobrze się złożyło, że zastałem ich obu, bo nie będę musiał wszystkiego powtarzać dwukrotnie.

- Operacja ekstrakcji mózgu nie przedstawia żadnych trudności - powiedział Orlan. - W ciągu tysiącleci tak udoskonaliliśmy technikę tego zabiegu, że...

- Znów-chcecie przysposabiać żywy Mózg do pracy, którą tak doskonale wykonywały wasze mechanizmy, Eli! - wykrzyknął z dezaprobatą Gracjusz.

- Mechanizmy odmówiły posłuszeństwa. Nie rozumiem cie, Gracjuszu. Powinieneś być przecież dumny, że struktura biologiczna okazała się lepsza od sztucznej konstrukcji!

- Chodźmy do Ellona - powiedział Orlan.

Ellon regulował właśnie kondensator grawitacyjny, na którego okładkach zamierzał uzyskać pole ekwiwalentne w mikroskali polu grawitacyjnemu kolapsara. W istocie była to po prostu odmiana konstrukcyjna generatora metryki wytwarzającego spirale grawitacyjną. Powiedział mu, że będzie musiał oderwać się od tego zajęcia i przeprowadzić pilną operacje.

- Głupi pomysł! - odparł Ellon. - Żaden smok nie jest potrzebny, bo wkrótce uruchomię nasze mózgi pokładowe.

- Co to znaczy wkrótce?

- Wkrótce, to znaczy wkrótce. Zresztą nikt nas na razie nie atakuje, wiec nie musimy się spieszyć.

- Musimy. Smok jest umierający. Stracimy jego mózg, jeśli go niezwłocznie nie zoperujemy.

- Niewielka strata, admirale.

- Operacja jest niezbędna!

- Ani myślę jej robić! - Ellon odwrócił się do swojego kondensatora. Powstrzymał go władczy okrzyk Orlana:

- Ellonie, ja cie nie zwalniałem!

Ellon zamarł. Tułów gotów był skoczyć na nas, ale głowa obracała się pokornie ku Orlanowi.

- A czy musze pytać cie o zgodę na odejście? - zapytał chmurnie. Orlan pogardliwie zignorował jego pytanie.

- O ile dobrze pamiętam, w szkole przygotowywałeś się do egzaminu na Niszczyciela Czwartej Kategorii Imperialnej, do którego obowiązków należało przeprowadzanie właśnie takich zabiegów. A może sie mylę, Ellonie?

- To było przed Wyzwoleniem, a teraz jestem naczelnym inżynierem eskadry kosmicznej i nie mam obowiązku spełniać wszystkich próśb zwariowanego admirała!

- Próśb tak, ale to jest mój rozkaz, Ellonie!

Ellon wpił się wściekłym wzrokiem w fosforyzującą niebieskawym blaskiem, nieruchomą twarz Orlana. Wspominałem już, że stosunki tych dwóch Demiurgów były dla mnie tajemnice. Orlan zachowywał się wobec Ellona z zaskakującą uniżonością, a teraz przekonałem się, że sprawa nie jest tak prosta, jak by to się na pierwszy rzut oka mogło wydawać. Teraz z obu opadły z trudem przyswojone nowe zasady zachowania. Przed dumnym Niszczycielem Pierwszej Kategorii Imperialnej zginał się w pokornym ukłonie nędzny, czwartorzędny urzędniczyna. Ellon, choć złamany, próbował jednak jeszcze walczyć:

- Nie rozumiem cie, Orlanie...

- Kiedy przystąpisz do operacji?

Ellon z łoskotem wbił głowę w ramiona. Na bardziej zdecydowany protest już się nie ośmielił.

- Gdy tylko przygotuje aparaturę i płyny odżywcze. Jeszcze dzisiaj. - I ponownie skłonił się w kornym ukłonie.

- Wykonasz zabieg pod moim nadzorem! - powiedział dobitnie Orlan, odwrócił się na piecie i długim, posuwistym krokiem wypadł z laboratorium.

Dopędziliśmy go z najwyższym trudem, gdy jednak udało się to nam, Orlan znów był Demiurgiem, uprzejmym, dobrze ułożonym przyjacielem ludzi i ich gwiezdnych braci. Nie potrafiłem się powstrzymać od niezręcznej uwagi:

- Wyobrażam sobie, Orlanie, jakiego strachu potrafiłeś napędzić w czasach, kiedy byłeś jednym z najulubieńszych dostojników na dworze Wielkiego Niszczyciela.

- To było tak dawno, że czasami wątpię, iż było naprawdę - odparł mi swym zwykłym łagodnym tonem.

- Włóczęga boi się operacji, a zwłaszcza tego, że operował go będzie Ellon - powiedziałem.

Na krótką chwile znów ujrzałem nie swego przyjaciela Demiurga Orlana, lecz pysznego dostojnika Imperium Niszczycieli.

- Niepotrzebnie. Demiurgowie od dzieciństwa wychowywani są w duchu posłuszeństwa i rzetelności. Ellon to wybitny umysł, ale pod innymi względami nie różni się niczym od pozostałych Demiurgów.

Wróciłem do Włóczęgi, u którego zastałem perorującego Romera. Smok powiedział mu o mojej propozycji i wyznał, że lęka

się powtórnego uwięzienia, wiec Paweł starał się rozproszyć jego obawy, przytaczając swoim zwyczajem mnóstwo argumentów zaczerpniętych ze starożytnej historii. Ku mojemu zdziwieniu krasomówstwo Romera odniosło skutek, bo Włóczęga popatrzył na mnie niemal z nadzieją-

- Dzisiaj, Włóczęgo - powiedziałem. -Już dzisiaj dokonasz kolejnego przekształcenia. Ty jeden wśród nas zmieniasz postaci jak kobieta fryzury. Zazdroszczę ci tego, mój przyjacielu!

- Dziękuje, Eli - zaszeleścił smok przymykając oczy.

Zgodnie z obietnicą byłem obecny przy operacji. Opisywać jej nie będę, gdyż był to zabieg dość banalny, musze jednak wyznać, że byłem wstrząśnięty, gdy po raz pierwszy wszedłem do pomieszczenia, w którym odtąd miał rezydować Mózg. Kabina przypominała galaktyczne stanowisko dowodzenia Niszczycieli na Trzeciej Planecie: ta sama niknąca w ciemności kopuła, gwiezdne sfery, pierścieniowate ściany. A pośrodku kabiny, miedzy stropem a podłogą, unosiła się swobodnie w powietrzu półprzezroczysta kula, w której znajdował się nasz przyjaciel Włóczęga na wieki przykuty do miejsca.

Wstrząsnął mnie nie widok kabiny, bo byłem nań przygotowany, lecz głos, który zabrzmiał w moich uszach. Spodziewałem się usłyszeć sepleniący, ochrypły głos smoka, a nie śpiewny, melodyjny, dawno zapomniany głos Mózgu:

- Zaczniemy, Eli? - zapytał ów głos.

- Jesteś tu, Włóczęgo? - wymamrotałem głupio. - Dobrze ci jest?

- Nigdzie nie uwiera - odparł z lekką ironią głos. - Ellon wyrósłby na znakomitego fachowca od ekstrakcji mózgów, gdybyście nie rozbili Imperium Niszczycieli. Spieszę cie poinformować, że nawiązałem już kontakt z większością mechanizmów wykonawczych. Wkrótce uruchomię statek, a jeśli Ellon zamontuje odpowiednie anteny, również i „Wąż" będzie niebawem gotowy do drogi.

- Dziękuje ci, Włóczęgo - powiedziałem ze wzruszeniem. - Czy mogę cie tak nazywać?

- Nazywaj jak chcesz, byłeś nie zwracał się do mnie jako do Głównego Mózgu. Nie chce, abyś mi przypominał o Trzeciej Planecie...

- Będziesz dla nas Głosem - powiedziałem uroczyście. - Tak cie będziemy nazywać! Zameldowałem Olegowi, że może już wytyczać dalszy kurs w kierunku jądra, a potem wstąpiłem do

Gracjusza. Galakt był sam. Opadłem na kanapę. Byłem porządnie zmęczony.

- Źle się czujesz, Eli? - zapytał troskliwie gospodarz. - Mogę dać ci niezły...

- Gracjuszu - przerwałem mu - interesowałeś się jak nasz były Włóczęga zwany obecnie Głosem wchodzi w swoją nową rolę? Niebawem będziemy mogli poruszać się z szybkością nadświetlną. Ożyją też nasze anihilatory bojowe. Gracjuszu, pomóż Głosowi, zostań jego asystentem. Galakt popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Co kryje się pod twoją propozycją, admirale? - zapytał.

- Nie wiem - odparłem niepewnie. - Chyba przeczucie. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, bo tego nie da się wyrazić słowami, ale przeczucia dla ludzi mają swoje znaczenie. Należysz do tej samej rasy, co i Głos, dlatego proszę cie, żebyś mu pomógł...

- Zostanę asystentem Głosu, Eli - odparł z serdeczną powagą Galakt.

5.

Nikt nadal nie wiedział, jakie siły blokowały prace MUK, ale siły te stopniowo słabły i przestawały już być niepokonaną przeszkodą w uruchomieniu mózgów pokładowych. Pierwszy ocknął się MUK „Strzelca" wymontowany z ewakuowanego gwiazdolotu. Olga na wiadomość o tym wyściskała nawe! Ellona, który zapewnił, że wszystkie mózgi, działające jeszcze jakby ospale, odzyskają niebawem pełną sprawność, bo siły blokujące ich działalność myślową szybko zanikają. Dodał też, że wówczas można będzie zrezygnować z usług naszego zamkniętego w kuli ulubieńca.

- Nie lubisz Głosu, Ellonie? - zapytałem.

Zamiast odpowiedzi odwrócił się do mnie plecami. Demiurgowie nie uczą się w szkołach zasad dobrego ludzkiego wychowania, a w-dodatku Ellon nie zapomniał jeszcze, że kiedyś był wielce obiecującym Niszczycielem.

W nocy nie mogłem długo zasnąć i w milczeniu miotałem się po kabinie. Myślałem. Jeśli Ramirowie nie zdołali nas zniszczyć, to sprawa jest prosta, nie dali rady. Co znaczy nie dali rady? Nie chcieli! Spaliwszy „Cielca" osiągnęli jakiś swój cel i lekceważąco zignorowali pozostałe gwiazdoloty. Jaki to był cel? Nie dopuścić do anihilacji planety! Wiedzieli z doniesień Oana o naszych zamiarach i przeszkodzili nam w ich realizacji. Dlaczego? Po co im była potrzebna ta martwa planetka? Co kryje się za ich okrucieństwem wobec Aranów?

Nad ranem weszła do mnie przestraszona Mary i powiedziała z ulgą: - Jesteś tutaj? Obudziłam się, zobaczyłam, że cie nie ma i pomyślałam, iż wydarzyło się jakieś nowe nieszczęście.

- Mary - powiedziałem - odpowiedz mi dlaczego Okrutni Bogowie są okrutni? Przecież okrucieństwo jest jednym z przejawów tchórzostwa i słabości, a nie potęgi!

- Tak jest w społeczeństwach ludzkich - zaoponowała z uśmiechem - ale nie musi być w cywilizacjach gwiezdnych jądra Galaktyki. Różne miejsca, różne obyczaje...

- Nie chodzi tylko o zwyczaje, ale o logikę, która wszędzie musi być jednakowa!

- Doprawdy? Dlaczego wiec zarzucasz mi czasem „kobiecą logikę", a wiec logikę różną od twojej?

- Masz racje, Mary! - wykrzyknąłem ze śmiechem. - Postaram się zapamiętać, że we Wszechświecie istnieje mnóstwo rozmaitych logik czy też różnych systemów myślenia. Założę też z góry, że nasz system myślenia jest odmienny od innych i spróbuje przetransponować go, przenieść w inny układ współrzędnych i zobaczyć, jakie prawa pozostaną niezmienione, poszukam inwariantów. Inwariantów logiki i etyki międzygwiezdnej. 1 jeśli nawet wówczas nie zrozumiem, dlaczego Ramirowie z nami walczą i czego w ogóle chcą, to znaczy, że na starość oduczyłem się myśleć.

Mary wróciła do siebie, a ja nadal biegałem po kabinie, myślałem za siebie i za Ramirów, konstruowałem i odrzucałem dziesiątki koncepcji, z których wreszcie jedna wydała mi się godna uwagi. Musiałem to natychmiast sprawdzić, wiec pobiegłem do kabiny Głosu, po której majestatycznym krokiem przechadzał się Gracjusz.

- Przyjaciele - powiedziałem. - Dowódca eskadry polecił przygotować się do kontynuowania rejsu w kierunku jądra. Uszkodzonego gwiazdolotu wziąć ze sobą nie możemy, zaś jego zanihilowanie może spowodować nową kontrakcje nieznanych wrogów. Dlatego Oleg chce go zniszczyć przy pomocy konwencjonalnej eksplozji. Ja mam inną propozycje: może poddać „Strzelca" anihilacji tłącej? W pobliżu Ziemi często stosujemy te metodę, jeśli zależy nam, aby zbyt gwałtowny wybuch nie naruszył równowagi ciał niebieskich.

Głos zrozumiał mnie w pół słowa.

- Masz nadzieje, że przeciwko takiej anihilacji Ramirowie nie zaprotestują? - zapytał. - Chcesz zbadać zakres tolerancji Okrutnych Bogów?

- Chce im zadać konkretne pytanie i otrzymać na nie wyraźną odpowiedź, a nie widzę na to innego sposobu poza tym ryzykownym eksperymentem. Potrafisz przeprowadzić taką operacje na odległość, Głosie?

- Bez najmniejszego trudu!

Oleg rozkazał „Koziorożcowi" i „Wężowi" oddalić się od skazanego na zniszczenie „Strzelca" na granice widoczności optycznej, a ciężarówki odsunąć jeszcze dalej. I Głos przystąpił do akcji. Osima, jako obdarzony najszybszą reakcją, zasiadł za sterami „Koziorożca", aby w razie najmniejszego niebezpieczeństwa rzucić się do natychmiastowej ucieczki, my zaś zgromadziliśmy się w kabinie Głosu. Niedawny Włóczęga uspokoił nas, że eksperyment przebiega sprawnie. „Strzelec" wolno sie wypala, przekształcając się w pustą przestrzeń i nie napotykając przy tym zbyt wielkiego oporu.

- Jak mam cie rozumieć, Głosie? - zapytałem.

- Wyczuwam pewne ograniczenie, Eli. Moje rozkazy wykonywane są z opóźnieniem. Niewielkim, liczonym w mikrosekundach, ale jednak opóźnieniem...

- Głosie - powiedziałem. - Spowolnij anihilacje, a potem stopniowo ją zintensyfikuj i zaobserwuj, jak zmieniają się siły hamujące.

Siły hamujące zanikały, gdy Głos wygaszał anihilacje i wyraźnie narastały, gdy ją aktywizował. W pewnej chwili poskarżył się, że jeśli jeszcze bardziej ją przyspieszy, to cały proces wymknie mu się spod kontroli.

- Obawiasz się wybuchu czy tego, że zostaniesz zablokowany?

- Nie jestem MUK, żeby można mnie było zablokować, ale mechanizmy wykonawcze odmówią mi posłuszeństwa.

Poszedłem na stanowisko dowodzenia. Na wielkim ekranie gwiezdnym „Strzelec" jeszcze płonął, jarzył się ciemnym blaskiem niczym rozgrzana do czerwoności srucina. Widziałem te iskierkę wyraźnie, gdyż rozdzielała nas już nie mgławica pyłowa, lecz czysta przestrzeń, w którą stopniowo przekształcał się nasz anihilowany gwiazdolot.

Olga siedząca w fotelu drugiego pilota cicho opłakiwała swój statek. Płakała chyba po raz pierwszy w życiu. Położyłem jej rękę na ramieniu.

- Ciesz się., Olgo! - powiedziałem. - Dzięki twojemu „Strzelcowi" uratuje się cała cywilizacja gwiezdna!

- Przestań dowcipkować, Eli! - obraziła się niespodziewanie Olga. - To nie jest odpowiednia chwila do żartów.

- Wcale nie żartuje. Już teraz widzę, że będziemy jednak mogli zanihilować planetę, przez którą uległo zagładzie dwie trze-

cie naszej eskadry.

Olga nie wiedziała jeszcze, że po wypaleniu gwiazdolotu zamierzaliśmy w ten sposób postąpić z planetą, jeśli w pierwszym etapie akcji nie zostaniemy „skarceni" przez Ramirów. Jednak „Strzelec" wytlił sie bez przeszkód. Okrutni Bogowie odpowiedzieli na moje pytanie, że zdecydowanie nie życzą sobie eksplozyjnego narastania przestrzeni, natomiast nie mają nic przeciwko tego rodzaju wolno przebiegającym procesom.

- Chyba dlatego, że w przeciwieństwie do procesów gwałtownych nie zakłócają one zbytnio równowagi kosmicznej w gromadzie gwiezdnej - zauważyła Olga. - Spróbuje to policzyć.

Martwa planeta nadal krążyła po tej samej orbicie miedzy Aranią a Trzema Mglistymi Słońcami, na którą ją wciągnęliśmy. Było oczywiste, że naszym wrogom obojętna jest jej lokalizacja w układzie, pod warunkiem, że nie będziemy jej wysadzać. Ale stopniowe wyparowywanie ciała kosmicznego tej wielkości nie było rzeczą prostą. Anihilacja tląca wymagała nie tylko czasu, lecz także nieustannego podtrzymywania z zewnątrz. Planety nie można było podpalić i zostawić, bo proces wkrótce by wygasł.

- Trzeba będzie poświecić transportowiec - powiedział Oleg z westchnieniem.

- Dwa! - wtrącił Osima. - Pozbędziemy się w ten sposób kuli u nogi, bo ciężarówkami trudno kierować przy szybkościach nadświetlnych, a poza tym nie ma z nich żadnego pożytku!

Tego wieczoru Mary powiedziała do mnie:

- Cała załoga zna już plan tlącej anihilacji planety. Chciałabym się w związku z tym z tobą naradzić, bo i ja przecież będę musiała wyrazić swoją opinie na ten temat. Szukałam cie, Eli. Gdzie byłeś?

- Spacerowałem po parku.

- I oczywiście odwiedziłeś konserwator?

- Dlaczego oczywiście?

- Czasami się ciebie boje, Eli. Masz w sobie coś z dzikusa uprawiającego kult zmarłych.

- Zaskakujesz mnie!

- Czyżbyś zapomniał, że i w ziemskim Panteonie też potrafiłeś przesiadywać całymi godzinami? A w Sali Wielkich Przodków tak patrzyłeś na posągi, jakbyś się do nich modlił...

- Naprawdę tak to wyglądało? - zapytałem ze śmiechem. - Nie wiedziałem, bo z pewnością postarałbym się zachowywać inaczej. Masz jednak racje, że mam wielki szacunek dla przodków, bo zawsze pasjonowałem się historią.

- Pasjonowałeś się historią! - wykrzyknęła ironicznie Mary. - Romero uważa, że nie masz o historii najmniejszego pojęcia, a ja się z nim pod tym względem zgadzam. Nie, ty po prostu jesteś cały zwrócony ku przeszłości, a to zupełnie coś innego.

- Czego właściwie ode mnie chcesz, Mary?

- Chce wiedzieć, co cie skłania do nieustannego obcowania ze zmarłymi - odparła krótko. Postarałem się, żeby odpowiedź zabrzmiała żartobliwie.

- Przecież sama mi to powiedziałaś! - wykrzyknąłem. - Jestem po prostu dzikusem uprawiającym kult zmarłych...

6.

Eskadra opuściła gromadę gwiezdną Ginących Światów. Przez jakiś czas obserwowaliśmy jeszcze malowniczy widok anihilującej planety, ale niebawem jarzący się ognik został daleko za rufą gwiazdolotu, niewidoczny nawet na ekranie powielacza optycznego i znów powtórzyły się znajome krajobrazy.

Wyrwaliśmy się z zapylonej gromady, wokół rozpościerała się czysta przestrzeń, gęsto i bezładnie wypełniona gwiazdami. A przed nami narastał gigantyczny gwiezdny pożar - groźne jądro Galaktyki...

Dawniej wolny czas spędzałem przed ekranami, ale teraz, chociaż było co na nich obserwować, najchętniej przebywałem w laboratorium Ellona, gdzie budowano kondensator czasu.

Urządzenie miało kształt kuli z superwytrzymałego plastiku, coś w rodzaju niewielkiego autoklawu oplecionego jednak gąszczem przewodów, szyn prądowych i rur.

- Praca została zakończona, admirale! - wykrzyknął pewnego dnia Ellon. - Wewnątrz tej kuli znajduje się strzępek materii o wymiarach jądra wodoru. Ale jej masa przekracza sto tysięcy ton!

- Ależ to teoretycznie niemożliwe! - powiedziałem zdumiony.

- Co mnie obchodzą ludzkie teorie, admirale! - błysnął oczyma Demiurg- Niech je studiują Ramirowie, którzy tak samo jak wy nie mają zielonego pojęcia o naturze kolapsu grawitacyjnego i muszą korzystać w swych badaniach z energii naturalnych kolapsarow. Ja natomiast transformuje czas przy użyciu tego mikroskopijnego kolapsanu - podkreślił tonem głosu nowy termin. - Kiedy go włączę, zainplantowane do wnętrza cząsteczki wystrzelą w daleką przeszłość albo w jeszcze dalszą przyszłość!

- A sami nie powędrujemy za nimi? Ellon popatrzył na mnie z pogardą.

- Uważasz mnie za Okrutnego Boga, admirale? - zapytał

- Nie jestem takim nieukiem, jak oni!

Kiedy wychodziłem z laboratorium, zapytał mnie jeszcze:

- Admirale, jesteś zadowolony z pracy mózgów pokładowych?

- Na razie nie mogę się na nie uskarżać.

- Wobec tego czemu rządzi nimi nadal Mózg? Po co je uruchamiałem?... Nie wydaje ci się dziwne, że ja, Demiurg, namawiam cie do przywrócenia ludzkiego sposobu kierowania eskadrą? Bo przecież MUK jest ludzkim wynalazkiem, prawda?

Wcale mi się to nie wydawało dziwne, bo wiedziałem, że Ellon wcześniej czy później znów zażąda „zdymisjonowania" Głosu. Demiurg od początku nie znosił smoka, a teraz wręcz go znienawidził bowiem jego obecną role uważał za niesprawiedliwe wywyższenie. Tego nie potrafił znieść tym bardziej że transformacja Włóczęgi w Głos została dokonana wbrew jego woli, ale za to jego własnymi rekami. Aby go nie urazić jeszcze bardziej, wyjaśniłem oględnie, że Głos nie dowodzi mózgami pokładowymi, tylko dubluje ich czynności, że dobrze byłoby mieć na wszelki wypadek innych jeszcze dublerów, w związku ż czym Gracjusz wprawia się w sterowaniu eskadrą, że wreszcie to nie ja zarządziłem taki tryb pracy, tylko dowódca wyprawy... Ellon jednak przerwał mi pełnym zniecierpliwienia gestem:

- Nie mam nic przeciwko Gracjuszowi! Niech sobie ćwiczy na zdrowie tak całej jego nieśmiertelności nie starczy mu na opanowanie funkcji MUK, ale Mózg jest zbędny!

- W tej sytuacji mogę zaproponować tylko jedno: niech na temat roli Głosu wypowie się cała załoga eskadry. Jeśli wszyscy uznają twoje antypatie za uzasadnione...

- Moje sympatie i antypatie nie mają tu nic do rzeczy, ale jeśli mózgi pokładowe znów się rozregulują, ja ich więcej remontować nie będę. Nie zamierzam dostarczać wam coraz to nowych niewolników!

Wieczorem przyszła do nas Irena.

- Chciałabym porozmawiać z Elim - powiedziała. Mary wstała, ale Irena nie pozwoliła jej odejść.

- Eli - powiedziała - przy twojej żonie będzie mi łatwiej z tobą rozmawiać. Wiesz chyba, z czym przyszłam?

- Nie wiem, ale się domyślam. Chodzi o coś związanego z Ellonem, prawda?

- Tak, z Ellonem! - wykrzyknęła zaciskając nerwowo palce. - Dlaczego postawił pan nad nim smoka?

- Dlaczego każe mu pan służyć obrzydliwemu gadowi, który w dodatku przeszkadza mózgom pokładowym w kierowaniu eskadrą?

- Pamiętaj, że maszyny raz już odmówiły posłuszeństwa.

- To co z tego? Ale znów działają, robią to, do czego zostały skonstruowane. Pańskie przywiązanie do smoka jest w tej sytuacji obraźliwe dla wszystkich, czy pan tego nie potrafi zrozumieć?

- Nie potrafię zrozumieć czegoś innego. Tego mianowicie, za co Ellon tak nienawidzi biednego Włóczęgi?

- Nie wiem! Proszę raczej zapytać, dlaczego ja nie znoszę tego smoka...

- Dobrze - odparłem. - Dlaczego więc nie znosisz Głosu?

- Nie lubię go i już! Nie cierpiałam go już na Trzeciej Planecie! Obrzydliwe, cuchnące cielsko...

- Włóczęga od tej pory bardzo się zmienił, Ireno.

- Tak, zestarzał się i amory już mu nie w głowie. Ale nadal cuchnie. Dziwie się, że pan potrafił przesiadywać z nim godzinami, podczas gdy ja musiałam w jego obecności zatykać nos.

- Nie wiedziałem, że to tak wygląda...

- Oleg też się nim brzydzi, ale ustąpił panu, bo panu ustępuje zawsze i we wszystkim. Pana zaś inni zupełnie nie obchodzą, bo liczą się dla pana jedynie własne zachcianki!

- To mocny zarzut, Ireno!

- Ale sprawiedliwy! Lusin chciał wziąć ze sobą oprócz Mizara jeszcze dwa koty, ktoś jednak powiedział, że pan kotów nie cierpi. Sprawdzono to i okazało się, że istotnie nie przepada pan za kotami, admirale! No i Lusin bez słowa zrezygnował z zabrania swoich ulubionych kotów. A pan zapytał kogoś czy towarzystwo ognistego smoka sprawia mu przyjemność?

- Smoka nie ma - powiedziałem. -Jest myślący Głos, koordynujący prace dwóch mózgów pokładowych. Jeśli okaże się, że naprawdę nie daje sobie z tym rady, zwolnimy Głos z jego obecnych obowiązków i zatrzymamy w rezerwie.

Irena wstała. Zatrzymałem ją:

- Wspomniałaś, że masz jeszcze coś do powiedzenia na temat Olega. Zatem słucham. Zawahała się i dopiero po dłuższej chwili powiedziała ze łzami w oczach:

- Oleg bardzo się zmienił, nie jest już taki jak dawniej. To przez pana. Jest pan główną postacią w eskadrze i wszystkich pan sobie podporządkował. Jego również. Dawniej byłam z niego dumna, teraz mi go żal. Powiedziałam mu: mój ojciec też latał z Elim, ale nie pozwalał tak sobą komenderować. Odparł mi na to, że mówię od rzeczy...

- I miał świętą racje! - wykrzyknąłem.
Po jej wyjściu przez parę minut krążyłem w milczeniu po kabinie. Mary obserwowała mnie z uśmiechem.
- Cieszysz się - wykrzyknąłem z irytacją - że na statku zaczynają się swary?
- Cieszy mnie to, że wreszcie usłyszałeś kilka nieprzyjemnych słów prawdy! - Śmiała się tak zaraźliwie, że i ja nie mogłem utrzymać powagi. -Ja sama już nie raz zamierzałam powiedzieć ci coś podobnego, ale ty tak przejmujesz się najmniejszym głupstwem... A jeśli chodzi o koty, to sama poprosiłam o ich pozostawienie na Ziemi.
- Niepotrzebnie! Jakoś bym wytrzymał ich obecność na statku.
- Chodziło właśnie o to, żebyś nie musiał wytrzymywać.
- Dość już o kotach! - zawołałem ze złością. - Nie znoszę ich i basta! Powiedz lepiej, co mam robić!
- Przede wszystkim ustalić jak wygląda współpraca Głosu z Mózgami. Jeśli istotnie są w niej jakieś zahamowania, to sprawa jest poważna.
- Masz racje - powiedziałem. - Zaraz to sprawdzę.
Wokół kabiny Głosu majestatycznie przechadzał się Gracjusz, pełniąc w ten sposób swoje nowe obowiązki, które na razie sprowadzały się do rozmów z Głosem na wszelkie możliwe i niemożliwe tematy.
- Głosie - powiedziałem. - Jak ci się układa współpraca z maszynami myślącymi?
- Oba mózgi pokładowe są zbyt powolne - poskarżył się.
- Chcesz przez to powiedzieć, że przeliczasz warianty szybciej od nich?
- Nic podobnego! Nikt nie może liczyć szybciej niż MUK, ale kiedyś ci już wspominałem, że nie analizuje kolejnych wariantów rozwiązania, tylko od razu znajduje właściwą odpowiedź.
- Tak, mówiłeś mi o tym, ale jakoś nie potrafię zrozumieć jak to w ogóle jest możliwe.
- Wszystkie rozwiązania wariantowe pojawiają się we mnie jednocześnie. Moim zadaniem jest wybór najodpowiedniejszego, wiec robie to w sposób intuicyjny. Oceniam cały zbiór wariantów całościowo, nie tracąc czasu na ich kolejne analizowanie. MUK jeszcze nie zdąży przeliczyć poszczególnych możliwości, kiedy już podpowiadam jedynie właściwą odpowiedź. Trochę to utrudnia prace mózgów, ale jeszcze nigdy nie spowodowało błędu.
- A czy ty, Gracjuszu - zwróciłem się do Galakta - też myślisz gotowymi ocenami?
- Staram się, Eh - odparł z majestatyczną skromnością.
Sytuacja zatem wyglądała zupełnie inaczej niż sądzili Ellon i Irena. Poszedłem na stanowisko dowodzenia i żeby nie przeszkadzać Osimie wywołałem Olega na korytarz. Zaprosił mnie do siebie. Zajmował mieszkanko, składające się z dwóch pokoików urządzonych na wzór starożytnych kajut okrętowych.
Opowiedziałem dowódcy eskadry o żądaniach Ellona popartych natarczywymi prośbami Ireny. Oleg słuchał z obojętnym wyrazem twarzy i uśmiechnął się tylko raz, kiedy referowałem mu zarzuty, jakie postawiła mi dziewczyna.
- Zdaje się, że bardzo cie to ubodło, Eli! - zauważył.
- Człowiekowi nie może być przyjemnie, kiedy rzuca mu się w twarz takie oskarżenia.
- Nie przejmuj się. Ja nie jestem z tych, których można zmusić do postępowania wbrew własnej woli. Jeśli zgadzam się z tobą, to tylko dlatego, że masz racje. Właśnie dlatego nalegałem na twój udział w wyprawie, żeby wysłuchiwać twoich rad. To współpraca, a nie utrata samodzielności. Szkoda, że Irena tego nie rozumie.
- Ona nie rozumie również wielu innych rzeczy - dodałem.
Oleg powściągliwie skinął głową. Powiedziałem, że skoro Głos stworzył nowy system kierowania statkiem, system skuteczniejszy od realizowanego dotychczas przez MUK, to rezygnowanie z niego byłoby nierozsądne.
- Rzecz polega na tym - ciągnąłem - że ich konstruktorzy wykorzystali tylko jedną cechę ludzkiego myślenia: zdolność analizowania i wyciągania logicznych wniosków. MUK mnoży i porównuje warianty i na tym jego rola się kończy. Jednak myślenie człowieka nie ogranicza się do zimnej analizy, jest zatem bogatsze od maszynowego. A w trudnych sytuacjach ta nietożsamość dwóch sposobów myślenia może doprowadzić do ciężkich kłopotów, nawet katastrofy...
- Nie potrafię ocenić, jak dalece słuszne są twoje zastrzeżenia co do sprawności mechanicznego intelektu, ale wspomniałeś o możliwych kłopotach... Co miałeś na myśli, Eli?
- Tylko to, że w każdej chwili może pęknąć każde z ogniw niezliczonych łańcuchów logicznych i wtedy skomplikowane obliczenia mózgów pokładowych doprowadzą do absurdu. Przypomnij sobie awarie na „Taranie”. Jego MUK pomylił skutki z przyczynami i całe rozumowanie diabli wzięli. Dobrze jeszcze, że zdezorientowany mózg sam siebie wyłączył, bo przecież wśród absurdalnych komend mógł sie znaleźć rozkaz samozagłady lub skierowania anihilatorów na inne gwiazdoloty.
- Nasze MUK są wyposażone w wielostopniowy układ samokontroli - przypomniał Oleg.
- Mówię o sytuacjach, w których nawet samokontrola może zawieść.
- A czy jesteś pewien, Eli, że Głosowi nic podobnego nie może się przytrafić?
- Tak, chyba że nagle zwariuje. Głos myśli panoramicznymi obrazami. Również liczy i analizuje, ale dla niego jest to jedynie chwyt pomocniczy. Jest zatem rzeczą oczywistą, że ma przewagę nad maszynami.
- Zgadzam się z tobą - powiedział Oleg pozbawionym wyrazu głosem. - Możesz uznać, że jeszcze raz brutalnie narzuciłeś mi swoją wole. Na pewno zetkniemy się jeszcze z niejedną trudną sytuacją.
- Który z nas powie Irenie i Ellonowi, że ich prośba została ponownie odrzucona?
- Powiedz lepiej ty - odparł Oleg po chwili wahania. - Mnie trudno jest rozmawiać z Ireną, która straciła głowę dla swego mentora.
- Ale przecież to jest śmieszne! Nasi gwiezdni przyjaciele są jedynie przyjaciółmi i nic więcej... Istnieją w końcu przeszkody natury cielesnej uniemożliwiające miłość. Irena myli ze sobą dwa zupełnie różne uczucia.
- Słyszałem - zauważył jakby mimochodem Oleg – że kochałeś się kiedyś w niejakiej Fioli, wężycy z Wegi. Cielesne różnice ci nie przeszkadzały?
- To było głupie młodzieńcze zadurzenie, o którym już dawno zapomniałem. Bardzo szybko zrozumiałem, że zbyt wiele nas dzieli.
- Irena też to zrozumie, ale chyba nieprędko...

7.

Weszliśmy do jądra.
Znaliśmy już różne gromady gwiezdne, zarówno rozproszone, jak i kuliste, ale wszędzie gwiazdy zawieszone były w przestrzeni względnie nieruchomo, wszędzie ich wzajemna odległości niemal się nie zmieniały, wszędzie panował porządek narzucony przez prawa grawitacji.
Tu zaś panował chaos, bo czy może być harmonia w eksplozji?
- Eli, nie mogę obliczyć trajektorii żadnej z gwiazd! - niemal z przestrach’ wykrzyknęła Olga, kiedy we czwórkę siedzieliśmy na stanowisku dowodzenia. - Prawa Newtona są tu zdeformowane do niepoznania przez jakieś nadrzędne siły. Jądro kipi, a ja nie potrafię zrozumieć, czym to jest spowodowane. Nie potrafię wyobrazić sobie potęgi zdolnej do zakłócenia równowagi gwiazd. Oleg z zadumą wpatrywał się w ekrany.
- Czy nie wydaje się wam - powiedział - że wszystkie te gwiazdy spadają nawzajem na siebie, aby potem przekształcić się w eksplodującą mgławice?
- To doprowadzi do zagłady całej naszej Galaktyki - odpowiedziała Olga. - Ze składających się na nią około dwustu miliardów gwiazd około połowa skupia się w jądrze. Jeśli te sto miliardów eksploduje, to z pozostałych stu miliardów, w tym z naszego Słońca i Perseusza Demiurgów i Galaktów nie zostanie nawet garstka popiołu.
- Za to rozumni obserwatorzy z innych galaktyk odnotują pojawienie się kolejnego kwazara - pocieszyłem ich.
- Zaczynam podejrzewać - wyznała Olga - że postąpiliśmy nieroztropnie, pchając się do tego wrzącego kotła. W każdym razie szybkości nadświetlne są tu niebezpieczne.
Obawy Olgi, jak się wkrótce okazało, były uzasadnione. Siedzieliśmy znów we czwórkę na stanowisku dowodzenia, Osima prowadził statek, Olga coś liczyła, a ja rozmawiałem półgłosem z Olegiem.
- Z obliczeń wynika - powiedziała nagle Olga - że pędzimy ku zgubie. Pewnie musiałam się gdzieś pomylić!
W tym momencie rozległy się sygnały alarmowe, na tablicy świetlnej zapłonął złowieszczy napis: „Generatory przestrzeni - gotowość bojowa!”. Sięgnąłem pp słuchawkę, ale Oleg mnie wyprzedził:
- Głosie, co się stało? - krzyknął.
Dowiedzieliśmy się, że grupka miotających się bezładnie gwiazd, wśród których przeciskał się nasz statek, jednocześnie, jakby na dany sygnał, zmieniła kierunek ruchu i popędziła w stronę geometrycznego środka, w którym akurat się znaleźliśmy. Jedyna droga ucieczki wiedzie przez nowo stworzony kanał świeżej przestrzeni...
- Właśnie przystąpiliśmy do obliczeń - poinformował Głos.
- Wątpię, aby obliczenia przyniosły pozytywny wynik - powiedziała spokojnie Olga. - Sytuacja jest niedobra. Zapasów całej eskadry nie wystarczy na przebicie tunelu przestrzennego na zewnątrz.
Wywołałem laboratorium.

- Ellonie - Dowiedziałem, gdy Demiurg ukazał się na ekranie. - Znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie i chyba tylko ślimak grawitacyjny może nas uratować. Porozum się z Głosem.

Ellon uśmiechnął się szatańsko.

- Potrafiłem wysłać do piekła całą planetę, wiec z dwoma statkami też sobie poradzę. Niech tylko twój ulubieniec przyzna się do tego, że nie potrafi nawigować wśród gwiazd, a natychmiast naprawie jego błąd, admirale!

W minutę później Głos zawiadomił nas, że anihilacja substancji aktywnej nie uchroni nas przed skutkami eksplozji gwiezdnej i że jedyną nadzieją jest ucieczka przez ślimak grawitacyjny.

- Na co wiec czekasz? - zapytałem niecierpliwie.

- jest jeszcze za wcześnie - uspokoił mnie Głos. -Jesteśmy z Ellonem zgodni co do tego, że stosowny moment jeszcze nie nadszedł.

Wszystkie pokładowe źródła energii zostały przełączone na zasilanie generatorów metryki. „Wąż” szedł w szyku torowym za „koziorożcem”. Czekaliśmy.

Potem zobaczyliśmy, jak dwa słońca wyrwały się z gąszczu pozostałych gwiazd i pomknęły naprzeciw siebie, przecinając tor naszego lotu. Nie mieliśmy nawet tej pociechy, że przed śmiercią” ujrzymy koniec świata. Obie gwiazdy eksplodują wcześniej niż pozostałe zdążą dotrzeć na miejsce katastrofy, my zaś jeśli nie zdołamy się wyśliznąć po spirali ślimaka grawitacyjnego, wyparujemy jeszcze wcześniej.

- Start! - usłyszałem potrójną komendę, w której zmieszały się melodyjny nawet w takiej chwili Głos, skrzekliwy wrzask Ellona i beznamiętny rozkaz Olega.

Straszliwy ból skręcił moje ciało. Na pół oślepły kątem oka zdążyłem jednak zarejestrować jak w swoich fotelach wiją się Osima i Olga, jak Oleg chwycił ręką za gardło. Widok na ekranie był tak niezwykły, że na moment oprzytomniałem i zapomniałem o bólu.

Pędzące ku sobie słońca zderzyły się, ale nie wybuchły! Po prostu przeszły nawzajem przez siebie. Pomyślałem, że tracę zmysły, że ból rozdzierający moje ciało przyprawił mnie o szaleństwo. Nawet nie ucieszyłem się, że jeszcze żyjemy. Nie widziałem dróg ratunku, bo ratunek był zwyczajnie niemożliwy, chociaż gwiazdy wciąż jeszcze nie eksplodowały, lecz zachodziły na siebie jak dwa pokrywające się na chwile cienie.

- Gwiezdne fantomy! - wykrzyknąłem ze zgrozą.

Słońca przeniknęły przez siebie i teraz się rozbiegały. Doszło do zderzenia, którego nie było. Nieunikniona eksplozja nie nastąpiła. Byliśmy w królestwie fantomów, gdzie jedyną realnością był ból rozrywający na strzępy każdą tkankę, każdą komórkę naszego ciała! Wygramoliłem się z fotela i zatoczyłem ku Olegowi, który wychrypiał z trudem:

- Do Ellona! Ja spróbuje pomóc Oldze i Osimie.

Wyskoczyłem na korytarz i upadłem. Nogi miałem jak z waty, a w dodatku nie mogłem ich przestawiać normalnie, po kolei, tylko obie na raz. Zacząłem wiec posuwać się skokami, jak Demiurgowie, ale zanim dotarłem do laboratorium odzyskałem władze w nogach.

Laboratorium wyglądało jak po trzęsieniu Ziemi. Wszystkie ruchome urządzenia wyrwały się ze swoich gniazd i tylko stanowiska badawcze pozostały na swoich miejscach. Ellon leżał przy generatorze metryki i spazmatycznie poruszał kończynami. Klęczała przy nim Irena, wykrzykując coś bez związku, płacząc i całując nieprzytomnego Demiurga. Zwróciła do mnie zalaną łzami twarz i zawołała błagalnie:

- Niech mu pan pomoże! On umiera! Ja tego nie przeżyje!...

Udało nam się wspólnie podnieść Ellona z podłogi i posadzić go na fotelu. Irena znów uklękła przed Demiurgiem.

- Żyjesz, żyjesz! - wykrzykiwała. - Żyjesz najdroższy! Kocham cie!

Spróbowałem ją od niego odciągnąć, ale nic z tego nie wyszło. Ellon otworzył z trudem oczy. Spojrzenie miał półprzytomne.

- Ireno - jęknął. - Ireno, nie umarłem?

Dziewczyna zaczęła go całować z jeszcze większym zapamiętaniem.

- Tak, tak, tak! Żyjesz, a ja cie kocham! Obejmij mnie, Ellonie, mój najdroższy! Demiurg chwiejnie uniósł się na nogi.

- Obejmij! - domagała się Irena. - Obejmij mnie, Ellonie! Tym razem popatrzył na nią przytomnym wzrokiem.

- Objąć? - zapytał ze zdumieniem. - Po co mam cie obejmować?

Irena zakryła twarz rekami i wybuchneła łkaniem. Dotknąłem jej ramienia.

- Ireno, opanuj sie! - powiedziałem-. - Ellon cie nie rozumie. Odskoczyła ode mnie jak oparzona:

- Czego pan ode mnie chce? Pan jest złym człowiekiem i sam nikogo nie chce zrozumieć!

- Natychmiast przestań histeryzować! Nie czas teraz na babskie humory!... Ellonie, co się stało? Zdążyłeś włączyć generator metryki?

- Nie, admirale, nie zdążyłem niczego zrobić - odparł Demiurg. Mówił jeszcze z wielkim trudem. Nagle skręciło mnie i rzuciło na podłogę, ale widzę że jesteśmy uratowani... - Poczuł się widać lepiej, bo z nowym zdziwieniem popatrzył na Irenę. - Co ci jest? Coś sobie uszkodziłaś? Zaprowadzić cie do maszyny medycznej?

Irena zdołała wziąć się w garść. Potrafiła nawet blado się uśmiechnąć, tylko głos miała jeszcze trochę niepewny.

- Już wszystko w porządku - odparła. - Posprzątam laboratorium.

Odeszła, a Ellon powtórzył, że upadł w momencie, kiedy zamierzał wpuścić oba gwiazdoloty do ślimaka grawitacyjnego. Przypomniałem sobie, że nie znam losów Mary i wywołałem ją. Mary czuła sie nie najlepiej, ale z wolna wracała do siebie. Paroksyzm bólu dopadł ją w kabinie, wiec zdołała dotrzeć do łóżka.

- Mózgi pokładowe analizują w tej chwili wszystkie zjawiska zarejestrowane przez analizatory.

Wróciłem na stanowisko dowodzenia. Oleg i Osima czuli się nie najlepiej, ale poruszali się bez większego trudu. Oleg znów oddał stery Osimie, a sam zajął się przeglądaniem wyników obliczeń dostarczanych sukcesywnie przez MUK.

Wkrótce mieliśmy już ostateczny rezultat. Był przerażający. Gwiazdy realnie pędziły ku sobie, ale w momencie, kiedy ich wzajemne przyciąganie osiągnęło jakąś wartość graniczną, bieg ich czasu został zakłócony. Czas przerwał się, przestał być synchroniczny. Luka czasowa wynosiła parę mikrosekund dla cząstek elementarnych, kilka sekund dla nas i tysiąclecia dla nich, była zatem proporcjonalna do masy. Te pozaczasowe sekundy niemal nas zabiły i nie wiadomo dlaczego tak się nie stało. Poza tym wszystko było jasne, o ile coś takiego można powiedzieć o zjawisku, którego mechanizmów zupełnie nie rozumieliśmy.

Wieczorem wstąpił do nas Romero. Czuł się nie najlepiej, co Mary natychmiast zauważyła. Paweł powiedział nam, że tylko Mizar nie odczuł wpływu luki czasowej, że - jak się wyraził - zakłócenie temporalne spłynęło po nim jak po psie woda. Gig też był w niezłej formie, ale Trub poważnie zachorował. Stary Anioł nie umiał pogodzić się z tym, że stał się igraszką jakichś potężnych sił, rozwścieczało go to i przygnębiało. Stąd choroba.

- Dlaczego jesteś taki chmurny? - zapytała mnie Mary, kiedy Romero, postukując swoją nieodłączną laseczką poszedł do siebie.- Przecież wszystko pomyślnie się skończyło.

- Mylisz się - odparłem. - To był dopiero początek i nie wiadomo jaki będzie ciąg dalszy. Z prawdziwym jękiem oczekuje co nam przyniesie jutro.

Jutro nie przyniosło nam nic złego, podobnie jak kilka jeszcze następnych dni. Nic się nie działo, jeśli nie liczyć ciągłego migotania snujących się bezładnie gwiazd. A potem znów rozdzwoniły się sygnały alarmowe i każdy pospieszył na swoje stanowisko. Na ekranach ukazał się znany już obraz sypiącego się na nas zewsząd rojowiska gwiazd. Osima krzyknął z przerażeniem, że jest to ten sam rój gwiezdny, w którym już byliśmy. Niemal natychmiast Głos potwierdził to przypuszczenie.

- Zapadamy się w przeszłość! - Oleg wpatrywał się z pobladłą twarzą w migotliwe iskierki szybko wyrastające do rozmiarów gwiazd.

- Pędzimy w przyszłość - poprawiła go skrupulatna Olga. - Wszystko co nas czeka jest przecież naszą przyszłością, chociaż akurat w tym szczególnym wypadku owa przyszłość już raz nam się przydarzyła.

Intensywnie myślałem. Lot ku przyszłości, która jest zarazem przeszłością, mógł oznaczać tylko jedno. Wpadliśmy w tak zakrzywiony strumień czasu, że nie ma w nim początku ani końca i gdzie każda chwila jest zarazem przeszłością i przyszłością. Dotychczas podobne sytuacje zdarzały się jedynie w powieściach fantastycznych. Nikt nie podejrzewał nawet, że zawirowanie czasu może w ogóle realnie istnieć.

- Znaleźliśmy się w pętli czasowej - powiedziałem. - I sądząc z tego, że przeszłość nastąpiła bardzo szybko, średnica pętli jest niewielka. Będziemy teraz nieustannie krążyć po zamkniętym torze, kręcić sie jak pies wokół własnego ogona. Co zamierzasz zrobić, Olegu?

Oleg zbladł jeszcze bardziej, ale jego głos brzmiał pewnie i zdecydowanie:

- Postaramy się wyrwać z tej pętli. Ellonie, przygotuj się do włączenia generatorów metryki! Głosie, daj sygnał do ich włączenia zanim ponownie znajdziemy się w luce czasowej!

Teraz pozostawało jedynie czekać. Znów rozpłomieniło się stado słońc, znów dwie gwiazdy wyprysnęły z roju i z szaloną szybkością popędziły ku sobie, a ja skurczyłem się w oczekiwaniu na rozdzierający ból, którego tym razem pewnie bym nie przeżył... Ale samobójcze słońca zaczęły nagle blednąc i znikać i już po chwili nie było zwartego gwiezdnego roju, tylko uprzedni gwiezdny chaos, może jedynie nieco gęściejszy i bardziej rozedrgany.

Wyrwaliśmy się ze śmiertelnej pułapki w zwyczajną przestrzeń jądra.

8.

Odwiedziliśmy z Mary Truba, który czuł się bardzo źle.

Stary Anioł leżał na miękkiej sofie zwiesiwszy na podłogę swe ogromne skrzydła. Jego postarzała, silnie pomarszczona twarz była równie szara jak wyblakłe bokobrody. Z przyzwyczajenia rozczesywał je zakrzywionymi pazurami, ale tak wolno i niepewnie, że Mary nie zdołała powstrzymać łez. Truba próbowano leczyć wszelkimi znanymi metodami - od natrysków promienistych do baniek - ale było oczywiste, że jego dni są już policzone.

Wiedział, że jest już jedną nogą na tamtym świecie, lecz zachowywał pogodę ducha.

- Eli, ta luka czasowa mnie wykończyła - wyszeptał. - Anioły nie mogą istnieć w paru czasach na raz. Wiesz przecież, admirale, że mam piekielnie silny organizm, ale co za dużo to niezdrowo!

Mary pocieszała Truba, a ja nie mogłem. Kobiety potrafią zbuntować się przeciwko najoczywistszym w świecie faktom, jeśli tylko ranią one ich uczucia. Słuchałem w milczeniu, jak przekonywała Anioła, że nie jest z nim wcale tak źle, że jeszcze wstanie z posłania i będzie latał jak młodzieniaszek. Musi tylko cierpliwie poddać się leczeniu, a wszystko niebawem będzie w najlepszym porządku. Nie jest wykluczone, że sama wierzyła we własne słowa. Trub nie wierzył, ale patrzył na nią z wdzięcznością. Wszedł Romero i zapytał mnie szeptem o czym myślę. Myślałem o tym, że luka czasowa prawie wcale nie zaszkodziła przedmiotom, a na wszystkie istoty żywe poza Mizarem sprowadziła groźne dolegliwości.

Paweł pogładził Mizara, który położył się przy jego nodze. Mądry pies nie spuszczał oczu z Truba. Słyszał, co o nim mówiłem, ale nie zareagował. Wprawdzie dzięki staraniom Lusina doskonale rozumiał ludzką mowę, jeśli tylko nie zawierała ona pojęć zbyt dla niego abstrakcyjnych, to jednak nigdy nieproszony nie wtrącał się do naszych rozmów.

- Wskazał pan na fakt ogromnej doniosłości, admirale - powiedział Romero. - Prawdopodobnie fazowe przesuniecie czasu czy też jego przerwanie, jak uważa Głos, było w naszym pokładowym światku tak minimalne, że przedmioty martwe nie zdołały nań zareagować. Jednak dla żywej komórki, zwłaszcza komórki nerwowej, nieistnienie w ciągu jednej lub dwóch sekund równa się mikrośmierci. Musimy w przyszłości o tym pamiętać.

- Najbardziej dostało się Trubowi. - Podobnie jak Romero mówiłem niemal szeptem. - Wstrząs, jakiego doznały jego komórki nerwowe, doprowadził do ciężkiej choroby. On zresztą tak to sobie tłumaczy.

- Anioł chyba poczuł się lepiej - powiedział uradowanym głosem Paweł. - Poruszył się!

Romero niestety się mylił. To nie było ożywienie, tylko agonia. Ciało Truba wyprężyło się gwałtownie, zadygotało i opadło. Skrzydła znów bezsilnie rozpostarły się na podłodze. Trub odszedł.

- To koniec, Mary! - wykrzyknąłem z rozpaczą. - Na kogo teraz przyjdzie kolej?

Przez kilka kolejnych nocy nie spałem. Nie mogłem sobie poradzić ż myślami. Podczas dyżurów i rozmów z przyjaciółmi nie potrafiłem się skupić. Nie umiem tak jak Olga wyłączyć się w największym nawet tłumie i hałasie. Do rozmyślań potrzebna mi jest bezwzględna samotność.

Wstawałem wiec, kiedy Mary zasypiała, szedłem do swojej kabiny i wpatrywałem się w malutki gwiezdny ekran, na którym wciąż szalała niesłychana gwiezdna burza, panował niewyobrażalny chaos zrodzony przez jakąś przedwieczną, wszechogarniającą i trwającą wciąż eksplozją. Jądro kipi, powiedziała kiedyś Olga mimochodem i to zdanie nie mogło mi wyjść z głowy. Co zmusza jądro do kipienia, co rozpryskuje gwiazdy niczym kropelki wrzącej wody? Jakaż straszliwa temperatura sprawia, że gigantyczne ciała niebieskie miotają się zupełnie jak molekuły przegrzanego gazu i czy ta niesłychana temperatura nie powoduje zmian właściwości samej przestrzeni? Cóż zresztą wiemy o jej właściwościach! Ze nie jest pustym nośnikiem ciał materialnych, gdyż może zamieniać się w materie i z materii powstawać? Ale co wiemy poza tym? Przestrzeń jest największą tajemnicą natury, najbardziej zagadkową. A czas? Przywykliśmy do jego spokojnego, równomiernego upływu na naszej gwiezdnej prowincji', wiec nie mamy pojęcia jakie jeszcze postaci może przybierać. Tutaj czas jest nieciągły, zrakowaciały - mówił zdrajca Oan... Straszył czy ostrzegał? Biedny Trub padł ofiarą luki czasowej… gdyby tej luki nie było? Wówczas wszyscy padlibyśmy ofiarą gigantycznej katastrofy. My, nasze statki i same gwiazdy. Cóż to byłaby za eksplozja!

- Poczekaj! - wykrzyknąłem do siebie na głos. - Przecież to oczywiste i udowodnione przez MUK, że luka czasowa zapobiegła zniszczeniu co najmniej setki gwiazd!

Tak, to właśnie jest gwarancja trwałości jądra! To właśnie ratuje przed zagładą cały Wszechświat... Wiemy już zatem, że dysharmonia temporalna jądra zapewnia mu trwałość, ale Trub miał racje, to nie jest dla nas.

Poznaliśmy granice istnienia życia, przekonaliśmy się, że w jądrze skupiającym większość gwiazd Galaktyki jest ono niemożliwe, wykonaliśmy zadanie postawione wyprawie i teraz najwyższa pora wynosić się z tego gwiezdnego piekła.

Tymi właśnie słowami na kolejnej naradzie kapitanów zaproponowałem, aby zakończyć wyprawę i wracać do domu.

Przygotowania do powrotu rozpoczęliśmy bezzwłocznie.

9.

Zgadzaliśmy się wszyscy co do jednego: jądro Galaktyki jest gigantycznym piecem, piekłem materii, przestrzeni i czasu. Niemal bez dyskusji przyjęto też moją hipotezę, iż luki czasowe zapewniają mu trwałość. Jedynie Romero miał pewne wątpliwości.

- Drogi admirale - powiedział. -Jeśli tylko do pomyślenia są dwa różne wytłumaczenia jakiegoś zjawiska, jedno banalne i drugie niecodzienne, pan zawsze wybierze to drugie. Taką już ma pan naturę.

- Zaprzecza pan istnieniu luki czasowej ? - zapytałem. - Zapomniał pan już, jak leżał bez zmysłów na podłodze? - dodałem złośliwie.

- Tego akurat nie zapomniałem, ale wolałbym tłumaczyć to sobie bez konieczności przywoływania nieznanych praw natury, które pan zdaje się przed chwilą odkrył, admirale! - powiedział Romero i obrażony opuścił naradę.

Ellon i Głos nie mieli żadnych zastrzeżeń, co było tym dziwniejsze, że ci dwaj bardzo rzadko zgadzali sie ze sobą. Szczególnie ucieszyło mnie poparcie Ellona, bo to on właśnie musiał opracować sposoby ucieczki z jądra, które wciągało nas coraz głębiej.

- Admirale, nie mam pojęcia dlaczego mój ślimak działa tylko w jedną stronę - wyznał mi kiedyś dumny Demiurg. - Wedle obliczeń statki już dawno powinny znaleźć się na zewnątrz jądra, tymczasem coraz bardziej się w nie pogrążają.

- Nie widzisz żadnego wyjścia, Ellonie? - zapytałem.

- Tu jest bardzo dziwna przestrzeń, admirale. Nie rozumiem jej. - Zamilkł i dodał niechętnie: Naradź się z Mózgiem, on kiedyś nieźle znał się na właściwościach przestrzeni.

Potrafiłem ocenić, ile musiała kosztować go taka rada. Poszedłem niezwłocznie do kabiny Głosu.

- Włóczęgo - powiedziałem. - Zgodziłeś się ze mną, że musimy stąd jak najprędzej uciekać. Generatory metryki nie potrafią nam otworzyć drogi powrotnej, może wiec spróbować wyrwać się z jądra z szybkością nadświetlną, anihilując przestrzeń?

- Jestem temu kategorycznie przeciwny! - zabrzmiała zdecydowana odpowiedź. - Nieeuklidesowe zakrzywienie przestrzeni, którym blokowałem drogę statkom kosmicznym w Perseuszu, było wielokrotnie słabsze od tych, z jakimi tu mamy do czynienia. 1 jeszcze jedno, Eli: tam przestrzeń jest bierna i dlatego łatwo układa się w zaprogramowaną metrykę, tutaj zaś wykazuje zupełnie inne właściwości i aktywnie opiera się wszelkim oddziaływaniom.

- A nasz wypróbowany sposób anihilacji planet?

- Przypominam ci, że zginęło dwie trzecie eskadry, kiedy zastosowaliśmy te metodę!

- Tam byli Ramirowie, którzy z jakichś względów nie chcieli pozwolić na zakłócenie równowagi w Ginących Światach. A tutaj Ramirów prawdopodobnie nie ma, a w każdym razie nic nie świadczy o ich obecności. Wątpię zresztą, aby jakaś cywilizacja mogła istnieć w tym piekle.

- Spróbujmy zatem anihilować planetkę - zgodził się Głos.

Ale planet w jądrze nie było. Wśród milionów gwiazd nie znaleźliśmy bodaj jednej z własnym satelitą. Nie było nawet gwiazd podwójnych lub potrójnych.

Oleg zwołał naradę kapitanów, aby znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Jako pierwszy głos na niej zabrał Kamagin:

- Chciałbym dzisiaj naprawić błąd, który popełniłem dwadzieścia lat temu - powiedział gorąco. Wtedy admirał Eli rozkazał zniszczyć dwa gwiazdoloty, żeby trzeci mógł wyrwać się na wolność. Zaprotestowałem. Teraz proponuje powtórzyć te operacje z Perseusza. Do zniszczenia można przeznaczyć mojego „Węża”.

- O ile dobrze pamiętam, taka operacja W Perseuszu zakończyła się fiaskiem - zauważyła spokojnie Olga.

Kamagin w odpowiedzi zaczął z pasją dowodzić, że w Perseuszu musieliśmy pokonywać opór groźnego wroga, a tutaj żadnych nieprzyjaciół nie ma, że sami przekonaliśmy się, iż żywe istoty nie mają co w jądrze robić, chyba że któraś z nich lubi kąpać się w gorącej smole.

- Zgadzam się z Elim - ciągnął - iż życie i rozum jest w naszej Galaktyce zjawiskiem peryferyjnym i wyciągam z tego taki oto wniosek: celowego przeciwdziałania nie będzie, zaś ze ślepym

żywiołem z pewnością sobie poradzimy.
- Co ty na to, Eli? - zapytał Oleg.
Wyznam ze wstydem, że ogarnęło mnie niezdecydowanie. Nie mogłem poprzeć Kamagina, nie mogłem mu się przeciwstawić. Milczałem przez dłuższą chwile. Wreszcie wykrztusiłem:
- Nie mam na ten temat żadnego zdania...
Już po naradzie, na której przyjęto projekt Kamagina, podzieliłem się swoimi wątpliwościami z Głosem i Ellonem. Demiurg uważał, że ucieczka się nie powiedzie, bo gwiazdolot ma zbyt małą masę do wytworzenia tunelu przestrzennego prowadzącego na zewnątrz jądra, a ponadto nie był pewien, że tunel będzie wolny...
- Anihilacja masy może sobie nie poradzić z dziwną tutejszą przestrzenią - ostrzegł. - Nie warto sie spieszyć, Eli. Wkrótce do końca uruchomię swój kolapsan i wówczas bez trudu wyślizgniemy się na zewnątrz w nowym ślimaku grawitacyjno-temporalnym. Sam możesz się przekonać, że czas atomowy zmieniam już bez trudu.
- Od atomów do gwiazd droga jeszcze daleka! - ostudziłem jego zapał. - A my natychmiast musimy wracać do domu.
- Wkrótce przejdę do makroczasu - obiecał Ellon. - Powtarzam ci, admirale, nie spiesz sie! Na razie nikt nas nie zamierza natychmiast zabijać.
- Będziemy czekać na twój sygnał, Głosie! - powiedziałem.
I oto zaczęła się ostatnia w naszej wyprawie do jądra ewakuacja gwiazdolotu. Powiedziałem ostatnia ewakuacja, gdyż „Wąż" był ostatnim statkiem jaki można było jeszcze porzucić. Akcją dowodził Kamagin. Dowodził energicznie i rzekłbym nawet wesoło, bo wierzył, że składając w ofierze swój statek uratuje wszystkich. Ja zaś nie byłem tak dobrej myśli. Spotykały nas dotąd same niepowodzenia, flota praktycznie przestała istnieć, a zgrupowani na jedynym statku ocaleli kosmonauci stali się więźniami szalonego świata, gdzie miliardy gwiazd balansują na ostrzu noża, po obu stronach którego rozpościera sie otchłań powszechnej zagłady. Czułem się tak przygnębiony, że musiałem swoje obawy wykrzyczeć na głos, aby jednak nie zarazić nimi przyjaciół postanowiłem pójść do konserwatora.
- Morderco! - powiedziałem do szpicla Ramirów. - Wszystkie nasze nieszczęścia zaczęły się od znajomości z tobą. Zdradzałeś staczających się Aranów, spróbowałeś zdradzić również i nas. Lusin padł ofiarą twojej fałszywej przyjaźni, a Petri wraz ze swoją załogą zapłacili życiem za twoje donosy. Nie wiem, dlaczego twoi panowie stworzyli na Aranii warunki zabójcze dla jej mieszkańców, po co przybrali dla nich obrzydliwą maskę Okrutnych Bogów. Natomiast wiem już teraz, że nie jesteście żadnymi bogami, żadną siłą wyższą. Jesteście tylko okrutni i potężni, ale wcale nie wszechmocni. „Ci niedouczeni Ramirowie!", mówi o was z pogardą Ellon. Ma racje, jesteście niedouczeni. Bałeś się. panicznie transformacji czasu w jądrze, Oanie! Ostrzegałeś nas przed rakiem czasu, a ten czas wcale nie jest chory, tylko zmienny, eksplodujący przy zbyt bliskim kontakcie wielkich mas z pękiem linii temporalnych. I te eksplozje zabezpieczają jądro, do którego nie odważacie się nawet wsunąć nosa, od innego wybuchu, wybuchu materii. Wiedzieliście to? Skąd! Przecież jesteście nieukami, prymitywnymi i ciemnymi jak wszyscy okrutnicy!
Zamilkłem. Wiele bym dał za to, żeby można było ożywić fałszywego Arana i wtedy rzucić mu w złowieszcze górne oko moje pełne pasji oskarżenia. Ale Oan był martwy. Zdołał uniknąć kary. Uciekł z życia, ale nie ze świata. Jego obrzydliwy zewłok wiecznie będzie wisiał w przezroczystej klatce siłowej Demiurgów.
- Nie - ciągnąłem - pod jednym względem nie mam racji. Musieliście wiedzieć o mechanizmach rządzących tym kipiącym piekielnie gwiezdnym kotłem, który my nazywamy jądrem Galaktyki. Sami chcieliście opanować sztukę odwracania czasu, to jasne... Głupcze, nie potrafiłeś wymyślić nic lepszego niż nurkowanie w otchłań kolapsara. A my umieściliśmy go na stole laboratoryjnym. Nie umiemy jeszcze zmieniać czasu gwiazd, ale czas atomowy kształtujemy już całkiem dowolnie Opuszczamy jądro, zdrajco, ale jeszcze tu wrócimy! I wówczas z pewnością nie zdołacie nas przekonać, że wasza siła równa sie waszemu okrucieństwu...

10.

A potem stało się to, co - dziś widzę to zupełnie wyraźnie - musiało nieuchronnie nastąpić.
Głos znakomicie wyczuwał przestrzeń; MUK bezbłędnie obliczał skupiska mar; Osima po wirtuozowsku lawirował w przestrzeni, wymijając gwiezdne roje i pojedyncze słońca. Dublowali go Olga i Kamagin, równie odważni jak on i równie doświadczeni. Wszystko zostało zaplanowane, wszystko doskonale zorganizowane i przewidziane.
Wszystko poza jednym. Okazało się, że wbrew oczekiwaniom nie byliśmy jedyną rozumną siłą w jądrze. Nie byliśmy też gospodarzami nawet tego strzępka przestrzeni, przez który zamierzaliśmy sie przebić. Pomyliliśmy się w najważniejszej sprawie, sądząc że przyjdzie pokonywać jedynie opór ślepego żywiołu. A tymczasem przeciwdziałał naszym poczynaniom potężny wrogi roz ;m. Rzuciliśmy się do boju w nadziei, że nasi tajemniczy przeciwnicy zostali daleko, a oni byli tuż, tuż naszej sile przeciwstawili swoją. Siła złamała siłę.
Głos zasygnalizował zbliżanie się biernego sektora przestrzeni, chociaż wokół w dzikim pląsie nadal miotały się rozszalałe gwiazdy, a mózgi pokładowe i analizatory nie wykryły żadnych zmian w naszym otoczeniu. Oleg jednak wierzył w możliwości Głosu i rozkazał ustawie „Węża" w stożku promieniowania anihilatorów.
Na stanowisku dowodzenia znajdowali się. wówczas wszyscy trzej kapitanowie i Oleg. Dla mnie wstawiono tam dodatkowy fotel, ale nie skorzystałem z niego. Wolałem pójść do sali obserwacyjnej, w której zebrały się wolne od wacht załogi trzech gwiazdolotow. Na widok tego tłoku wycofałem się i wraz z Romerem i Mary zasiadłem przed małym ekranem w swojej kabinie. Dzięki temu zobaczyłem wyraźnie, jak rozegrała się nowa katastrofa.
„Wąż" leciał w pewnej odległości przed dziobem „Koziorożca", prowadzony z naszego pokładu przez samego Kamagina. W pewnym momencie w głośnikach łączności wewnętrznej - komendy kapitanów przekazywane były do wszystkich pomieszczeń statku - rozległ się jego głos:
- Odblokowuje anihilatory masy. Cel w stożku zero-zero-trzy. Zaczynam odliczanie: dziesięć, dziewięć, osiem, siedem...
I wtedy z mętnej mgławicy spośród miotających się bezładnie gwiazd wytrysnął znany już nam promień, dokładnie taki sam, jaki rozpylił „Cielca". Wyminął „Koziorożca" i trafił „W, ;/a". Na ekranie powtórzyła się znów scena zagłady gwiazdolotu. Pełne grozy milczenie przerwał przeraźliwy krzyk Kamagina:
- Mózgi pokładowe zablokowane! Głosie, masz łączność z mechanizmami wykonawczymi? Głosie, odpowiedz!
Głos nie odpowiadał. Mary jęknęła i chwyciła się za serce. Śmiertelnie pobladły Romero wymamrotał:
- Tq,Ramirowie, admirale! Są w jądrze! Uwięzili nas!"
Wstrząśnięty i zaskoczony nie mogłem oderwać się od ekranu. MUK nie dział-A, anihilatory zostały zablokowane, a jakaś siła zawróciła „Koziorożca" i rzuciła go na poprzedni kurs wiodący wprost do środka jądra, w rozszalały żywioł kipiących gwiazd.
- Ramirowie wiedzą o nas wszystko - powiedziałem beznadziejnie. - Mogli z łatwością zniszczyć również „Koziorożca", ale najwidoczniej woleli pobawić się z nami w kotka i myszkę!...

CZĘŚĆ CZWARTA

Pogoń za własnym cieniem

1.

Niemal natychmiast po nowej katastrofie z przerażeniem domyśliłem się przyczyny naszego nieszczęścia, jednak ta* myśl nie zdołała mnie całkowicie opanować, bo nie to mi było akurat w głowie. Trzeba było najpierw ratować statek, a dopiero potem zastanawiać się, dlaczego kolejna próba ucieczki zakończyła się niepowodzeniem. Popędziłem na stanowisko dowodzenia. Dowódca eskadry i Olga nie odnieśli żadnego szwanku, tyle że już nie byli dowódcami, lecz podobnie jak my wszyscy bezradnymi pasażerami pozbawionego napędu galaktycznego wraku. W laboratorium też wszystko było we względnym porządku. Aparatura nie ucierpiała, Ellon i Irena czuli się dobrze, jeśli można mówić o dobrym samopoczuciu istot pozbawionych kompletnie możliwości działania. Na razie nie mogli kompletnie nic zrobić, bo laboratorium zostało odcięte od dopływu energii.
- Nie chcieliście nas słuchać! - wykrzyknął gniewnie Demiurg. - Spieszyliście się, a przecież nic nam nie groziło dopóki nie podjęliśmy tej szalonej próby ucieczki!
- Chodź z nami, Ellonie! - rozkazał Oleg, który w ślad za mną wszedł do laboratorium. Pospieszyliśmy do kabiny Głosu. Głos brzmiał słabo, ale wyraźnie. Poskarżył się, że odczuł bolesny
wstrząs, kiedy zerwała się łączność z mózgami pokładowymi i mechanizmami wykonawczymi. Wróg sparaliżował sterowanie anihilatorami bojowymi i do tego się ograniczył, ale Głos ucierpiał niejako rykoszetem.
- To Ramirowie! - powiedział Głos. - Nie chcą nas wypuścić z jądra. Jesteśmy ich więźniami... Jego opinia na ten temat była o wiele bardziej autorytatywna od naszej, bo dokładnie wiedział, co to znaczy więzić statek kosmiczny. Znał się na tym!
Najgorzej zniósł katastrofę Gracjusz, który w momencie zablokowania mózgów pokładowych runął bez zmysłów na podłogę i teraz ten nieśmiertelny, po utracie całego swojego majestatu, wyglądał o wiele słabiej od nas, zwykłych zjadaczy chleba. Galaktowie są zupełnie nieodporni na jakiekolwiek wstrząsy, bo w swoich rajskich ogrodach dawno już zapomnieli o tym, że świat

pełen jest niebezpieczeństw.
- Trzeba skontrolować MUK - powiedział Oleg.
MUK nie pracował. Odłączyliśmy go od mechanizmów wykonawczych i przenieśliśmy do laboratorium, gdzie jak nam się wydało znów zaczaj działać. Był to jednak tylko pozór działania. Obwody przewodziły wprawdzie sygnały, ale całość zwana Małym Uniwersalnym Komputerem uległa rozkładowi.
- Odnoszę wrażenie, że wasza-maszyna straciła przytomność na skutek szoku - zauważył Gracjusz, który zaczynał odzyskiwać formę. - Co zresztą innego można oczekiwać od martwego mechanizmu?
Ellon łypnął na niego złym okiem. Pospieszyłem zmienić temat rozmowy, bo ten mógł doprowadzić jedynie do kłótni miedzy Demiurgiem a Galaktem.
- Jeśli maszyna tylko zemdlała - powiedziałem - to może jeszcze uda się ją ocucić.
Oleg polecił dostarczyć do laboratorium dwa rezerwowe mózgi wymontowane ze „Strzelca” i „Węża”. One również były w szoku, a skontrolowany przy okazji MUK „Tarana” nadal mylił przyczyny ze skutkami.
- Gracjuszu - zwróciłem się do Galakta - teraz na ciebie i Głos spadnie najcięższy obowiązek. Analizatory i mechanizmy wykonawcze znów, podobnie jak w Ginących Światach, zostaną podłączone bezpośrednio do was. Mam nadzieje, że sobie poradzicie, bo jeżeli nie, oznacza to koniec nas wszystkich.
- Ja też mam te nadzieje - odparł z godnością.
MUK „Koziorożca” zaczął dawać znaki życia. Z głębokim smutkiem słuchaliśmy jego odpowiedzi na kontrolne sygnały. Maszyna zwariowała. We własnym przekonaniu była teraz duszą dziewczyny imieniem Czarna Mańka, opłakującą z zaświatów nędzny i tragiczny doczesny żywot. Nie reagowała na pytania, nie wykonywała poleceń i wszelkie impulsy doprowadzane do jej wejścia kwitowała rozdzierającym stwierdzeniem: „Nie ma Mańki, bo umarła! Czarna Mańka zimny trup!...”
Szaleństwo ogarnęło również inne maszyny. MUK „Węża” na pytanie: „He gwiazd trzeciej wielkości mieści się w stożku o kącie rozwarcia równym ośmiu stopniom, wysokości dwóch lat świetlnych i osi zorientowanej dokładnie na wschód?” odpowiadała wyliczeniem od końca wszystkich pierwiastków zawartych w Tablicy Mendelejewa. Natomiast w maszynie „Strzelca”, podobnie jak dawniej w mózgu pokładowym „Tarana”, rozchwiały się związki przyczynowo-skutkowe. Dałem jej banalne zadanie kontrolne: „Wszyscy ludzie są śmiertelni. Jestem człowiekiem. A zatem jestem?...”. Podała natychmiast trzy różne odpowiedzi do wyboru:, Jesteś gruby w szóstym wymiarze. Jesteś gwoździem drugiego rzędu w kratkę typu pepita. Kwiaty już zwiędły, a całka trwa”.
Odniosłem wrażenie, że mózgami „Strzelca” i „Węża” warto się jeszcze zająć, natomiast MUK „Koziorożca” jest w beznadziejnym stanie. Nie omieszkałem powiedzieć tego na głos:
- Szaleństwo dwóch pierwszych maszyn nie wychodzi poza granice ich specjalności. Straciły rozsądek, ale zachowały osobowość, jeśli w ogolę można mówić o osobowości jakiegoś urządzenia. Pozostały jednak maszynami myślącymi, chociaż myślą źle, niesprawnie i pokrętnie. Natomiast MUK „Koziorożca” w swoim przekonaniu stał się nieszczęśliwie zakochaną dziewczyną z półświatka piszącą w dodatku wiersze. To jest dopiero czyste szaleństwo!
- Nie jestem pewien, czy Romero zgodzi się z tezą, iż pisanie wierszy dowodzi kompletnej utraty władz umysłowych - zauważył Oleg.
- Mówię o maszynach, a nie o ludziach. Ludzie często oddają się dziwnym i bezużytecznym zajęciom, a ponadto mają do szaleństwa szczególny stosunek, co było widoczne zwłaszcza w starożytności. Bo czyż nie mówiono wtedy: „Ona mi się szalenie podoba!” albo „Kocham go do szaleństwa!” Niestety myślenie ludzkie nie zawsze podporządkowuje się logice, w przeciwieństwie do myślenia maszynowego, zawsze logicznego, trzeźwego i konkretnego. Tym akurat zresztą intelekt maszyn różni się od intelektu ich niedoskonałych twórców.
- Żartowałem - powiedział Oleg. - Ellonie - zwrócił się do Demiurga - zajmiesz się uruchomieniem mózgów pokładowych, ale postaraj się zrobić to bez zaniedbywania innych prac. Jak przebiegają doświadczenia z kolapsarem?
- Czas atomowy kształtuje już zupełnie swobodnie.
- To za mało. Ireno, można cie prosić?
Irena jak zwykle, gdy ktoś wchodził do laboratorium, i tym razem odeszła w jego przeciwległy kąt. Teraz zbliżyła się do nas bez pośpiechu. Oleg powiedział ze wzruszeniem, które tak rzadko uzewnętrzniał:
- Przyjaciele moi, Ireno i Ellonie. Lękam się, że nie zdołamy wyprowadzić statku z jądra, jeśli nie zdołamy odkryć jakiegoś procesu fizycznego, który pozwoli nam uniknąć wrogiej obserwacji Ramirów. Dajcie mi możliwość choć na moment oderwać się od nich w czasie. Całkiem możliwe, że „dawniej” ich nie było albo nie będzie „potem”, ale „teraz” są i to są znacznie .silniejsi od nas. Rozumiecie mnie, przyjaciele?
Irena tylko skinęła głową, Ellon zaś powiedział:
- Mam już wszystko przygotowane do doświadczeń z makroczasem, ale brak mi jeszcze odpowiedniego martwego przedmiotu i istoty żywej. Przedmiot martwy wybiorę bez trudu, ale skąd wezmę żywą istotę?
- Weź Mizara, Ellonie - poradziłem. -Już w starożytności przeprowadzano doświadczenia na psach. Wprawdzie Mizar jest zwierzęciem myślącym, wiec trzeba będzie wytłumaczyć mu istotę eksperymentu i uzyskać jego zgodę, ale...
- Sam z nim porozmawiaj - przerwał mi bezceremonialnie Ellon. - Demiurgowie nie uważają zwierząt za istoty równe sobie, jak to czasem czynią ludzie.
- Ireno, może ty podejmiesz się przekonać Mizara? - poprosiłem. - Masz racje, Ellonie, człowiek potrafi traktować zwierzęta po ludzku.
Wątpię, by Ellon właściwie zrozumiał moją replikę, ale mało mnie to obchodziło. Ważne było to, że Irena zgodziła się porozmawiać z Mizarem.

2.

Wieczorem wstąpił do mnie Romero.
Usiadł w fotelu, ustawił laseczkę miedzy kolanami i zagapił się roztargnionym wzrokiem w ekran, na którym wciąż bezładnie krążyły rozszalałe gwiazdy. Spostrzegłem nagle z bolesnym współczuciem to, , na co dawniej jakoś nie zwróciłem uwagi: Romero zaczynał bracie formę, dziadział, jak dosadnie mawiali jego ulubieni starożytni. Wprawdzie nadal dbał o to, żeby w jego czarnej fryzurze i starannie pielęgnowanym zaroście nie pojawił się bodaj jeden siwy włosek, ale* głębokich zmarszczek przeorujących mu twarz nie dało się zamaskować. Widziałem, że jest załamany, że potrzebuje pociechy. Powiedziałem wiec lekkim tonem:
- Przeżyliśmy niezwykle interesującą przygodę, nieprawdaż?
Patrzył na mnie długo wielkimi ciemnymi oczami, wpatrywał się tak intensywnie, że nagie przypomniałem sobie, jak kiedyś w momencie irytacji Mary wykrzyknęła: „Paweł jest taki przystojny, wytworny i dobrze wychowany, ma tak piękne oczy, których może mu pozazdrościć każda kobieta, a ja musiałam zakochać się akurat w tobie, ty zwariowany brzydalu! Cóż to za niesprawiedliwość losu!”
- Admirale, pańskie zamiłowanie do paradoksów przekracza granice przyzwoitości! - powiedział wreszcie z oburzeniem. - Tragedie nazwać interesującą przygodą! To niesłychane...
- W porównaniu z losami Petriego i jego towarzyszy...
- Mówię w tej chwili o nas, o mnie i panu, Eli! Popisaliśmy się niewybaczalną głupotą, mój przenikliwy admirale! Wlecieliśmy do jądra jak ćmy do ogniska!... Ćmy w piekielnym gwiezdnym piecu, słabe owady w twardych palcach okrutnych wrogów!
- Dostał pan obsesji na punkcie ciem, Pawle?
- Prawie - odparł z goryczą. - Od momentu, gdy Ramirowie zniszczyli „Węża”, ciągle sobie powtarzam, że jesteśmy słabymi ćmami lecącymi do ogniska. A wie pan, że tego samego słowa użył nasz pokładowy MUK?
- Był pan w laboratorium?
- Właśnie z niego wracam. Zapytałam mózg pokładowy co sądzi o nieciągłości czasu w tym dziwnym świecie nazywanym przez nas jądrem Galaktyki. 1 w odpowiedzi usłyszałem,.. Jak pan sądzi, co to mogło być?
- Pewnie jakaś głupawa piosenka albo wierszyk.
- Właśnie. Dziwny wierszyk. Proszę posłuchać. - I Romero wydeklamował: Motylem jestem, ćmą teczoskrzydłą.
Świat mi się znudził, życie obrzydło... Jak długo można z kwiatka na kwiatek, Gdy róża kole, więdnie bławatek, Gdy drży osika z wielkiego strachu? Nie chce nektaru! Pójdę do piachu...
- Dziwne w tych rymach wydaje mi się jedynie to, że MUK przestał się uważać za sentymentalną dziewczynę z półświatka i zaczął przemawiać jak znudzony łatwymi podbojami prowincjonalny donżuan.
- Nie, mój uczony przyjacielu, dziwne jest coś innego. W moim mózgu tkwiło uparcie słowo „ćma”, a MUK użył właśnie tego wyrazu. Nic to panu nie mówi?
- Nic a nic.
- Wielka szkoda, admirale, że nigdy nie interesował się pan starożytnymi obyczajami, bo znajomość historii bywa czasem niezmiernie użyteczna... Ale zostawmy te utyskiwania. Otóż moja uniwersytecka praca dyplomowa nosiła tytuł „Folklor miejski pierwszej połowy dwudziestego wieku starej ery” i cytowała wszystkie piosenki i wierszyki, którymi teraz operuje nasz zwariowany MUK.
- To rzeczywiście jest bardzo dziwne i interesujące.
- Cieszę się, że do pana dotarło. Atak Ramirów spowodował rozdwojenie jaźni naszej biednej maszyny.
- Rozdwojenie czasu, Pawle.
- Ma pan racje, rozdwojenie czasu. MUK przebywa równo-

cześnie w dwóch epokach. Fizycznie, materialnie znajduje się tutaj, na pokładzie „Koziorożca", natomiast psychicznie, jeśli tego określenia można użyć w stosunku do maszyny, tkwi w przeszłości.

- A co z innymi maszynami myślącymi, Pawle?

- Każdy wariuje na swój sposób, admirale. Odnosi się to nie tylko do ludzi, ale także do maszyn.

- Pańska hipoteza otwiera obiecujące możliwości uzdrowienia mózgów pokładowych - powiedziałem.

- Ja natomiast widzę inną możliwość. Lękam się, że my wszyscy wkrótce tu powariujemy! - odparł z goryczą Romero.

Po czym przypomniał mi Oana i jego chory czas. Przepowiednia zdrajcy spełniła się co do joty: znaleźliśmy się w chorym czasie. Wielkim błędem z naszej strony było to, że krążąc wśród światów, gdzie dysharmonia temporalna jest zjawiskiem normalnym, obowiązującym powszechnie prawem, łudziliśmy się, iż nas samych ta kieska nie dotknie. W dzikim chaosie jądra niestabilność czasu .gwarantuje być może fizyczną trwałość gwiazd, ale też z pewnością jest zabójcza dla naszych harmonijnych organizmów Trwająca niewiele dłużej niż mgnienie oka luka w „teraz" omal nie doprowadziła nas do zguby. Zachorowaliśmy, na razie o tym nie wiedząc. Rozpad więzi czasowych dokonuje się teraz również i w nas.

- Ale maszyny myślące już zwariowały, my natomiast jak dotąd zachowaliśmy trzeźwe głowy. Jeśli oczywiście nie uznamy za przejaw szaleństwa pańskiej teorii o stopniowym rozpadzie naszego indywidualnego czasu...

- Funkcjonujemy na innej zasadzie niż intelekty mechaniczne - odparł Romero ignorując moją złośliwość. - Organizmy mają zapewne wewnętrzne stabilizatory czasu, bo nie wątpię, że natura tworząc życie zatroszczyła się o jego ochronę również przed takimi kataklizmami, jak zakłócenie rytmu temporalnego. Natura wie przecież najlepiej, na co ją stać... My zaś nie mieliśmy pojęcia, że trzeba MUK zaopatrzyć w stabilizator czasu i dlatego maszyny myślące są słabsze od naszych mózgów przynajmniej pod tym względem. Ale naszej odporności też nie wolno przeceniać! Zakłócenia synchroniczności nawarstwiają się w komórkach i kiedy pokonają próg wytrzymałości stabilizatora biologicznego, my też stracimy rozsądek.

- Postaramy się uciec z zagrożonego obszaru zanim do tego dojdzie. Pawle, mam propozycje. Jeśli zależy panu na sprawdzeniu słuszności hipotezy o rozszczepieniu indywidualnych czasów, proszę zająć się wraz z Ellonem i Ireną uruchomieniem naszych mózgów pokładowych.

- Żartuje pan, admirale? - wykrzyknął zdumiony Romero. - Ośmielę się zauważyć, że remont przyrządów to domena inżynierów, a ja jestem z wykształcenia historykiem!

- O to właśnie chodzi! Właśnie historyk jest do tego niezbędny! Jeśli MUK znajduje się intelektualnie w przeszłości, to jedynie historyk może go przywrócić czasom obecnym. Proszę sobie wyobrazić człowieka, który zasnął sześćset lat temu i niedawno się obudził. Co pan z nim zrobi? Posadzi w ławce i zmusi do nauczenia się, poznania wydarzeń i faktów, które zaszły podczas jego snu. Po zakończeniu nauki nasz śpioch znajdzie się w swoim nowym czasie, prawda? Trzeba zatem postąpić tak samo ze zwierszokleciałym mózgiem! Mam nadzieje, że pana jako miłośnika poezji takie określenie nie nazbyt szokuje...

- Już dawno pogodziłem się z faktem, że ludzie nie zawsze najstaranniej dobierają wyrażenia. Pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę, admirale, że „zwierszokleciał" tylko jeden MUK,. a pozostałe zachorowały na co innego. Czy je również będziemy leczyć lekcjami historii?

- Zaaplikujemy im lekcje logiki. Przyczyna poprzedza skutek, oto zasada, na której zbudowano nasze maszyny. Luka czasowa naruszyła logikę obliczeń. Znamy istotę schorzenia i chyba potrafimy zwalczyć szaleństwo logiczne, jeśli pan poradzi sobie z szaleństwem historycznym.

Myślałem, że już go przekonałem, gdy nagle Romero uniósł tragicznym gestem laseczkę i wykrzyknął z patosem:

- Po cóż te wszystkie remonty, kuracje i naprawy?... Trafiliśmy do piekła, z którego nie ma ucieczki. Gdzie się znajdujemy? W jądrze Galaktyki? Nic podobnego! Nie ma żadnego jądra, bo coś zwartego może istnieć tylko w spójnym czasie, a takiego akurat czasu tu nie ma! Jesteśmy nigdzie, gdyż znajdujemy się wszędzie jednocześnie!... To się nie mieści w głowie! Oszaleje, jeśli mi ktoś tego nie wytłumaczy... Już oszalałem!...

Złapał się rekami za głowę i wydawało się, że lada chwila zacznie rwać włosy, wrzeszczeć. Jeszcze nie oszalał, ale już dostał ciężkiego ataku histerii. Wpadłem we wściekłość. Zacisnąłem pieści i już gotów byłem go uderzyć, gdy nagle popatrzył na mnie uważnie, opuścił wolno ręce i zapytał:

- Chce mnie pan zbić, admirale? Proszę bardzo, nie będę się bronił. Dawniej ludzi bito i czasem to pomagało.

Tylko te słowa, którym towarzyszył niepewny uśmiech, uratowały go przed policzkiem. Opadłem na fotel i położyłem ręce na kolanach, żeby uspokoić rozdygotane dłonie. Rozumiałem teraz, co czuli kapitanowie statków, kiedy załoga odmawiała wykonania ich rozkazów. Histeria w obliczu powtarzających sie katastrof nie była przecież lepsza od buntu na zagubionym w oceanie żaglowcu.

- Pawle, apeluje do pańskiego rozsądku, do pańskiego wspaniałego rozumu! Poczuł się pan dotknięty, że tragedie nazwałem interesującą przygodą? Ale czyż mówiąc o przygodzie nie mamy zarazem na myśli jej szczęśliwego zakończenia? I czyż dziś nie jesteśmy pod pewnym szczególnym względem najszczęśliwszymi z ludzi?

- Mój stary przyjacielu Eli! - powiedział. - Nie chce z panem się kłócić. Admirale, czy mogę przystąpić do wykonywania rozkazu?

Zasunąłem drzwi, aby nawet Mary nie mogła w tym momencie do mnie wejść. Nawet ona nie powinna oglądać mnie w tym stanie. Bo gdy tylko w oddali ucichło postukiwanie laseczki opadłem na fotel, chwyciłem się za głowę, jak to niedawno uczynił Romero i zacząłem jęczeć z rozpaczy, poczucia bezsiły i przerażenia na myśl o końcu, który przepowiadałem. Atak histerii, której nie pozwoliłem opanować Romera, dopadł teraz mnie. Miałem znacznie więcej powodów do utraty opanowania niż on, a w dodatku nie mogłem nikogo prosić o pomoc. Nie mogłem zdradzić tajemnicy zanim statek znajdzie się poza zasięgiem niebezpieczeństwa.

3.

Ellon poczuł się śmiertelnie obrażony, kiedy poprosiłem go, aby do transformatora czasu dobudował jeszcze stabilizator podobny do tego, w jaki natura wyposażyła nasze ciała. Tak uwierzyłem w hipotezę Romera, że przyjąłem ją za pewnik. Demiurg błysnął wściekle oczami i warknął:

- Admirale, nie wtrącaj się do spraw, o których nie masz zielonego pojęcia! Transformator, stabilizator, może jeszcze multiplikator? Wymyślaj swoje nazwy, ale nie przeszkadzaj mi w robocie. Sądzisz, że jeden chaos zastępujemy innym? No to zapamiętaj sobie raz na zawsze, że budujemy uniwersalną maszynę czasu!...

Wykrzykując to skakał przede mną jak konik polny i wściekle wymachiwał rekami. Przypisałem jego podniecenie skutkom zagłady „Węża", myśląc przy tym, że nawet wytrzymałość niezmordowanych Demiurgów ma swoje granice. Wątpię, aby od momentu ostatniej katastrofy Ellon wypoczywał choćby godzinę. W ogóle nie przyszło mi do głowy, że mogą to być pierwsze objawy szaleństwa przepowiedzianego przez Romera.

Po raz pierwszy zacząłem podejrzewać coś złego dopiero wtedy, kiedy Mizara przyprowadzono do transformatora czasu, ogromnej przezroczystej kuli spoczywającej na postumencie. Wokół kuli stało mnóstwo różnych promienników i reflektorów, a sam transformator połączony był z kolapsanem grubościenną rurą o wielkiej średnicy, Było tam jeszcze wiele innych urządzeń i mechanizmów, których przeznaczenia nie znałem i których nie podejmuje się opisać.

W doświadczeniu uczestniczyli w charakterze obserwatorów Oleg i Romero, Gracjusz i Orlan, Mary i Olga. Ellon sam otworzył właz transformatora czasu, a Irena przyprowadziła psa. Pies cicho popiskiwał, mnie trącił nosem w kolano, polizał Mary w rękę i nagle oparł przednie łapy na ramionach Romera, który zaskoczony tym dowodem psiej sympatii upuścił nieodłączną laseczkę. Irena gładziła Mizara po grzbiecie i coś mu szeptała do ucha. Zaniepokoił mnie wyraz jej twarzy, wiec podszedłem bliżej.

- Kochany piesku! - szeptała Irena. - Leć w przeszłość, w daleką przeszłość! Do lasu. Też chętnie bym sie z tobą tam znalazła, chętnie bym pobiegała po lesie i szczekała jak ty!

- Do lasu! Do lasu! - powarkiwał radośnie pies i lizał ją po rekach. - Zapolujemy sobie razem, poszczekamy! Szybciej, Ireno! Szybciej!

Szept Ireny słyszałem tylko ja, natomiast odpowiedzi Mizara docierały do wszystkich za pośrednictwem deszyfratorów osobistych. Nic wiec dziwnego, że obecni w niczym się nie zorientowali i sądzili, że Irena czułymi słówkami po prostu dodaje psu otuchy przed jego niebezpieczną podróżą. Ja jednak doskonale wiedziałem, że Mizar po szkole Lusina doskonale zna ludzką historie i nie potrzebuje do podjęcia decyzji żadnych kłamliwych zachęt, że wystarczy mu naga prawda o niebezpieczeństwie, ale też i o wadze jego udziału w eksperymencie. To wszystko już zresztą dawno z Ireną ustaliliśmy.

- Ireno! - powiedziałem cicho. - Ireno, odwróć się!

Wolno uniosła się z klęczek. Oczy miała dziwne, gdy powiedziała:

- Admirale, pozwoli mi pan odejść z Mizarem? Kocham go!

Chwyciłem ją za rękę i ścisnąłem tak silnie, że aż krzyknęła z bólu. Na ból jeszcze reagowała,

- Mylisz się, Ireno! - wyskandowałem dobitnie. - Nie kochasz Mizara, tylko Ellona!

Z takim napięciem wsłuchiwała się w moje słowa, że przez chwile stała z otwartymi ustami. Nigdy przedtem nie widziałem jej z taką głupią miną, Irena należała bowiem do kobiet bardzo dbających o swój wygląd.

- Ellona? - zapytała dziecięcym głosikiem. - Jak mogę kochać Ellona, skoro pan mi tego zabronił, admirale? Ja jestem bardzo posłuszną dziewczynką...

- Gadasz głupstwa! - syknąłem ze złością. - Wcale nie jesteś posłuszna, tylko krnąbrna. A teraz w dodatku źle się czujesz i dlatego wyobrażasz sobie niestworzone rzeczy. Musisz się położyć, Ireno.

- Myśli pan, że nie lubię Mizara? - zapytała z powątpiewaniem w głosie.

- Naturalnie, że go lubisz. Ja też go lubię, podobnie jak twoja matka, Mary i wszyscy inni... Ale to nie wystarczy, żeby wybierać się we wspólną podróż w czasie.

- Za mało cie lubię, Mizarze - powiedziała pokornie Irena. - Wydało mi się, że łubie cie najbardziej ze wszystkich, że cie kocham... - Nagle załamała ręce i wykrzyknęła błagalnie: - Admirale, pozwól mi kogoś pokochać! Jestem taka posłuszna, że bez twojej zgody nie potrafię!

Przywołałem Olgę, za którą przybiegli Mary i Oleg. Na jego widok Irena skrzywiła się boleśnie i wykrzyknęła:

- Nie, tylko nie ty! Porzuciłeś mnie dla wyprawy, podczas której zginiesz...

- Ireno, ocknij sie! - wykrzyknął blady jak płótno Oleg. - Przypomnij sobie naszą rozmowę na bazie. Przecież sama nalegałaś na swój udział w wyprawie. Jesteśmy razem na pokładzie statku flagowego. Nie zostałaś na Perseuszu, Ireno! Dziewczyna rozpłakała się spazmatycznie, kryjąc twarz na piersi matki.

- Olgo, zaprowadź ją do siebie - powiedziałem. -1 nie ruszaj się od niej na krok. Obawiam się, że jej stan może się pogorszyć.

Kiedy tak gorączkowo szeptaliśmy, stojąc ciasną grupką wokół Mizara, Ellon w miarę spokojnie czekał przy otwartym włazie, ale kiedy Olga troskliwie podtrzymując Irenę wyprowadziła ją z laboratorium, nie wytrzymał i wrzasnął ze złością:

- Ludzie, przestańcie tracić czas! Transformator przegrzewa się na jałowym biegu i lada chwila wszyscy możemy znaleźć się. w niekontrolowanej przyszłości. Kto w końcu przyprowadzi Mizara?!

- Ja - odpowiedziałem i podobnie jak przed chwilą Irena-ukląkłem przy psie i czule pogładziłem go po karku.

- Mizarze, przyjacielu -”powiedziałem. - Niestety, na razie nie pobiegasz sobie po lesie. Musimy najpierw przeprowadzić niezwykłe doświadczenie, od którego zależy ratunek nas wszystkich. Gotów jesteś nam w tym pomóc?

- Prowadź mnie, Eli! - warknął mężnie pies i polizał mnie po ręce.

Zaprowadziłem go do włazu. Ellon chciał brutalnie chwycić go za kark i wrzucić do środka, ale mu na to nie pozwoliłem. Mizar popatrzył na nas smutnym, pożegnalnym wzrokiem, szczeknął „Żegnajcie!” i sam wskoczył do transformatora. Ellon zatrzasnął pokrywę i odszedł na bok, do stanowiska kolapsanu. Zaczęło się groźne doświadczenie.

Wkrótce spostrzegliśmy, że Mizar znika. Nie rozpadał się, nie kurczył do rozmiarów kropki, jak tego z niewiadomych względów oczekiwaliśmy, lecz znikał tak samo jak Oan podczas swej nieudanej próby ucieczki, stopniowo przekształcając się w mglistą sylwetkę. W transformatorze musiało być gorąco, bo pies zaczął gwałtownie dyszeć z wywieszonym jeżykiem, a jego oczy nabrały gorączkowego blasku. Ciało Mizara zbladło i zniknęło, i tylko te płonące oczy i czerwony jęzor jeszcze przez dłuższą chwilę pozostawały w teraźniejszości. Wreszcie i one umknęły w przyszłość. Przezroczysta kula transformatora czasu opustoszała.

- Mizar jest w przyszłości! - wykrzyknął Ellon, odchodząc od kolapsanu. - W bardzo bliskiej przyszłości, o co najwyżej tysiąc lat wedle waszej ziemskiej rachuby. Smaży się w roztopionym czasie! zachichotał okrutnie.

- Jak długo tam pozostanie?

- Zaledwie godzinę, jedną małą godzinkę, admirale! A potem wyłączę kolapsan i twój pies wypadnie do naszego czasu, podobnie jak zrobił to Oan, kiedy próbował uciec w dalekie jutro.

Triumf Demiurga był oczywisty i uzasadniony, ale jednak przykro było nań patrzeć. Nawet radość eksperymentatora dokonującego epokowego odkrycia nie powinna przecież przesłaniać niepokoju o los bohaterskiego psa. Ponadto miałem do Ellona wielką pretensje ó to, że zupełnie nie przejął się chorobą Ireny. Oleg poszedł na stanowisko dowodzenia, zaś Romero, widząc mój stan wziął mnie pod rękę i zapytał:

- Nie ma pan ochoty, admirale, przekonać się jakie postępy na drodze do normalności poczynił MUK „Koziorożca”?

Chora maszyna stała w przeciwległym kącie laboratorium. Zapytałem ją, co myśli o podróżach w czasie i czy jest nadzieja, że Mizar powróci ^pomyślnie z przyszłości. MUK wyśpiewał swoją odpowiedź przyjemnym altem:

Żadna istota nie przeminie!
Bo wieczność dalej przez nią płynie.
Wiec trwaj i raduj się twym bytem!
Byt jest odwieczny...

- Odpowiedź mało konkretna, ale niezupełnie pozbawiona sensu - zauważyłem. - W dodatku optymistyczna! A i wiersz wydaje mi się lepszy od tych bredni, którymi maszyna nas do tej pory częstowała.

- Ten wiersz wyszedł spod pióra jednego z największych poetów starożytności, o którym zapewne nie słyszał pan, admirale. Ten poeta nazywał się Goethe... To zresztą nieważne. Ważne jest jedynie to, że MUK wspomniał o wieczności, o wiecznym trwaniu każdej istoty. A wiesz, Eli, czemu zawdzięczamy to trwanie? Pamięci! Pamięć jest jedyną gwarancją nieśmiertelności, katalizatorem przekształcającym każdą chwile w wieczność, dającym jej ponadczasowe trwanie!...

Język Romera zawsze odznaczał się nadmierną kwiecistością, ale równie podniosłych słów nigdy jeszcze od niego nie słyszałem.

- Cóż za wspaniała oda do pamięci, Pawle!

- Dziś w nocy przyszła do mnie pańska siostra, Eli. Proszę tak na mnie nie patrzeć, przyjacielu, na ‘ razie jeszcze nie zwariowałem. Doskonale wiem, że Wiera dawno umarła i że przed opuszczeniem Ziemi pokłoniłem się jej prochom w Panteonie. Odwiedziła mnie we wspomnieniach, tylko w moich wspomnieniach! Całe moje życie stało się nagle wspomnieniem o moim życiu i to było piękne, kuzynie! Zachwiał się. Wybuch szaleństwa był tak gwałtowny, że nie zdążyłem Pawłowi przerwać i zareagowałem dopiero wtedy, kiedy omal nie zwalił się bez zmysłów na podłogę. Podtrzymałem go. Romero drgnął i oprzytomniał. Oczy miał zmętniałe ze szczęścia.

- Czy coś się stało? - zapytał. - Co ja mówiłem?

- Rozmawialiśmy o przywracaniu świadomości mózgowi pokładowemu, Pawle. A teraz może posłuchamy, o czym tak gorąco dyskutuje Ellon z Orlanem i Gracjuszem.

Ta rozmowa istotnie zasługiwała na uwagę. Ellon utrzymywał, że znalezienie drogi do przyszłości jest dla jego mechanizmów zupełnym drobiazgiem, bo w tym wypadku należy jedynie przyspieszyć bieg czasu, nie zmieniając jego kierunku. Czas naturalny płynie od przeszłości ku przyszłości, kolapsan dopędzi go i po kłopocie. Gorzej jest z podróżą w przeszłość, chociaż kolapsan i z nią sobie poradzi. Jak jednak na zmianę znaku czasu zareagują poddane tego rodzaju transformacji temporalnej obiekty? Przedmioty martwe zapewne zniosą ją bez szwanku, natomiast organizmy najprawdopodobniej zginą, jeśli nie zastosować szczególnej metody odwracania czasu.

- Co masz na myśli, Ellonie, mówiąc o szczególnej metodzie odwracania czasu? - zapytał Gracjusz. - I dlaczego przejście przez zero temporalne ma stanowić zagrożenie dla tkanek naturalnych?

- Dlatego, że zero temporalne oznacza zatrzymanie wszelkich procesowi W wypadku metalu czy kamienia, czy wreszcie skomplikowanych mechanizmów nie ma to większego znaczenia, natomiast dla organizmów równa się śmierci.

Zauważyłem, że kiedyś już, przy zderzeniu dwóch słońc, znaleźliśmy się w luce czasowej, utraciliśmy na moment nasze „teraz”, na co Ellon zareagował ze zwykłą gwałtownością. Zwymyślał mnie od nieuków, po czym łaskawie wytłumaczył, że luka czasowa jest czymś zupełnie różnym od zera temporalnego. Podczas niedoszłego zderzenia gwiazd zamarliśmy tylko na krotką chwile, ale nie umarliśmy; bo natychmiast powrócił naturalny bieg czasu od przeszłości ku przyszłości, natomiast odwrócenie czasu równa się niszczącej eksplozji.

- Musiałbym wyciągać z przeszłości pańskiego trupa, admirale! - zakończył zjadliwie.

Pobiegał chwile po laboratorium, a potem oświadczył, że jednak znalazł sposób, dzięki któremu organizmy żywe zdołają dotrzeć bez szwanku w przeszłość. Trzeba istotę żywą przy pomocy transformatora wyrzucić w przyszłość wzdłuż naturalnych linii temporalnych i jeśli się w tej przyszłości nie utrzyma, nie zatrzymywać jej we współczesności, lecz pozwolić spadać dalej, w przeszłość. Będzie to jednak spadanie inercyjne, nie zaś pod wpływem sił zewnętrznych. Ruch bezwładny w czasie jest zawsze przesuwaniem się do punktu realnego istnienia, co wynika z samej natury czasu. I jeśli istota spadająca siłą bezwładności z przyszłości w teraźniejszość sama znajdzie się w przeszłości, to ów wsteczny ruch, ciągle spowalniany, stanie się niebawem normalnym ruchem do przodu. Teraz wystarczy temu znormalniałemu ruchowi w czasie nadać odpowiednie przyspieszenie, aby obiekt biologiczny bez szkody dla zdrowia osiągnął nawet milionoletnią przeszłość...

Trochę to moim zdaniem było zanadto pokrętne i nieprzekonujące, ale postanowiłem na razie nie wdawać się z Demiurgiem

w dyskusje, gdyż była już najwyższa pora zawrócić Mizara z dalekiej drogi. Ellon przesunął dźwignie rewersu czasowego na pulpicie sterowniczym kolapsami. Wnętrze transformatora zmętniało, zamgliło się, a w tej mgle ukazał się najpierw czerwony jęzor, za nim zaś dwoje gorejących oczu. Wkrótce ujrzeliśmy całą postać żywego i zdrowego, szalejącego z radości Mizara.

- Wróciłem! Wróciłem do was! - szczekał nie posiadając się ze szczęścia.

Odskoczyła pokrywa włazu i Mizar wypadł na zewnątrz jak wystrzelony z procy. Skoczył z impetem aa pierś Romerowi, przewrócił go, potem zbił z nóg mnie i spróbował tej samej sztuczki z Gracjuszem, ale masywny Galakt tylko lekko się zachwiał pod naporem psiej radości.

- Przestań, wariacie! - zawołałem ze śmiechem. - Opowiedz lepiej, co widziałeś w czasie tej swojej nieprawdopodobnej podróży!

Mizar jednak niczego nie widział. Dokoła była tylko gęsta biała mgła. Tkwił w tej mgle całą wieczność, a potem pojawiły się gwiazdy, które jak wściekłe pędziły po niebie i groźnie błyszczały. Zupełnie tak samo jak na ekranach. Tyle tylko, że było okropnie gorąco, tak gorąco, że Mizar umierał z pragnienia.

- Zaraz dostaniesz pić - burknął Ellon i nie czekając aż pies wychłepce wodę, zaczął przygotowywać transformator do nowej podróży w czasie.

Zapytałem Demiurga czy nie można odłożyć dalszej części eksperymentu na jutro, żeby pies mógł trochę odpocząć. Odparł na to, że nie mamy do stracenia ani chwili nie tylko obecnego, ale również i dawno minionego czasu. Znów pogłaskałem Mizara i zapytałem go czy Irena powiedziała mu wszystko o programie eksperymentu. Pies uśmiechnął się, jak potrafią uśmiechać się tylko naprawdę inteligentne psy i odpowiedział, zupełnie po ludzku przymrużając oko:

- Skąd mogę wiedzieć, czy powiedziała mi wszystko? Ze zdenerwowania zadajesz mi nierozsądne pytania, admirale. W każdym razie powiedziała mi, że najpierw udam się w przyszłość, a potem w przeszłość, gdzie będzie Ziemia i las. Gdzie ona jest?

- Irena bardzo źle się poczuła. Najlepszym lekarstwem na jej chorobę będzie sukces tego doświadczenia.

- Zrobię wszystko, co tylko będzie trzeba.

I znów zobaczyliśmy jak piękne, zwinne ciało Mizara zamienia się w sylwetkę, w której błyszczały tylko gorejące oczy. W laboratorium zjawił się ponownie Oleg. Powiedział nam, że Irena leży nieprzytomna pod opieką matki i że jej stan budzi bardzo poważne obawy. Wyprawa dysponowała znakomitymi lekarstwami dostarczonymi przez ludzi i Demiurgów, w tym także lekami działającymi na chorą psychikę, ale żadne z nich nie poskutkowało. Automat medyczny co chwile zmieniał diagnozę i przepisywał coraz to nową kuracje, gdyż jego pamięć nie zawierała żadnych informacji na temat jej niezwykłej jak się okazało dolegliwości.

- Uwaga! - rozległ się ostry głos Ellona. - Powrót z przyszłości! Inercyjny przeskok w przyszłość! Mizar wypadł z przeszłości. W transformatorze zarysowało się dwoje oczu, ciężko pulsujący jeżyk i

półprzezroczysta sylwetka ciała. Przez chwile miałem nadzieje, że całkowicie już cielesny pies zaszczeka radośnie i zacznie domagać się wypuszczenia na zewnątrz, ale tułów znów zbladł i zniknął. Mizar nie zatrzymał się w naszej chwili obecnej i z rozpędu zanurzył w przeszłość. Ellon nisko pochylony nad pulpitem sterowniczym uważnie obserwował pulsowanie lampek sygnalizacyjnych.

- Doświadczalny pies Mizar pomknął w przeszłość - zameldował Olegowi. - Zero temporalne minął bez szwanku, dlatego też dodałem trochę czasu wstecznego, przyspieszyłem inercyjny wylot z przyszłości.

- Jak długo będziemy czekać na powrót psa?

- Również około godziny, dowódco.

- Jeśli zostaniesz tu - zwróciłem się do Olega - to ja odwiedzę teraz Głos, który pewnie stęsknił się za towarzystwem.

W kabinie Głosu zacząłem spacerować pierścieniowym chodnikiem pod jej ścianami, jak to lubił robić Gracjusz. Nie musiałem opisywać unieruchomionemu Włóczędze przebiegu eksperymentu, bo analizatory przekazywały mu na bieżąco znacznie pełniejszy obraz niż ja to bym potrafił uczynić, nie zdziwiłem się wiec" gdy Głos zapytał o mój stosunek do podróży w czasie. Odparłem, że sam go nie potrafię ściśle sformułować, bowiem jestem pełen nadziei zmieszanej z obawą i czymś, co można byłoby nazwać instynktowną niechęcią do tego rodzaju doświadczeń przeprowadzanych na istotach żywych.

- Zgadzam się z tobą w tym ostatnim punkcie, ale sytuacja jest chyba o wiele groźniejsza niż nam sie wydaje.

- Również obawiasz się, że grozi nam szaleństwo? - zapytałem.

- Szaleństwo już się zaczęło - odpowiedział Głos.

- Jeślinie liczyć maszyn, nikt z nas poza Ireną na razie nie stracił zmysłów.

- Intelekt maszynowy nie jest chroniony wewnętrznym stabilizatorem czasu, jak to ma miejsce w wypadku organizmów żywych. Nic wiec dziwnego, że mózgi pokładowe pierwsze ucierpiały.

- Uważasz zatem, że hipoteza Romera jest słuszna?

- To nie jest hipoteza, tylko stwierdzenie faktu.

- A wiec i my utracimy rozsądek? W pierwszej awarii z twojej świadomości wypadło poczucie „teraz", ale chyba nie wątpisz, że tym razem żyjemy we własnej teraźniejszości?

Jednak Głos właśnie w to wątpił. Nawet więcej, był wręcz przekonany, że już utraciliśmy swoje „teraz". Powiedział, że czas pokładowy statku pulsuje, miota się miedzy najbliższą przeszłością a równie bliską przyszłością. Nie płynie równomiernie od przeszłości ku przyszłości, lecz bardzo szybko wibruje, gorączkowo drga, Głos wyczuwał te drgania w każdej komórce swojego mózgu, bo wibracja czasu prowadzi do rozdygotania myśli, do falowania rozkazów wydawanych mechanizmom wykonawczym. Na szczęście maszyny nie wyczuwają takich subtelności, bo dla nich najważniejsza jest treść rozkazu, a nie ton, jakim został on wydany, ale długo to trwać nie może. Nieuchronnie nastąpi chwila, kiedy wibrujący rozkaz przestanie być rozkazem, zamieni się w niezrozumiały bełkot, a wówczas statek umrze.

- Gracjusz dubluje twoją prace, Głosie, ale na nic podobnego się nie uskarża! - powiedziałem zdumiony.

- Wkrótce i on to poczuje. Wkrótce wszyscy to poczujecie, Eli. Czas drży coraz silniej, zwiększa sie amplituda jego wibracji. Każda wibracja zostawia siad: nawarstwia się przeszłość, koncentruje przyszłośc. Kiedy ich niezgodność osiągnie wartość graniczną, wówczas czas znów się rozerwie, a wątpię, żebyśmy i tym razem zdołali tak łatwo jak poprzednim razem wymknąć się z powstałej luki. Wtedy uciekliśmy z wyrwy czasowej miedzy dwoma słońcami, ale co będzie, kiedy czas pęknie na samym statku?

- To okropne, co mówisz, Głosie! Czy mamy jakąś szanse ratunku?

- Uratować nas może tylko natychmiastowe ustabilizowanie czasu pokładowego. Stabilizator jest teraz ważniejszy niż transformator czasu.

Wezwano mnie do laboratorium. Na podłodze leżał Mizar. Oczy miał wytrzeszczone, z szeroko rozwartej paszczy wysuwał się obrzmiały jeżyk. Pies był martwy. W przygnębiającej ciszy zabrzmiał groźny głos Orlana:

- Ellonie, obiecałeś, że Mizar pomyślnie przekroczy zero temporalne. Skłamałeś!

Ellon tak głęboko wciągnął głowę, że spomiędzy ramion wystawały tylko oczy, zapadłe i przygaszone.

- Nie kłamałem, Orlanie, nie kłamałem. Mizar był żywy, kiedy przekraczał zero... Wszyscy widzieli.

- Ale wrócił martwy! Czy masz coś na swoją obronę, Ellonie? Czy potrafisz się wytłumaczyć?

- Nie potrafię - wyznał szeptem Demiurg. - Ale będę szukał wytłumaczenia...

Ellon wraz z pomocnikami przenieśli Mizara na stół sekcyjny, a ja opowiedziałem przyjaciołom o obawach Głosu.

- Lepiej będzie, jak do niego pójdziesz - poradziłem Gracjuszowi. - Głosowi nerwy zaczynają odmawiać posłuszeństwa,

- Porozmawiam z Ellonem o wibracjach czasu - zdecydował Orlan i przywołał go władczym gestem.

Ellon był taki przybity, że nieomal zrobiło mi się go żal.

- Głos informuje, że czas pokładowy wibruje miedzy przeszłością a przyszłością. Amplituda drgań szybko się zwiększa. Kiedy ruszy stabilizator czasu, Ellonie? - zapytał Orlan.

- Natychmiast się nim zajmę, Orlanie. Rzucę prace nad transformatorem i przełączę stabilizator z czasu atomowego na pokładowy - odparł skwapliwie Ellon.

- Nie zrozumiałeś mnie, Ellonie. Nie pytałem cie o twoje plany. Ty mnie zupełnie nie interesujesz rzucił zimno Orlan. - Kiedy ruszy stabilizator?

- Stabilizator uruchomię najdalej jutro - powiedział pokornie Ellon.

Popatrzyłem ze smutkiem na zwłoki psa i wyciągnąłem Olega na korytarz, gdzie mu powiedziałem:

- Pamiętaj, że jeśli my obaj poddamy się szaleństwu, to skutki mogą być straszne. Dlatego za wszelką cenę musimy zachować przytomność umysłu, nie poddawać się wibracji czasu. A jeśli mimo wszystko twój czas się zerwie, trzymaj się pazurami przyszłości, nie daj się zepchnąć w przeszłość. To niezwykle ważne, Olegu. Pamiętaj, trzymaj się przyszłości!

- Masz racje, musimy się trzymać - odpowiedział ze smutnym uśmiechem.

Zajrzałem mu w oczy, czerwone i opuchnięte ze zmęczenia. Westchnąłem. Tylko na nas dwóch spośród całej załogi mogłem w jakimś stopniu liczyć. Tc było przerażające, tym bardziej że nie mogłem powiedzieć Olegowi całej prawdy.

4.

Wróciłem do siebie bardzo późno. Mary już spała, wiec rozbierałem się bardzo ostrożnie, żeby jej nie obudzić. Długo nie mogłem usnąć, a kiedy mi się to nareszcie udało, prawie natychmiast poderwało mnie rozpaczliwe łkanie żony. Mary siedziała na łóżku i płakała z głową opartą na rekach.

- Co ci jest, Mary? Co się stało? - wykrzyknąłem z przerażeniem.

Odsunęła się ode mnie jak od najgorszego wroga.

- Nie kochasz mnie! - załkała.

- Mary, co ty mówisz? Ja miałbym ciebie nie kochać? Ja?.. Przygarnąłem ją i pocałowałem.

Wyrwała mi się i gniewnie tupnęła nogą.

- Nie dotykaj mnie, bo mnie nie kochasz! Ja zresztą też cie wcale nie kocham!

Dopiero w tym momencie naprawdę się obudziłem i zacząłem pojmować co się dzieje. Odszedłem na bok, usiadłem w fotelu i powiedziałem spokojnie:

- Powiadasz wiec, że cie nie kocham i że ty też mnie nie kochasz. W porządku! Ale czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego doszłaś do takiego wniosku?

- Zasięgałeś o mnie informacji! - mamrotała przez łzy. -Przestraszyłeś się, że jesteśmy dla siebie nieodpowiedni. Ja też się tego obawiałam, ale wciąż o tobie myślałam i próbowałam się z tobą spotkać! Pragnęłam tego nieustannie od tamtego wieczoru w Kairze, a ty wyjechałeś na Ore nawet nie spojrzawszy na mnie... Uciekłeś, a ja tak chciałam cie przeprosić za moje zachowanie podczas koncertu, tak bardzo chciałam cie przeprosić! Ciągle o tobie myślałam i ani na chwile nie wyłączałam stereoekranów, żeby przypadkiem nie przegapić transmisji z Ory. A ty zakochałeś się w jakiejś żmii i poleciałeś na Perseusza. Nic cie nie obchodziło, że płakałam po nocach, kiedy twoja siostra wróciła sama. Paweł opowiadał mi jak namiętnie patrzyłeś na twoją piękną wężopannę, jak spieszyłeś na nocne spotkania, jak usychałeś z miłości do niej... Wszystko mi opowiedział, a ja mu wciąż odpowiadałam, że mimo wszystko cie kocham i kochać nie przestane, chociaż już wtedy cie nienawidziłam! Teraz też cie nienawidzę! Możesz nie przyjeżdżać, bo i tak dobrego słowa ode mnie nie usłyszysz! Najwyżej popatrzę na ciebie z zimną pogardą... Właśnie tak, z zimną pogardą! Czemu milczysz?

- Paweł nie opowiedział ci wszystkiego, Mary - powiedziałem.

- Wszystko! Właśnie że wszystko! - przerwała mi głosem rozkapryszonej dziewczynki.

- Nie, nie wszystko - powtórzyłem z łagodnym naciskiem. - Paweł nie mógł ci powiedzieć wszystkiego z tego prostego powodu, że nie wszystko o mnie wiedział. Nie mógł ci zatem powiedzieć tego, że od pierwszego wejrzenia, od pierwszego słowa zakochałem się w tobie bez pamięci raz i na zawsze. Nie powiedział ci i tego, że to ty zachowywałaś się wobec mnie nieuprzejmie i dopiero zamierzałaś mnie przeprosić, a ja cie kochałem, po prostu kochałem całym sercem. To prawda, że zadurzyłem się przelotnie we Fioli, ale zawsze kochałem tylko ciebie, ani na chwile nie przestawałem cie kochać. Wymyślałaś mi, a ja myślałem: jaki ona ma cudowny głos! Marszczyłaś brwi, a ja omdlewałem z zachwytu nad twoimi wspaniałymi brwiami. Piorunowałaś mnie wzrokiem, a ja myślałem z rozczuleniem, że nikt inny na całym świecie nie ma równie wspaniałych oczu. Odchodziłaś ze złością, a ja zachwycałem sie twoją figurą, twym tanecznym krokiem, sposobem w jaki poruszasz rekami i byłem szczęśliwy, że mogę na ciebie patrzeć, że dane jest mi cie podziwiać... Tak to właśnie było, choć Paweł nic o tym nie wiedział!

- Powiedziałeś „było” - znów mi przerwała. - A wiec już tego nie ma!

- Masz racje, Mary, było - ciągnąłem tym samym tonem. - Było zresztą nie tylko to. Była też nasza wyprawa do Perseusza. Pamiętasz ją, prawda? Ach, cóż to była za wspaniała podróż poślubna! Nie rozstawaliśmy się nawet na chwile, bo chwila spędzona nie we dwójkę była dla nas stracona... Przypomnij sobie, Mary, przypomnij! Znów cie kochałem, byłem z ciebie dumny, zachwycałem się tobą i cieszyłem się, że jesteś ze mną, że jesteś moja, że jesteś tym co we mnie najlepsze, najszlachetniejsze i budzące największe nadzieje... Przypomnij sobie, Mary, przypomnij sobie, że tak właśnie było!

- Ach! - jęknęła, - To okropne słowo „było”! Jesteś okrutny, Eli, bo wszystko u ciebie było, było, tylko było!...

- Tak, Mary, znów masz racje jak zawsze. Słówko „było” okropnie brzmi, a jednak ileż w nim dobrego! Wszak wśród tego dobrego, co było, był również nasz syn, nasz jedyny syn Aster, bo przecież mieliśmy syna o tym imieniu!

- Nazywał się Aster... - wyszeptała Mary.

- No i widzisz, Mary, przypomniałaś sobie! To cudowne, że sobie przypomniałaś, jestem ci za to nieskończenie wdzięczny. Jestem ci wdzięczny za to, że przypomniałaś sobie naszego syna Astra, który zginął okropną śmiercią na Trzeciej Planecie, umarł na twoich rekach, Mary! Przypomnij sobie, jak umierał nasz syn Aster!...

- Przestań! - załkała. - Ranisz mi serce, Eli!

Padłem przed nią na kolana, wtuliłem twarz w jej gorące dłonie i szeptałem, szeptałem...

- Nie, Mary, nie przestane! I jeśli nie ma innego wyjścia, będę rozkrwawiał ci serce, ale nie pozwolę zapomnieć o Astrze! Przypomnij sobie syna, naszego biednego syna zmiażdżonego przez grawitacje na Trzeciej Planecie, przypomnij sobie naszą rozpacz. Przypomnij sobie, że jego proch spoczywa w ziemskim Panteonie, że na jego grobie widnieje napis: „Pierwszemu człowiekowi, który oddał życie za gwiezdnych przyjaciół ludzkości”! Mamy co wspominać, mamy z czego być dumni, Mary!

Szaleństwo jeszcze zmagało się w niej z rozsądkiem, ale rozum zaczynał zwyciężać, bo powiedziała gorzko:

- Tak Eli, mamy co wspominać, mamy z czego być dumni, ale to wszystko zapadło w przeszłość. Wstałem. Wiedziałem już, że ją uratuje.

- Tak - powiedziałem. - Wiele należy do przeszłości, ale nie wszystko. My nie zapadliśmy w przeszłość. Jesteśmy i nasza miłość jest z nami. Była i jest z nami!

Teraz ona podeszła do mnie, chwyciła za ramiona.

- Powiedziałeś „jest”, Eli? - zapytała. - Tak powiedziałeś? Dobrze usłyszałam?

- Dobrze usłyszałaś, Mary, Jest! Jesteśmy i nasza miłość jest z nami. - Dopiero teraz pozwoliłem swojemu głosowi zadrżeć. - Kocham cie teraz tak samo mocno, jak zawsze kochałem, choć postarzałaś się, wychudłaś, może nawet nieco zbrzydłaś... Kocham cie, bo cie kocham i nigdy kochać nie przestane!...

Głos odmówił mi posłuszeństwa, a nogi tak silnie zaczęły dygotać, że musiałem usiąść. Mary zakryła twarz rekami. Przez chwile zastanawiałem się z bólem serca, a nie była to żadna przenośnia, czy naprawdę zdołałem przywrócić ją rzeczywistości dopóki nie opuściła rąk i nie zapytała trochę jeszcze nieprzytomnie:

- Eli, przytrafiło mi się coś złego?

- Wszystko już przeszło - odparłem pospiesznie. - Nie warto o tym mówić, Mary.

- Drży ci głos - powiedziała wpatrując się. we mnie uważnie. - Trzęsą ci się ręce. Z oczu płyną ci łzy, Eli! Nigdy nie płakałeś. Nie płakałeś nawet po śmierci naszego syna... Czy ze mną było aż tak źle?...

- Wszystko już przeszło - powtórzyłem spokojnym głosem, chociaż gardło miałem zdławione łkaniem. - A na mnie nie zwracaj uwagi... Po prostu na chwile nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Wiesz przecież, w jakiej trudnej sytuacji się znaleźliśmy... A teraz musze, już iść do laboratorium. Zawołaj mnie, gdy tylko źle się poczujesz.

Uśmiechnęła się do mnie. Znów widziała mnie na wylot. Zrozumiałem z ulgą, że już nie muszę się o nią martwić.

- Idź, Eli - powiedziała. - Ja też niedługo wyjdę. Zajrzyj po drodze do Ireny.

Pomachałem jej dziarsko ręką na pożegnanie, a za drzwiami oparłem się bezsilnie o ścianę i zamknąłem oczy. Czułem się jak niedoszły topielec, którego wyciągnięto z wody, ale któremu wciąż brakuje powietrza.

Irena leżała w swoim pokoju. Oczy miała zamknięte. Do tej pory nie ocknęła się z omdlenia w laboratorium. Przy posłaniu córki siedziała Olga. Opadłem na kanapę. Olga powiedziała ze współczuciem:

- Źle wyglądasz, Eli.

- Wszyscy wyglądamy nie najlepiej, Olgo. Co z Ireną?

- Elektroniczny medyk utrzymuje, że jej życiu nic nie grozi. Niepokoi mnie jednak to, że ciągle nie odzyskała przytomności.

- To może nawet lepiej, że jest nieprzytomna. Świadomość wyłączona jest mniej groźna niż świadomość rozdarta w czasie.

Olga nie spuszczała ze mnie uważnego wzroku, co nagle zaczęło mnie irytować.

- Czy po śmierci Mizara coś jeszcze się stało, Eli?

- Dlaczego tak sądzisz, Olgo?

- Widać to po tobie.

- Mary zachorowała - powiedziałem niechętnie. - Z jej świadomości wypadło poczucie chwili obecnej. Została tylko przeszłość. Wyobraziła sobie, że jest taka, jak w chwili naszego poznania i że jej nie kocham. Szczęśliwie udało mi się wyciągnąć ją z przeszłości, ale bardzo wiele mnie to kosztowało...

- A Irena jest bardzo nieszczęśliwa, bo pragnie się zakochać - powiedziała trochę bez związku Olga. Przy czym nie znosi obecności osób, których nie lubi, ale które ją kochają. Mnie jeszcze toleruje, ale innych...

- Co ty pleciesz, przecież ona jest nieprzytomna!

- To nic nie znaczy. Kiedy przyszedł Oleg i usiadł obok niej, Irena zaczęła się niespokojnie rzucać na łóżku, po czym wyrwała rękę, za którą ją ujął.

- Nie odzyskując przytomności?

- Właśnie. Zakłócenie biegu czasu powoduje bardzo dziwne objawy, Eli. Bardzo żałuję, że nie jestem psychologiem, bo wtedy potrafiłabym wyliczyć związki miedzy pulsacjami czasu a zmianami w psychice.

- Tak, to istotnie wielka szkoda, bo mając wyniki takich obliczeń moglibyśmy uniknąć wielu niebezpieczeństw. Ale pocieszmy się przynajmniej tym, że oboje na razie nie ulegliśmy szaleństwu. Bo chyba ty nie zamierzasz zapadać mysią w przeszłość?

Roześmiała się cicho.

- A co by to zmieniło, Eli? Moja przeszłość nie różni się niczym od teraźniejszości. Zawsze ten sam los...

- Co masz na myśli mówiąc o tym samym losie? - zapytałem nieostrożnie.

- Kochałam cię, Eli - odparta spokojnie. - Kochałam cię jako podlotek, kochałam jako kobieta dorosła. Byłam żoną Leonida, ale kochałam ciebie. To już nic nie zmieni, ale chcę, żebyś to wiedział: nie znałam nigdy żadnego innego uczucia poza tą miłością. Czasem myślę sobie, że urodziłam się tylko po to, żeby ciebie kochać i dlatego niczego innego w życiu nie zaznałam.

Zaskoczony tym niespodziewanym wyznaniem pozwoliłem się jej wygadać, patrząc z osłupieniem na tę drobną, posiwiałą, ale jak zwykle rumianą i spokojną kobietę, którą znałem od tylu lat i nagle zrozumiałem, że się mylę! Że ta zrównoważona kobieta nie wyznaje mi rozpierającego ją teraz gorącego uczucia, lecz tylko ogląda się za siebie, po prostu bilansuje swoje życie. Odkrycie było tak ważne, że przezwyciężając zmieszanie wykrzyknąłem:

- To nieprawda, Olgo! Twoje życie było tak bogate, tyle w nim było sukcesów i sławy, że zawiedzione uczucie zupełnie się w nim zgubiło. Przypomnij sobie, kim jesteś! Jesteś sławnym astronawigatorem, pierwszą kobietą, która została kapitanem galaktycznym, wielką uczoną, wspaniałą zdobywczynią kosmosu!

Pokręciła lekceważąco głową. - Tak, masz racje, Eli. Miałam życie dość urozmaicone, ale najważniejsza w nim była miłość do ciebie. Miłość wierna i długa jak całe moje życie. A kiedy umierałam, ty byłeś przy mnie, ty gładziłeś moją rękę, a ja ci mówiłam jak bardzo cię kochałam, jak tylko ciebie jednego kochałam!

- Popatrz na mnie, Olgo! - rozkazałem.

Popatrzyła na mnie z uśmiechem, kładąc rękę na mojej dłoni. Była tutaj, w teraźniejszości, bo czułem wyraźnie ciepło jej palców, ale patrzyła na mnie z przyszłości. Każdy wariuje na swój sposób... Irena poruszyła się i Olga powiedziała:

- Ona chce wstać. Zostaw nas same, Eli.

Wędrowałem długimi korytarzami statku i bezsilnie zaciskałem pięści. Wróg, z którym walczyłem miał nade mną przewagę już chociażby z tego powodu, że nie potrafiłem przewidzieć z jakiej strony uderzy. Niedaleko stanowiska dowodzenia wpadł na mnie z rozpędu Osima. Kapitan coś gorączkowo szeptał do siebie i bezładnie wymachiwał rękami. Nigdy nie przypuszczałem, że porywczy, lecz zdyscyplinowany kosmonauta może się tak zachowywać. Chwyciłem go za rękę.

- Osima, dlaczego opuścił pan posterunek?

- Proszę mnie puścić, admirale. Przekazałem wachtę Kamaginowi a teraz bardzo się spieszę!

- A dokąd to tak bardzo się pan spieszy, kapitanie Osimo? - zapytałem nie cofając ręki. Przestał się wyrywać i obniżył głos do konfidencjonalnego szeptu:

- Pędzę na spotkanie z Oharu-san. Z dziewczyną imieniem Wiosenka.

- Osima, co pan mówi? Na naszym statku nie ma dziewczyny o takim imieniu!

- Admirale! - wykrzyknął z niedowierzaniem kapitan. - Powinienem panu wierzyć, ale nie potrafię. Nie ma Wiosenki? Ale ja przecież myślę tylko o niej i pragnę się z nią spotkać!

- Takiej dziewczyny nie ma na statku. Wiosenka istnieje tylko w pańskiej wyobraźni, Osimo! Roi pan na jawie, mój przyjacielu. Proszę wracać na stanowisko dowodzenia!

Moje słowa nie docierały do niego, nie mogły się przebić do zamroczonego mózgu.

- Jak może jej nie być, skoro wciąż o niej myślę? - zapytał z tępym uporem pedanta. -Jest zawsze ze mną, więc jak może jej nie być?

- Nigdy nie było dziewczyny imieniem Wiosenka! - krzyknąłem z wściekłością. - Nigdy nie było Oharu-san!

- Wobec tego pójdę jej szukać, admirale! - oświadczył Osima z wielkim entuzjazmem w głosie. -Jeśli jej dotąd nie było, to koniecznie musze ją znaleźć. Pójdę i nie wrócę bez tej, której nie było!

Spróbował mnie wyminąć, ale szarpnąłem go za rękę. Osima wykonał jakiś nieuchwytny ruch i runąłem jak długi na ziemię. Byłem od niego o głowę wyższy i półtora raza cięższy, a on rzucił mnie na ziemię jak szmacianą lalkę. Na moment straciłem przytomność.

- Admirale, admirale! - dobiegł mnie pełen przestrachu głos Osimy. - Zrobiłem panu krzywdę? Naprawdę nie chciałem, proszę mi uwierzyć! Sam nie wiem, co się ze mną dzieje...

Podniosłem się z trudem, podtrzymywany troskliwie przez Osimę, który momentalnie odzyskał zmysły.

- Wszystko w porządku, kapitanie Osima - powiedziałem. - Idziemy na stanowisko dowodzenia. W fotelu pierwszego pilota siedział Kamagin, a Oleg niespokojnie krążył po kabinie. Popatrzyłem z

lekiem na małego kosmonautę, ale Kamagin pracował szybko i sprawnie. MUK nadal nie działał, więc wszystkie rozkazy do mechanizmów wykonawczych musiał przekazywać za pośrednictwem Głosu i tą samą drogą otrzymywał informacje od analizatorów, ale mimo tego zachowywał się tak, jakby nic w systemie kierowania statkiem się nie zmieniło. Na ekranie nadal kipiało jądro, pryskając na wszystkie strony rozszalałymi gwiazdami, ale Kamagina zdawało się to zupełnie nie wzruszać. Pomyślałem z ulgą, że gdyby nawet Kamagin wpadł w szaleństwo przeszłości, to nie będzie ono zbyt dla nas groźne, gdyż i w swojej dalekiej przeszłości Edward był odważnym galaktycznym kapitanem, tym odważniejszym, że dowodził statkami w epoce, kiedy o mózgach pokładowych klasy MUK jeszcze się nikomu nawet nie śniło. I gdyby nawet zginął Głos, co dla każdego z nas byłoby niewyobrażalną katastrofą, on po prostu wróciłby do starej, świetnie przez siebie opanowanej metody ręcznego sterowania statkiem... Osima usiadł w fotelu obok niego. Odciągnąłem Olega na bok i powiedziałem półgłosem:

- Zauważyłeś, w jakim stanie jest Osima?

- Z Osimą jest bardzo niedobrze - odpowiedział Oleg. - Właśnie dlatego pozwoliłem mu wyjść.

- A ja zawróciłem go z drogi, bo obawiam się, że tolerowanie nierozsądnych zachowań tylko pogłębią szaleństwo. Udało mi się trochę nim potrząsnąć i otrzeźwić, ale nie wiem na jak długo.

- W każdym razie nie wolno mu już powierzać samodzielnego prowadzenia statku - powiedział Oleg, a ja się z tą opinią zgodziłem.

Kiedy po paru minutach opuszczałem stanowisko dowodzenia, Osima rozpłakał się jak dziecko i zaczął głośno rozpaczać:

- Nie było Wiosenki! Nie było dziewczyny imieniem Oharu-san! Nie było kwiatów sakury w jej włosach, światło moich oczu, niezapomniana Wiosenko, do końca moich dni będę płakał z tęsknoty za tobą, chociaż nigdy cie nie było!

- Ja bym go jednak skierował do szpitala, Eli - powiedział Oleg.

- A kto go tam będzie pielęgnował? Tacy sami szaleńcy? A poza tym odnoszę wrażenie, że Osima czuje się już trochę lepiej... Jeszcze niedawno szukał Oharu-san, a teraz się z nią żegna.

Jakby na potwierdzenie moich słów Osima wyjął chusteczkę, wytarł załzawione oczy, wysiąkał nos, obciągnął mundur i powiedział niemal normalnym głosem:

- Admirale, melduje, że trochę mi sie-kreci w głowie. Dlatego przekazałem wachtę Kamaginowi. Czy mogę się trochę zdrzemnąć?

Zamknął oczy i natychmiast zasnął. Po chwili jego twarz rozluźniła się, nabrała swego zwykłego wyrazu. Odeszliśmy cicho od niego. Oleg pozostał na stanowisku dowodzenia, a ja ruszyłem do laboratorium.

W laboratorium trwał montaż stabilizatora czasu. Ostry głos Ellona rozlegał się w całym pomieszczeniu, a Demiurgowie i ludzie biegiem wykonywali jego polecenia. W głębi hali krążył od ściany do ściany Orlan, a wokół niego, co natychmiast zauważyłem, wytworzył się skrawek wolnej przestrzeni: nikt widocznie nie odważał się przekroczyć niewidzialnej bariery odgradzającej go od pozostałych. Jeszcze przed paroma dniami taki widok był nie do pomyślenia, gdyż Orlah tak bardzo starał się nie wyróżniać spośród otoczenia, że jakby niknął w każdej grupie liczącej więcej niż trzy osoby. Nie chcąc przeszkadzać Ellonowi i jego ekipie w pracy, podszedłem do samotnego Demiurga.

- Witaj, przyjacielu Orlanie! - powiedziałem, starając się, żeby głos brzmiał serdecznie i ciepło. - Jest nadzieja, że stabilizator czasu zacznie działać?

- Dziwne pytanie, admirale Eli! - odparł Orlan zimno. -. Czyż nie słyszałeś, że Ellon przyrzekł mi go uruchomić dzisiaj?

- Tak - wymamrotałem zmieszanym głosem. - Słyszałem, Orlanie, jak Ellon ci to obiecywał...

- Sądzisz, że Ellon ośmieliłby się mnie oszukać? Taka rzecz wśród Demiurgów nie może się zdarzyć! Uspokój się, dzień dopiero się zaczął, admirale Eli.

On również popadł w szaleństwo. Wszyscy na statku tracili zmysły, bo nieuchwytna dla przyrządów wibracja czasu rozbijała im psychikę. W świadomości nawarstwiała się przywrócona do życia przeszłość, zagęszczała się mająca dopiero nastąpić

przyszłość. W rozdwojonej duszy przyszłość zaczynała przeważać, gdyż jako dobrze już znana zaczynała wydawać się bliższa. Tylko Olga stanowiła tu wyjątek, bo cała reszta zapadała się coraz głębiej w czas miniony.

Patrząc na dumnie kroczącego od ściany do ściany Orlana nagle zobaczyłem go takim jakim był, gdy jeszcze nie stał się naszym przyjacielem, wyobraziłem sobie, jak wobec niego zachowywali się otaczający go lokaje, jego niewolnicy. Sztywna hierarchia, wymóg bezwzględnego posłuszeństwa wobec przełożonych jako nadrzędna zasada obowiązywała w społeczeństwie, gdzie nawet myśl o wolności była najcięższym przestępstwem i dawny Orlan był produktem tego właśnie społeczeństwa. To naturalnie nie jego wina, myślałem, że coraz głębiej grzęźnie w przeszłości, to jego nieszczęście, a nie wina. A poza tym w naszej obecnej tragicznej sytuacji jego pycha, jego surowa władczość może tylko sprzyjać wyzwoleniu nas z nieszczęścia... W nadzwyczajnych okolicznościach należy stosować jedynie nadzwyczajne środki. Ale co będzie, jeśli my się uratujemy, a on pozostanie takim oto pełnym pychy dostojnikiem? Czułem, że tracę przyjaciela, jednego z najbliższych i najserdeczniejszych przyjaciół...

- Można oszaleć na sam widok takiego szaleństwa - wyrwało mi się na głos. Orlan usłyszał to i zapytał groźnie:

- Co powiedziałeś? Powtórz!

- Nie pamiętam już, co mamrotałem, Orlanie - odpowiedziałem i poszedłem do siebie.

Mary spała i błogo uśmiechała się we śnie. Popatrzyłem na jej zarumienioną twarz, wziąłem dyktafon i poszedłem do konserwatora, w którym przybył nowy sarkofag ze zwłokami Mizara, który nie przeżył powrotu z przeszłości. Przysunąłem fotel do klatki siłowej Oana. Gdzie on był? W przeszłości czy przyszłości? W jakim momencie uchwyciły go niewidzialne peta Ellona? Czy zdoła powrócić do rzeczywistości, gdy zdejmiemy krepujące go okowy?

- Co do jednego miałeś racje, zdrajco - powiedziałem. - Ostrzegałeś nas przed rakiem czasu i rak czasu nas poraził. Nie powiedziałeś tylko, że stanie się to za sprawą twoich okrutnych władców a może braci. Ciesz się, Oanie, jesteśmy chorzy! Nasze dusze krwawią, a wkrótce również nasze ciała udręczone przez rozdwojoną psychikę odmówią posłuszeństwa, zwalą się bez sił, skamienieją na podłodze, w łóżkach czy fotelach. Cieszcie się, okrutni, zwyciężyliście! Zamilkłem na chwile, a potem znów mówiłem już nieco spokojniej:

- Szaleństwo ogarnia całą załogę. Mnie również. Już to, że ja, żywy, rozmawiam z tobą martwym, nie świadczy dobrze o moich odrowych zmysłach. Każdy wariuje na swój sposób, a ty jesteś moją formą szaleństwa. Coś nieodparcie ciągnie mnie tutaj, ale nie ciesz się, jeszcze cie przechytrzę! Ja również wpadłem w przeszłość, ale nie utonę w nie], utrzymam się na wzburzonej powierzchni czasu... Widzisz to? Wyrzucę przeszłość ze swej świadomości i unieruchomię ją na taśmie dyktafonu. Ciężar minionych lat omal nie zgubił mojej żony, ale ja się od tego ciężaru wyzwolę. Będę przed tobą spokojnie, konsekwentnie, godzina po godzinie leczył się z choroby, którą mnie perfidnie zaraziłeś.

Odwróciłem się do Oana plecami, ująłem w prawą rękę dyktafon i zacząłem mówić: Tego dnia, doskonale to pamiętam, lunął niezapowiedziany deszcz...

5.

Zasnąłem zmęczony wielogodzinnym dyktowaniem. Obudziło mnie dwukrotne wezwanie: „Admirał Eli proszony do laboratorium! Admirał Eli proszony jest do laboratorium!” Rzuciłem dyktafon na fotel i wybiegłem z konserwatora.

W laboratorium ujrzałem Ellona pochylonego kornie przed Orlanem. Obaj stali przy stabilizatorze czasu, a opodal zbili się. w ciasną grupkę Oleg, Gracjusz i Romero. Orlan przywołał mnie gestem reki, jak smarkacza, któremu chciałby dać nauczkę. Na Ellona w ogóle nie zwracał uwagi.

- Dzień się kończy i nasz stabilizator rozpoczyna prace, admirale! - powiedział butnie i niemal nie odwracając głowy zapytał lekceważąco Ellona: - Gotowe, mój dobry Ellonie?

- Wszystko, absolutnie wszystko Orlanie! - odparł skwapliwie Ellon, jeszcze niżej pochylając się w swoim kornym ukłonie.

- Wobec tego włącz aparat!

Usłyszeliśmy ostry szczęk i to było wszystko. Przez kilka pełnych napięcia sekund oczekiwaliśmy dalszych dźwięków, błysków czy wibracji, ale aparat pracował bez jakichkolwiek efektów zewnętrznych. Obrzuciłem wzrokiem obecnych i z nagłą goryczą spostrzegłem, jak bardzo się wszyscy zmienili. Poszarzałe ze zmęczenia twarze, przygarbione ramiona i zapadnięte oczy świadczyły o przebytej ciężkiej chorobie. Nawet nieśmiertelny Galakt, nawet wspaniały Gracjusz wznoszący się ponad nami o dobrą głowę już nie przypominał dawnego majestatycznego posągu, a cała reszta to był prawdziwy obraz nędzy i rozpaczy. Powrót w lata młodości nikomu nie wyszedł na dobre, pomyślałem. ._ Z zadumy wyrwał mnie triumfalny okrzyk Orlana:

- Eli, Eli, czas jest spójny!

Drgnąłem i otworzyłem oczy. Orlan szedł ku mnie wyciągając po ludzku ręce. Chwyciłem jego kościstą dłoń, wpatrując się natarczywie w twarz byłego Niszczyciela. Orlan był taki jak dawniej, Orlan powrócił z przeszłości, odrodził się, stał się znów tym Orlanem, którego kochałem, dobrym, łagodnym, wiecznie uśmiechniętym Orlanem! Objąłem go, dałem solidnego kuksańca, ale on nie przestał sie uśmiechać. To było tak wspaniałe, tak upragnione i tak zarazem nieoczekiwane, że wydałoby się cudem, gdyby nie widok stabilizatora, przy którym stał wciąż pochylony w niskim ukłonie Demiurg Ellon. Po chwili w laboratorium zapanowało radosne zamieszanie: wszyscy się cieszyli, wszyscy wszystkim gratulowali, wszyscy obejmowali wszystkich.

- Eli! - zwrócił się do mnie z wyrzutem Orlan, gdy radość nieco ucichła. - Zapomniałeś podziękować naszemu wspaniałemu inżynierowi! Bo musisz, teraz przyznać, że miałem racje nalegając na udział Ellona w wyprawie, prawda? Ellon to prawdziwy geniusz techniczny, jakiego dotąd nie było nawet’ wśród Demiurgów!

Romero płonął z niecierpliwości, żeby sprawdzić, jak stabilizacja czasu odbiła się na zwariowanych mózgach pokładowych. W maszynach z „Tarana” i „Węża” działały jeszcze nie wszystkie obwody i dlatego ich poziom intelektualny nie wykraczał poza znajomość tabliczki mnożenia. Nie były już szalone, ale nadal silnie ograniczone umysłowo. MUK „Strzelca” wyleczył się z natręctwa potrójnych odpowiedzi. Na pytanie o samopoczucie i o to, czy gotów jest przystąpić do pracy, zameldował dziarsko: „Było ich dwudziestu i każdy do kwadratu, przy czym pierwszy i szósty dodatkowo nieciągły w przedziale od zwiewnej koronki do czekolady z orzechami”.

- To było do przewidzenia - powiedziałem do Romera. - W maszynach uległa zerwaniu więź przyczynowo-skutkowa, dlatego same nie zdołają powrócić do poprzedniego stanu. Jednak po przywróceniu drożności obwodów będą jak nowe. Interesuje mnie bardziej MUK „Koziorożca”, którego uczył pan historii, kurując w ten sposób z utraty osobowości...

- Na cóż wiec pan czeka, drogi admirale? Podeszliśmy do maszyny-wierszokletki.

- Czy możesz mi powiedzieć, co się z tobą działo? MUK znów mi odpowiedział słowem wiązanym: Polowałem wśród słów gęstwiny,

Jedno słowo splatałem z drugim. To zajęcie niegodne maszyny Uprawiałem o wiele za długo!

- Widzę, że ci powraca samokrytycyzm. Gratuluje, MUK! A teraz jeszcze jedno pytanie: jak się czujesz?

Maszyna odpowiedziała tym razem dobrze nam znanym, niespiesznym barytonem:

- Dziękuje. Wszystkie obwody w porządku. Reakcje w normie. Mogę przystąpić do pracy. Romero rozpłakał się jak dziecko. Tak wiele ostatnio widziałem łez, tak często sam nie mogłem się od

nich powstrzymać, że widok płaczącego człowieka stał się dla mnie czymś najzupełniej normalnym. Ale Romero był zawsze tak powściągliwy, tak wielką wagę przywiązywał do dobrych manier, że jego zapłakana twarz przyprawiła mnie o wstrząs, z którego wyrwał mnie dopiero jego oburzony okrzyk:

- Admirale, ma pan tak ponurą minę, jakby nie cieszył się pan z powrotu do zdrowia! - Romero zaraz sie jednak zreflektował i zapytał już spokojniejszym tonem: - A może pana coś dręczy?

- Dręczy mnie wiele rzeczy. Najbardziej to, że nie wiem jak się czuje Głos! - powiedziałem pierwsze, co mi przyszło do głowy i pomyślałem, że naprawdę musze to jak najszybciej sprawdzić.

Pobiegłem do kabiny Głosu.

- Włóczęgo, przyjacielu, czas się ustabilizował - powiedziałem i dopiero wówczas zauważyłem Gracjusza, który powrócił na swój posterunek. - Czujesz, że znów znaleźliśmy się w zdrowym czasie?

- Czuje, że. czas się ustabilizował - odparł Włóczęga ze smutkiem - ale nie czuje w sobie jedności. Obawiam się, że we mnie po prostu utrwaliła się wyrwa miedzy przeszłością a przyszłością.

Nie mogłem w to uwierzyć. W porze pogmatwanego czasu Głos był ochrypły i jakby rozdygotany, a teraz znów brzmiał czysto i melodyjnie.

- Przesadzasz, Głosie! - powiedziałem lekceważąco. - W zdrowym czasie nie może być przyszłości. Ślady przeszłości pozostają, ale przyszłość dopiero będzie. Widzę cie i słyszę, a zatem jesteś w teraźniejszości, w ustabilizowanej teraźniejszości!

- Zbyt wiele we mnie jest tych śladów przeszłości, Eli!

- W tobie - zwróciłem się do Gracjusza - luka czasowa chyba się nie ustabilizowała? Galakt zatrzymał się, pomyślał chwile i odpowiedział niespiesznie:

- We mnie nie było żadnej luki czasowej, Eli. A jeśli nawet

była, to jej nie czułem. Wiesz przecież, admirale, że nasza przyszłość powtarza naszą przeszłość. Jesteśmy nieśmiertelni, a zatem zawsze przybywamy w najlepszym z możliwych czasów.

Miał racje. Galaktowie są tak doskonali, że przyszłość nie może ulepszyć ich przeszłości. To jednak nie dotyczyło Głosu, który wprawdzie genetycznie wywodził się z Galaktow, ale w jego życiu cierpienia ustępowały miejsca radości, a radość przeradzała się w cierpienia. Dla niego istnienie w różnych czasach na raz oznaczało nakładanie się przeciwstawnych form istnienia, co musiało w ostatecznym rezultacie doprowadzić do rozdwojenia psychiki. Nie powiedziałem tego Głosowi, ale zdradziłem się ze swymi obawami Romerowi, kiedy odwiedził mnie w kabinie mieszkalnej.

- To chyba przedwczesny pesymizm, Eli! Wszystkie maszyny są już niemal stuprocentowo sprawne, a w każdym razie nie stwierdziliśmy śladowych zaburzeń w ich psychice.

- Po prostu staram się przewidzieć niebezpieczeństwa, aby im w porę zapobiec albo przynajmniej ograniczyć skutki tych zagrożeń...

- Ukrywa pan jakąś tajemnice, Eli... Proszę mi ją zdradzić, a na pewno poczuje się pan lepiej. Wstałem. Rozmowa zaszła za daleko.

- Tak, mam pewną gorzką tajemnice - powiedziałem. - Ale jeszcze nie pora na to, żeby przestała być tajemnicą.

- Wydaje mi się, Eli, że znam pański sekret - rzucił Romero już od progu. Uśmiechnąłem się. Paweł nie mógł znać mojej tajemnicy.

6.

Głos i Ellon mieli pecha. Z czterech utworzonych przez nich par górę wzięła najgorsza z możliwych: „Głos Stary-Ellon Stary”, co musiało doprowadzić do nieuchronnej tragedii. Niestety, stało się to jasne dopiero wówczas, kiedy już nie mogliśmy zapobiec nieszczęściu.

Byłem na stanowisku dowodzenia, kiedy Olega i mnie jednocześnie poprosili pilnie do siebie Głos i Ellon. „Koziorożec” w tym czasie wymijał niebezpieczne skupisko gwiazd. MUK pracował ze swą dawną precyzją, wiec Osima i Kamagin, dublując siebie nawzajem, musieli jedynie nadawać jego zaleceniom kształt konkretnych rozkazów.

- Idź do laboratorium, a ja pójdę do Głosu - zwróciłem się do Olega. Głos powitał mnie pełnym leku okrzykiem:

- Eli, Eli, Ellon zamyśla coś niedobrego. Zapobiegnij temu!

- Co to jest? - zapytałem szybko. - Musze znać szczegóły!

- Nie wiem - jęknął Głos, - Coś bardzo niedobrego. Pospiesz się, Eli!

Popędziłem na złamanie karku do laboratorium, gdzie w oczy natychmiast rzuciła mi się Irena. Wychudła po przebytej chorobie dziewczyna w milczeniu stała przy kolapsanie. Uśmiechnąłem się do niej, co skwitowała zdawkowym skinieniem głowy. Ellon coś zapalczywie tłumaczył Olegowi, a kiedy podszedłem do nich, wykrzyknął agresywnie:

- Posłuchaj i ty, co powiedziałem dowódcy. Nie mam zamiaru dłużej tolerować twojego ulubionego mózgu. Wsadźcie go sobie w jakieś smocze albo ropusze cielsko. W takiej postaci potrafię go jeszcze jakoś strawić...

- Co powiedział dowódca? - poinformowałem się spokojnym tonem.

- Że smoków na statku nie ma, wobec czego mózg musi pozostać w swojej lewitującej kuli. Cr wytłumaczysz dowódcy, że jego decyzja jest niesłuszna i skłonisz go do jej zmiany?

- Nie mam prawa, zmieniać rozkazów dowódcy, a ponadto uważam jego decyzje za słuszną. Gdyby wzrok mógł zabijać, zostałaby ze mnie tylko garstka popiołu. Ellon świdrował mnie oczyma i

milczał. Ja z Olegiem również się nie odzywałem.

- Wasza decyzja jest ostateczna? - zapytał wreszcie Demiurg.

- Ostateczna! - odparliśmy niemal chórem.

Ellon uniósł wysoko głowę na cienkiej szyi i z takim złowieszczym chrzęstem wbił ją w ramiona, że ciarki przeszły mi po grzbiecie.

- Skoro dwaj admirałowie są tego samego zdania, to dalsza dyskusja nie ma sensu - rzucił niemal obojętnie. Ten jego podstępnie udawany spokój całkowicie nas zmylił.

- Zawołałeś nas tylko po to, żeby zgłosić pretensje wobec Głosu! - zapytał Oleg.

- Nie, admirale! - wykrzywił się. straszliwie Demiurg. - Jak wiesz, na rozkaz Orlana przerwałem prace nad udoskonaleniem transformatora-czasu, żeby zająć się stabilizatorem. Teraz go dokończyłem. Popatrzcie!

Pokazał nam nowy pulpit sterowniczy wyposażony w dźwignie czasu postępującego i wstecznego, dźwignie sterujące powrotem podróżnika w czasie do teraźniejszości i odcinające kolapsan od transformatora. Potem wróciliśmy do głównej części maszyny. W kuli transformatora stał fotel, a przy nim miniaturowy pulpit z dźwigniami o takim samym przeznaczeniu.

- W poprzedniej wersji urządzenia przebiegiem podróży w czasie sterował operator od pulpitu przy kolapsanie - powiedział Ellon. - Widzieliście, jak się to odbywało podczas doświadczenia z Mizarem. Teraz sam podróżnik decyduje o własnym losie.

Zrobił krok w kierunku otwartego włazu. Odruchowo chwyciłem go za ramie.

- Obawiasz się, że umknę do innego czasu? - zapytał z gryzącą ironią. - I sądzisz, że potrafisz mi w tym przeszkodzić? Zastanów się, admirale! Przecież mógłbym uciec wtedy, kiedy tu nie było nikogo!... -

Uwloniłem go, a Ellon spokojnie wszedł do wnętrza kuli i usiadł na fotelu, po czym zatrzasnął właz.

- Słyszycie mnie? - dobiegł nas jego głos. - No wiec słuchajcie uważnie! Dla mózgu nie ma miejsca na statku, bo tu jedynie przeszkadza. Pożytek z niego może być jedynie w przeszłości, co mogę wam oświadczyć jako niedoszły Nadzorca Czwartej Kategorii Imperialnej, który doskonale wie, jak należy postępować z takimi wstrętnymi stworami. Dowiedzcie się, że transformator został zogniskowany na mózgu i że za chwile wyrzucę go na Trzecią Planetę w czasy na długo przedtem zanim ją podbiliście.

Oleg skoczył do transformatora, a ja pomknąłem w stronę kolapsanu. Irena zastąpiła mi drogę. Pewnie liczyła na swą kobiecą nietykalnoć, ale pomyliła się. Odepchnąłem ją, ale leżąc już na podłodze wściekle, wczepiła się w moją nogę. Usłyszałem triumfalny okrzyk Ellona:

- Za późno, admirale! Mózg już jest w Perseuszu. A teraz popędzę za nim. Odwiedź nas wczoraj, admirale! Dziś i jutro już nas nie będzie. Oczekujemy cie wczoraj! - Demiurg zaczął szybko znikać.

Oleg rzucił mi się na pomoc. Oderwał ode mnie Irenę, a ja szarpnąłem dźwignie kolapsanu. W transformatorze znów pojawił się cień Ellona: Demiurg wyrzucił się w niedaleką przyszłość i prawie natychmiast wrócił, aby minąć ruchem inercyjnym zero temporalne. Irena krzyknęła rozpaczliwie:

- Nie dotykaj dźwigni powrotu, admirale! On już jest w przeszłości i nie przeżyje ponownego przejścia przez zero czasowe!

Nie słuchałem jej. Bez względu na to, co się teraz stanie z Głosem, nie mogłem pozostawić go w przeklętej przeszłości. Irena przestała się wyrywać Olegowi i załkała. W kuli transformatora ponownie zmaterializował się Ellon. Sam i martwy. Irena straciła przytomność. Oleg krzyknął, żebym wezwał pomoc, ale ja zamiast tego wywołałem Głos. Ellon mógł się przecież pomylić w swych obliczeniach, tym bardziej, że Głos ani razu nie ukazał się wewnątrz transformatora... Ale na moje rozpaczliwe wołanie odpowiedział jedynie przerażony Gracjusz: - - Admirale, Głos nagle zniknął!

Potrząsnąłem brutalnie Ireną:

- Mów, co można zrobić! Mów natychmiast!...

- Nic się już nie da zrobić... - wyszeptała nie otwierając oczu. - Zabiliście Ellona. Znów zaczęła omdlewać, ale ja potrząsnąłem ją jeszcze silniej.

- Ellon nic mnie nie obchodzi, zbrodniarko! Powiedz tylko jak uratować Głos! Otworzyła oczy. Nigdy nie zapomnę jej spojrzenia. Oleg powiedział:

- Być może Irena istotnie jest zbrodniarką, ale w tej chwili potrzebuje pomocy...

- Nie będzie żadnej pomocy! - wrzasnąłem. - Nie otrzyma żadnej pomocy dopóki nie powie, co mamy teraz robić!...

- Mówiłam już, że nic nie da się zrobić... - odezwała się Irena nieco pewniejszym głosem. - Niestety Włóczęga zginął, jest przecież organiczny... w Ellonie było tak wiele składników sztucznych, ale i on nie przeżył drugiego nawrotu. Za wcześnie „przełożył pan dźwignie, admirale, a ja panu nie zdołałam przeszkodzić... Jestem taką samą morderczynią, jak pan, Eli! -1 rozpłakała się.

Staliśmy nad nią w milczeniu. Poczułem, że lada chwila zwale się bez zmysłów na ziemie, gdy Oleg powiedział:

- Ireno, twój karygodny czyn osądzi cała załoga. Ale powiedz nam przynajmniej, dlaczego to zrobiłaś?

- Ellon mnie uprosił - odpowiedziała przez łzy. - Powiedział, że pochodzimy z różnych czasów i dlatego nie możemy się kochać, że kiedyś kobieta będzie mogła być szczęśliwa z Demiurgiem, ale nie nastąpi to za naszego życia i że najlepiej się rozstać...

- Nie odpowiadasz na pytanie, Ireno...

- Powiedział, że chce zniknąć w przeszłości, ale razem ze smokiem... Obiecałam mu pomóc i stałam sie morderczynią. Nigdy sobie tego nie wybaczę!... -Jej głos utonął we łzach.

Wcale mnie tym nie wzruszyła. Powiedziałem:

- Przez próżność Demiurga i głupotę kobiety straciliśmy jednego bezbronnego przyjaciela i jednego genialnego wynalazcę. To tragiczne. Wydobądźmy teraz ciało Ellona, Olegu, aby mógł zająć należne mu miejsce w konserwatorze.

- Ireno, idź do siebie! - rzucił szorstko Oleg.

- Dobrze, pójdę do siebie - odparła pokornym tonem.

Spróbowałem wydobyć ciało Ellona z transformatora, ale szło mi to niesporo, wiec Oleg pospieszy! mi z pomocą. We dwójkę wynieśliśmy sztywne ciało Demiurga i położyliśmy je na wolnym stole pod ściągną. Zajęci tym nie zauważyliśmy, jak Irena przekradła się do laboratorium, przebiegła je i wskoczyła do kuli transformatora. Dopiero trzask zamykanego włazu zaalarmował Olega, który krzyknął:

- Ireno, błagam, nie rób tego!

- Żegnajcie! - odkrzyknęła z przezroczystej kuli. - Nie potępiajcie mnie! -1 szarpnęła dźwignie. Zniknęła prawie natychmiast, zanim zdążyliśmy podbiec do kolapsanu.

- To już koniec, Eli! - powiedział Oleg znużonym głosem. - Dla nas Irena przestała istnieć. Co najwyżej nasi dalecy potomkowie będą ją mogli gdzieś spotkać. Chodźmy zawiadomić załogę o nowej tragedii.

- Musimy ją zawiadomić nie tylko o odejściu trzech przyjaciół...

- O czym ty mówisz, Eli? Czy to jeszcze nie koniec naszych nieszczęść?

- Niestety. Na pokładzie jest jeszcze jeden zdradziecki agent Ramirów. Zdemaskowałem go.

7.

Zamknąłem się u siebie. Olegowi powiedziałem, że przygotuje raport na ogólne zebranie załogi i wyjdę dopiero wtedy, kiedy wszyscy się już zbiorą. Zapukał do mnie Romero, ale się nie odezwałem. Mary poprosiła przez zamknięte drzwi, żeby ją wpuścił, ja jednak odkrzyknąłem, że jestem bardzo zajęty, że musze się skupić, a czyjakolwiek obecność mi w tym przeszkadza. Nie wpuszczałem nikogo. Raz tylko zawahałem się, gdy za drzwiami usłyszałem głośny płacz Olgi. Ona miała prawo mnie zobaczyć, be jej córka zginęła na moich oczach... Otworzyłem drzwi i stanąłem w progu.

- Olgo, możesz uważać mnie za człowieka bez serca, ale w tej chwili nie mogę z tobą rozmawiać o Irenie. Sama wkrótce zrozumiesz dlaczego. Idź do Olega, on ci wszystko opowie, a ja naprawdę nie mogę, uwierz mi...

Popatrzyła na mnie nieprzytomnym wzrokiem i odeszła bez słowa. Wyglądała jak cień i było mi jej naprawdę serdecznie żal. Ta posiwiała, przygarbiona teraz kobieta przeżyła męża i córkę, przeżyła straszliwą śmierć obojga i potrzebowała jak nigdy mojej pomocy. Ale ja miałem zmartwienie o wiele cięższe nawet od jej tragedii.

Nie przygotowywałem raportu. Leżałem na tapczanie i gryzłem się, zadręczałem pytaniami bez odpowiedzi. Zastanawiałem się bez końca, dlaczego nigdy nie spotykaliśmy Ramirów w ich cielesnej postaci, chociaż ich fizyczne istnienie nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości; zachodziłem w głowę czym ich tak bardzo rozgniewaliśmy, że bez pardonu zniszczyli całą prawie eskadrę i dlaczego wreszcie nie rozpylili ostatniego statku, skoro już z nami walczą i zagłada gwiazdolotu leży w ich możliwościach... To była tajemnica, którą za wszelką cenę musiałem przeniknąć, ale przeniknąć nie umiałem. Myślałem też o Lusinie i nieszczęsnym Głosie, o Irenie, która tak okrutnie nas porzuciła, myślałem o Ellonie i mądrym, sympatycznym psie Mizarze, ale przede wszystkim o nowym szpiegu Ramirów. Nienawidziłem go jak nikogo dotąd i w swej nienawiści gotów go byłem obedrzeć ze skory ku przestrodze każdego, kto chciałby być agentem naszych wrogów.

Do drzwi w umówiony sposób zapukał Oleg. Wpuściłem go.

- Wszyscy wolni od wacht zebrali się w sali obserwacyjnej - powiedział chmurnie. -Jak się czujesz, Eli?

- Dlaczego o to pytasz?

- Jesteś bardzo blady.

- Za to pełen zdecydowania. Chodźmy!

- Poczekaj - zatrzymał mnie. - Chciałbym wiedzieć, kogo podejrzewasz o szpiegostwo.

- Dowiesz się na zebraniu. Chodźmy... Ale Oleg był uparty:

- Eli, jestem dowódcą eskadry. Mam prawo wiedzieć więcej i wcześniej niż inni. Zastanowiłem się. Oleg przyparł mnie do muru, ale znalazłem wyjście. Uśmiechnąłem się krzywo.

- A jeśli podejrzewam właśnie ciebie? - zapytałem.

- Mnie?! Oszalałeś, Eli?

- Być może. Wszyscy przecież niedawno postradali rozum i nie jest wykluczone, że nie całkiem jeszcze powróciliśmy do zdrowia... - Patrzyłem mu prosto w oczy. -Jeśli wydasz rozkaz, będę go musiał wykonać, ale bardzo cie proszę, nie rozkazuj!

- Idziemy! - rzucił krótko i ruszył przodem.

Ekrany gwiezdne w sali obserwacyjnej zostały wygaszone. Na podwyższeniu ustawiono stolik, przy którym usiedliśmy z Olegiem. Popatrzyłem na sale, w której zgromadzili się wszyscy moi przyjaciele, ludzie i Demiurgowie. Pod ścianą niczym majestatyczny posąg wznosił się górujący nad wszystkimi Gracjusz w towarzystwie Orlana. W pierwszym rzędzie siedziały Mary z Olgą, a miedzy nimi Romera. Mary patrzyła na mnie z takim niepokojem, że pospiesznie odwróciłem oczy. Oleg poprosił o cisze.

- Wiecie już o tragedii, jaka rozegrała się niedawno w laboratorium - powiedział. - Teraz jednak zebraliśmy się nie po to, żeby uczcić naszych poległych przyjaciół. Kierownik naukowy wyprawy jest zdania, że wykrył na statku kolejnego szpiega Ramirów i pragnie przedstawić ogólnemu zebraniu załogi odpowiednie tego dowody.

Wstałem.

- Zanim to uczynię - powiedziałem - chciałbym prosić zebranych o przegłosowanie kary, na jaką ich zdaniem szpieg zasłużył. Moja propozycja brzmi: kara śmierci!

- Śmierć?! - dobiegł mnie oburzony głos Romera.

Jego protest utonął w głośnych krzykach sali. Oburzali się nie tylko ludzie, lecz także Demiurgowie, a majestatyczny Gracjusz zaczął wściekle wymachiwać rekami. Spokojnie czekałem, aż gwar ucichnie.

- Tak, kara śmierci! - powtórzyłem. - Nie uwięzienie, nie konserwacja, lecz właśnie stracenie. Kara śmierci to przeżytek starożytności, relikt barbarzyńskich czasów, ale nalegam na jej orzeczenie, gdyż szpiegostwo jest również reliktem barbarzyństwa. Kara za hańbiącą zbrodnie również powinna być hańbiąca.

Romera uniósł laskę, prosząc w ten sposób o głos.

- Zechce pan wymienić nazwisko zbrodniarza, admirale i dokładnie opisać przestępstwo - powiedział. - Dopiero wówczas zdecydujemy czy zasługuje on na karę główną.

Wiedziałem, że wszyscy będą przeciwko mnie i byłem na to z góry przygotowany, powiedziałem wiec zimno:

- Kara musi być orzeczona zanim wymienię nazwisko zbrodniarza!

- Ale dlaczego, admirale? Może nam pan to wytłumaczyć?

- Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi i kiedy podam nazwisko szpiega, nie zdołacie od razu się od niego odciąć, odzwyczaić od myśli, że jest waszym przyjacielem i natychmiast zaczniecie podświadomie szukać okoliczności łagodzących. Ja natomiast chce, żeby ukarane zostało samo przestępstwo.

- To bardzo pięknie, ale w razie orzeczenia kary śmierci zostanie stracony konkretny członek załogi, wedle pana nader nam bliski, a nie abstrakcyjny przestępca! - upierał się Romero.

- Gdybym mógł osądzać samo przestępstwo, ignorując z pogardą samego zbrodniarza, wtedy bym mu wybaczył. Niestety jest to niemożliwe.

- Jak pan uważa, admirale! W każdym razie ja, zanim nie poznam nazwiska szpiega, powstrzymam sie od głosowania.

Romero usiadł i z kolei głos zabrał Oleg:

- Kierownik naukowy wyprawy przedstawił problem, który nazwałbym problemem kodeksu. W starożytności istniał przepis, zgodnie z którym karano sprawce niegodnego czynu za sam czyn, nie biorąc pod uwagę żadnych innych okoliczności. Eli zatem proponuje przywrócić, moim zdaniem słusznie, stary obyczaj.

- Ale również w starożytności zespół ludzi orzekających o winie, a nazywany wówczas sądem, wiedział o czyjej winie orzeka! - zaoponował gorąco Romero.

Postanowiłem za wszelką cenę zmusić go do milczenia.

- Romero zachowuje się tak - powiedziałem głośno - jakby obawiał się, że to on zostanie oskarżony o szpiegostwo!

Paweł opanował się z „największym trudem, ale odpowiedział ze zwykłą godnością:

- Gdyby chodziło o mnie, z pewnością głosowałbym za karą śmierci!

- Może zatem lęka się pan, że domniemany zbrodniarz jest panu droższy od samego siebie?

- Dopuszczam taką możliwość - odparł ponuro. - W naszej sytuacji wszystko jest możliwe...

- To nie jest odpowiedź!

- Dobrze, niech i tak będzie! - wykrzyknął z determinacją Romero. - Głosuje za karą główną... jeśli przestępstwo zostanie dowiedzione.

- A zatem głosujmy wszyscy - powiedział Oleg. - Kto jest za? Las rąk uniósł się nad głowami obecnych.

- Dopiął pan swego, Eli - zwrócił się do mnie Oleg. - Proszę wiec wymienić nazwisko szpiega i przedstawić dowody jego winy.

Wiedziałem, że sprawie ból przyjaciołom, że ugodzę boleśnie Mary, ale nie miałem innego wyjścia. Postarałem się tylko, żeby moje słowa zabrzmiały spokojnie.

- Szpiegiem naszych wrogów jestem ja - powiedziałem.

8.

Odpowiedzią było głuche milczenie, w którym zabrzmiał jedynie pełen współczucia okrzyk Galakta.

- Biedny Eli! On też... - I znów zrobiło się cicho.

Wpatrywałem się w twarze zebranych i z ogromnym zdumieniem odkrywałem wszędzie ten sam wyraz serdecznego współczucia. Tylko Mary nie uwierzyła w moje szaleństwo... Podbiegł do mnie Osima.

- Admirale! - wykrzyknął. - Proszę się nie martwić, wszystko będzie w porządku! Odprowadzę pana do łóżka...

Odsunąłem jego rękę. Oleg zwrócił się do sali, nadal milczącej i sparaliżowanej współczuciem:

- Czy nie powinniśmy odłożyć narady, przyjaciele? Elektroniczny medyk... Romero przerwał mu stukając laską w podłogę.

- Protestuje! - powiedział zrywając się z miejsca. - Szukacie prostych rozwiązań, ale proste i najłatwiejsze rozwiązania nie istnieją. Admirał Eli cieszy się lepszym zdrowiem niż ktorykolwiek z nas i ma podstawy mówić to, co powiedział, a my musimy go wysłuchać.

- Pan jeden nie jest zdumiony - zauważyłem.

- Tak, Eli - odparł sucho Romerc. - Nie jestem zdumiony, bo spodziewałem się takiego właśnie wyznania. .

- A zatem kontynuujemy? - zapytał Oleg obecnych na sali i w odpowiedzi usłyszał kilka aprobujących okrzyków. Osima, potrząsając z niedowierzaniem głową wrócił na miejsce, a Oleg zwrócił się do mnie: - Mów!

Zacząłem od przypomnienia tego, co Oan mówił o zwyczaju Okrutnych Bogów, którzy czasem penetrowali społeczność Aranów oblekając ich postać. Ale kimże są Aranowie? Do czego jest zdolna, czym może zagrażać ich uwsteczniona, słaba, pełna zabobonów cywilizacja? Czy nie wynika z tego, że Ramirowie napotkawszy przedstawicieli nieporównanie wyższej i potężniejszej cywilizacji będą maskować się jeszcze staranniej, że naślą na nich liczniejszych szpiegów niż na bezbronnych w gruncie rzeczy pająkokształtnych? Wysłali najpierw Oana, który rozszyfrował nasze plany i przekazał je swoim zleceniodawcom, ci zaś te plany skutecznie pokrzyżowali.

Ale nie koniec na tym. Byliśmy przekonani, że pozbywszy się Oana, pozbyliśmy się tym samym szpiega Ramirów. Zagłada „Strzelca" rozwiała te iluzje. Jak Ramirowie mogli się dowiedzieć, co zamierzaliśmy z nim zrobić? Z naszego zachowania nie mogli nic wywnioskować, a jednak bezbłędnie określili nasze cele. Musieli zatem poznać nasz plan niejako od środka. Kto go im zdradził? Szpieg, który zaczął wśród nas działać po śmierci Oana! Napad Ramirów na „Strzelca" świadczy dowodnie o tym, że na pokładzie „Koziorożа" rezyduje ich agent.

Nie ma w tym nic dziwnego, jeśli przyjąć, że nasi wrogowie nie są kompletnymi głupcami. Na pewno nie są głupsi od nas, a wiec musieli zdawać sobie sprawę z tego, że jeden informator to za mało, że potrzebny jest rezerwowy szpicel i to taki, który ma dostęp do wszystkich planów i wpływ na ich realizacje. Do wyboru mieli dwóch członków załogi odpowiadających tym kryteriom: dowódcę eskadry i jej kierownika naukowego.

W tym miejscu przerwał mi Romero:

- Myli się pan, Eli. Ramirowie nie mieli wyboru, gdyż jedynie kierownik naukowy całkowicie spełniał ich oczekiwania. Pan zna wszystkie zamierzenia dowódcy, natomiast on chociażby z braku czasu nie może wnikać w każdy szczegół prowadzonych badań.

- Ma pan racje, Romero! To musiałem być ja. Przypomnę tu, że zrządzeniem losu również w poprzednich wyprawach przeciwnik na mnie właśnie zwracał najpilniejszą uwagę. Czyż to nie ty, Orlanie wybrałeś mnie na swojego powiernika, kiedy postanowiłeś przejść na naszą stronę? Czyż to nie ze mną kontaktował się Główny Mózg Trzeciej Planety? A wiec Ramirowie postanowili mnie zwerbować i dopięli swego. Jestem ich agentem. Przyznaje to z wielkim wstydem, ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, jeśli nie chce się ponosić ciągłych porażek...

Nabrałem powietrza i mówiłem dalej:

- Byliśmy naiwni jak dzieci sądząc, że schwytany w siłową pułapkę, martwy Oan nie może nam już w niczym zaszkodzić. Bo cóż może wskórać trup zamknięty w konserwatorze, myśleliśmy..: Byliśmy naiwni, powtarzam. Ramirowie mogli bez trudu uratować swojego agenta, ale oni woleli, żeby jego zwłoki zostały wśród nas i kontynuowały służbę. Bo Oan jest teraz przekaźnikiem pochodzących ode mnie informacji, raportów szpiegowskich pochodzących z mojego zniewolonego mózgu. Ramirowie znają każdą moją myśl, każde moje zamierzenie, każde najskrytsze nawet pragnienie...

Tu znów na chwile zamilkłem. Mary nie spuszczała ze mnie zrozpaczonych oczu. Romero gapił sie ponuro na rączkę swojej laski, a Osima wręcz pożerał mnie wzrokiem. Na twarzy miał wypisane, że nie wierzy w jedno bodaj moje słowo. Gracjusz i Orlan wierzyli, chociaż nie chcieli uwierzyć...

Przeszedłem do tego, w jaki sposób dowiedziałem się o swojej haniebnej roli. Nie było to łatwe, chociaż nie raz zastanawiałem się, dlaczego tak mnie ciągnie do konserwatora, po co tak często rozmawiam na głos z nieboszczykiem. Przecież nigdy nie miałem skłonności do wygłaszania monologów i w ogóle z natury jestem dość małomówny. Olśniło mnie po katastrofie „Strzelca", kiedy stało się oczywiste, że ktoś musiał przekazać Ramirom tajne informacje. Kto? Po zastanowieniu się musiałem wykluczyć wszystkich członków załogi poza mną. Konserwator jest najlepiej ekranowanym pomieszczeniem na całym statku, a zatem Oan mógł najłatwiej nawiązać kontakt z tymi, którzy często go odwiedzają... Jeszcze jeden dowód na to, że właśnie ja jestem szpiegiem Ramirów!

- To wszystko, co wiem o sobie - powiedziałem na zakończenie. - Moja wina jest bezsporna, bo powinienem przewidzieć skutki dziwnych rozmów z ciałem szpiega, którego tajemnicza natura dla nikogo nie stanowiła sekretu. Zachowywałem się nieostrożnie, co w naszej ciężkiej sytuacji jest zbrodnią. Żądam zgładzenia siebie nie tylko jako kary za przestępstwo przeze mnie popełnione, ale przede wszystkim jako gwarancji bezpieczeństwa całej wyprawy. Ramirowie precyzyjnie namierzyli mój mózg i choćbym tego bardzo nie chciał, zawsze zdołają za moim pośrednictwem uzyskać informacje o wszystkich naszych planach. A w momencie, kiedy podejmiemy nową próbę wyrwania się z jądra, taki przeciek będzie szczególnie niebezpieczny.

Usiadłem. Milczenie sali bardzo mnie przygnębiło. Nie dlatego, abym liczył na czyjąś obronę, lecz z tego powodu, że odejść z życia z obrazem ucichłej sali po prostu nie mogłem i nie chciałem. Oleg zapytał czy są jakieś pytania, opinie, uwagi - odpowiedziała mu grobowa cisza. Romero coś szepnął Mary do ucha, a ona kiwnęła głową.

- A wiec kto chce zabrać głos? - zapytał ponownie Oleg.

Nieoczekiwanie wybuchnął Osima. Zaczął wykrzykiwać, że nie można mojej spowiedzi brać poważnie, bo to wszystko są płody mojej chorej wyobraźni. Admirał trzymał się najdzielniej z nas wszystkich, mówił gorąco, ale nerwy w końcu musiały odmówić mu posłuszeństwa. Zresztą jego choroba nie wyglądała zbyt groźnie... Wystarczy, żeby trochę sobie poleżał pod opieką żony i niebawem powróci do normy!

I znów wstał Romero:

- Mówiłem już, że Eli cieszy się znakomitym zdrowiem, wiec nie ma co wracać do tej sprawy. Admirał udzieffi nam zbyt ważnych informacji, abyśmy mogli je zignorować. Dlatego też nalegam na ich przedyskutowanie.

- W takim razie proszę zapoznać nas ze swoją opinią - powiedział Oleg.

- Zgoda. Otóż w słowach admirała są rzeczy, z którymi się zgadzam, ale również są i takie, z którymi kategorycznie zgodzić się nie mogę. Podzielam jego zdanie, że Oan nie jest zwyczajnym nieboszczykiem, lecz urządzeniem łącznościowym, sprytnie zakamuflowanym przekaźnikiem Ramirów. Uważam również, iż na statku znajdują się ich informatorzy i że jednym z nich jest admirał.

- A zatem w pełni popiera pan jego samooskarżenie? - zapytał Oleg.

- Ani mi się śni!

- Skoro jednak w tylu punktach zgadza się pan z relacją kierownika naukowego wyprawy...

- Punktów, w których zupełnie się z nim nie zgadzam będzie o wiele więcej. Wymienię najważniejsze. Zwłoki Oana nie są z pewnością jedynym przekaźnikiem danych wywiadowczych. Ramirowie musieli liczyć się z ewentualnością usunięcia przez nas Oana. Mogliśmy na przykład spalić jego zwłoki, a popioły wyrzucić w Kosmos... Dlatego też Oan za życia prawdopodobnie zainstalował na statku liczne urządzenia podsłuchujące, podpatrujące i czytające myśli tak dobrze zamaskowane, że z pewnością wszystkich nie znajdziemy. Dalej. Wątpię, by admirał był jedynym źródłem informacji dla Ramirów. Z tych samych powodów: mógł umrzeć/zachorować, zwariować... Kierownik naukowy uważa, że zdublował role Oana. Ale kto może zagwarantować, iż którykolwiek z nas nie dubluje w tym sensie samego admirała? Nie ulega wątpliwości, że jest najcenniejszym źródłem informacji, ale z pewnością nie jedynym.

- Jest pan o wiele większym pesymistą niż kierownik naukowy - zauważył Oleg.

- Zaraz się pan przekona, że wcale tak nie jest. Twierdze, że admirał nie jest szpiegiem już chociażby dlatego, że został nim Wbrew własnej woli, zaś agent wywiadu to zawód, a nie nazwa ofiary nieszczęśliwego wypadku, jaką jest Eli. 1 za to mamy go karać? Jest jeszcze poza tym jeden wyjątkowo ważki powód, dla którego musimy z oburzeniem odrzucić propozycje admirała. Czy mogę przedstawić go nieco obszerniej?

- Naturalnie! - wykrzyknął skwapliwie Oleg.

Sala milczała, kiedy ja mówiłem, ożywiła się, gdy Romero przytaczał swoje kontrargumenty i znów pogrążyła się w pełnym napięcia milczeniu, kiedy wspomniał o wyjątkowo ważkim powodzie". W tym miejscu zamiast mojej relacji pozwalam sobie zamieścić zapis wypowiedzi Romera. Mógłbym wprawdzie pominąć pochwały pod moim adresem, ale nie zrobiłem tego, gdyż z tego fragmentu przemowy Pawła wyniknęły ważne wnioski praktyczne. A zatem cytuje:

„- Admirale, znam pana od dzieciństwa i wciąż nie przestaje pana podziwiać. Jest pan zwyczajny i niezwykły zarazem, a to

dlatego, że zawsze dostosowuje się pan do okoliczności w tym sensie, że potrafi pan jak nikt inny im sprostać. W normalnych warunkach jest pan najprzeciętniejszym z przeciętnych, ale w trudnych okolicznościach zmienia się pan diametralnie, staje się człowiekiem wybitnym... Przypomnijcie sobie przyjaciele jak niedawno umęczeni wibracją czasu wszyscy powoli wpadaliśmy w szaleństwo, traciliśmy wole walki. Przypomnijcie sobie, że jedynym wśród nas, który oparł się zgubnemu rakowi czasu i zwalczył w sobie słabość był kierownik naukowy wyprawy, nasz przyjaciel admirał Eli. Jak mogłeś, przyjacielu, zażądać od nas, abyśmy własnymi rekami zgładzili swojego wybawcę, zgasili wspaniały mózg, wyzbyli się największego bogactwa i jedynej gwarancji naszego bezpiecznego powrotu do domu?!”

Romero był mówcą w starym stylu, z gatunku tych, których w starożytności nazywano demagogami, nic wiec dziwnego, że bez reszty przyciągnął uwagę sali. Na mnie nikt już nie patrzył, bo wszyscy jak zaczarowani wpatrywali się w niego. Sam bym z pewnością dał się porwać jego oracji, gdyby dotyczyła kogoś innego. Ale Romero mówił o mnie, spróbowałem wiec sprowadzić go na ziemie:

- Nie wiem, Pawle, czy zdaje sobie pan sprawę z tego, że rezygnując z walki z mimowolnymi agentami Ramirów, oddajemy się w ten sposób na pastwę potężnego i bezlitosnego wroga?

- Głęboko się pan myli, admirale!

- Chce pan przez to powiedzieć, że Ramirowie nie są potężni i bezlitośni?

- Że są potężni, zgoda. Nie będę przeczył oczywistym faktom. Ale nie zgadzam się z tym, że są bezlitośni.

Popatrzyłem ze zdumieniem na Olega, który rewelacje Romera przyjął z tak kamienną twarzą, jakby zawczasu go o nich poinformowano.

- Jak może mówić pan coś podobnego - wykrzyknąłem z oburzeniem - choć widział pan, jak Ramirowie znęcają się nad Aranami? Czy już zapomniał pan, jaką grozą przejmują tych biedaków ich tak zwani Okrutni Bogowie? Czy wreszcie nasi polegli i rozgromiona eskadra nie świadczy o tym, że nasi wrogowie są bezlitośni.

- Nie, drogi admirale!

- Ktoś tu naprawdę zwariował! I jestem pewien, że to nie ja. Kim zatem pańskim zdaniem, jeśli nie naszymi okrutnymi wrogami, są Ramirowie?

- Ramirowie są potężni, admirale, a my jesteśmy zupełnie im obojętni.

9.

Są słowa wybijające się spośród innych, słowa-klucze otwierające w mgnieniu oka zamczyste drzwi tajemnic, słowa-olśnienia. Takim kluczowym słowem stał się dla mnie wyraz „obojętność”. Jeśli chodzi o mnie, to dalsza oracja Romera była zupełnie niepotrzebna, bo uwierzyłem od razu i bez zastrzeżeń. A Romero tymczasem mówił i mówił, podniecając się własnym krasomówstwem i podziwem zapatrzonych w niego bez tchu słuchaczy. Opowiedział, jak to zagłada „Strzelca” podsunęła mu myśl, że Ramirowie po śmierci Oana wciąż mają na pokładzie „Koziorożca” swojego informatora, że któryś z członków załogi jest szpiegiem wrogów. Potem jednak w to zwątpił, bo przestał być pewien, że Ramirowie istotnie są naszymi wrogami. Przypomniał sobie podania Galaktów i Niszczycieli, w których powtarzała się informacja, że potężni Ramirowie przenieśli się do centrum Galaktyki, aby przebudować jądro, to jądro, ten przeraźliwy chaos, który nas teraz otacza. Jak przebudować, jak uporządkować taką permanentną eksplozje?

- Wyobraziłem sobie - powiedział - że jesteśmy o kilka rzędów potężniejsi niż obecnie i że postanowiliśmy podjąć się usunięcia z jądra na peryferie Galaktyki wszystkiego, co zagraża mu wybuchem, żę zaczęliśmy wymiatać gwiezdne śmieci w rodzaju Ginących Światów i palić kosmiczne odpadki. Taka operacja nie może przebiegać bezboleśnie, bo zawsze może się zdarzyć, że przy okazji ucierpią jakieś formy życia, ale nie czas żałować róż, gdy płoną lasy, jak powiadali starożytni. Oburza was to? Mnie również. Wyobraźcie sobie jednak taką sytuacje. Groźna choroba zaatakowała niewielki obszar lasu i coraz bardziej się rozprzestrzenia. Jeśli zostawić sprawy własnemu biegowi, zagładzie ulegnie cała puszcza, trzeba wiec póki czas wyciąć chore drzewa. Czy drwale zajęci ratowaniem lasu będą zważać na to, że mimo woli zadepczą trochę mrówek? Po prostu nie zwrócą na nie uwagi. Ale jeśli owady, rozwścieczone burzeniem ich domów, zaatakują nas to je najzwyczajniej w świecie wytępimy, żeby nie przeszkadzały. Czy nie widzicie analogii z tym, co obserwowaliśmy w Ginących Światach?

- Nas również zalicza pan do galaktycznych mrówek? - zapytał spokojnie Oleg.

- W jakimś stopniu tak. Ramirowie już dawno mogli nas wytępić, podobnie zresztą jak Aranów, gdybyśmy byli ich realnymi wrogami. Ale znaczymy dla nich tyle, ile-mrówka dla człowieka. A że interesują się naszymi poczynaniami, to nic jeszcze nie znaczy. My też przecież chcielibyśmy znać trasy mrówek po karczowanym lesie już chociażby dlatego, żeby ich bez potrzeby nie niszczyć... - W tym miejscu Romero zwrócił się wprost do mnie: - Przekonałem pana, przyjacielu?

- Tylko w trzech czwartych, Pawle.

- Dlaczego nie całkowicie?

- Nie mogę się pogodzić z rolą, jaką nam pan wyznaczył.

- Kiedyś ludzie nie mogli pogodzić się z myślą, że Ziemia krąży wokół Słońca, a nie na odwrót. Czasem prawda, jaką odkrywamy w procesie poznawania świata nie jest najprzyjemniejsza, co nie zmienia faktu, że jest obiektywna.

- Dlaczego zwraca się pan tylko do mnie? Proszę mówić do całej sali!

- Dyskutujemy o roli, jaką w planach Ramirów odegrał pan, a nie wszyscy tu obecni. Ale dobrze, będę mówił do całej załogi... Przyjaciele, popełniliśmy błąd wyobrażając sobie Ramirów jako istoty człekopodobne lub szerzej stworzeniopodobne, do czego nie mieliśmy żadnych przesłanek. Owi Okrutni Bogowie nie mają zapewne żadnego stałego kształtu i mogą przybierać dowolną postać. Oan nie był zatem Ramirem w masce Arana, nie był przebranym szpiegiem, lecz zwyczajnym Ramirem, który wybrał cielesny kształt Arana... Kiedyś również nasi potomkowie będą swobodnie zmieniać swoje ciała, jeśli to z jakichś względów okaże się korzystniejsze od przebudowy ich środowiska. Głęboko w to wierze, przyjaciele!

Oczyściliśmy kierownika naukowego wyprawy z niesłusznych zarzutów, które sam sobie postawił powiedział Oleg. - Bardzo mnie-to cieszy! Martwi natomiast fakt, że nadal nie wiemy w jaki sposób wyprowadzić statek z jądra. Dotychczas szukaliśmy prostych rozwiązań, rozwiązań skutecznych same przez się. To był błąd. Tutaj można zastosować jedynie taką metodę ucieczki, która nie spowoduje kontrakcji Ramirów. Dlatego mam wielką prośbę do admirała. - Dowódca uśmiechnął się do mnie z pełną smutku ironią. - Jeśli naprawdę jest pan ich łącznikiem, to proszę wytłumaczyć Ramirom jak ważna jest dla nas odpowiedź na to pytanie. Może jednak zechcą odpowiedzieć, bo ja również nie bardzo wierze w ich obojętność...

Po zamknięciu zebrania podszedłem do Mary, która patrzyła na mnie tak, jakbym wrócił z zaświatów. Sama też wyglądała jak żywy trup.

- Już po wszystkim - powiedziałem gładząc ją po mokrej od łez twarzy. - Tej nocy będziemy spać spokojnie. Podziękuj za to Pawłowi.

- Romero skłonił się i powiedział unosząc laskę do góry:

- Wszyscy jesteśmy przekonani, że pan szczerze wierzył we własną zdradę, admirale. Nie sądzę, jednak, aby pańska żona była tak naiwna.

- Sama już nie wiem, co o tym myśleć - odparła Mary znużonym głosem. - Przecież po Elim naprawdę można się spodziewać wszystkiego...

Zauważyłem Olgę kierującą się ku wyjściu, przeprosiłem wiec Mary i podszedłem do niej.

- Teraz już rozumiesz dlaczego nie mogłem rozmawiać z tobą przed zebraniem, prawda? - zapytałem. - Chcesz mnie o coś zapytać?

- Tylko o jedno: czy Irena zginęła. Całą resztę opowiedział mi Oleg.

- Tego nie wiem - odparłem - mam jednak nadzieje, że nie... Zarówno Mizar, jak i Ellon wrócili martwi z przeszłości, ale Irena powędrowała w odwrotnym kierunku, można wiec przypuszczać, że nic jej się nie stało.

- Oleg mówił mi to samo, ale obawiam się, że chciał mnie tylko pocieszyć.

- On sam potrzebuje pociechy, bo kocha Irenę. A zresztą słowo „pociecha” jest tu zupełnie nie na miejscu. Jesteś nie tylko kapitanem galaktycznym, lecz także znakomitą uczoną, więc to raczej my powinniśmy cie zapytać o przypuszczalne losy Ireny, a nie ty nas.

- Mam prośbę do ciebie i Olega. Po zniszczeniu „Strzelca” pozostałam właściwie bez przydziału i mogę co najwyżej dublować Osime, ale on już ma znakomitego dublera w osobie Kamagina. Chciałabym zająć się maszynami czasu, bo uważam za swój obowiązek dokończyć prace córki. Pamiętaj, ze jakakolwiek awaria stabilizatora może ^nów unieruchomić MUK i wpędzić nas w nowe szaleństwo.

Domyślałem się, że nie powiedziała mi wszystkiego, że pragnie zająć się. maszynami czasu przede wszystkim dlatego, żeby znaleźć bezpieczną drogę w przyszłość i w ten sposób dowiedzieć się o losy córki.

- Zgoda - powiedziałem - Sądzę, że i Oleg nie będzie przeciwny.

10.

Miejsce zaginionego Głosu zajął Gracjusz, chociaż zastanawialiśmy się poważnie czy nie należałoby powrócić do poprzedniego systemu sterowania, opartego na schemacie „ana-

lizatory-MUK-dowódca statku". Przeważyło jednak zdanie, że nie możemy ryzykować utraty kontroli nad gwiazdolotem w razie kolejnych zaburzeń czasu, na które maszyny okazały się tak bardzo nieodporne. Osima i Kamagin, którzy byli bardzo przywiązani do starego systemu, ustąpili wreszcie, gdy Oleg ich zapewnił, że Gracjusz doskonale sobie poradzi z funkcją koordynatora lotu.

- Ma identyczną strukturę mózgu jak Głos - powiedział. - Przecież i Głos był kiedyś Galaktem. Zanim jeszcze Gracjusz zajął kabinę sterowniczą Głosu odwiedził mnie nieoczekiwanie Orlan-Demiurg nie lubił chodzić w gości i dlatego spotykaliśmy się zazwyczaj w pomieszczeniach służbowych. Jedynie w mieszkaniu Gracjusza Orlan bywał dość często, prawdopodobnie z chęci podkreślenia, że miedzy Demiurgami a Galaktami nie ma już nienawiści tak długo dzielącej ich narody.

- Eli, czy to prawda, że pracami nad transformacją czasu kieruje obecnie kapitan Olga Trondicke? zapytał niesłychanie oficjalnym tonem.

- Masz cos przeciwko temu, Orlanie?

- Te prace prowadzili Demiurgowie - odparł sztywno. - Ja sam chciałbym zastąpić Ellona.

Zaskoczył mnie. W różnych okresach znałem Orlana jako admirała wrogiej floty, potężnego dostojnika Imperium Niszczycieli, wreszcie jako jednego z twórców Wspólnoty Gwiezdnej i mojego przyjaciela, najbliższego chyba spośród rozumnych nieludzi, ale nigdy nie myślałem o nim jako o inżynierze. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wykazywał pociąg do matematyki lub jej zastosowań technicznych... Powiedziałem mu to, ale Demiurg wyjaśnił, że w młodości kształcił się na organizatora przemysłu, a nawet odbył staż w zakładach budowy statków kosmicznych i nie został ministrem tego resortu jedynie dlatego, że Wielki Niszczyciel poruczył mu sprawy wielkiej polityki galaktycznej.

- To Olga Trondicke i ty, Eli sprawiliście, że zarzuciłem działalność inżynierską. Po wtargnięciu „Pożeracza przestrzeni" do Układu Perseusza Wielki Niszczyciel postanowił otoczyć się tymi, którzy mogliby stanowić niezachwianą Dodpore tronu...

- A teraz chciałbyś powrócić do techniki?

- Eli, jestem w tej chwili jedynym członkiem załogi „Koziorożca", który nie ma indywidualnego przydziału pracy. Po zajęciu przez Gracjusza stanowiska Głosu, a zwłaszcza po śmierci wielkiego Ellona jeszcze trudniej znoszę swoją bezczynność.

- Czy zgodzisz się pracować z Olgą tak samo jak jej córka pracowała z Ellonem?

- Jeśli tylko ona się zgodzi...

- Zgodzi się na pewno, Orlanie.

Załatwienie spraw bieżących zajęło mi parę dni i w tym czasie nie chodziłem do konserwatora, potem jednak znów zapragnąłem odwiedzić nasz pokładowy cmentarz.

W konserwatorze pojawił się nowy sarkofag, grób Ellona. Pomyślałem z żalem, że nawet ten geniusz nie mógł znieść rozdarcia miedzy przeszłością a przyszłością, gdy spod nóg usunął mu się twardy grunt teraźniejszości.

Przechodziłem wolno od sarkofagu do sarkofagu, od Ellona do Mizara, od Mizara do Truba, od Truba do Lusina i nie spieszyłem się do Oana, chociaż znów chciałem z nim porozmawiać.

- Oanie - powiedziałem, gdy wreszcie stanąłem przed jego siłową klatką- nie wiem teraz kim jesteś. Nie wiem czy jesteś szpiegiem, beznamiętnym badaczem, czy też życzliwym obserwatorem, wysłańcem niewyobrażalnej potęgi. A przecież zgodzisz się ze mną, że zwłaszcza teraz musze to koniecznie wiedzieć! Jesteś wprawdzie tylko przekaźnikiem informacji, to akurat wiem na pewno, ale możesz rozwiać moje wątpliwości. Powiedziałeś nam już wiele. Zdradziłeś, że macie szpiegów wśród Aranów i że ty jesteś jednym z nich, że czas tu jest chory i dlatego niebezpieczny również dla nas; że próbujecie opanować bieg czasu i że w trakcie takiej próby zginęło pięciu twoich towarzyszy... Jesteś zatem przekaźnikiem dwukierunkowym, możesz więc dać nam przynajmniej do zrozumienia, czego wy właściwie od nas chcecie. Powiedzieć w czym wam przeszkadzamy i gdzie skręcić z naszej drogi, żeby nie plątać sie wam pod nogami...

Oan wciąż milczał, a ja wpadłem w histeryczną wściekłość, podniosłem głos, wrzeszczałem: - Milczysz? Nie chcesz odpowiadać? To przynajmniej myśl o mnie, myśl o moich pytaniach, przekazuj je swoim obojętnym współbraciom. Nie jesteśmy galaktycznymi mrówkami bez względu na to, co Romero wyguduje o waszej potędze i naszej nicości. Wyrwiemy się z tego piekła, w którym nas zamknęliście. Myślicie, że zagrodziliście nam wszystkie drogi? Nieprawda! Wyrwiemy się przez ten czas, który uważacie za chory, chociaż w istocie stanowi jedyny ratunek przed zagładą Wszechświata. Urobimy ten czas jak miękką glinę i wyrwiemy się przezeń do przodu, wstecz lub w bok!...

Zamilkłem. Oszołomił mnie własny okrzyk. Stało sie! Słowo zostało wypowiedziane i niczym błyskawica rozświetliło mrok tajemnicy. Na razie było to jedynie słowo, ale słowo na wagę ratunku. Brzmiało ono-„w bok".

Jak szalony wybiegłem z konserwatora. Musiałem natychmiast zobaczyć się z Olegiem. Już na korytarzu przypomniałem sobie, że MUK pracuje i że można posłać wezwanie myślowe. Zażądałem natychmiastowego połączenia i usłyszałem zdziwiony głos Olega:

- Chcesz się ze mną pilnie zobaczyć, Eli? U ciebie czy w laboratorium?...

- Najlepiej u ciebie - odparłem.

- Czekam, - Oleg się rozłączył.

Po chwili byłem już w jego kabinie. Popatrzył na moją rozgorączkowaną twarz i zapytał z nadzieja

- Masz jakąś dobrą wiadomość, Eli?

- Znalazłem wyjście z pułapki! - odparłem. - Spróbujemy wydostać się z niej przez czas prostopadły.

Widać było, że Oleg natychmiast mi uwierzył, ale uwierzył jako człowiek prywatny, bo powiedział to, co na jego miejscu powinien powiedzieć każdy odpowiedzialny dowódca eskadry:

- Tak, to byłoby rozwiązanie... Ale czy czas prostopadły w ogóle istnieje, a jeśli tak, to czy zdołamy się nim posłużyć?

- Rozważmy to - powiedziałem, po czym zacząłem referować swoją koncepcje.

Zacząłem od tego, że do tej pory znaliśmy jedynie czas jednowymiarowy i jednokierunkowy, biegnący od przeszłości przez teraźniejszość ku przyszłości, czas wektorowy. Tylko wzdłuż niego przebiegają nasze mikroskopijne w skali kosmicznej procesy, procesy naszego małego światka. Patrząc na nie uwierzyliśmy, że inaczej w ogóle być nie może i kiedy w jądrze zetknęliśmy się z czasem giętkim i nieliniowym, nie zrozumieliśmy jego istoty i uznaliśmy za nietrwały, zrakowaciały i poszarpany.

- Innymi słowy twierdzisz, że wyrwy czasowe nie istnieją?

- Właśnie. Luka czasowa to jedynie nasze prymitywne wyobrażenie o niepomiernie bardziej złożonym procesie jego ugięcia... Czas realny jest dwuwymiarowy, a zatem można go przedstawić w postaci wektorów na płaszczyźnie, my natomiast badamy jedynie jego pokrywające się rzuty na osi. Na domiar złego jesteśmy przekonani, że nic poza tymi rzutami nie istnieje. I jeśli czas odszedł prostopadle w bok, na osi pojawi się przerwa, nieciągłość, którą uznajemy za przerażającą lukę czasową, której w istocie nie ma. Przypomnij sobie - dodałem sam niezmiernie zaskoczony tym wspomnieniem - że Oan też wspominał o ugięciach czy zawirowaniach czasu i że wówczas zlekceważyliśmy jego słowa.

- Pewnie dlatego, że trudno sobie było wyobrazić ugięcie czasu - zauważył Oleg.

- A łatwiej jest wyobrazić sobie zakrzywienie pustej przestrzeni. Zaręczam ci, że we Wszechświecie czas jednowymiarowy nie istnieje, że jest czystą abstrakcją. Taką samą abstrakcją jak bryła geometryczna pozbawiona właściwości fizycznych!...

- Prawie mnie przekonałeś, Eli - przerwał mi Oleg - ale chciałbym wiedzieć, jak wyobrażasz sobie praktyczną realizacje twojej koncepcji ucieczki przez czas prostopadły. Musze przecież ustalić plan działania.

- Realizacja techniczna nie należy do mnie, bo się na tym nie znam - odpowiedziałem. - Mogę jedynie teoretycznie rozwinąć swój pomysł. Wygląda on następująco. Skoro ucieczka przez przyszłość lub przeszłość nie udała się, gdyż przekroczenie zera temporalnego jest zabójcze dla organizmów żywych, to należy przedostać się do czasu dwuwymiarowego, do pozaczasu, jeśli się tak można wyrazić. Można to zrobić odchylając czas własny, zakrzywiając go w ten sposób, aby poruszać się w nim w bok i do przodu, w stronę przyszłości. Utrzymując stały kąt odchylenia w jakimś punkcie rozstaniemy się ze swą przeszłością i nie przekraczając zera temporalnego zaczniemy zbliżać się do przeszłości, która w tej chwili jest właśnie naszą przyszłością.

- Opisujesz mi ruch po okręgu koła, Eli.

- Masz zupełną racje. Mój pomysł polega właśnie na tym, aby wyrwać się z czasu jednowymiarowego, prostoliniowego i znaleźć się w czasie dwuwymiarowym, zapętlonym.

- Pętla czasu wstecznego!... - powiedział Oleg w zadumie. Brzmi to nieźle. Zaraz porozumiem się z Olgą i Orlanem i zapowiem swoje przyjście do laboratorium. Naszkicujemy razem plan operacji powrotu do domu. Plan „Pętla czasu wstecznego"...

Podczas całej naszej rozmowy Oleg nie spuszczał wzroku ze stojącego na biurku rejsografu, miniaturowego urządzenia rejestrującego w krysztale neptunianu cały przebieg podróży. Teraz wziął go, żeby odstawić do szafy pancernej.

- Czemu akurat teraz zainteresowała cie przebyta przez nas droga? - zapytałem.

Oleg w milczeniu postawił rejsograf na biurku i nacisnął klawisz. Na ekranie aparatu zapłonął wielokrotnie widziany obraz dzikiego gwiezdnego chaosu, nieruchomy obraz jednego z momentów nasze- go długiego lotu. Popatrzyłem na Olega ze zdzi-

wieniem.
- Nie poznajesz tego miejsca, Eli?
- Oczywiście, że nie.
- Tutaj właśnie odeszła od nas Irena.
- Rozumiem. Ale czy bolesne wspomnienia...
- Nie, Eli - przerwał mi. - Nie tylko wspomnienia... Powiedz mi, Eli, czy po szczęśliwym powrocie na Ziemie zdecydujesz się jeszcze na udział w jakiejś wyprawie galaktycznej?
- Wątpię. będę na to za stary. Już jestem na to za stary!
- A ja polecę. Jestem od ciebie znacznie młodszy i penetrowanie Kosmosu jest jedyną treścią mojego życia.
- Wrócisz do jądra?
- Dotarliśmy tu po raz pierwszy, ale czyż można na tym poprzestać? Nowa wyprawa będzie z pewnością lepiej przygotowana, to pewne. I jeśli wezmę w niej udział, to zapis rejsografu bardzo mi sie przyda.
- Chcesz odnaleźć Irenę? - zapytałem wprost.
Ostrożnie wsunął rejsograf do gniazda w kasie pancernej, starannie sprawdził połączenia aparatu z mózgiem pokładowym i dopiero wtedy odparł z udawanym spokojem.
- W każdym razie pragnąłbym się dowiedzieć, co się z nią dzieje.

11.

Dopiero teraz mogliśmy w pełni docenić geniusz inżynieryjny Ellona. Kolapsan pozwalał nie tylko zagęścić lub rozrzedzić czas, zmienić jego znak, ale również dowolnie zakrzywiać, odchylać pod żądanym kątem od pierwotnej osi. Olga nazwała to odchylenie „fazowym kątem ucieczki w pozaczas” i określiła jego pożądaną wielkość przy pomocy skomplikowanych wzorów własnego pomysłu. Dla mnie była to kompletna czarna magia, ale Orlan rozumiał Olgę w pół słowa, a niektóre z wielopiętrowych wzorów były wręcz jego autorstwa. Wcale się temu nie dziwiłem, bo Demiurgowie mają wrodzone zdolności do mechaniki niebieskiej.
Próby modelowania przesunięcia fazowego czasu na procesach atomowych przebiegały na tyle sprawnie, że już niebawem Olga powiedziała do mnie przy śniadaniu:
- Być może jutro, Eli.
Znaczyło to, że już jutro inżynierowie wypróbują generatory odchylające makroczas całego statku.
- Prawdopodobnie jutro - rzucił Orlan podczas obiadu.
- A więc jutro, przyjaciele! - oświadczył Oleg w czasie kolacji.
Z samego rana pospieszyłem na stanowisko dowodzenia, gdzie zastałem już wszystkich kapitanów i Orlana. Sterowanie generatorami czasu fazowego przejął Gracjusz, bo dla nieśmiertelnego Galakta przerzut do innego czasu nie był takim wstrząsem, jak dla któregokolwiek z nas. Fotel pierwszego pilota statku zajął Kamagin, również obeznany już z podróżami w czasie. A całej reszcie przypadła rola biernych widzów. Czekałem niecierpliwie na wspaniałe widoki, których spodziewałem się przy przejściu do obcego czasu, choć bardzo się lękałem reakcji Ramirów.
- Trzy, dwa, jeden, zero! - wykrzyknął Kamagin i czas nieco się odchylił.
Powinien się odchylić, a tymczasem nic o tym nie świadczyło. Na ekranach trwał ten sam co przed chwilą niewyobrażalny chaos gwiezdny, nadal wszystko kotłowało się w tytanicznym wybuchu.
- Czy generatory aby na pewno pracują? - mruknął zaniepokojony Osima.
- Ramirowie nie dają o sobie znać - zauważył Kamagin. - Przegapili nasz manewr czy co?
- I tak byśmy nie zauważyli ich reakcji - powiedział poważnie Orlan. - Ich promień spopieli nas wcześniej niż cokolwiek zdążymy pojąć.
Po pewnym czasie MUK zakomunikował, że obraz chaosu gwiezdnego powoli się zmienia, a Gracjusz potwierdził te informacje. My jednak nic nie dostrzegliśmy.
- Gwarantuje, że jesteśmy w pozaczasie - powiedziała Olga. - Kąt fazowy jest jednak tak niewielki, że musi upłynąć parę godzin zanim zmiany na niebie staną się wyraźnie widoczne.
Mary zaproponowała, żebyśmy poszli do nas i trochę odpoczęli. W kabinie wygasiła ekran i usiadła na fotelu, ja zaś postanowiłem nieco się zdrzemnąć. Żona obudziła mnie po dwóch godzinach.
- Popatrz na ekran! - wykrzyknęła z podnieceniem.
Na ekranie był zupełnie inny świat. Nie, świat był nadal ten sam, ten sam świat rozszalałego Jądra Galaktyki, tyle że teraz przybrał on nieuchwytnie inny kształt. Tak, to było jądro, lecz jądro w innym czasie, nie w przeszłym, nie w przyszłym, ale w innym...
- Mary, Ramirowie nas wypuścili! - zawołałem radośnie. -Już nas nie zaatakują!
Od tego dnia upłynęło wiele czasu. Może godzin, może wieków, a może nawet milionoleci. Nie potrafię, określić jednostki, bo czas, w którym się poruszamy jest nam obcy. Przyrządy go mierzą, MUK zapamiętuje, rejsograf rejestruje, a ja go nie rozumiem, bo to nie mój czas.
Pozwoliłem sobie na te dygresje, siedząc w konserwatorze i dyktując historie naszej ucieczki z jądra, pozwoliłem sobie na nią po to tylko, aby oddać niecierpliwość z jaką oczekujemy powrotu do. naszego normalnego czasu. Przebyliśmy już trzy czwarte okręgu pętli czasu wstecznego i niebawem zaczniemy doganiać naszą przeszłość, która po zatoczeniu niemal pełnego koła znalazła się przez nami, stała się. naszą przyszłością.
Czekam na powrót do naszego czasu, ale myślę o czymś innym. Ramirowie nas wypuścili, to oczywiste, a zarazem bardzo dziwne. Chce dociec, dlaczego tym razem pozwolili nam odejść. Musze to zrozumieć, bo przecież ludzie jeszcze kiedyś spotkają się z tą nieuchwytną cywilizacją. Nie wierze w obojętność Ramirów... Wczoraj zaprosiłem do siebie Romera.
- Pawle - powiedziałem. - Nie podoba mi się pańska przypowieść o drwalach i mrówkach.
- Mogę ją wiec zmodyfikować. Co by pan powiedział o ćmach lecących do ogniska drwali?
- Rola ćmy też mnie zupełnie nie urządza - odparłem.
- Kim zatem wedle pana jesteśmy?
- Jesteśmy królikami, Pawle.
- Królikami? Nie przesłyszałem się?
- Tak, królikami. Królikami doświadczalnymi, jak to się kiedyś nazywało. Biednymi zwierzakami, na których nasi przodkowie dokonywali eksperymentów medycznych.
- Uważa pan, że jesteśmy obiektem doświadczalnym, że Ramirowie dokonują na nas eksperymentów?
- W każdym razie usiłują nas do tego celu użyć.
- W tym coś jest - powiedział z zastanowieniem Paweł. - A czy ma pan jakieś dowody?
- Raczej poszlaki, Pawle. Proszę posłuchać.
Zacząłem od tego, że Ramirowie natychmiast zniszczyli pierwszą eskadrę wysłaną do jądra, a właściwie zabili załogi, same gwiazdoloty pozostawiając w spokoju. Nędzne mróweczki zostały wytrute środkiem owadobójczym na wszelki wypadek, żeby przypadkiem nie pogryzły zajętych ważną pracą drwali. Jednak w stosunku do drugiej wyprawy zachowali się już inaczej. Wprawdzie nie patyczkowali sie również i z nami, kiedy „Strzelec” zakłócił tworzoną przez nich strukturę gromady Ginących Światów, ale oszczędzili „Koziorożca” i „Węża”. Dlaczego? Bo się nami zainteresowali i zaczęli badać. Nasłali na nas Oana, żeby mieć ścisłe informacje. Obudziliśmy ich ciekawość prawdopodobnie tym, że udało sie nam uratować fałszywego Arana i że następnie „zajęliśmy się problemem transformacji czasu. To w ich oczach podniosło naszą rangę.
- Z mrówek na króliki, to ma pan na myśli?
- Pawle, mówiłem panu kiedyś, że staram się przebudować system myślenia, upodobnić go do systemu myślenia Ramirow... Proszę sobie na moment wyobrazić, że ludzkość jest starsza o milion lat i że przez całe te tysiąclecia nieustannie się doskonaliła.
- To oznaczałoby niewiarygodną wprost potęgę!
- Tak, Pawle. Już teraz potrafimy tworzyć, przebudowywać i niszczyć planety, czy wiec za milion lat nie zapragniemy uporządkować nie tylko pojedyncze układy planetarne lub gromady gwiezdne, lecz całą Galaktykę? Galaktyka jest chora, jej jądro grozi wybuchem, wiec przy tej całej naszej przyszłej potędze z pewnością nie pogodzilibyśmy się z nieustannym balansowaniem na krawędzi zagłady i postarali raz na zawsze zapobiec niebezpieczeństwu. Proszę sobie teraz wyobrazić, że owa potężna ludzkość ustaliła, iż jedyną gwarancją zapewnienia stabilności gwiazd w jądrze jest dowolne kształtowanie czasu, a tego akurat przy całej swojej pozornej wszechmocy ludzkość robić nie potrafi... i oto zjawiają się jacyś żałośni przybysze, jakieś mrówki, które bezczelnie plączą się pod nogami i przeszkadzają w robocie. Jaka byłaby pana pierwsza reakcja? Naturalnie wytępić złośliwe owady!
- Ośmielę się zauważyć, admirale, że na razie nic nowego mi pan nie powiedział...
- Chwileczkę, Pawle! Wkrótce jednak okazuje się, że mrówki mają dziwną maszynową cywilizacje i że potrafią dzięki tym swoim mechanizmom zagęszczać i rozrzedzać czas, a nawet zmieniać jego kierunek. Wprawdzie zaledwie na poziomie atomowym, ale... Tutaj z pewnością by się pan tymi mrówkami poważnie zainteresował, przyjrzał im uważnie, zmusił do eksperymentowania w najtrudniejszych warunkach. Nie uda się im wyrwać z pułapki - mała strata, ale za to jeśli im się powiedzie, jeśli mrówki potrafią coś wymyśleć - czysta korzyść dla pana, bo można będzie skorzystać z gotowych rezultatów. Tak właśnie wyobrażam sobie nasze wzajemne stosunki z Ramirami, Pawle.
- Jeśli to prawda, to jesteśmy uratowani. Mnie taka sytuacja w pełni satysfakcjonuje.
- A mnie nie! - wykrzyknąłem zrywając sir. z miejsca. - Mnie

taka sytuacja wręcz oburza! Nigdy nie pogodzę się z tym, żeby ktoś traktował nas jak dokuczliwe mrówki, a w najlepszym razie jak pożyteczne króliki doświadczalne!...

- Czegóż wiec pan chce, admirale?

- Równouprawnienia!

- Obawiam się - powiedział Romero kręcąc z powątpiewaniem głową - że nikt naszych pragnień nie będzie brał pod uwagę. A poza tym jak zamierza zakomunikować pan swoje żądanie Ramirom?

- Spróbuje znaleźć jakiś sposób... Popatrzył na mnie z uśmiechem i powiedział:

- Każdy z nas ma swoje powody do zdenerwowania, Eli. Pan podnieca się problemami globalnymi, mnie natomiast doskwierają rzeczy znacznie większej wagi. Wie pan jakie?

- Nie sądzę, żeby to był jakiś zupełny drobiazg.

- A jednak... Zbliżamy się do naszej przeszłości. MUK sporządza właśnie odpowiednią prognozę. Prognozę przeszłości, to przecież potworne!

- Nie rozumiem czemu.

- To jasne, Eli. Przeszłość należy opisywać, a nie przepowiadać... Przy czym wcale nie jestem pewien czy te naszą przeszłość uda się nam naprawdę trafnie przepowiedzieć!

W żaden sposób nie mogłem pojąć, dlaczego Romera tak bardzo niepokoi sprawa przepowiedzenia przeszłości. Zadanie było proste, a w każdym razie nie przekraczające możliwości mózgu pokładowego i nadzorującego jego prace Gracjusza.

12.

Jesteśmy już poza granicami jądra. Nareszcie wyrwaliśmy się z promiennego piekła! Dokoła rozpościera się normalny Kosmos, w którym gwiazdy dzielą od siebie dziesiątki lat świetlnych, a fundamentalne prawo Wszechświata, powszechne ciążenie, gwarantuje porządek niezakłócony szaleństwami czasu. Wspaniały świat!

Ale to jeszcze nie jest nasz własny świat, bo na razie znajdujemy się jeszcze w pozaczasie. Przeszłość jest jeszcze przed nami.

Odwiedziłem Olega.

Dowódca eskadry siedział przed rejsografem i porównywał otaczający nas pejzaż gwiezdny ze zdjęciami okolic jądra wykonanymi podczas zbliżania się do niego. Pełnej tożsamości na razie nie było, ale różnice zmniejszały się z każdym dniem. Gracjusz obwieścił niedawno, że kąt fazowy dzielący nad od swego czasu spadł poniżej dziesięciu stopni, podczas gdy jego maksymalna wartość wynosiła sto osiemdziesiąt stopni!

- Kręcimy się jak pies wokół własnego ogona - powiedziałem.

- Ja wyraziłbym się mniej dosadnie - odparł Oleg z uśmiechem. - Powiedziałbym, że gonimy własny cień. Zbliża się południe, cień jest coraz krótszy... Orlan i Olga zmniejszają natężenie grawitacji w kolapsanie i niebawem wpłyniemy łagodnie do własnego czasu. Oby jak najprędzej!...

- W jakim punkcie przestrzeni? Romerowi z jakiegoś względu bardzo zależy na ścisłej prognozie...

- Z obliczeń Olgi wynika, że stanie się to w okolicach Ginących Światów.

- Doskonałe miejsce! Byle tylko znowu nie wpaść (Jo jądra!

Porozmawiałem jeszcze chwile i wyszedłem od Olega. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Mary co rano szła do swego laboratorium astrobotanicznego, w którym hodowała nowe rośliny dla martwych planet, Romero pisał kronikę wyprawy, a ja włóczyłem się po statku, trwoniąc bezużytecznie pozaczas.

Wreszcie postanowiłem pójść do konserwatora. Fotel nadal stał przed sarkofagiem Oana. Usiadłem w nim i powiedziałem:

- Wiesz, Oanie, wciąż zastanawiam się, kim wy naprawdę jesteście i jaka jest wasza natura... Wiem tylko, że z pewnością nie jesteście istotokształtni, ale nic poza tym. Podejrzewam jedynie, że to, co nazywamy Ramirami, jest wysoko zorganizowaną martwą materią, która osiągnęła poziom samoświadomości bez udziału struktur białkowych. Czymś w rodzaju naszych sztucznych mózgów rozbudowanych do skali kosmicznej. Wcale was tym porównaniem nie chce obrazić! Wiem zresztą, że tego rodzaju reakcje są właściwe jedynie organizmom żywym... Kim wiec jesteście? Myślącą planetą, myślącym układem planetarnym, a może nawet mózgiem, który przybrał kształt gwiazdy? Wszystko jest możliwe! Wiem przecież, że myślenie nie jest monopolem żywego mózgu i dopuszczam nawet, iż myślenie całą planetą może być łatwiejsze i skuteczniejsze. Tym bardziej, że taki planetarny mózg może tworzyć z własnego materiału dowolne żywe przedmioty tak samo, jak my lepimy rzeźby z gliny. Tworzyć i zachowując z nimi łączność myśleć w nich i za ich pośrednictwem. Wszyscy Ramirowie czy też cały Ramir myśli w tobie, Oanie... Jesteście zatem zorganizowaną martwą materią, zagrożoną w swym bycie przez niestabilność jądra Galaktyki. Myślicie kategoriami martwego Kosmosu i zdaniem mojego przyjaciela jesteście obojętni na czyjekolwiek losy. Mój przyjaciel myli sie: obchodzą was bardzo losy świata i jesteście obojętni tylko wobec materii żywej, wobec żywego rozumu. Popełniacie wielki błąd, potężni! Zaraz postaram się wam to udowodnić.

Zamilkłem, żeby opanować podniecenie, odetchnąć i uporządkować myśli. Nie chciałem, żeby mój głos drżał.

- Tak- ciągnąłem po chwili. -Jestem w porównaniu z wami drobinką, miniaturowym pyłkiem żywej materii, o wiele mniejszym niż mrówka wśród słoni, ale we mnie zawiera się cały Wszechświat. Tego właśnie nie potraficie zrozumieć. Nie potraficie zrozumieć tego, że mój mikroskopijny mózg potrafi wytworzyć 10^{60} połączeń, a wiec więcej niż jest atomów w całym Kosmosie, a każde połączenie to obraz zjawiska, wydarzenia, cząstki, fali, sygnału, wizerunku tegoż Kosmosu. Mówię „ja", ale myślę „my" i ostrzegam: my, życie rozumne, jesteśmy na razie siłą niemal niezauważalną w martwym Kosmosie, który wy staracie się utrzymać w stanie równowagi. Powstaliśmy na peryferiach Galaktyki i posuwamy sie ku jej środkowi. Wszechświat dzięki nam się zmienia, życie nieuchronnie podporządkowuje sobie nowe obszary. Musicie się z tym liczyć, bo to my właśnie jesteśmy przyszłością tego świata. Jeśli nawet zginiemy, życie przez to nie wygaśnie, nie zaprzestanie swego marszu naprzód, bo po nas przyjdą tu nasi potomkowie, więcej wiedzący i lepiej uzbrojeni. To nie jest groźba, bo nie chcemy nikomu grozić. My chcemy jedynie poznawać świat na swój własny, niedoskonały jeszcze sposób, nawiązywać przyjaźń ze wszystkim co rozumne, okazywać dobroć i doznawać dobroci, zatem i wy, potężni Ramirowie, dajcie nam dowody przyjaźni!

- Podszedłem do Oana i długo wpatrywałem się w jego półprzezroczyste ciało.

- A teraz zniknij - powiedziałem. - Twoja misja dobiegła końca. Pamiętaj, że jestem człowiekiem, istotą potężną, ale jeszcze niedoskonałą. Nie nauczyłem się jeszcze rozumieć wszystkiego od razu, jeszcze do pełnego zrozumienia musze mieć wyraźne znaki i sygnały... Jeśli znikniesz, będzie to dla mnie znakiem, że zostałem zrozumiany. Już od dłuższej chwili w konserwatorze rozlegało się wezwanie:

- Admirał Eli proszony na stanowisko dowodzenia! Admirał Eli proszony na stanowisko dowodzenia!...

Wyszedłem z konserwatora.

13.

Na stanowisku dowodzenia zebrali się wszyscy moi przyjaciele: Oleg, Osima, Kamagin, Olga, Orlan. Oleg zapytał, wskazując gwiezdne ekrany:

- Eli, wiesz gdzie jesteśmy?

Obraz był tak znajomy, że bez wahania wykrzyknąłem:

- Jesteśmy w Ginących Światach!

- Dokładniej na skraju gromady gwiezdnej - sprecyzował Oleg. - Na granicy otwartego Kosmosu. Stare i nowe kadry w rejsografie pokryły się ze stuprocentową dokładnością. Wróciliśmy w to samo miejsce, które kiedyś opuściliśmy.

- To znaczy kiedy? - popatrzyłem pytająco na Olgę.

- Byliśmy tu dokładnie jeden ziemski rok temu. Nasze wędrówki po jądrze i ucieczka z niego wzdłuż pętli czasu wstecznego trwały zaledwie rok według czasu pokładowego.

Naszą rozmowę przerwał głos Gracjusza. Galakt informował, że analizatory wykryły pozostawione przez nas dwa statki transportowe. Są jeszcze wprawdzie daleko, ale nie ulega wątpliwości, że ciężarówki są absolutnie sprawne i nadal oczyszczają przestrzeń.

- Postarzeliśmy się o rok, a Ginące Światy odmłodniały o stulecie - powiedział Oleg. - Do Układu Trzech Mglistych Słońc powracają barwy czystego nieba.

- Do sterówki wbiegł podniecony Romero. Był tak blady i zadyszany, że spodziewaliśmy się najgorszego.

- Eli! Olegu! - wykrztusił z trudem Paweł. - Zajrzałem do konserwatora, żeby sprawdzić jak nasi nieboszczycy znieśli podróż przez wsteczny czas i zobaczyłem... To nieprawdopodobne, to zakrawa na cud, przyjaciele!...

- Nie ma w tym żadnego cudu! - przerwałem mu. - Chce pan powiedzieć, że Oan zniknął?

- Tak, z tym tu przybiegłem... Sarkofag jest nienaruszony, pola blokujące na miejscu, ale Oan zniknął bez śladu! Jeśli to nie jest cud, Eli...

Wziąłem go pod rękę i posadziłem na wolnym fotelu.

- Uspokój się, Pawle. Żadne z praw natury nie zostało pogwałcone. Po prostu otrzymaliśmy znak, że zamknęliśmy jeszcze jedną pętle, że przebyliśmy drogę od znajomości przez niechęć, walkę, wzajemne zainteresowanie, do przyjaźni!

KONIEC

Amulet

Jacek Piekara

- Steve, obiad - krzyknęła z kuchni matka. Steve i pies wytoczyli się z pokoju.
- Steve, zostaw ją i chodź tu. Potargany dzieciak wpadł do kuchni.
- Mamo, lekcje odrobiłem, sprzątnąłem zabawki. Mamo dlaczego ja musze sprzątać zabawki? Jane mówi, że mama pozwala sie bawić jej w całym mieszkaniu. Mamo kup mi kolejkę. Fred ma kolejkę i powiedział, że będę się mógł z nim bawić, to byłoby morowo gdybyśmy mieli dwie kolejki.
- Steve!
- Ale Fred mówi, że tata nie kupi mi kolejki, to lepiej ty mi kup, chociaż Fred mówi...
- Steve!
- Tak, mamo.
- Zjedz obiad. My z tatą idziemy do kina.
- Mamo, mogę iść z wami?
- Nie. Pójdziesz w niedziele. Mama Jane dzwoniła i powiedziała, że zabierze was ze sobą.
- To fajnie. Mamo.znowu kotlety? Ja nie chce kotletów.
- Zjadaj i nie dyskutuj.
- Co to znaczy nie dyskutuj?
- To znaczy, że jedzenie ma stąd zniknąć - powiedziała wychodząc - jak przyjdę to ma go już tu nie być.

Biiipooop.

Matka weszła do łazienki i puściła wodę. Po chwili wypłoszył ją przeraźliwy huk.
- O Boże, Steve. Coś ty zrobił? Tatuś się zmartwi jak przyjdzie. To jego ulubiony wazon.
- To Gitty, mamo. Ppwiedz jej, żeby nie machała ogonem.
- Steve - głos matki był poważny - mówiłam, żebyś zjadł obiad.
- Zjadłem, zjadłem, zjadłem, a powiedziałaś, że po obiedzie mogę się bawić z Gitty.
Matka zdecydowanym krokiem weszła do kuchni. - Steve! - krzyknęła.
- Idez Gitty do Jane!
Po paru minutach szczeknęły otwierane drzwi.
- To ty Harry? Jak dobrze, że już jesteś, Steve jest niemożliwy.
- Musi się wyszaleć - pocałował żonę w policzek - nie bądź dla niego zbyt surowa. Co to jest? - wskazał ręką na leżące koło śmietniczki skorupy.
- Wazon.
- Aha. To Steve?
- Nie. Duch Święty. Pogłaskał żonę po włosach.
- Ubierz się. Za chwile możemy już jechać.
- Jestem już ubrana!
- Chyba, że tak. Myślałem, że chcesz się przebrać.
- A ty się ogól - krzyknęła, gdy wchodził do łazienki.
- Dobrze, a gdzie moja maszynka?
- Na półce.
- Nie ma jej tam.
- Może zostawiłeś u Betty? - spytała złośliwie. Wypadł jak oparzony z łazienki.
- Nie będę się golił. Daj mi święty spokój.
- Cześć tato!
Zabłocona kula zawisła u szyi mężczyzny.
- Steve, coś ty z siebie zrobił?
Ojciec ostrożnie zdjął chłopca z ramion.
- Uspokój się. Musi się jakoś bawić.
- Ale nie taplać w błocie! Dość tego! - krzyknęła. - Steve, nie wolno ci przez tydzień wychodzić z domu. Do szkoły i z powrotem!
- Anno...
- Nic z tego! Żadnego kina, żadnych meczów.
Chłopiec zaczął płakać. Roztarł łzy pięściami po twarzy zostawiając brudne smugi.
- Nienawidzę cie - wychlipał - nienawidzę.
Chwyciła go jak młodego psiaka za kark i powlekła za sobą do pokoju.
- O Boże - Harry pogładził Gitty po łbie - chyba tylko my dwoje jesteśmy tu normalni.
- Coś ty powiedział?
- Zniknę cie, zniknę cie - rozległ się po pokoju zapłakany głos. Ojciec wszedł do pokoju i usiadł obok rozżalonego dziecka.
- Nie płacz, Steve. Kupie ci kolejkę. No nie maż się. Prawdziwy mężczyzna nie płacze.
- Taką jak ma Fred? - wychlipał.
- Nawet lepszą - uśmiechnął się ojciec - i nie znikniesz mamy? spytał żartobliwie.
- Zniknę.
- A kto nam zrobi w niedziele dobry obiad, kto posprząta zabawki po Stevie i papiery po tacie?
- Ty albo ciocia Betty.
Harry usłyszał z kuchni przekleństwo i lekko się uśmiechnął.
- Ale ciocia Betty nie mogłaby z nami mieszkać, bo ma swój dom i swojego nieznośnego Steve'a. A mamusia bardzo cie kocha i byłoby jej przykro, gdyby musiała zniknąć.
- Mnie też byłoby przykro, gdyby zniknęła, ale widzisz, Fred zawsze mówi, że trzeba kogoś ukarać jak on jest niegrzeczny, a mama była dziś niegrzeczna.
- Masz racje, Steve. Mamusia była bardzo niegrzeczna, ale ty Steve jesteś przecież mężczyzną, a mężczyzna zawsze musi wybaczać kobiecie.
- Dlaczego?
- Bo kobieta jest po to, żeby się nią opiekować. Kiedy tatuś ma mało czasu, bo musi gdzieś wyjeżdżać albo siedzieć w biurze, to Steve powinien go zastąpić.
- Aha - zamyślił się - a tak troszeczkę, ociupinkę. Nawet tyle nie mogę jej ukarać?
- Tak ociupinkę możesz - ojciec poklepał chłopca po policzku - a teraz idź się umyj. My już wychodzimy. Kolacje masz w szafce. Połóż się spać i nie czekaj na nas.
- Jasne, tato.
Pobiegł do łazienki i już rozebrany się wychylił.
- Nie zapomnij o kolejce.
Gdy byli już przy drzwiach wybiegł jeszcze raz. Tym razem ociekając wodą.
- Za karę zniknę mamie szlafroka
- Najpierw znikniesz te wodę z parkietu - rzekła matka zamykając drzwi.

Biiipooop.

Wrócili, gdy Steve spał przytulony do Gitty. - Harry, ja już nie wytrzymam. Tyle razy mu mówiłam, żeby nie brał psa do łóżka. Chciała wejść do pokoju, ale mężczyzna zatrzymał ją.
- To jego jedyny przyjaciel. Zrozum to. Nigdy nie masz dla niego czasu, ja zresztą niestety też, a dzieciak musi się do kogoś przytulić...
- Och, daj mi już spokój.
Weszła do drugiego pokoju i włączyła telewizor. Harry wszedł do łazienki.
- Wspaniale - powiedział, gdy już wrócił do pokoju - mały schował ci szlafrok.
Przyciszyła telewizor.
- Nie wiem co w tym wspaniałego. Rozpuścił się jak dziadowski bicz. A ty jeszcze się z tego cieszysz.
- Ma charakter. Będą z niego ludzie.
- Tylko, że ja z tego powodu musze cierpieć. Jutro znowu wyjeżdżasz, a ja zostanę sama ze Steve'em. On w ogóle się mnie nie słucha.
- Wiesz, że musze jechać.
- Pennyhayer ciągle wyciąga cie z domu.
- Trudno. Obiecałem mu pomóc i musze dotrwać do końca.
- A co będzie, jeśli Remington przegra? Zasępił się.
- Wole o tym nie myśleć. Byłbym spalony. Ale Pennyhayer uprzedził mnie, że w razie kieski Remingtona możemy trafić nawet do wiezienia.
Trzasnęła pięścią w stolik.
- Nie mów tak nawet. Rozpłakała się.
Pogładził ją po włosach i ujmując za podbródek zbliżył jej twarz do swojej.
- Wszystko będzie dobrze. Nie martw się.

Steve obudził się bardzo rano, gdy ojciec, który wcześnie wyjeżdżał jadł dopiero śniadanie.
- Cześć, tato - powiedział zaspanym głosem wchodząc do kuchni.
- Witaj młody człowieku. Co robiłeś dziś w nocy? Czy polowałeś

na dzikie mustangi, a może tropiłeś bandytów?
- Nie - odparł poważnie chłopiec - rozmawiałem.
- Pospiesz się. Harry - w drzwiach pojawiła się matka.
- Cześć mamo.
- Dlaczego tak wcześnie Steve? Mogłeś jeszcze spać.
- Kazano mi się obudzić - odpowiedział.
Ojciec wychylił duszkiem szklankę mleka i ugryzł kawałek grzanki.
- A kto może rozkazywać młodemu dżentelmenowi? - spytał. Steve podrapał się po głowie.
- Powiedział, że mama jest smutna, bo tata ma kłopoty. Ojciec spoważniał.
- Tak, to prawda, że Jata ma kłopoty. Ale nie chciałbym, abyś mówił o tym w szkole, Steve. Ani w ogóle nikomu.
- Nawet Gitty?
- Gitty możesz powiedzieć - odparła szybko matka - a teraz idź już spać.
- Jakie masz kłopoty, tato?
- Widzisz - powiedział ojciec ocierając usta serwetką - ty, Steve, bardzo nie lubisz jak mama robi na obiad kotlety, prawda? Sięgnął po gazetę leżącą na stoliku i zaczął ją kartkować.
- Aha.
- No właśnie, tata też nie lubi pewnych rzeczy. A jeden pan będzie kazał robić te rzeczy, których tata nie lubi.
- Aha.
Ojciec znalazł jakiś artykuł i zaczął go czytać.
- Tak wiec widzisz - powiedział wtopiony już w tekst - że tata i mama denerwują się, czy nasz przyjaciel pokona tego niedobrego pana.
- Aha. A czy on może kazać mi jeść kotlety?
- Nigdy nic nie wiadomo - odparł zaczytany ojciec.
- Codziennie?
- Hm.
- Steve idź już spać - powiedziała matka.
Chłopiec poszedł w stronę swojego pokoju, ale w holu zawrócił.
- Tato!
- No!?
- Przestań czytać!
- Tak? - ojciec opuścił gazetę.
- Czy ja mogę go zniknąć?
- Oczywiście Steve - rzekł ojciec.
- A czy jemu będzie przykro?
- Nie, on się czuje wszędzie dobrze. Obawiam się, że nawet jak będzie zniknięty, to nie będzie mu tak bardzo źle - odparł poważnie ojciec.
- Hm. Dobrze. Zniknę go.
- Harry, spóźnisz się.
- Poczekaj - rzekł ojciec wstając z krzesła - przecież Steve musi go zniknąć - mrugnął do żony - zaczynaj synu.
- Musze go widzieć - powiedział poważnie chłopiec.
- Może być zdjęcie w gazecie?
- Może - odparł Steve.
Ojciec rozłożył gazetę i położył na stole. Wskazał palcem na otoczoną dziennikarzami postać.
- To on.
- Dobrze - rzekł chłopiec.

Biiipooop.

- Co to było, Steve? - rzekła matka.
- Czyżby młody człowiek był brzuchomówcą? - zaśmiał się ojciec. - Idź teraz spać synu. Masz jeszcze trochę czasu, a napracowałeś się. Zniknąć kandydata na prezydenta to wielki wysiłek, prawda Anno? - zwrócił się do żony.
- Tak, Steve. Tatuś ma racje.
- Dobrze.
Chłopiec wybiegł z pokoju.
- Lecę. Przecież Gitty na mnie czeka.
- Dziękuje Steve - krzyknął ojciec.

Ojciec wrócił jeszcze tego samego dnia późno w nocy. - Anno - krzyknął - musimy natychmiast jechać do Waszyngtonu. Za dwie godziny mamy samolot.
- Zwariowałeś? - przetarła zaspane oczy. - Co się stało?
- Tato, masz kolejkę?
- Kingside zrobił jakiś nowy chwyt. Nie słyszałaś jeszcze o tym?
- Nie włączałam w ogóle telewizora. Strasznie boli mnie głowa.
- Tato, obiecałeś kolejkę!
- Przepadł. Ukrył się gdzieś. Remington wezwał nas do Waszyngtonu. Nie wiadomo jak długo to potrwa, wiec pojedziecie ze mną.
- Nie pojadę nigdzie - rzekł Steve - nie dotrzymujesz obietnic. Ojciec opadł na fotel.
- Chodź do wozu - rzekł ciągnąc syna do wozu - pamiętaj, że tata zawsze dotrzymuje przyrzeczeń.
Wyciągnął z kieszeni kluczyki od samochodu.
- Na tylnym siedzeniu - uśmiechnął się. Steve jak strzała pomknął w kierunku drzwi.
- O Boże, Harry. Co mamy robić?
- Spakuj rzeczy i jedziemy. Kingside to wcielony diabeł. Rzucił wszystko na jedną szale. Wszystko teraz zależy od tego jak to rozreklamują.
Odgarnęła włosy z czoła.
- Po co się w to wplątałeś, Harry? - szepnęła.
- Fenomenalna - krzyknął Steve od progu - dziękuje! Ojciec uśmiechnął się lekko.
- Skąd mały chłopiec zna takie trudne słowa?
- Śniło mi sie!
Zaczął tańczyć wokół fotela trzymając pudło w rekach.
- Dość tego, Steve. Idź do pokoju i ubierz się. Zaraz wyjeżdżamy.
- Tata ma znowu kłopoty - powiedział poważnie chłopiec.
- Tak, niestety. Ten pan, o którym ci dziś rano mówiłem... a zresztą - machnął ręką.
Steve zatrzymał się przed ojcem.
- Powinien zniknąć - rzekł. Ojciec pokiwał głową.
- Sam chciałeś, żeby zniknął.
- Tak, Steve, oczywiście. Idź do siebie i ubierz się już. Chłopiec podszedł do drzwi.
- Nie potrafię zrobić, żeby znowu był.
- Trudno, nic nie szkodzi, Steve.
- Nie wiadomo co się z nim stało - rzekł do żony - był rano w gabinecie, a kiedy przynieśli mu kawę gabinet był już pusty. W każdym razie tak o tym mówią.
- A policja?
- Dawno już nie widziałem tylu policjantów co dzisiaj. Podobno Waszyngton jest obstawiony, nie można się z niego wydostać.
- Tato, co to jest Waszyngton?
- Steve! Dlaczego nie jesteś jeszcze ubrany? - krzyknęła matka.
- Stolica naszego kraju - odparł ojciec - idź, bo mama się gniewa.
Za chwile chłopiec wpadł do pokoju całkowicie ubrany.
- Tato gdzie, jest nasz kraj ? Pokaż mi! - sięgnął do wpuszczonego w ścianie biurka.
- Zostaw Steve - ojciec podniósł głos - chyba wiesz, że nie wolno ci tu grzebać.
- Ubiorę się i trochę ogarnę - rzekła matka.
- Musisz wspaniale wyglądać, kochanie.
- Tato pokaż mi.
Ojciec wyciągnął teczkę skąd wydobył kilka złożonych map. Rozpostarł na podłodze jedną z nich i uklęknął na dywanie. Steve przywarł tuż obok niego.
- To jest Ameryka - ojciec powiódł ręką - taka wielka, wielka wyspa. A na tej wielkiej wyspie jest nasze państwo. Właśnie tu przejechał palcem po mapie.
- A co tu jest? - Steve wskazał na kawałek lądu w górnym, lewym rogu mapy.
Ojciec rozwinął drugą z map.
- To jest kawałek wielkiego państwa, które tu widzisz. Podszedł do biurka i napełnił szklankę alkoholem zostawiając syna przy geograficznych dociekaniach.
- I to jest cały świat, tato?
Ojciec przechylił szklankę do ust, a ostatnie krople z dna strzepnął na dywan. Pstryknął zapalniczkę i przypalił papierosa. Zaciągnął się głęboko.
- Nie, Steve. To jest tylko cześć świata.
Sięgnął w głąb biurka i wyciągnął globus. Postawił go przed synem.
- Cieszę się, że młody człowiek interesuje się tymi wszystkimi sprawami. Trzymałem wszystko tutaj właśnie dla ciebie. Kiedyś te rzeczy przyniosły mi szczęście, wiec myślałem, że i dla ciebie będzie to dobry amulet.
- Co to jest amulet, tato?
- Coś, co przynosi szczęście.
- Wtedy jak jestem zadowolony to znaczy, że mam amulet?
- Odwrotnie synu - usiadł na fotelu i wziął go na kolana - człowiek jest dlatego zadowolony, że jest szczęśliwy, dlatego, że ma swój własny, osobisty amulet. Bardzo wiele przedmiotów



czy osób może być amuletami. Ludzie zawsze nazywali nimi rzeczy, które pomagały im, a w zamian za to opiekowali się nimi, dbali o nie, pilnowali ich.
Przerwał na chwile.
- Teraz właśnie ty i mama jesteście dla mnie amuletami. Steve zeskoczy! z kolan ojca.
- Jak to jest, jak ktoś go nie ma?
- Wtedy jest bardzo nieszczęśliwy.
- A Gitty ma swój amulet?
- Na pewno - zaśmiał się ojciec i wstał.
Wyszedł na chwile i wspiął się po schodach na piętro. Po paru minutach zszedł na dół.
- No, Steve. Mamusia jest już gotowa. Zaraz jedziemy.
- Ja nie chce jechać, tato. Chce zostać z tobą i z mamą w domu.
- Niestety, Steve. Musimy jechać.
- Dlaczego?
- Musimy.
- Jak będę taki duży jak ty, nigdzie nie będę jeździł. Zawsze będę w domu. Tylko na wakacje będę wyjeżdżał - dodał po chwili namysłu.
- Nikt nie robi tego co chce. Ja też nie chciałbym tak żyć, ale musze.
- Dlaczego musisz, tato?
- Ponieważ ludzie, którzy dają mi pieniądze każą mi to robić. Gdybym przestał z nimi pracować, nie mielibyśmy pieniędzy, a wtedy musielibyśmy sprzedać dom, samochód, nie moglibyśmy jeździć na wakacje...
- Jak będę duży to też ktoś będzie mi rozkazywał?
- Niestety, Steve.
- I będę musiał to robić?
- Tak synu.
- A jak ktoś będzie chciał, żebym zrobił coś złego to też będę musiał?
- Też - odparł ojciec.
- Ale ja nie chcę!
- Wierze ci, Steve, że nie chcesz, ale świat już taki jest. Cholernie skomplikowany.
- Jak ty mówisz do dziecka? - matka pokręciła głową z niezadowoleniem.
- A amulet? - spytał Steve.
- Jaki amulet?
- Który by mi pomagał.
- Nie ma takiego amuletu - rzekł ojciec - w tym nie pomoże ci żaden amulet.
Steve zamyślił się.
- Tato - rzekł nagle - świat, znaczy to - wskazał na globus - jest zły, prawda?
Ojciec spojrzał mu w oczy.
- Tak, Steve. Świat jest zły i trzeba, abyś szybko się o tym przekonał, abyś o tym wiedział.
- I nigdy nie będzie dobry?
- Chyba nigdy, synu.
- To jest cały, naprawdę cały świat! - spytał podnosząc globus.
- Tak.
- Na pewno?
- Oczywiście, Steve.

BIIIPOOOP.

Jacek Piekara

O autorze: patrz „Fantastyka” nr 8/83.

Powiew nieprawdopodobieństwa

Ryszard Głowacki

Dosyć! Muzyka cichnie urwana w pół taktu. Frank z góry wie, co teraz zrobi - wybierze z wideoteki któryś z podróżniczych kawałków i przez najbliższe pół godziny będzie gapił się na sawanny pełne zwierza lub skute lodem połacie Antarktydy. Może też naciśnięciem guzika wyzwolić po raz dziesiąty jedną z niesamowitych przygód Sirelli - agentki wszechczasów albo niepokonanego supermana - Ricky Graziano.
Po chwili namysłu postanawia postąpić wbrew wszystkim dotychczasowym przyzwyczajeniom - kładzie sie na wznak i patrzy w sufit starając się na szerokiej bieli znaleźć punkt dla zaczepienia oczu. Wreszcie odkrywa drobną rysę ledwie widoczną w przyćmionym świetle pojedynczej żarówki, ukrytej za fałdą tworzywa mającego udawać sosnowe belki. „Co za idiota wykombinował te kabiny" - myśli bez złości o nieznanym dekoratorze wnętrz statków Projektu. „Wszędzie imitacje naturalnych tworzyw i materiałów; na mile wyczuwa się skąpstwo tych, którzy zamówili całą serie składającą się z ośmiu jednostek. Byle blacha była w porządku i automatyka. Ludzie nieważni. Podpisałeś kontrakt na jedno okrążenie, to się mecz. Wysiąść nie ma jak, chyba ostatecznie... Na drugi raz nie dam się nabrać, chociaż płacą nieźle, a robota żadna. „Nie przepracujesz się, stary" powtarzał werbownik. I nie łgał. Byle uważać, żeby wszystko grało, i tyle. Ale ta nuda, cholerna nuda. Lecisz jak kamień i nie masz nic do gadania, bo parę lat temu ktoś ci ustalił orbitę. Jedyna pociecha, że po tej samej wloką się jeszcze trzy bliźniacze pudła, a w każdym trzech podobnych wariatów. No i pozostałe cztery załogi w płaszczyźnie prostopadłej do Ekliptyki. Razem dwudziestu czterech chłopa kreci się w koło na dwóch karuzelach nie bardzo wiadomo po co.
No, może Larry jako szef orientuje się o co tu chodzi, ale to wcale nie jest pewne. Bo Youssouff, choć jasnowidz, też nic nie kapuje z całego interesu. A nudzi się jeszcze bardziej niż ja. Co jakiś czas Ziemia urządza mu próbne kontakty, parę razy pokładowy analizator wszczął alarm pierwszego lub drugiego stopnia, bo coś tam drgnęło w testach prawdopodobieństwa, i na tym kończą się jego zajęcia/Patrząc na to ma się wrażenie, że to jedna wielka heca, Ten, który wymyślił Projekt musiał mieć zdrowo poprzestawiane pod sufitem, a ci z agencji rządowej, którzy sypnęli groszem, pewnie jeszcze gorzej. Zresztą, co mnie to wszystko obchodzi - wezmę szmal i jakoś sie urządzę. A na drugie takie jajowate kółko nikt mnie nie namówi".
- Frank, co u ciebie? - natężenie głosu Larry'ego jest dokładnie takie, jakie powinno być, żeby nie zbudzić śpiącego.
- Nic. A co by miało być?
- Można by powalczyć...
Frank dochodzi do wniosku, że to nawet dobry pomysł. Będzie okazja odegrać trochę żetonów z ostatniej straty, kiedy jego trójka asów z reki nadziała się na karetę dziewiątek.
- Można...
Zwleka się z koi i sięga po nową talie kart z zielonym ornamentem na grzbietach. Z kasetki wybiera garść krążków o różnych wartościach; razem będzie chyba ze cztery setki. Wychodzi. Larry siedzi przy stole nawigacyjnym zarzuconym papierami i pisze. Spoza oparcia fotela wystaje tylko czubek jego głowy obramowanej srebrem włosów. Na odgłos kroków prostuje plecy i mówi:
- Jeszcze tylko osiemdziesiąt dni w tym pudle, Frank. Potem zabieram się do domu i już tu nie wrócę za żadne pieniądze. Trzy razy to zbyt wiele jak na mój gust. Zdaje mi się, że ty jesteś takiego samego zdania?
- Nie, szefie. Według mnie jeden raz, to o jeden za dużo.
Śmieją się, a Larry łokciem odsuwa plik rulonów mapy Układu robiąc miejsce dla kart.
- Kto daje?
Zamiast odpowiedzi Frank zrywa celuloidowe opakowanie i długo, z namaszczeniem tasuje przed rozdaniem.
- Przełóż!
Grają. Od pół roku poker stanowi dla nich plaster na chandry i nostalgie. Tylko dla nich dwóch, bo z Youssouffem żadna zabawa - widzi co każdy trzyma w reku, jakby miał rentgen w głowie. Grają. Kupki żetonów to rosną, to znów maleją. Normalnie. Cicho.
- Dwa i jeszcze cztery!
- Sprawdzam.
- Dwie pary.
- U mnie trójka asów.
- Bierz!
Gdzieś w kącie monotonnie szumi cyfrowy symulator zdarzeń losowych, słychać delikatne trzaskanie liczników Geigera. Jak zawsze.
Zapas plastykowych krążków Franka staje się coraz mniejszy. Już zostały tylko 6najwyższe wartości - dwie setki i pięćdziesiątka. Postanawia poczekać jeszcze cztery rozdania, a jeśli w dalszym ciągu karta nie będzie szła zrezygnuje. Jak zwykle powoli odsłania każdą z czterech kart przykrytych tą pierwszą, widoczną od razu. Bez względu na wynik twarz jego pozostaje nieprzenikniona.
Po dwu pierwszych rozdaniach z rozmienionej pięćdziesiątki została zaledwie połowa. Teraz trzecie: na spodzie leży pikowa dziesiątka, a spod niej powoli wysuwa sie czarny liść i litera J. Trzecia jest dama, też pikowa. Dobry ciąg... Teraz Frank jeszcze bardziej zwalnia i wreszcie ukazuje się rożek króla. Od kompletu. Larry rozłożył już swoją piątkę kart i tak jakoś dziwnie spogląda to na nie, to na partnera. Frank delektuje sie ślimaczym ruchem karty do momentu, kiedy ukazuje sie mikroskopijny fragment czarnej litery A. Jest as, tylko jaki? Wysuwanie na moment ustaje, i wreszcie... Pikowy!!!

00'00' - 00'37"

Dokładnie w tym samym momencie rozlega się jazgot alarmu kontaktowego trzeciego stopnia, a sterownia rozpala się pulsującym czerwonym światłem. Larry wstając gwałtownym ruchem strąca karty leżące na stole.
- Zwariowałeś!? - ryczy Frank. -Ja mam pokera! Zamiast odpowiedzi szef rzuca na blat swoją piątkę, dokładnie taką samą, tyle że w kierach.
Dwa pokery!! O czymś takim Frank nigdy nie słyszał. I teraz, w takiej chwili, komuś tam, na Ziemi, zachciało sie seansu łączności! Larry wyłącza sygnały i rzeczowo rozpoczyna procedurę pierwszym pytaniem do głównego analizatora statku.
- Przyczyna alarmu?
- Impuls graniczny symulatora zdarzeń - odpowiada maszyna
- Rodzaj impulsu?
- Dziesięć zer i dziewięć dwójek po kolei.



- Telepator do mnie! Natychmiast!! - krzyczy do mikrofonu sieci obwodowej. Zupełnie niepotrzebnie, bo Youssouff już stoi w drzwiach, zaspany.
- Co się dzieje?
- Przygotuj się do nadania wysokiego sygnału maksymalnej mocy!
Youssouff spokojnie wyciąga z kieszeni naładowany inhalator, wciąga do płuc podwójną dawkę psychomodulatora o natychmiastowym działaniu i wychodzi do kabiny koncentracyjnej.

00'38" - 01 19"

- Rozpady atomów?
- Trzy koma dwadzieścia pięć.
- Ruchy Browna?
- Ukierunkowane odśrodkowo.
- Testy mikrobiologiczne?
- Współczynnik podziałów jeden osiemnaście. Inne bez zmian
- Lokalizacja źródła emisji?
- Sektor siedemnasty.
Larry spogląda na świetlne przekroje Układu z naniesioną siatką sektorów przestrzeni. Ustawieni są nieomal na osi: źródło emisji - Ziemia. Są wiec jedynymi, którzy mogą zawiadomić Centrale zanim czoło fali pędzącej z prędkością światła osiągnie Ziemie.
- Podaj wnioski!
- Impuls dziesiątego stopnia.
Larry na ułamek sekundy traci panowanie nad sobą. Ale tylko na moment, bo procedura ćwiczona miesiącami aż do znienawidzenia domaga się finału.
- Około dwudziestu trzech sekund.
Przechodzi na selektywną łączność z kabiną koncentracyjną i nadaje świetlne symbole komunikatu: dziesięć, dwadzieścia trzy. Na monitorze widzi jak zapalają sie przed siedzącym na podłodze telepatorem.

00'42" - 01'19"

Youssouff wszedł do kabiny wypełnionej ciszą i bladobłękitnym półmrokiem. Usiadł ha gąbczastej macie mając przed sobą raczej wyczuwalny niż widoczny pulpit z sensorami do wywoływania obrazów pomocniczych i nacisnął palcem pierwszy z lewej. Dokładnie na wprost przed oczyma pojawił się drgający fantom młodej kobiety zwróconej twarzą w jego kierunku. „Gdziekolwiek jesteś, Mary Ann, wzywam cie!" - powiedział w myślach parząc w jej oczy. A potem było już tylko wtopienie się w przestrzeń międzyplanetarną, gdzie szaleństwo pędzących cząstek i fal splatało się w wieczystą symfonie Universum. Po pajęczynie ulotnych dźwięków jego myśl pomknęła na jedyne z możliwych spotkań, bowiem w całym Wszechświecie teraz byli tylko oni oboje i każde drganie jednej osobowości znajdowało równoczesne odbicie w drugiej.

01'20" - 01'45"

Podobizna kobiety zaczyna blednąc ustępując miejsca innemu obrazowi. Zrazu ledwo widoczny, mżący seledynową poświatą, narasta, by nagle wybuchnąć jaskrawym aż do bólu świetlnym znakiem rzymskiej dziesiątki. Powoli zanika nieomal całkowicie, a obok pojawia sie liczba 23; teraz pulsują na przemian. Youssouff wypełnia treścią sygnału całe swoje jestestwo rozciągające się teraz aż po kraniec i początek wszystkiego - do Mary Ann.
Mary Ann Quilby, blondynka o wielkich smutnych oczach, lat dwadzieścia sześć, wybitnie wrażliwa. Z Projektem związana od lat pięciu. Ponad tysiąc kontaktów telepatycznych z Youssouffem, w tym co najmniej trzy setki orbitalnych. Współczynnik doskonałości zero dziewięćdziesiąt siedem.
Późnym popołudniem wracała do domu szosą numer 107 wijącą się serpentynami nad samym brzegiem morza. Rzadko tedy jeździła, bo przejazd nad morzem zajmował.
co najmniej dwa razy tyle czasu co powrót autostradą. Kiedy miała jakiś gorszy dzień, kiedy mierził ją prosty pas asfaltu zatłoczony pędzącymi bolidami aut, gdzie człowiek czuł się jak drobny fragment maszynerii o nieznanej wielkości i przeznaczeniu, wtedy kierowała swój mały dwumiejscowy wóz ku starej drodze naśladującej kształt wybrzeża z jego wszystkimi cyplami i zatokami. Tu z rzadka można było spotkać pojedyncze samochody zaparkowane w niszach wykutych w stromym stoku góry. Gdzieniegdzie na skalnym cyplu widniała samotna ludzka sylwetka zwrócona twarzą w stronę słońca chylącego się ku zachodowi.

00'00" - 01 46"

Minąwszy pierwszy punkt widokowy z niewielkim, pustym teraz placykiem postojowym, ujrzała w dole rozkołysany ocean pokryty pełzającymi bliznami grzywaczy. W takich chwilach zawsze miała wrażenie, że jest on żywą istotą zagniewaną z nieodgadniętego powodu, a porywy wiatru niosącego słonawą rosę, to jej oddech. O takiej porze lubiła wtulić się w jakąś skalną nisze nad rozszalałym żywiołem i patrzeć na niezrozumiałą wściekłość fal bijących o brzeg.
Teraz też postanowiła zatrzymać się trochę dalej, gdzie droga przecina wielkie rumowisko głazów na grzbiecie zamykającym od południa Zatokę Delfinów. Jeszcze trzy albo cztery zakręty, krótki podjazd, i będzie można zaczerpnąć spokoju przedwieczornej pory. Nagle Mary Ann odczuła znaną wibracje i zrozumiała, że to może być tylko Youssouff. Nikt inny! Szukał jej, potrzebował! Przyspieszyła, żeby jak najprędzej znaleźć sie tam, gdzie można stanąć, odrzucić zbędne myśli i otworzyć się na głos z Przestrzeni: Jeszcze dwa zakręty, jeszcze jeden - w tym momencie pojawiły się bladobłękitne skrzyżowane linie. Odruchowo przymknęła oczy, by nadmiarem wrażeń nie spłoszyć słabego impulsu... i zaraz je otworzyła. Było już jednak za późno - przednie koła pozbawione oparcia zawisły nad przepaścią i mały sportowy wóz wyleciał w powietrze.

01'46" - 01'51"

Mary Ann widzi wprost przed sobą ogromną krwawą tarcze słońca zapadającego się w oceanie i wie, z całą' pewnością wie, że ona też spadnie tam za chwile. Wie, że nic już nie może zrobić, i wie, że jeszcze musi coś zrobić. Musi wcisnąć czerwony guzik komunikatora zapiętego na przegubie lewej reki i ostatni w rzędzie klawisz alarmu opatrzony znakiem dziesiątki. Ma dużo czasu dwie, może nawet trzy sekundy. I czyni to w momencie, gdy woda zalewa szyby. Jest już spokojna. Widzi teraz wyraźnie liczbę 23 jarzącą się w przestrzeni wypełnionej wibrującym dźwiękiem. Kiedy obraz zaczyna się oddalać rusza za nim, lecz nie może go dogonić, a świetlny znak maleje coraz bardziej, aż staje się tylko punktem zanikającym w czerni. I czerń go pochłania.

01'53" - 03'12"

Ostry dźwięk sygnału podrywa dyżurnego dyspozytora Centrali Projektu i jego asystenta. Na świetlnej tablicy migocze kontrolka numer pięć, a pod nią płonie nieprawdopodobny wskaźnik dziesiątego stopnia alarmu.
- Słucham cie, Mary Ann... Cisza.
- Dyspozytor wzywa telepatora Quilby!
Numer pięć nie odpowiada, natomiast wskaźnik blednie, rozjarza się nagłym błyskiem i gaśnie.
- Ivo! Namiary piątki!
Na wielkiej ściennej mapie zapala się powyginana linia znacząca dzisiejszą drogę Mary Ann od domu do pracy i z powrotem. Wykres kończy się na szosie numer 107 w okolicy południowego brzegu Zatoki Delfinów i nie pulsuje.
- Analizator! Co jest przyczyną braku impulsów komunikatora numer pięć?
- Zanik emisji - odpowiada maszyna.
Dyspozytor patrzy na końcowy, wijący się fragment wykresu, i nie wie co o tym sądzić. A przecież po to jest tutaj, by podejmować decyzje w każdej sytuacji. Podejmować natychmiast.
- Ivo, co o tym sądzisz?
- Komunikatora nie można zatrzymać, najwyżej zniszczyć.

- Ile czasu pozostało do uruchomienia programu? Asystent jeszcze raz sprawdza położenie statku numer pięć na orbicie
- Od trzydziestu siedmiu do czterdziestu siedmiu sekund.
- Nie podała nam grubości fali, dlaczego? - pyta albo głośno myśli dyspozytor.
Zamiast odpowiedzi Ivo włącza na monitor indywidualny zapis drogi telepatora Quilby. Pulsujący punkt przesuwa się wzdłuż nadbrzeżnej drogi w stronę zatoki i osiągnąwszy jej skraj nagle znika przy pełnej prędkości.
- Czy zawiadomić służbę drogową o możliwość wypadku?
Przyzwalające skinienie głowy.

03’13” - 03’51”

Stan Turski, dyżurny dyspozytor Centrali Projektu „B.M.” patrzy na migające cyferki zegara wskazującego optymalny termin rozpoczęcia programu. Po raz pierwszy ma tremę, bo dziesiąty stopień prawdopodobieństwa fali zdarzeń musi dać w efekcie zdumiewające konfiguracje kodu genetycznego. Decyduje się uruchomić obydwie połówki banku, a to oznacza pozostanie bez rezerw.
Jeszcze dziesięć. Stan wie, że jego palec naciskający klawisz uruchamiający genetyczną loterie otworzy całkowicie nowe kierunki rozwoju cywilizacji. Jeszcze pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... zero!! Po raz pierwszy w” historii Stan uruchamia program przy minimalnym stopniu prawdopodobieństwa fali. Dotychczasowe włączenia przy dwóch pierwszych stopniach z ich niezwykle interesującymi wynikami były zwyczajnie niczym w porównaniu z obecnym i z tego powodu czuje się trochę jak Stwórca, choć jest tylko jednym z wielu ogniw w łańcuchu ludzi Projektu.

03’51” - 04’20”

Od tej chwili minie trzydzieści sekund zanim w podziemnym laboratorium Projektu zaczną się pierwsze zapłodnienia wyselekcjonowanego materiału genetycznego. W tym czasie czoło fali powinno dotrzeć do Ziemi. Dwaj mężczyźni w ogromnym napięciu czekają na ten moment; jeśli sygnał od Mary Ann był fałszywy, efektem będzie pewna ilość statystycznie przeciętnych zapisów czyli fiasko. Natomiast gdy wszystko pójdzie dobrze, skutki mogą mieć znaczenie epokowe. Tylko oni dwaj wiedzą, że już zaraz może zacząć się coś wielkiego i ta świadomość ciąży im niepomiernie, choć starają się zachować spokój rutynowanych pracowników. Im bliżej wyznaczonego terminu, tym większe napięcie odmalowuje sie na ich twarzach. Jeszcze trzy sekundy... dwie... jeszcze jedna... Czoło spodziewanej fali nie nadchodzi.

04’21” - 04’27”

Czoło spodziewanej fali nie nadchodzi, a w laboratorium już zaczął się proces tworzenia nowych kodów. Przeciętnych... W ciągu trzech minut cały zapas wyczerpie się.

04’28”

Gong!!!
Cyfrowy symulator zdarzeń losowych wyrzucił dziesięć zer!! Zaraz po nich dziewięć dwójek! I dalej szaleje! Mężczyźni bez słowa podają sobie ręce, poklepują się po plecach. Tam w dole, w roztworze o temperaturze 310 Kelvinów zachodzą niezwykłe przypadki, a przecież właśnie po to przed laty uruchomiono machinę zwaną Projektem.

04’35” - 4’44”

Znów alarm dziesiątego stopnia! Nadaje Pierre, telepator szóstego zespołu orbitalnego. Dobrze się spisali, ale to już musztarda po obiedzie.
Nie!! Zapala się liczba 23.
- Jest czasokres trwania! - woła Ivo przekazując sygnał.
- Zakończ program w sześćdziesiątej pierwszej sekundzie! sam przełącza wszystkie spodziewane meldunki od pozostałych załóg wyłącznie na zapis archiwalny. - Dziękuje ci, Pierre - mówi do



mikrofonu. - Bez odbioru!

04’45” - 04’52”

Dyspozytor patrzy na zmieniające się robaczki liczb na tarczy kontrolnej programu i myśli, że dobrze się złożyło z tym komunikatem. Pozwoli on przerwać zapłodnienia we właściwym momencie i uniknąć pięćdziesiąt dziewięć - sześćdziesiąt... sześćdziesiąt jeden. Stop!

Turski wyłącza program i wraz z ustaniem przeobrażania się świetlnych cyfr odczuwa ogarniające go zmęczenie.
„Koniec fali” - oznajmia głośnik analizatora, a Stan uśmiecha się do swego młodszego kolegi jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, jesteśmy lepsi. Uniknęliśmy zwłoki, a to byłoby kilkanaście dodatkowych przeciętnych istnień ludzkich, zbędne koszty i kilkanaście zawiedzionych nadziei”. Ale nic nie mówi, bo obaj doskonale znają najdrobniejsze subtelności programu. Zamiast tego sięga po instrukcje, lecz nie patrzy na nią, bo i tak wie co ma robić.
- Ivo, ściągnij służbę medyczną! Niech zawiadomią potencjalne matki z listy zasadniczej i obu rezerwowych. Ja biorę na siebie sztab Projektu.
Asystent odpowiada kciukiem uniesionym ku górze. Zapada cisza.” Będzie trwać kilka, może kilkanaście minut” - myśli Stan. „Dopiero potem zacznie się gorączkowa krzątanina”.
Póki co można przymknąć oczy i wyobrazić sobie setki dopiero co poczętych ludzkich zarodków, z których każdy ma szanse po upływie ćwierćwiecza okazać się wspaniałym geniuszem i pchnąć naszą cywilizacją ku niewyobrażalnym wyżynom. Można też... Nie można! Brzęczyk sygnalizatora łączności długodystansowej zapowiada seans foniczny. Zaraz po nim rozlega się słaby, zagłuszany przez szumy i trzaski głos:
- B. M. pięć do Centrali! B. M. pięć do Centrali! Youssouff niepokoi się o Mary Ann. Odbiór!
Stan podnosi słuchawkę i łączy się z szefem służby drogowej
- Richard, może wiesz już coś o naszej sprawie na wybrzeżu?
Wysłuchuje uważnie szybkiej, przerywanej odgłosami innych rozmów odpowiedzi. Trwa z podniesioną ręką choć tamtego już nie ma po drugiej stronie przewodu. Po chwili podchodzi do okna i spogląda na chmury podświetlone niewidocznym już słońcem.
- Byłaś tylko zdarzeniem, Mary Ann - szepcze do siebie
- Co mówiłeś - pyta Ivo, który właśnie zakończył swoją pracę.
- Nic ważnego chłopcze. Nic ważnego.

Ryszard Głowacki

O autorze: patrz „Fantastyka” nr 1/84.

Gomolicki Leon

(ur. 1903)

Poeta, prozaik, eseista, publicysta

Urodził się 27 sierpnia 1903 r. w Petersburgu. Trzynaście lat przebywał na Wołyniu, pracował jako robotnik, drwal, kreślarz, późnie] powrócił do swojego rodzinnego miasta - Warszawy. Uczęszczał do szkoły nauk zdobniczych. Okres okupacji spędził w stolicy, a następnie, już po wyzwoleniu, wyjechał do Lodzi, gdzie w 1949 r. podjął działalność rusycysty. W latach 1948-1952 prowadził zajęcia na Uniwersytecie Łódzkim i Warszawskim, pisał liczne eseje, prace popularnonaukowe dotyczące m.in. rosyjskiego okresu biografii Adama Mickiewicza („Dziennik pobytu A. Mickiewicza w Rosji (1824-1829)", KiW 1949;„Mickiewicz wśród Rosjan", KiW 1950). Debiutował w 1918 r. w Ostrogu na Wołyniu. W 1921 r. ogłosił tom poezji „Miniatury". Współpracował z „Kameną" Jaworskiego, po drugiej wojnie światowej publikował na łamach „Głosu Robotniczego". Wydał min.: „Czas spopielały. Poezje" (Wyd. Łódzkie 1957), „Ucieczka" (powieść, WŁ 1959), „Wieczory nad Łódką" (opowiadania, WŁ 1959), „Uprowadzenie Baucis" (powieść, WŁ 1960, wyd. 2 - 1967), „Białe runo" (powieść, WŁ 1962), „Wyłączenie" (powieść, WŁ 1962), „Czasobranie" (powieść, WŁ 1963), „Kiermasz" (powieść, WŁ 1964, wyd 2 - 1966), „Owoc z grynszpanem" (powieść, WŁ 1965), „Wyprawa na Patmos" (powieść, WŁ 1966), „Wydarzenie" (powieść, PIW 1968), „Erotyk" (powieść, Czytelnik, 1974), „Taniec Eurynome" (powieść, PIW 1976), „Proza" (WŁ, t. 1-3, 1976-1978), „Horoskop" (powieść, PIW 1981), „Terapia przestrzenna" (powieść, WŁ 1983).

Leon Gomolicki jest laureatem wielu nagród państwowych, min. za „Ucieczkę" wyróżnioną II Nagrodą na ogólnopolskim konkursie ogłoszonym w 1958 r. przez Zarząd Główny ZLP i Wydawnictwo Łódzkie. Uhonorowany Nagrodą Prezesa Rady Ministrów I Stopnia. W roku 1961 otrzymał również nagrodę miasta Łodzi za całokształt twórczości literackiej. Jedyną powieścią Gomolickiego o tematyce fantastyczno-naukowej jest „Arka" (PIW 1970; wyd. 2 - w III tomie „Prozy", WŁ 1978) relacjonująca losy kontrowersyjnego eksperymentu medycznego. Jej akcje toczy się na początku XXI stulecia. Bohater utworu, profesor Algologii Kosmicznej (nauki o glonach), który uległ wypadkowi silnego napromieniowania, oczekuje na zabieg przeszczepienia własnej głowy do tułowia innego człowieka. Eksperyment pozwoli żyć mózgowi uczonego, ale etyczne konsekwencje doświadczenia pozostaną nader wątpliwe. Fabuła powieści fest szeregiem introspekcji psychologicznych, próbą odtworzenia skomplikowanego świata przeżyć, przemyśleń i wspomnień bohatera poszukującego swojej tożsamości, odrębności, rozszerzającego swoje lęki i niepokoje na całokształt historii naszej cywilizacji. Nowa sytuacja egzystencjalna (nieoczekiwana szansa zachowania życia) jest tu odbierana jako naruszenie dotychczasowego, linearnego wątku rozwoju ludzkości. Stąd też świadomość bohatera odwołuje się do kultury, poszukując w niej czynnika wyjaśniającego nowe zagadnienia, przed jakimi staje człowiek wraz z przyrostem lego wiedzy i umiejętności. Oczekiwanie na transplantację odczuwa bohater jako rodzaj szczególnego osaczenia, zagrożenia, z którego chciałby się wydostać. Marząc o uwolnieniu, próbując zidentyfikować sytuację, w jakiej się znalazł, przywołuje wizje historycznych metamorfoz umysłu ludzkiego związane z mitologicznym wątkiem Orfeusza. Ta analogia nie wydaje się przypadkowa. Orfeusz rozdarty przez menady zachował życie: głowa poety niesiona falami strumienia - śpiewała, wypowiadała przepowiednie. Bohater „Arki" zostaje obdarzony podobnym darem: nie widząc perspektyw rozwoju naszej cywilizacji, rozważa możliwość budowy kosmicznego statku, który ocaliłby nielicznych mieszkańców Ziemi stwarzając szanse pozbycia się wszystkiego, co szkodliwe. Sprawą kluczową i nierozstrzygalną staje się jednak odpowiedź na pytanie, jakie składniki tradycji i kultury warte są tego, by je uchronić przed zniszczeniem. „Powieść Leona Gomolickiego - twierdzi E. Szary-Matywiecka - wykorzystująca motyw arkologiczny, częsty w literaturze science fiction, daje się czytać językiem realizmu mitologicznego (tą samą drogą podążał Wilhelm Mach w „Górach nad Czarnym Morzem")". Warstwa fabularna jest w tym utworze tylko pretekstem, stanowi ramy konstrukcyjne: pocisk kosmiczny, w którym nowy Ut-Napishtim przeniesie dobytek wiekowej myśli ludzkiej i samą 'ludzkość na nową planetę - to jedyne użyteczne zastosowanie projektów kosmonautycznych. „Domeną fantastyki jest sztuka w ogóle"- pisał autor „Arki" w liście do redakcji „Fantastyki", a w jednej z wypowiedzi prasowych dodawał: „Literatura w ogóle wstąpiła w okres nowy, stała się sztuką uniwersalną. Od tego, kto ją uprawia wymaga się wiedzy, jej zawiłej wielowiekowej historii. W ten sposób obok języka pojęć prostych powstaje język skojarzeń wymagających znajomości zjawisk literatury światowej i nie tylko literatury - również innych dziedzin - nauki, myśli, sztuki".

Bibliografia wybrana

- J. Rzymowski: Erynie historii i człowieka. O pisarstwie Leona Gomolickiego. Wyd Łódzkie 1973.
- L Bartelski: Polscy pisarze współcześni 19441974. Wyd. Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1977
- W. Maciąg: Mały słownik pisarzy polskich, cz. 2. Wiedza Powszechna 1981

SPÓR O CZAS I PRZESTRZEŃ

Nowa powieść Leona Gomolickiego pogłębia tradycyjne tematy jego twórczości: jest refleksją nad przemijalnością naszego życia, próbą syntezy ludzkiego losu, poszukiwaniem tożsamości człowieka. Streszczenie tej książki nie należy do zadań łatwych. Autor „Terapii" łamie nie tylko podstawowe reguły opisu, dokonuje przesunięć w czasie, ale - wzorem Wilhelma Macha, Teodora Parnickiego i Jerzego Andrzejewskiego - wprowadza założenia konwencji autotematycznej mówiącej o samym procesie tworzenia, zasadach kreacji literackiej. Proza Gomolickiego jest lustrem magicznym wtopionym w czasoprzestrzeń historii, składa się z wielu okruchów: zjawisk, wydarzeń, refleksji powracających nabrzmiałą falą wspomnień.

„Terapia" ukazuje problemy z natury swej - nierozwiązane. Jak wygląda świat nieskażony subiektywnością naszego poznania, „pozbawiony kaniowskich kategorii pojmowania czasu"? Jak tworzymy rzeczywistość, jakie wartości jej nadajemy? A wreszcie - jak pogodzić ze sobą te dwa porządki istnienia? Oddajmy głos autorowi: „Rozumiem to tak. Jest świat gotowy, zastany przez ludzi i są światy tworzone przez ludzi. I coś pomiędzy nimi nie pasuje, nie zgadza się doprowadzając do otwartej wojny. Wieczna zwada, spór toczony między rzeczywistością a urojeniem. Wojna światów".

Świadomość rozdarcia, niespełnienia należy do istotnych założeń „Terapii". Metaforą tej książki jest wieczny płomień, symbolem - płonące pióro. Pisarz spala się w ogniu myśli, twórczość stanowi nieustanną przemianę form, porządkowanie doświadczeń, zapis pamięci pokoleń. Fantastyka jest rodzajem demiurgii, kreacji ex nihilo, werbalizacją ulotnych zjawisk. Pisarz mówi o ludziach, epoce, w której żyje, daje świadectwo przeszłości, ocala od zapomnienia. Musi odtworzyć kształt i charakter Prawdy, która nosi znamię wieloznaczności, uwolnić ją z nalotu fałszywych interpretacji, martwych konwencji opisu. Ale w jakim wymiarze zawrzeć ma migotliwy przekaz doświadczeń, które stały się kiedyś udziałem naszej cywilizacji? Wymiarem tym, w pojęciu Gomolickiego, jest wizja europejskiej rzeczywistości zawieszonej pomiędzy barbarzyństwem i ciemnością, przekleństwem ludobójstwa i proroctwem wojny termonuklearnej, ogniem pieców krematoryjnych i apokalipsą zbiorowej zagłady. Niepokojącym pytaniem „Terapii" jest rola jednostki w kataklizmach dziejowych: możliwość wyboru, swobodnego działania, ingerencji w proces historii, zachowania w obliczu śmierci, w sytuacjach krańcowych, ostatecznych. „Człowiek, który potrafi uświadomić sobie wszystko nie potrafi jedynie zanurzyć swej świadomości w tym z czego świat powstał -w ni c Wszystkie impresje na ten temat: kościotrupy jarmarcznych kukiełek, tańce śmierci, refleksje pokutnicze i znaczące metafory katastrofistów są tylko grą wyobraźni". Stąd też zawodzą jakiekolwiek porównania: analogie do przeżyć okupacyjnych, „lot w wehikule wyobraźni na przekor czasowi ukazujący podobne symptomy upadku kultury (zagładę Konstantynopola zgotowaną rękami krzyżowców). W „Terapii" obiektem eksperymentu jest raczej pamięć ludzka, swoisty collage składający się na przebrzmiałe, teraźniejsze i przyszłe losy jednostek.

I znów, jak w innych powieściach Gomolickiego, na scenę zdarzeń wkracza korowód mitów zaklętych w najgłębszych pokładach kultury: archetypy Hadesu, Styksu, postacie Persefony i Pigmaliona. „Autor poddaje analizie niezniszczalność pamięci ludzkiej utrwalającej doświadczenia pokoleń, kreuje nowe formy istnienia świata - własnej wyobraźni - widząc w powrocie do źródeł życia ratunek przed prześladującą go wizją zagłady świata" - czytamy w posłowiu do „Terapii". Jest to ten sam rodzaj fascynacji przeszłością, jaki pojawia się niekiedy w fantastyce baśniowej będącej lekarstwem na katastroficzne prognozy futurologów. Wieloznaczność „Terapii" dostrzega zresztą sam autor zwracając się do swoich czytelników: „Na razie pozwalam ciekawym oglądać to, co mam do pokazania w nadziei (...), że w stworzonym przeze mnie ułamkowym świecie wykryją jeszcze jakieś inne, niedostrzeżone treści".

Andrzej Niewiadowski

Leon Gomolicki: Terapia przestrzenna. Wydawnictwo Łódzkie 1983. Cena 60 zł.

ARKA

Leon Gomolicki

Pierwszy niewątpliwy, uprzytomniony sobie szczegół - kwadratowy, pusty pokój. Biały sześcian oglądany od wewnątrz przez zabłąkanego owada. Główną niesamowitością że byłem sam, cały czas sam, przez nikogo nie prowadzony, bez żadnej asysty, a kierowany jedynie przez głosy potęgowane megafonem. Ten, kto mówił, musiał mnie widzieć, ja tylko słyszałem jego zalecenia? rozkazy? rady?

Przy białej ścianie stała leżanka, taka typowa, wąska i płaska, z tych, jakie stoją we wszystkich przychodniach lekarskich i gabinetach doktorów. Kryta zimną ceratą, z narzuconym na nią kawałkiem płótna, z małym jaśkiem, żeby chory mógł oprzeć na nim głowę. Na szczęście nie musiałem kłaść się na tych marach. Złożyłem tylko cześć mego ubrania. Wiec mój makabryczny strip-tease w pustym pokoju. Na rozkaz głośnika zdjąłem też z reki zegarek. I wtedy automatycznie otworzyły się drzwi, których z początku nie zauważyłem, a z których wysunął się wózek szpitalny na kółkach - na takich odwożą do sal operacyjnych.

- Proszę się położyć na transporterze - powiedział głos. Posłusznie zbliżyłem się do wózka i zrozumiałem, że to nie były drzwi, lecz coś przypominającego otwór wielkiego paleniska krematoryjnego.

- Proszę się położyć na wznak - uściślił głos pewnie dlatego, że wciąż stałem w niezdecydowaniu. Powierzchnia transportera lśniła niegościnnie zimną, metalową czy szklaną płytą. Dopiero wtedy poczułem nawrót rannych dreszczów. Stałem rozdygotany, nagi królewską nagością człowieka, a nie znane mi moce rządziły moją bezbronnością. Gdy w końcu, załamany, obezwładniony koniecznością, usiadłem na lodowatej płycie, a potem drżąc z obrzydzenia i zimna wyciągnąłem sie nogami w kierunku paleniska transporter bezszelestnie wsunął sie w paszcze lwa, drzwiczki się zamknęły i znalazłem się w ciemnościach pełnych terkotania liczników, w których coś się przelewało, odmierzając sumowanie suchym postukiwaniem. W mroku widziałem - zdawało mi się - błysk rozlatujących sie na strzępy atomów.

Kiedy transporter znów wyjechał w oślepiającą przestrzeń pokoju, leżałem czekając na rozkazy głośnika, ale nie było. Końcowa cześć epizodu odbyła się w całkowitej ciszy.

* * *

Pierwsze kroki z łóżka - do łazienki. Zobaczyłem swoje ciało przez zielonkawą szklistość wody: wyciągnięte bezwładnie w wannie. Ktoś podtrzymywał mi głowę, ktoś szorował - jak niemowie- Po kąpieli, w łóżku poprosiłem o grzebień, zęby jego łaskotały skórę, przymknąwszy oczy czesałem się, a gdy spojrzałem - był oplatany wyczesanym włosami. Chciałem je zebrać i spostrzegłem brak czucia w końcach palców, naciskając nie czułem nic - były z gumy. Pielęgniarka wyjęła z mojej reki grzebień i wrzuciła go do kosza, razem z pustą ampułką po zastrzyku. W prawej ręce trzymała strzykawkę do góry igłą, z której wytrysnęła kropla obiecującego niepamięć snu.

* * *

Homo sapiens i Homo eruditius wydaje sie: siły nieograniczone. Jeśli podniósłszy ręce nie wznosi się nad ziemią, nie dyryguje orkiestrą, to tylko dlatego, że się nie chce. Potem eksperymentalna wiedza o sobie staje sie stopniowo samoograniczeniem. Kiedyś idąc na wykład zawiązałem zamiast krawata pasek od piżamy. Roztargnienie. Zauważyłem już na korytarzu, przed salą. Chwile buntowałem się, lecz musiałem się wycofać, odwołać z domu telefonicznie wykład. Nie mogłem nawet podać rzeczywistej przyczyny. Bojaźń by nie zostać ośmieszonym ! Wielkość cywilizacji w kropli groteski. Błahy szczegół silniejszy od rozsądku.



Cóż w tym kontekście wiem o sobie? Co może mi podpowiedzieć doświadczenie innych, nawet fachowo i doskonale podane w książkach Wielkich, zdejmowanych z krzyża bibliotecznych półek? Jestem taki, jakim mnie widzi moje otoczenie. Sam zagubiłbym się (gubię sie) we własnych wspomnieniach. Ostatecznie - i to, i to, i w sumie nic, na czym można byłoby się oprzeć.

I co też będzie, gdy do tej mojej autoświadomości podłączę kolonie miliardów komórek - ciało innego H., obciążone nie znaną mi przeszłością, nie znanym dziedzictwem?

Odkąd t o zostało zadecydowane, patrzę na ręce ludzi z uczuciem mieszanym - niesmakiem? przerażeniem? Na ręce, bo nie widzę reszty, skrytej pod ubraniem, bo są reprezentantkami kogoś, ujawniającymi jego potworną dla mnie obcość. Wyobrażam sobie - właściwie dopiero zaczynam wyobrażać i wzdragam sie przed samą myślą, możliwością, że zrządzeniem przypadku mogą sie stać, staną się m o i m i rekami. Właśnie ta para dłoni z jakimś ohydnym szczegółem: obcym kształtem okaleczonego paznokcia, pulchnością czy sposobem trzymania na przykład laski - brutalnym, dla mnie nie do przyjęcia.

Albo w sposobie otwierania i wertowania książki, pisania. Gdy teraz widzę książki, myślę właśnie o rekach, które je napisały. Nie moich rekach na przestrzeni wieków, nie moich. I co mają po nich wszystkich do roboty moje? I czyje moje?

Jeden z wiecznych tematów: człowiek i piekło. Czy naprawdę wieczny? W każdym razie bardzo stary temat, aktualny póki istnieją piekła i żywe dusze. Kraina martwych, do których żywi schodzili po wróżbę (casus Odyseusz) zbawienie (Dante), i obłęd (Rimbaud). Zasadnicze pytanie - po co zeszła generacja moja i kto zostanie jej symbolem dla generacji przyszłych? Orfeusz? Ten, na którym dokonano rozdarcia, dzieląc na poszarpane ciało i głowę - robaka i umysł? Rozgniecionego robaka i nieśmiertelny umysł...

„Arka”, PIW 1970, fragmenty ze stron 36-39.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

MACUNAIMA: baśniowy świat Brazylii

„Wszyscy się obudzili i zobaczyli, że świta. Świt miał w sobie wszystkie obietnice dnia, tylko że to był jeszcze dzień (...). Trwać w wiecznym świtaniu dzieciństwa nie jest zdrowiem, jest chorobą. A literatura brazylijska jest zdrowa. Czy już dorosła? Prawie, że dorosła...”- pisał Mario de Andrade o burzliwej epoce artystycznego fermentu, epoce, w której powstała jego niezwykła opowieść o „życiu i czynach Macunaimy - „bohatera zupełnie bez charakteru”. Napisał ją w czasie, gdy Ameryka Łacińska poszukiwała własnej, oryginalnej formy artystycznego wyrazu. Ruch ten, w krajach hiszpańskojęzycznych noszący miano awangardy, w Brazylii nazwany został - Modernizmem.

Pierwszą wielką manifestacją nowych prądów nurtujących kulturę brazylijską był, skandaliczny dla zwolenników uświęconej tradycji, Tydzień Sztuki Nowoczesnej - zorganizowany w 1922 r. w Sao Paulo przez młodych twórców, zafascynowanych osiągnięciami epoki europejskich „izmów”. Postanowili oni przejąć wszystko, co najbardziej rewolucyjne w ówczesnej kulturze starego kontynentu i przetworzyć w nową, własną jakość. Chcieli w ten sposób odkryć prawdziwe oblicze rodzinnego kraju - odsłonić jego odrębność językową, wniknąć w istotę społeczeństwa w całej jego różnorodności, w świat indiańskich mitów i murzyńskich kultów. Poszukiwali wspólnego mianownika dla wszystkich pojęć składających się na słowo „Brazylia”. Wśród tych młodych ludzi był także autor „Macunaimy”, Mario de Andrade: muzykolog, eseista, badacz folkloru, a przede wszystkim poeta, jednogłośnie uznany za jedną z czołowych postaci brazylijskiego Modernizmu.

Jest więc „Macunaima” książką na wskroś brazylijską. Książką przeznaczoną, jak twierdzi jeden z krytyków, dla wtajemniczonych. Czyżby więc oznaczało to, że dla polskiego odbiorcy będzie nieczytelna, niezrozumiała? Do pewnego stopnia na pewno tak. Sądzę jednak, że jej lektura może dostarczyć wrażeń głębszych niż powierzchowna fascynacja egzotyką.

W swej różnorodnej formie powieść Mario de Andrade odzwierciedla wielowymiarowość rzeczywistości - nie tylko brazylijskiej: ukazuje świat przetworzony przez wyobraźnię poety, pełen zaskakujących przejść od subtelnego liryzmu do scen trywialnych, a nawet brutalnych, od melancholijnej zadumy do niewybrednego żartu, wziętego wprost z tętniącej życiem ulicy wielkiego miasta. Jest to książka tryskająca witalną siłą, pełna humoru, który we wszystkich swoich postaciach - ironii, satyry, żartu, groteski, farsy jest stale obecny na jej kartach. „Jasny uśmiech modernistów”, o którym pisał Brazylijczyk Ronald de Carvalho, towarzyszy wszystkim zdarzeniom z życia bohatera - od chwili jego narodzin w amazońskiej wiosce, przez wyprawę do nowoczesnego Sao Paulo w poszukiwaniu utraconego talizmanu, aż do powrotu nad rodzinną Uraricoere i pożegnania z Ziemią. Moc niewiarygodnych przygód przeżył Macunaima w swych wędrówkach: walczył z demonami u czarownicami; wielu ludzi okpił, a kilka razy zdarzyło się, że i sam został okpiony. Nikt nie zliczyłby kobiet i boginek, z którymi się zadawał, doświadczył też prawdziwej miłości do Ci, Matki Lasu. Od niej właśnie otrzymał Muirakitan - talizman, którym zawładnął potem olbrzym Piaiman... W perypetiach Macunaimy i jego dwóch braci jest coś z przygód błędnych rycerzy, a jeszcze więcej - z wyczynów bohaterów powieści łotrzykowskiej, które pod piórem Maria de Andrade zmieniają się w surrealistyczny żart, umieszczony w archaicznej rzeczywistości mitu. Czarownicy, demony, bóstwa i bóstewka wdzierają się w codzienność, przeobrażając ją w królestwo magii.

Niejednorodna i płynna jest struktura tej niezwykłej książki - zmienna jak jej bohater i jak on pozbawiona określonego charakteru, wymykająca się wszelkim definicjom. Irracjonalna i eklektyczna, przedstawia świat dla nas zupełnie obcy, jak obce są nam głębie amazońskiej dżungli, ogromne miasto Sao Paulo i żywioł afrobrazylijskich obrzędów; daje możliwość krótkiego, przelotnego spotkania z mityczną rzeczywistością Brazylii, rzeczywistością nawarstwiających się kultur, gdzie mit i codzienność splatają się ze sobą w czasie i przestrzeni podlegającej własnej, surrealistycznej logice. Jest to świat młody i prastary, świat, który zaczyna sobie uświadamiać swoją odrębność, uchwycony w trwaniu i zarazem w chwili swych narodzin - ludzie zmieniają się w konstelacje, a gwiazdy schodzą na Ziemię i stają się ludźmi; zwierzęta, rośliny, bogowie, niebo, człowiek, woda, kamienie, maszyny wszystko łączy się w pierwotnej tożsamości istnienia.

Tej poetyckiej rzeczywistości została nadana w „Macunaimie” forma, która kapryśnym, swobodnym tokiem narracji przypomina muzyczną improwizację. Dodajmy, że w podtytule Mario de Andrade nazwał swą opowieść „rapsodią”. Z tym, że jest to rapsodia rozpisana nie na nuty, lecz na słowa.

Trudno, co prawda, pisać o właściwościach języka, gdy mamy do czynienia z przekładem, kiedy czytelnik dostaje do ręki „uprzystępnioną”, przetrawioną przez wyobraźnię tłumacza wersję tekstu. Ale w przypadku tej właśnie książki trzeba wspomnieć o specyfice oryginału, ponieważ „Macunaima” stanowi jeden z najbardziej jaskrawych przykładów rewolucji językowej w literaturze brazylijskiej. Przypomnijmy, że usiłowania modernistów szły w kierunku całkowitego oderwania twórczości brazylijskiej od

ELIADE-prozaik

Mircea Eliade należy do grona najbardziej znanych, szeroko cenionych religioznawców i antropologów kultury. Jest autorem fundamentalnego dzieła „Traktat o historii religii” (polskie wyd. 1966) i wielu esejów (wybór z nich opublikowano u nas pod tytułem „Sacrum, mit, historia” w 1970), ale jest również twórcą kilkunastu opowiadań i powieści fantastycznych, w których wykorzystuje i niejako czyni obiektem zabawy swoje spostrzeżenia na temat fenomenologii przeżyć religijnych.

Sam Eliade, wspominając o jednym z utworów prozatorskich, ujawnia wzajemne powiązania swojej twórczości literackiej i naukowej: „Mimowiednie i mimowolnie udało mi się zilustrować pewną ideę, którą miałem później rozwinąć w dziełach filozoficznych i religioznawczych, mianowicie, ze sakralne pozornie nie różni się od świeckiego, ze fantastyczne przybiera maskę tego, co powszednie, i że świat, aczkolwiek jest, czym się nam wydaje, jest także szyfrem i kodem”. Oczy iście tego typu wyznań nie należy przeceniać, ponieważ proza jest dla wybitnego uczonego tylko marginesem zainteresowań. Eliade nie wiąże z nią większych ambicji, traktując jako formę relaksu, rodzaj zabawy intelektualnej. Zresztą rzadko się zdarza, by w podobnych przypadkach osiągano wybitniejsze efekty artystyczne. Tak przecież było z prozą i poetyckimi parodiami Kazimierza Wyki czy wierszami Tadeusza Kotarbińskiego. Z drugiej strony literacka twórczość wielkich uczonych cieszyła się sporym rozgłosem, traktowano ją z szacunkiem i zainteresowaniem. Fantastyczność noweli Eliadego - „Tajemnica doktora Honigbergera” - jest głęboko ukryta, a niekiedy nawet problematyczna. Rzecz cała dotyczy bowiem praktyk cielesnych i duchowych systemu jogi Patandżalego prowadzących do przełamania granic naszej, doświadczanej zmysłowonrzeczywistości, przejścia w inny wymiar istnienia (sakralny, duchowy - ?). Sarvepalli Radhakrishnan pisze w swojej „Filozofii indyjskiej”, ze „według Patandżalego joga jest usystematyzowanym wysiłkiem skierowanym ku osiągnięciu doskonałości poprzez opanowanie różnorodnych elementów natury ludzkiej, tak fizycznych, jak i psychicznych”. U podstaw systemu Patandżalego tkwi przeświadczenie, że „można osiągnąć zbawienie przez zdyscyplinowane postępowanie”, a u jego kresu - „normalne granice ludzkiego widzenia nie stanowią granic wszechświata. Istnieją inne światy poza tym, który ukazują nam nasze zmysły, inne zmysły poza tymi, które są wspólne nam i niższym zwierzętom, inne siły, aniżeli siły materialnej przyrody”.

Narrator noweli Eliadego zostaje poproszony o przejrzenie i opracowanie biblioteki zaginionego w tajemniczych okolicznościach doktora Zerlendiego, który przejął się niegdyś rewelacjami na temat Indii, jakie odnalazł w pracach doktora Honigbergera. Zerlendi rozpoczął studia nad indyjską filozofią, nad technikami medytacyjnymi, podjął ćwiczenia, które zaczęły dawać zdumiewająco szybkie efekty. Aż wreszcie zaginął we wrześniu 1910 roku - akcja opowiadania toczy się na przełomie 1934-35. To ważne.

Zerlendi zdobył wiadomości o mitycznej krainie Sambhala, do której juz wielokrotnie próbowali dotrzeć różni podróżnicy. Zrozumiał, że Sambhala nie istnieje w naszym świecie, nie jest krainą osiągalną fizycznie, że trwa poza czasem, ze można ją osiągnąć porzuciwszy doczesność, rozrywając wszystkie ograniczenia naszego poznania, wychodząc poza potoczny system rozumienia bytu ludzkiego. Drogą do tego ma być właśnie system jogi Patandżalego, który zakłada możliwość uzyskania niewidzialności. Tu wkraczamy w domenę fantastyki (przy apriorycznym założeniu, że niewidzialność jest niemożliwa), bo dotąd wszystko było jak najbardziej raalne: narrator poruszał się po ulicach Bukareszt J, odwiedzał dom i bibliotekę Zerlendiego, spotykał jego rodzinę. Ale z zapisków doktora wynika, że bohater naprawdę osiągnął niewidzialność, ża nie mógł już zapanować nad siłami, jakie skumulowały się w jego organizmie i prawdopodobnie dotarł do Sambhali, krainy promieniującej dobrem na cały ludzki świat, utrzymującej ten świat w sianie równowagi - zarówno w sensie duchowym, jak i fizycznym. Oto co zapisał Zerlendi w swoim tajnym notatniku: „Obawiam się bardzo, że Europa podzieli los Atlantydy i wkrótce zginie, pogrążona w odmętach wód. Gdyby ludzie wiedzieli, że tylko moce duchowe promieniujące z Sambhali nieustannie zapobiegają tragicznemu przesunięciu osi globu ziemskiego (zjawisko dobrze znane geologom), które wtrąci nasz świat w otchłań wodną, aby wydźwignąć jakiś nowy, nieznany kontynent...„

Nie wiem, jak jest naprawdę z możliwością osiągnięcia niewidzialności na drodze jogi - wszystkie rewelacje na temat Wschodu traktuję z rezerwą, choć skądinąd wiadomo, że jogini dochodzą w trakcie swych ćwiczeń do niezwy-

wzorów portugalskich. Stąd - widoczne zarówno w poezji, jak w prozie - łamanie reguł składni, sięganie do języka ulicy, do regionalizmów, do słów pochodzenia indiańskiego lub murzyńskiego. Wszystko to znalazło wyraz w książce Maria de Andrade. Jak bardzo nowatorski był to język, niech świadczy fakt, że w latach sześćdziesiątych napisano „przewodnik po Macunaimie", wyjaśniający brazylijskim czytelnikom niezrozumiałe wyrażenia i zwroty. A przecież owocem tych eksperymentów ,jest cała dzisiejsza literatura brazylijska; z nich też wyrosła twórczość największego pisarza współczesnej Brazylii - Joao Guimaraesa Rosy, autora czytanego na całym świecie i znanego także w Polsce z „Wielkiego Pustkowia". Na zakończenie posłuchajmy, jak w epilogu „Macunaimy" Mario de Andrade opowiada o pochodzeniu swej opowieści i mowy, w której została spisana:

„Nikt już nie pozna tych pięknych opowieści ani mowy wymarłego plemienia. Niezmierna cisza drzemała na brzegach Uraicoery. Pewnego razu pojawił się tam człowiek (...), spostrzegł siedzącą go z gałęzi zieloną papugę o złocistym dziobie (...).

Papuga siadła na głowie człowieka i skumali się ze sobą. Potem ptak zaczął mówić w jakiejś miękkiej, bardzo, ale to bardzo młodej mowie, która była już to śpiewem, już to gorzałką zaprawną miodem, w mowie smakowitej, tęchnącej zdradliwymi aromatami nieznanych leśnych owoców, (...) tylko ta papuga chroniła od zapomnienia przygody i wymarłą mowę. Tylko papuga pośród tego milczenia przechowywała słowa i czyny bohatera.

Opowiedziała to wszystko człowiekowi (...). A tym człowiekiem moi kochani, jestem ja, i mnie przypadło w udziale opowiedzenie tej historii. Po to do was przyszedłem. Przykucnąłem sobie na tych liściach, wyiskałem kleszcze, zabrzdąkałem na gitarze i przy jej wtórze wyśpiewałem fałszując w mej nieczystej mowie słowa i przypadki Macunaimy, bohatera naszego ludu".

Dorota Walasek

Mario de Andrade: Macunaima. Przełożył Ireneusz Kania. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983. Cena 50 zł.

kłych wyników. Godzien zaufania Radhakrishnan, referując system jogi Patandżalego, wypowiada zdanie nie opatrzone żadnym komentarzem: „Jogin może uczynić swe ciało niewidzialnym", ale jest ono sprzeczne z całą naszą sformalizowaną wiedzą. W przeciwnym wypadku musiałoby nastąpić coś na kształt przejścia z jednego wymiaru czasowego w inny.

Toteż w momencie dotarcia do tych fragmentów dziennika Zerlendiego narrator zaczyna doświadczać przełamania płaszczyzny czasowej, która stała się jego udziałem. Dla niego czas nadal ma linearną naturę, ale rodzina doktora Zerlendiego niespodziewanie przestaje go rozpoznawać, twierdzi, że od dwudziestu pięciu lat nikt nie miał dostępu do biblioteki zaginionego, że służąca, którą spotykał jeszcze niedawno, zmarła przed kilkunastoma laty. Co więc się stało? Czy narrator został wciągnięty w obszar oddziaływania ekspermyentu Zerlendiego, czy też rodzina doktora wraz z jego domem i biblioteką „przesuwała" się w czasie?

Eliade nie wyjaśnia niczego, zresztą słusznie, bo bardziej intrygująca jest nie rozwiązana tajemnica niż trywializujące tłumaczenie. Mamy więc do czynienia z rodzajem żartu ontologicznego, ale za tym żartem kryją się myśli poważniejsze: Zerlendi chce dotrzeć do Sambhali, by przywrócić równowagę świata, by ratować ów świat przed grożącymi mu katastrofami. Ta pozornie błaha historia nabiera dodatkowych sensów, jeśli rzucić okiem na datę jej pierwszego wydania: rok 1940. Pisana u progu II wojny światowej wyraża obawy przed możliwymi konsekwencjami tego szaleństwa ludzkości.

Leszek Bugajski

Mircea Eliade: Tajemnica doktora Honigbergera. Przełożył i posłowiem opatrzył Ireneusz Kania Seria „Fantastyka i Groza". Wydawnictwo Literackie, Kraków - Wrocław 1983. Cena 45 zł.

Bajka totalna

Ciekawe, jak różnie jest odbierana twórczość Bohdana Peteckiego. Pisarz ten ma zagorzałych zwolenników, na rynku (antykwarsko-jarmarkowym) jego książki spotyka się rzadko, a jak już się trafi na którąś notowania są nader wysokie. Z drugiej strony dość często traktuje się je - mówiąc powściągliwie - niechętnie, bądź, w najlepszym razie, ze sporą dozą rezerwy. Przyczyny tego „rozdwojenia opinii" odgadł jak sądzę - Andrzej Wójcik pisząc w „Budowniczych gwiazd 1", iż „tajemnica owego niespodziewanego sukcesu...polega między innymi na umiejętności trafienia do najszerszych czytelniczych mas, polega również na tym, że czytelnik wyczuwa w każdej książce, iż autor nie powiedział ostatniego słowa, że pod owymi brakami kryje się prawdziwy, nie wykorzystany talent".

W moim odczuciu Petecki to dość typowy dla zachodniego rynku, u nas zupełnie nieznany (ze zrozumiałych względów: „po pierwsze, Sire, nie mamy armat...") „pocket book writer" - pisarz masowych, wielkonakładowych powieści „kieszonkowych", który potrafi zdobyć sympatię swoich czytelników między innymi ciekawą koncepcją fabularną, wartką akcją, wykorzystaniem archetypów literackich. Tymi samymi elementami operuje w swoich utworach Petecki - po prostu są to powieści, które dostarczają sporej dozy emocji, a ich bohaterowie mają swój literacki rodowód. I tu właśnie nie zgodziłbym się z Andrzejem Wójcikiem, że wzorcem tym jest Old Shatterhand - irytujący swym naiwnym schematyzmem i dydaktyzmem oraz słabym przyleganiem do autentycznych realiów Far Westu. Jeżeli już mielibyśmy pozostawać w kręgu tej samej literatury, to przyrównałbym bohaterów Peteckiego raczej do owych „samotnych jeźdźców", „samotnych szeryfów" czy „rangersów" - zazwyczaj wyobcowanych i pogardzających filisterskim społeczeństwem („ludzikami"), kierujących się swoim kodeksem honorowym, obdarzonych w równym stopniu fantastycznym refleksem i nadludzkimi umiejętnościami „strzału z biodra", co sporą dozą kompleksów, lęków i tabu. Można więc uznać, że Petecki to po prostu polska „space opera" kształtowana na wzór i podobieństwo „końskich oper" - westernów. I tak i nie. Mam wrażenie, że sposób widzenia bohatera, ten jego „supermanizm", łatwość rozstrzygania konfliktów za pośrednictwem blastera - wcale się nie ogranicza do „kosmicznych awantur", lecz w gruncie rzeczy ma ciekawy i na swój sposób demaskatorski charakter. Zresztą, Petecki zdradzając wyraźną predylekcję do bohatera typu „mocny człowiek", potrafi wprowadzić interesujące modyfikacje i uzupełnienia. Przykładem - Ornak z „Tylko cisza", utworu, który - jak słusznie pisze Wójcik - „wystawia dobre świadectwo jego autorskim możliwościom".

W moim odczuciu „Pierwszy Ziemianin" jest równie ciekawą propozycją, odejściem od schematu, z którym najczęściej identyfikuje się autora „Stref zerowych". Są tu oczywiście podobieństwa, np. bohater jest w jakimś stopniu „biletem wizytowym" Peteckiego, ale w tym przypadku nie oznacza to jedynie zreprodukowania ustalonego wzoru. Utrzymując pewne zewnętrzne cechy podobieństwa, autor wprowadza zupełnie inną motywację, inne są również konsekwencje psychofizycznych cech bohaterka.

Do tej pory w twórczości Peteckiego mieliśmy opisy wydarzeń utrzymanych w jakiejś „średniowymiarowej" skali. Tu natomiast trudno jest w ogóle mówić o jakiejkolwiek skali. Wszak działanie bohatera (jest on bezpośrednio wykonawcą i wzorcem, ale nie projektantem i organizatorem całego przedsięwzięcia) przekracza właściwie wszelkie możliwości porównań. Przemodelowanie całej historii rozumnego wszechświata przez wprowadzenie w „punkcie 0" wzorca-matrycy zdjętej z bohatera - Lindsaya Hagerta jest pomysłem zaiste „totalnym". Nie dziwię się, że autor dał podtytuł „bajka totalna". Przypuszczam, że na taką decyzję wpłynęła nieomal boska rola, jaką spełnia bohater - przecież kształtowanie Rozumu we wszechświecie „na swój obraz i podobieństwo", to właśnie atrybut boskości. No, a jeszcze wynikające stąd konsekwencje - zarzuty „ziemianocentryzmu" itd. Taki maleńki kroczek w tył, swoisty unik obezwładniają ewentualnego oponenta... skoro wszystko jest bajką. Inna sprawa, że ten zapierający dech w piersi pomysł jest czymś szalenie fascynującym, a sama wymowa utworu jest bardzo humanistyczna. Nie będzie jakąś apoteozą „wszechziemskiego" szowinizmu stwierdzenie, że człowiek jest mądry i dobry, że cywilizacja nasza, mimo krwawych i ponurych wydarzeń, kryzysów i napięć, prędzej czy później wyjdzie z nich zwycięsko i uniknie zbiorowego - militarnego bądź ekologicznego samobójstwa. Może dziś trudno nam w to uwierzyć, ale „póki życia, poty nadziei" i dobrze, jeżeli ktoś tę nadzieję podtrzymuje.

Kolejny plus utworu to „model świata przyszłości". Bez przydługich opisów i dywagacji mamy przedstawiony w nim plastyczny i przekonujący obraz „globalnej struktury społecznej" - może jeszcze niedoskonałej w szczegółach, zróżnicowanej gospodarczo i politycznie, ale wolnej od lęku i mającej przed sobą jakąś przyszłość. Jest to całkiem interesująca koncepcja, podana dyskretnie, bez cienia nachalnej indoktrynacji.

Zdaję sobie sprawę, że ta pozytywna recenzja ściągnie na moją głowę gromy wielu osób, ale cóż, to co napisałem, wyraziłem z głębokim przekonaniem i nie mam zamiaru tego odwoływać. Jestem zdania, że najbardziej koszmarną rzeczą, jaka może spotkać literaturę jest uniformizm - w tym przypadku uniformizm tematów, stylów itp. Dobrze się zatem stało, że w galerii bohaterów SF znalazło się miejsce dla „samotnych jeźdźców" z blasterem i kompleksami.

A zresztą cała ta recenzja ma już dość akademicki charakter, bo „Pierwszego Ziemianina" i tak w księgarniach nie uświadczysz.

Sławomir Kędzierski

Bohdan Petecki: Pierwszy Ziemianin. Wydawnictwo „Iskry", Warszawa 1983. Cena 80 zł.

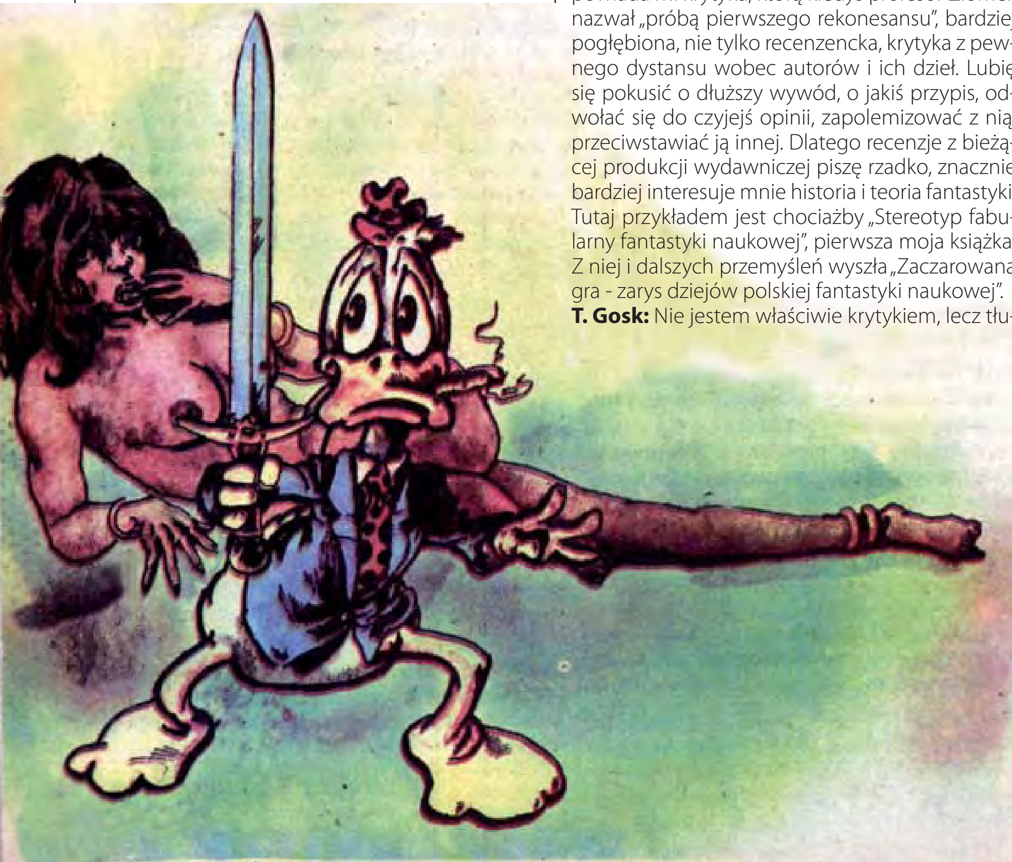
Drukujemy w „Fantastyce” prozę science fiction, publikujemy recenzje i eseje na jej temat, zamieszczamy rozmowy z wydawcami i pisarzami, zajmowaliśmy się także fantastycznym kinem i komiksem. Osobą właściwie nie przedstawioną publiczności pozostał krytyk gatunku. Kim jest polski krytyk SF dzisiaj, a kim był wczoraj? Jakie są jego poglądy, jakie samopoczucie, jakie powinności względem pisarzy i czytelników? Jak krytyk widzi swoje możliwości działania? Jak wreszcie ocenia gatunek SF na tle innych gatunków literackich i artystycznych? Spróbowali na to odpowiedzieć goszczący na seminarium w Dzierżoniowie: TADEUSZ GOSK (tłumacz i krytyk), MAREK ORAMUS (pisarz i krytyk), ANTONI SMUSZKIEWICZ (krytyk, pracownik naukowy Instytutu Filologii Polskiej U AM w Poznaniu) oraz przedstawiciele naszej redakcji ANDRZEJ ND2WIADOWSKI (krytyk, pracownik naukowy Wydziału Polonistyki UW) i MACIEJ PAROWSKI (krytyk i pisarz), który dyskusje opracował do druku.

KRYTYCY O KRYTYCE SF

WPRZEDEDNIU BOOMU

Wizytówki

M. Parowski: Zgromadziliśmy się w różnorodnym gronie. Są tu sztabowcy i liniowcy, kapitanowie i kaprale krytyki z różnych instytucji i pism, z różnych miast Polski. Rozpocznę od razu skróconą prezentacją. Oramus i ja jesteśmy z wykształcenia inżynierami, zajmujemy się dziennikarstwem od ponad 10 lat, pisaliśmy także krótkie formy literackie, fantastyczne i niefantastyczne, obaj wydaliśmy po jednej powieści SF, stąd nasze recenzje mają charakter raczej impresyjnoliteracki niż krytycznofachowy. Marek jest od roku niezależnym cotygodniowym recenzentem „Przeglądu Technicznego”, ja - zależnym i sporadycznym recenzentem „Fantastyki”. Brakuje LESZKA BUGAJSKIEGO, niestety, nie dojechał, ale jego osoba, systematycznego obserwatora całej literatury i kultury masowej, byłaby najwyraźniejszym dowodem, że jeśli nawet fantastyka tkwi w getcie, to nie tkwi w getcie jej krytyk.



A. Niewiadowski: To ważne. Każdy z panów zajmował się bądź zajmuje do dziś oprócz SF także innymi dziedzinami kultury, literatury, sztuki. Zależy nam, żeby czytelnicy przynajmniej w tej kwestii nie mieli wątpliwości. A teraz prosimy o krótkie wizytówki każdego z panów.

A. Smuszkiewicz: Zacząłem od recenzji, ale dość szybko zmieniłem profil na bardziej naukowy. Odpowiada mi krytyka, którą kiedyś profesor Ziomek nazwał „próbą pierwszego rekonesansu”, bardziej pogłębiona, nie tylko recenzencka, krytyka z pewnego dystansu wobec autorów i ich dzieł. Lubię się pokusić o dłuższy wywód, o jakiś przypis, odwołać się do czyjejś opinii, zapolemizować z nią, przeciwstawiać ją innej. Dlatego recenzje z bieżącej produkcji wydawniczej piszę rzadko, znacznie bardziej interesuje mnie historia i teoria fantastyki. Tutaj przykładem jest chociażby „Stereotyp fabularny fantastyki naukowej”, pierwsza moja książka. Z niej i dalszych przemyśleń wyszła „Zaczarowana gra - zarys dziejów polskiej fantastyki naukowej”.

T. Gosk: Nie jestem właściwie krytykiem, lecz tłumaczem z języka rosyjskiego. Jako człowiek wprowadzony w literaturę w ogóle, bywam proszony przez wydawnictwa o wykonanie tzw. recenzji wewnętrznych. Mam ich w swoim dorobku dobrze ponad 200, z czego około 50 było poświęcone obcojęzycznym pozycjom SF. Staram się współpracować z wydawnictwami, które za te niewielkie pieniądze jakie mi płacą, rzeczywiście zasięgają rady, bo jej potrzebują. Z wydawcami, którzy się znają na tym, co robią i uczciwie uwzględniają rzeczowe opinie, nie kierując się przy przyjmowaniu książek do druku uwarunkowaniami pozamerytorycznymi. Tak więc oceniam „wydawalność” książki z pozycji handlowo-literackich i staram się, żeby mnie traktowano poważnie, co jak panowie wiecie nie zawsze się udaje. Ponadto w roku 1967 opublikowałem z kolegą Garzteckim artykuł o fantastyce naukowej, który pan Smuszkiewicz przywołał ostatnio w swej pracy...

A. Smuszkiewicz: „Zwierciadło trwóg i wątpliwości”, „Miesięcznik Literacki”, czwarty numer.

T. Gosk: Dziękuję bardzo. Z tego tytułu wynika, jaki miałem wówczas pogląd na SF. To się nie zmieniło.

A. Niewladowski: Debiutowałem w 1978 roku na łamach „Przeglądu Humanistycznego” artykułem o literaturze współczesnej. W dziedzinie SF zaczynałem jako teoretyk gatunku. Publikowałem szkice o twórczości Lema, później zająłem się kategoriami czasu i przestrzeni w prozie SF, by po pracy doktorskiej analizującej aspekty fabularne fantastyki przejść ostatnio do historii gatunku.

Rodzaje krytyki

A. Niewiadowski: Chwilę o naszych poprzednikach. Istnieje wiele typów, wiele odłamów, nurtów krytyki; każdy z nich byłby wartościowy dla SF, w zależności jakie utwory oceniamy i p czym chcemy mówić. Ale jaki najbardziej? Istniał na przykład w latach XX-lecia międzywojennego typ krytyki pragmatycznej, tzn. takiej, która pracowała głównie z autorem, nie z czytelnikiem, typ krytyki dającej rady i przestrogi dla pisarzy, typ krytyki warsztatowej. Wybitnym jego przedstawicielem był wówczas Irzykowski, po wojnie w latach 70-tych próbował tego Lem w „Fantastyce i futurologii”... Dzisiaj, kiedy brakuje sposobu oceny tej literatury, świadomości czym ona właściwie jest, bardzo by się taka krytyka przydała. I typ drugi, wspomniał o nim pan Smuszkiewicz, krytyka naukowa. Przypomnę przedwojennych krytyków tego rodzaju spoza gatunkowego getta, którzy pisali ciekawe rzeczy o literaturze współczesnej, ale także o SF: Ignacy Fik, Konstanty Czachowski, Karol Zawodziński. Współcześnie bardzo ciekawą krytykę SF typu naukowego uprawiali: Sadkowski, Trzynadlowski, Kijowski, częściowo Kuncewicz, który grawitował jednak w stronę eseju (wypowiadał się na temat Tolkiena, baśni, fantasy), w pewnym sensie - Andrzej Zgorzelski... Krytyka naukowa bardzo wiele może fantastyce pomóc, wiele wyjaśnić, ale jest z nią pewien kłopot. Otóż czy można wymagać, by na serio zajęła się literaturą skandalicznie już niskich lotów, omawianiem tekstów, jakich w fantastyce zatrzęsienie? Przecież wypisywanie „elaboratów naukowych o sprawnym opowiadaczu historyjek kosmicznych mijałoby się z celem. I jest jeszcze trzeci typ wartościowania - krytyka artystyczna. W latach międzywojennych uprawiał ją Boy Żeleński. Ten typ leży na skrzyżowaniu nurtów, wychodzi od dzieła literackiego, mówi o socjologii, polityce, psychologii - o wszystkim do czego dzieło może być pretekstem. Tak rozumiana krytyka artystyczna może być bardzo ważna dla SF, ponieważ literatura ta artykułuje różnego rodzaju lęki, kompleksy, nadzieje: zmusza do wartościowania i całościowego spojrzenia na kulturę, cywilizację. Krytyka artystyczna może być pomocna zwłaszcza dla czytelnika, gdyż osadzając tę literaturę w kontekście aktualnym, pomaga ją odczytać.

M. Parowski: Mamy więc wizję krytyki jako wszechstronnej samoświadomości gatunku i stan

faktyczny, tzn. krytykę, która nie uzgodniła kryteriów, nie przekonała publiczności i tzw. wpływowych kręgów o istnieniu gatunku, nie wywalczyła dla SF należnego jej miejsca. Pytanie jakie jest to miejsce? - ponieważ, jak sam Andrzej stwierdził, a wszyscy cichutko przytaknęliśmy, rzeczywiście wiele w tej literaturze tandety.

Spór o granice

T. Gosk: Jak zresztą w całej literaturze. Byłbym ostrożny w weryfikowaniu science fiction jako literatury innej. Moim zdaniem jest to odgałęzienie, nurt, rodzaj, gatunek itd... literatury po prostu. Spełniającej (lub nie) określone wymogi warsztatowe, zapewniającej czytelnikowi (lub nie) doznania artystyczne albo korzyści innego rodzaju. Jeśli podejdziemy do fantastyki w ten sposób odpadnie masa problemów typu samoświadomość, narzędzia badawcze, sposób uprawiania. Wszystkie nurty krytyki, które pan Niewiadowski wymienił odnoszą się przecież do literatury w ogóle. Można ewentualnie mówić o specjalizacji krytyków, przecież i krytyk literacki głównego nurtu rzadko bywa krytykiem w ogóle. Ale i wtedy musimy przyznać, że sytuacja jakościowa w literaturze SF jest identyczna jak w każdej innej. Obserwując jakikolwiek rynek wydawniczy i czytelniczy z góry wiemy, że 95 procent literatury nie ostanie się. Każdej literatury, nie tylko SF.

M. Parowski: Przepraszam, przybyliśmy tu jednak jako krytycy SF, a nie krytycy w ogóle. I sposób odbioru tej literatury, który zgromadził nas w Dzierżoniowie, sytuuje SF w rejonach ducha, w jakich literatura niefantastyczna nie przebywa. Nazwa science fiction też spycha gatunek, a może pociąga, w rejony nauki, prognozy, badania, a jednocześnie fantazji. Oczywiście, my wszyscy działając jako ambasadorowie gatunku robimy to co Tadeusz postuluje, tzn. staramy się o fantastykę walczyć (i z pisarzami, i z czytelnikami) jako o literaturę. Ale kiedy zburzymy już mury gatunkowego getta okazuje się, że jesteśmy jednak wyodrębnioną całością w literaturze, że metody fantastyczne są wyodrębnione i być może warto tego bronić. Postuluję więc burzenie murów, ale zachowanie granic i jednak niekwestionowanie istnienia pola gatunkowej swoistości.

T. Gosk: Tego akurat nie kwestionowałem. Twierdzę, że pierwszym wyróżnikiem, pierwszą kategorią oceny jest wartość dzieła, bez względu na to w jakim gatunku zostało napisane. Uważam, że najwybitniejszym żyjącym pisarzem języka polskiego jest Stanisław Lem. Nie dlatego, że bardzo lubię Lema jako fantastę, lecz dlatego, że jako pisarza cenię go niezwykle wysoko.

A. Smuszklewicz: Zgadzam się z panem Goskiem całkowicie, że SF to przede wszystkim literatura, ale jest to jednak literatura specyficzna, która ma swój warsztat i nie każdy krytyk przygotowany do oceny dzieł ogólnych potrafi właściwie ją ocenić. Brak mu pewnych pojęć i narzędzi, których ze studiów ogólnych wynieść nie mógł, bo nauka i literatura nie spenetrowała jeszcze tych terenów. A zatem należałoby ustalić, jakie są korzenie gatunku, ustalić granice nie po to, by wyznaczyć getto, lecz by było wiadomo, jakie panują na tym obszarze konwencje i kiedy pisarz te granice przekracza. Dlatego typ krytyki unaukowionej, który preferuję, wydaje mi się na obecnym etapie konieczny. Pan Parowski wspomniał o nazwie „science fiction", która do czegoś zobowiązuje - i oto punkt pierwszy sporu. Co innego oznacza ta nazwa na gruncie anglosaskim, a co innego u nas. „Science" i „fiction", czy to jest „nauka" i „fantazja", czy też „nauka" i literatura— czyli beletrystyka. Idźmy dalej. Co innego pod terminem fantastyka rozumie Caillois, a co innego my. U nas przyjęło się mówić „fantastyka demonologiczna", „fantastyka grozy" - on mówi po prostu „fantastyka"... Baśń to dla niego odrębny typ. Tak więc traktując SF jako literaturę i stosując do niej te same narzędzia, co do innych gatunków, uważam, że trzeba przemodelować nieco te narzędzia, wzbogacić je. I wtedy okaże się, które dzieła poddają się narzędziom, a które nie, które wyłamują się ze stereotypu przeciętnej fantastyki naukowej polegającej na tym, że ktoś tworzy pewien model, a inni go powielają. Ale dopiero wiedząc jaki jest ten model, możemy powiedzieć, którzy pisarze powielają go, a którzy usiłują go rozbić, pisząc na przekór. Przedtem musimy wiedzieć co jest do rozbicia.

Co krytyk powinien

A. Niewiadowski: Pociągnijmy ten wątek - co musi wiedzieć krytyk. Istnieje taki pogląd, że krytyk SF musi się znać na trzech rzeczach: na literaturze w ogóle, na literaturze SF i na nauce. Nie zgadzam się jeśli idzie o trzeci punkt, ponieważ uważam, że krytyk-literaturoznawca nie musi być na bieżąco z nauką, bo to akurat mogłoby mu zawężać pole widzenia. Istnieją natomiast trzy inne grupy problemów, o których moim zdaniem krytyk SF powinien pamiętać. Otóż po pierwsze musi wiedzieć, że literatura SF ma wiele wspólnego z nurtami dydaktycznymi i moralizatorskimi, że wywodzi się z utopii, z literatury rozrachunkowej wszelkiego typu. Że zwłaszcza, jako kontynuacja utopii bardzo żywo reagowała na problemy społeczne, polityczne, była bliska czytelnikowi, który natychmiast wychwytywał w niej aluzyjne odniesienia do współczesności. A jeśli tak, jeśli uwzględnić wszystkie moralizatorskie uwarunkowania tej literatury, jej świadomie czasem założoną usługowość wychowawczą, to jednak musimy ją oceniać nieco inaczej niż tzw. literaturę piękną.

Sprawa druga. Science fiction jest jednak najczęściej literaturą rozrywkową, tworzoną na zamówienie i pod dyktando pewnych kręgów społecznych, pisaną w specjalnej poetyce. Jej obieg bywa zupełnie odmienny, aniżeli innej literatury. Duża część SF przynależy do kultury masowej, popularnej i nigdy tego obszaru nie opuści, jest to więc proza niepodobna odmianie psychologicznej, historycznej... Nazwijmy to jak chcemy getto, literatura rozrywkowa, pisana dla czytelnika masowego - ale większość tekstów z tego zamkniętego kręgu nigdy nie wyjdzie. I pisarzy także. Ale jednocześnie jest to zadziwiające zjawisko w ramach kultury masowej, ponieważ i u nas, i w świecie twórczość ta nie jest odbierana w sposób bierny. Ludzie piszą listy do redakcji, zrzeszają się w klubach, próbują sami twórczości w tym gatunku, zapraszają autorów. Jest to swoisty fenomen: literatura popularna odbierana w sposób czynny, aktywny. I rzecz trzecia. Krytyk SF musi stale pamiętać o zjawisku zbiorowego myślenia w SF, o krążeniu pomysłów, wątków modeli literackich. Jak się tu zachować? Udawać, że o niczym nie wiemy, oceniać najważniejsze dzieła, czy jednak pokazywać ciągi, serie, wielokrotne podejmowanie tej samej sprawy przez np. Wellsa, Huxleya, Lema. I jak w tej sytuacji uniknąć pułapki krytyki wewnętrznej, jak wychodzić poza te ciągi i serie. Nie uciekniemy od tych problemów.

A. Smuszkiewicz: Zgadzam się z tym co pan powiedział, choć nie sądzę, by przeczyło to obronie fantastyki jako literatury, za czym obstawał pan Gosk. Bo popatrzmy na niektóre z tych punktów. Dotyczą one także zwyczajnej krytyki. Problemy współczesnej nauki - jeśli krytyk pisze na temat prozy psychologicznej, historycznej - to jednak psychologię musi znać, przynajmniej na poziomie popularyzatorskim i o historii też jakieś pojęcie mieć musi. Narzędzia badawcze modyfikuje się przecież przechodząc nie tylko od literatury SF do literatury głównego nurtu, lecz także przechodząc od powieści historycznej do współczesnej. Co do wątków i motywów, które krążą w SF - otóż wątki i motywy krążą także w literaturze głównego nurtu, tylko dzieje się to już od tak dawna, że my tego nie zauważamy, bo to jest już banał, bo to się zaczęło w starożytnej Grecji, bo ma swój początek w motywach biblijnych. SF natomiast stosunkowo niedawno doszła do tego, że tworzy własną rekwizytornię, własny zespół motywów, własny świat - ale ten świat szczęśliwie jest już nieźle zagospodarowany. Verne na przykład musiał opisywać wszystko, bo nie miał się do czego i do kogo odwołać. Ale już o Żuławskim się mówi, że wsadził swoich bohaterów w Verne'owską rakietę i wysłał na Księżyc. Mógł to zrobić, bo już była rakieta.

T. Gosk: Teraz wystarczy powiedzieć np. „blaster" i wszyscy wiedzą o co chodzi.

Co krytyk może

M. Oramus: Wrócę do kwestii granic gatunku; czy ich zakreślenie jest w ogóle możliwe? - definicje są przecież nieprecyzyjne, rozmazane. Zastanawiam się w związku z tym, czy nie równie uprawniona jest taka: SF to jest to co każdy uważa za SF. Jeśli idzie o granice zauważam dwie przeciwstawne tendencje. Pierwsza polega na chęci schowania się do wewnątrz, komunikowania się tylko we własnym gronie, trochę jak my tutaj. Druga, znacznie bardziej interesująca, polega na chęci naruszenia granic narzuconych przez edytorską formę utworów, przez ludzi, którzy tę literaturę odbierają, przez krytykę, która patrzy z lekceważeniem. To głównie pisarze chcą wyrwać ją z getta, być czytani „normalnie" przez „normalnych" ludzi i nieuprzedzonych krytyków. Czasem starają się - nie zawsze szczęśliwie - pomagać im w tym wydawcy. Na najnowszym tomiku Zajdla „Wyjście z cienia" czytelnikowski znaczek serii starannie ukryto, żeby przypadkowy nabywca mógł się na tę książkę nabrać i kupić ją jako np. romans... Wydaje mi się czasem, że powinienem się raczej przyłączyć do tych, którzy zacierają granice, niż do tych, którzy je wytyczają, bo przecież na pograniczu pleni się najciekawsze zielsko. Vonnegut do literatury głównego nurtu szedł od strony SF i elementy SF są u niego ciągle obecne, nawet w powieściach stricte współczesnych, jak „Rzeźnia numer pięć". Nadaje to jego książce specyficzny klimat, który nawet dla ludzi nie czytających i nie lubiących SF jest dużą atrakcją. Nadmiar środków SF mógłby pewnych czytelników odstręczyć, a tak autor odnosi sukces i urozmaica swą prozę. Zastanawiam się, czy wymyślony przez Vonneguta sposób przekraczania granic nie jest wręcz jedyny.

A. Smuszkiewicz: Swoją dowcipną definicją gatunku właściwie popiera pan moją tezę, że podstawowe pojęcia trzeba jednoznacznie ustalić. Musimy mieć punkty graniczne, żeby wiedzieć kto, skąd i dokąd się przedziera; żeby móc się między sobą mądrze spierać o konkretne sprawy, a nie używać tych samych słów na określenie - każdy czego innego. Ale tu powstaje pytanie gdzie to robić? Bardzo mało jest współcześnie opracowań dotyczących fantastyki, bo właściwie nie ma tego gdzie publikować. Tylko niektóre pisma zamieszczają recenzje SF, miejsca na nie jest mało, właściwie nie pojawia się w recenzji nic więcej ponad wnioski - nie ma zaplecza, nie ma analizy, nie ma warsztatu i to wszystko umyka, bo przecież miłośnik SF nie posiadający zaplecza humanistycznego sam nie potrafi sobie tego zrekonstruować. Wraz z powstaniem „Fantastyki" sytuacja trochę się poprawiła, ale jak dotąd wachlarz recenzentów jest w piśmie niewielki.

M. Oramus: Odnoszę wrażenie, że ciężar zmagań krytyki z gatunkiem przesuwa się na pierwszą linię. Zaczyna się u nas boom, już teraz ukazuje się ponad sto tytułów, wśród czytelników pojawia się wielka potrzeba żeby ktoś mi mówił, w sposób systematyczny, co jest dobre, co nie - i dlaczego. Myślę o klasyfikacji doraźnej, nie o opracowaniach historycznych czy teorii, bo idzie taki zalew książek, że czytelnicy czują się coraz bardziej zagubieni. Sytuacja wikła w tej chwili krytyka w schemat gwiaździsty: z tyłu ma wielki placek zwany literaturą SF, przed nim są wydawcy, czytelnicy, fanowie, jest środowisko twórców i środki masowego przekazu. I krytyka użytkowa polega wg mnie na pośredniczeniu krytyka między gatunkiem, a tym co krytyk ma przed sobą. No i na sprzężeniu zwrotnym krytyk-pisarz, krytyk-wydawca. Książek jest coraz więcej, podejrzewam, że znajdą się i takie, które nie zostaną zrecenzowane.

T. Gosk: Co i dobrze.
M. Oramus: Wydawcy w dalszym ciągu wydają to co im się żywnie podoba. Niby starają się robić wrażenie, że interesuje ich sprzężenie zwrotne krytyk-wydawca, niby gromadzą nasze recenzje, obkładają się nimi, ale konsekwencji tego w postaci zmiany planów wydawniczych nie widać. Miejsca na uprawianie krytyki jest rzeczywiście niewiele, na poprawę sytuacji się nie zanosi, a już najtrudniej o systematyczność wypowiedzi. Redaktorzy wrzucają SF w ten sam śmietnik co UFO, które zostało już doszczętnie ośmieszone i stało się symbolem postawy bez mata debilnej. . Tymczasem wśród fanów krytyka doraźna znajduje odzew, jest czytana i porównywana z własnymi odczuciami, tekst z reguły nie umiera po tygodniu, wędruje z rąk do rąk, a opinia jeśli pokrywa się z opinią fanów, bywa przekazywana innym. Pisarze też oczywiście bardzo się cieszą, zwłaszcza kiedy usłyszą pozytywny głos krytyczny na swój temat, ale sytuacja w tym względzie uległa pogorszeniu. Doszło do zafałszowania i sterowania krytyki, ponieważ pewne grupy .pisarzy są związane ze środowiskami opiniodawczymi i nie potrafią oprzeć się pokusie blokowania pewnych sądów, preferowania innych... Są też krytycy piszący jednocześnie książki i o książkach, co bywa odbierane jako działalność dwu znaczna. Ujawniły się grupy interesów związane z takim czy innym ścia z getta, a jednocześnie w sposób przystępny formułującej problemy gatunku. Nie mieliśmy takiej krytyki zbyt wiele. Nie mówiło się na przykład o związkach Lema z „pokoleniem Kolumbów", o elementach neopozytywizmu, egzystencjalizmu w tego twórczości literackiej, o tym, że Fiałkowski to przedstawiciel „pokolenia 56". Zapomniano o szerszych znaczących wydarzeniach, które towarzyszyły rozwojowi naszej fantastyki.
M. Oramus: O tym nie zawsze wolno było powiedzieć.
A. Niewiadowskl: No tak, ale najlepsze wypowiedzi o literaturze SF pochodzą właśnie spoza getta, np. prace Błońskiego, Jarzębskiego, Piotra Kuncewicza; recenzje Kijowskiego, Barańczaka, Grochowiaka o Lemie. Ludzie ci więcej powiedzieli o SF, niż którykolwiek wyspecjalizowany krytyk. Potrafili rozszyfrować wiele aspektów alegoryczności tej prozy. Umieli przełożyć podstawowe schematy fabularne SF, np. motyw „kontaktu", kosmicznego spotkania, na problem braku dialogu między społeczeństwami.
M. Oramus: Między społeczeństwem i władzą, na niepogodzenie jednostki samej z sobą. A. Niewiadowskl: Tak. Ale mimo tych niedostatków świadomości, na które się uskarżamy, histo ria i teraźniejszość polskiej krytyki SF nie jest białą kartą. O typach krytyki i jej międzywojennych przedstawicielach wspominałem na początku. Po wnioski. Recenzent przynosi do domu co tydzień i czyta książki dobre i złe, stare i nowe, polskie i zagraniczne, fantastyczne i niefantastyczne, bo przecież kocha literaturę i nie chce mieć klapek na oczach. I cóż widzi? Z porównania SF współczesnej i wznowień wynika mu, że z gatunkiem coś się stało, że zbliża się do normalnej prozy. Czyta książki spoza getta SF i spostrzega, że ich autorzy posługują się fantastycznością. Bierze do ręki książkę dobrą i złą i od razu musi sobie postawić pytanie - kto uprawia fantastykę i z jakiego powodu? To natychmiast wychodzi - ten uczciwie gra w fantastykę, w literaturę, a ten gra w to, że zostanie literatem. Krytyka branżowa to lekceważy, my Andrzeju w naszym zacnym periodyku nie zajmujemy się przecież hochsztaplerami, tylko czasem bluźnie ktoś z zewnątrz. Co recenzent widzi jeszcze? Pan Smuszkiewicz mówił tu przykładowo, że pojęcie „fiction" w każdym kręgu kulturowym znaczy co innego. Ale chodzi nie tylko o różnice semantyczne. Krytyk, recenzent, o którym mówię, ma w swoich rękach jednocześnie dwie książki - jedną z kraju gdzie istnieje bogaty nurt reportażu, kina współczesnego, literatury politycznej i drugą, polską„ powiedzmy - książkę Zajdla. I natychmiast okazuje się, że nie tylko słowo fantastyka, lecz sam gatunek jest używany w różnych stronach świata do różnych, czasem odległych rzeczy. Większość prac krytycznych, o których Andrzej wspomniał

wydawnictwem, trendem czy sposobem myślenia i te grupy korzystają bezlitośnie z uzyskanych możliwości. Do słabości polskiej krytyki SF, słabości wynikającej głównie z małej liczebności szeregów dochodzi niebezpieczeństwo innego rodzaju: gatunek jest na fali, zaczynają być z nim związane większe pieniądze - temu też trzeba zajrzeć w oczy. Krytyka typu recenzenckiego, ta codzienna, doraźna, którą tu postuluję, jest w te niebezpieczeństwa bardziej uwikłana niż krytyka uniwersytecka, naukowa, która mam nadzieję pozostanie stabilna. Oczywiście użytkowa korzysta z dorobku naukowej, ale teraz potrzebą chwili pozostaje odwaga i umiejętność oddzielania ziarna od plew. Musi się pojawiać więcej krytyków, więcej niezależności, oryginalności sądów. Kto się bierze do tej niewdzięcznej roboty, musi zdobyć się na mówienie: to dobre, to złe, nawet o książkach bliskich kumpli.
A. Smuszkiewicz: Brak odzewu, brak oceny, co spotka niektóre książki, też będzie odzewem. Ale rzeczywiście zgadzam się, że teraz przy idącym zalewie, trzeba będzie bardziej intensywnie selekcjonować pewne rzeczy.

Czego krytyk dokonał

A. Niewiadowski: Parę słów pro domo sua. Idziemy w „Fantastyce" drogą, o której mówi pan Smuszkiewicz, tzn. raczej przemilczamy książki złe, a recenzujemy dobre, ciekawe, wartościowe, których lektura i analiza może coś dać czytelnikowi. Dzięki kontaktom z wydawcami recenzujemy książki z maszynopisów, bądź też ze szczotek, jesteśmy na bieżąco ż produkcją wydawniczą, a parę razy zdążyliśmy nawet wyprzedzić ukazanie się tekstu w księgarni. W ten sposób możemy spełniać popularyzatorskie, perswazyjne funkcje krytyki, pomagamy czytelnikowi zorientować się w aktualnym rynku książki. Staramy się też o spełnienie paru innych wymogów dobrej krytyki, o której mówił Irzykowski. To znaczy zależy nam, by w ukazujących się u nas recenzjach znalazły się postulaty dotyczące weryfikacji i rewizji pewnych wartości, by nasze omówienia oddziaływały dopingująco, byśmy próbowali wybiegać w przód, antycypować pewne problemy przed pisarzami. Te funkcje krytyki można odnosić do fantastyki i do literatury w ogóle, ale to dobrze, bo potrzebujemy przecież krytyki odważnej, poszu kującej wyjwojnie bardzo ciekawie dyskutowano u nas w latach 40-tych, kiedy ukazała się antologia Tuwima „Polskie nowele fantastyczne". Hollanek i Kijowski zabierali głos w sporach na temat „Obłoku Magellana"; Purska i Frybes w sporze o plagiat Smolarski kontra Huxley. Dalej była era krytyki Lema, zapoczątkowana jego odpowiedziami na niemądre zarzuty, ukoronowaniem tej ery stała się książka „Fantastyka i futurologia" przez długie lata kształtująca naszą świadomość krytyczną. Potem w roku 1969 przyszedł Ryszard Handke z pierwszą pracą teoretyczną, a początek lat 70tych przyniósł od razu kilka nurtów. Powstają wtedy teksty literaturoznawcze, hasła słownikowe, które w tej chwili mogą nas bulwersować, niepokoić, ale to normalna kolej rzeczy. Ważne jest, że tworzą się pewne enklawy badawcze w różnych ośrodkach uniwersyteckich, gdzie problemy fantastyki bada się systematycznie. Czyni to Antoni Smuszkiewicz w Poznaniu, Andrzej Stoff w Toruniu polemizujący z teorią Handkego, Piotr Krywak z UJ w Krakowie. No i wytwór ostatnich lat, też interesujący - krytyka prasowa, użytkowa. Rozszerza się krąg pism i nazwisk, tak owocuje nam boom początku lat siedemdziesiątych, zaczęło uprawiać prozę i krytykę SF pokolenie Nowej Fali. Najpierw publikowano to w pismach typu „Argumenty", „Tygodnik Demokratyczny", „Perspektywy", „Nowy Wytaz", uważających SF za literaturę pokupną i rozrywkową. Dziś jednak zainteresowanie jest bardziej autentyczne, do recenzowania SF wzięły się z jednej strony takie pisma jak „Życie Literackie", „Przegląd Humanistyczny", „Miesięcznik Literacki", a z drugiej „Przegląd Techniczny", „Odgłosy". Rozszerzyła się paleta osób piszących i traktujących SF poważnie. Myślę tu o nieobecnym Leszku Bugajskim, który towarzyszy literaturze SF od początku lat siedemdziesiątych, a także o kolegach Oramusie i Parowskim, którzy parę lat temu wystartowali jako pisarze, nie krytycy, a teraz robią jedno i drugie kształtując świadomość społeczną. Mimo naszego utyskiwania na poziom krytyki, można mówić o pełnej wieloaspektowości, wielotorowości tego zjawiska.

Tydzień recenzenta

M. Parowski: Parę słów o innej wieloaspektowości z pozycji człowieka, który obserwuje obecny rynek książki i rynek recenzji i wyciąga z tego zatrzymała się na przedpolach tej skomplikowanej i niebezpiecznej wiedzy; na szerszym forum my recenzenci nazywamy to od niedawna. Legendarna „Fantastyka i futurologia" pomogła nam zrozumieć świat, lecz najnowszą fantastykę polską, jej alegorie, aluzje musimy deszyfrować sami.
A. Smuszkiewicz: Ale może pan określić nasze problemy jako inne, dzięki temu również, że Lem nazwał tamte.
M. Parowski: Jasne. .Lem nazywał i pokazywał także nasze problemy, tyle że raczej w prozie niż w krytyce - tak było bezpieczniej. Ale i mniej czytelnie, bo później, na początku lat 70-tych krytyk Nowej Fali nazwał dzieło Lema „alegorią sparaliżowaną"... Trochę się od tego czasu zmieniło, mnie jednak interesuje natura tego „paraliżu". Jest zadziwiające, że nieźle łapie metafory i symbole współczesnej prozy SF czytelnik młody i niewykształcony, natomiast recenzent spoza gatunku zachowuje się jak stworzenie niepojętne, pozbawione poczucia humoru - wybrzydza, udaje głupiego, nie wykorzystuje skromnej części humanistycznej i życiowej wiedzy, którą teoretycznie posiada. Na przykład recenzenci z „Tygodnika Kulturalnego" czynią to w sposób szczególnie zawzięty i demonstracyjny. Pisze panienka, że zmarnowała na książkę noc. A może należało tę książkę w dzień przeczytać?
A. Niewiadowski: Oni po prostu boją się brać do fachowej oceny fantastyki.
M. Parowski: I ze strachu mylą pojęcia i narzędzia badawcze? A może ich nie posiadają. Skoro do książki proponującej przemyślenia mają pretensje o brak rewolwerowości, książce rewolwerowej zarzucają brak głębszej myśli. Na Lemie poznają się z 10-15-letnim opóźnieniem. Książkę w oczywisty sposób oniryczną, symboliczną, metaforyczną próbują rozliczać z trafności i odkrywczości prognoz technologicznych. Książce aluzyjnej zarzucają, że jest za mało fantastyczna. Ta krytyka bierze się do fantastyki w oczywisty sposób z przypadku, kiksuje strasznie, recenzent zawsze ustawia się tak, żeby być nad autorem, nad książką. Nazwijmy ten kompleks, tę przypadłość; skąd to się bierze, jak można, mając narzędzia, mylić sie tak okrutnie?
T. Gosk: Mają aparat krytyczny, nie mają dobrej woli. Uważają, że to zła literatura.
A. Niewiadowski: Olgierd Terlecki powiedział kiedyś, że każda literatura typu powieści kryminalnej, westernu, SF - nie znosi nowości, jest schema-

tyczna, rozrywkowa. I w związku z tym należy ją tak, a nie inaczej traktować.

M. Parowski: Pamiętam. A potem, latem-80 rzucił się na Chandlera, najlepszego na świecie przedstawiciela czarnego kryminału, wybitnego, pisarza. A także surowego krytyka kryminału - wynika to z wydanej niedawno- przez Czytelnik książki eseistycznej „Mówi Chandler".

A. Smuszkiewicz: W tym szaleństwie jest metoda. Skoro to zła literatura, to po co ją czytać? W ten sposób na temat „złej literatury" może wypowiedzieć się każdy...

A. Niewiadowski: Mnożąc sądy obiegowe, jednoaspektowe. Ileż to recenzji z Lema kończyło się konkluzjami: antropocentryzm, humanitaryzm, moralność. A przecież jest to literatura alegoryczna w ten sam sposób, w jaki, nie waham się tego powiedzieć, była literatura Jerzego Andrzejewskiego, Hanny Malewskiej, Jerzego Jesionowskiego. Kto porównywał w Polsce założenia fantastyki do struktury powieści historycznej, do twórczości Parnickiego, kto zastanawiał się nad nią w kategoriach psychoanalizy Bachelarda, kto śledził sprawy wartości uniwersalnych mitów, epistemologii, otwarcia na kwestie polityczne, socjologiczne. Tylko nieliczni krytycy dostrzegli wieloaspektowość, pojemność fantastyki. Inni obstawali i nadal pozostają przy inwektywach, albo streszczeniu i ogólnikach, a przecież nie wolno nam stać w miejscu, trzeba stale modyfikować narzędzia badawcze.

Dlaczego fantastyka

T. Gosk: Żeby te postulaty spełnić, trzeba sobie z grubsza zdać sprawę, dlaczego ludzie fantastykę czytają, co nimi powoduje? Tęsknota do przyrody, chęć oderwania się od szarzyzny życia, możliwość identyfikacji z bohaterem kosmicznym? Czy może potrzeby wyższego rodzaju - samopoznanie człowieka przez obserwację bohatera w sytuacjach ekstremalnych? Jedno i drugie. Reakcje ludzkie zostały w realiach codziennego banału wielokroć opisane, SF pozwala te możliwości piętrzyć, wzbogacać.

M. Parowski: Odpowiadając dlaczego czytelnik czyta SF, odpowiadasz pośrednio dlaczego pisarz ją wybiera - bo fantastyka mnoży jego możliwości, odświeża mu warsztat i rekwizyty, umożliwia nazywanie i badanie przeróżnych przeklętych problemów...

T. Gosk: ....uprawianie powieści socjologicznej i politycznej powiedzmy. SF dobrze napisana i dobrze skonstruowana, przynależąca do górnych 5%, o których mówiłem, działa wielowarstwowo, zależnie od wieku czytelnika. Młodemu dostarczy atrakcji, przygody, fabuły - wiemy wszyscy jak się czyta w dzieciństwie - starszemu odsłoni te i inne zalety. Dlatego SF ma tak wielu odbiorców w różnym wieku.

M. Oramus: Mnie również pytanie o potrzeby zaspokajane przez fantastykę wydaje się kluczowe. Literatura współczesna w Polsce nie zaspokaja potrzeby czytelników - przedstawienia i objaśnienia lub jak kto woli skomentowania naszego świata. Powieść współczesna właściwie u nas nie istnieje, nawet o tym pisano. I teraz, kiedy otwieram radio na trzecim programie, słyszę jak krytyk literacki wprost doradza młodym uprawianie literatury historycznej albo SF, jako literatury zamiast. Obkłada się ten gatunek oczekiwaniami na spełnienie głębokich nadziei czytelników. Co jest w tej literaturze, jakie strukturalne udogodnienie, zwłaszcza w antyutopii, która pomaga powiedzieć więcej, wyrazić boi, rozpacz, pretensje do świata, do rzeczywistości? Ten run na SF jest powodowany poczuciem wielkiego zawodu wobec innej literatury i teraz albo SF nas zaleje, albo stanie się coś jeszcze gorszego. Skok jakościowy musi nastąpić. No i powiększać się będzie stratyfikacja, wydłużanie piramidy, oddzielanie się rzeczy dobrych od złych, od gatunkowej mierzwy, na której to wszystko rośnie.

M. Parowski: Przewiduję jeszcze jeden efekt - widać to już w tłumaczeniach, w niektórych polskich próbach - a mianowicie dołączenie się pojedynczymi książkami ludzi spoza tradycyjnych kręgów SF. Pisarze głównego nurtu zaczynają wyciągać wnioski - i z popularności fantastyki, i z tkwiących w niej udogodnień wyrazowych. Parę słów o tych udogodnieniach. Nie róbmy krzywdy fantastyce i nie traktujmy jej wyłącznie jako literatury zamiast, literatury w miejsce zablokowanej prozy współczesnej. To zaledwie część prawdy. Istnienie SF nie jest tylko konsekwencją tego, że pisarz w tej czy innej sprawie nie może się wypowiedzieć. Marek pytał retorycznie co sprawia, że antyutopie tak dobrze niosą nasze problemy...? Otóż rozszerzmy to pytanie - co sprawia, że w ogóle literatura metaforyczna, alegoryczna, budująca światy modelowe, fantastyczne lepiej niesie nasze problemy? A no to, że regułą metafory jest zagęszczenie problemu; kondensacja, która czyni rzecz bardziej wyraźną. Camus napisał genialną powieść o faszyzmie pt.„Dżuma" z Oranem, szczurami, staruszkiem, który pluje na koty, pisarzem szlifującym przez całą książkę jedno zdanie - o faszyzmie, rządzie Vichy nie było tam ani słowa. Cenzura zabroniła? Absurd - po prostu są sprawy, które pisarza przerastają. Dopóki ich sobie jakąś metaforyczną sztuczką nie zmniejszy, dopóty nie może ich objąć. Dzięki metaforyce, bezlik faktów i szczegółów go nie onieśmiela, pisarz ma ponadto w swoim modelu wolną rękę. Bywa po prostu i tak, i tak... Fascynuje mnie w związku z tym - to jest pytanie do krytyków naukowych - czy istnieje możliwość wprowadzenia pojęcia „talentu fantastycznego"? W odróżnieniu od realistycznego. To się stale powtarza w dziejach literatury, istnieją talenty, autorzy...

M. Oramus: Przeznaczeni do fantastyki.

T. Gosk: Skazani na to wręcz...

M. Parowski: Którzy najlepiej wypowiadają się przez fantastyczność, których owszem pociągają problemy rzeczywistości, ale nie ona sama. To najprawdziwsi z fantastów, bo nie posługują się gatunkiem ani gatunek nimi - oni po prostu są gatunkiem, oddychają nim. Taki był chyba Dick, taki był Poe, Lovecraft; taki jest chyba Snerg, Żwikiewicz, taki był kiedyś Lem. Uważam ich za bezgranicznych fantastów. Będzie cenzura, nie będzie cenzury, będzie powieść współczesna, czy jej nie będzie - wszystko jedno, oni będą robić fantastykę, bo świat właśnie tak łamie im się w oczach. Bo się do tego urodzili.

A. Smuszkiewicz: Nie podejmuję się definiować „talentu fantastycznego", ale wydaje mi się, że bardzo istotną sprawą było zwrócenie uwagi przez panów Oramusa i Gośka, na to, że fantastyka naukowa oddaje niepokoje współczesności, że jest skłonność uciekania się w pewnych okresach do fantastyki. Nurt fantastyczny jest niejako równoległym nurtem obok literatury niefantastycznej i tylko w związku z tym można SF traktować jako podgatunek, ale można również jako gałąź rozwojową całej literatury fantastycznej. Pierwsza z tego oceanu fantastyki wyodrębniła się baśń, która też w pewnym uproszczeniu modelowym pokazywała rzeczy, bądź marzenia nie do pokazania w inny sposób. Tzn. dobrego króla, tęsknotę do sprawiedliwości... Król, proszę panów nigdy nie był złym władcą, jak przyrzekł rękę księżniczki, to ją dawał. Kiedy zmieniły się czasy, kiedy człowiek zaczął na wszystko patrzeć racjonalistycznie, kiedy świat wydał mu się prosty, poznawalny, zbudowany wyłącznie z materii - to w tym świecie znanym, codziennym powstaje fantastyka grozy, pojawiają się upiory i zjawy. W naszym świecie współczesnym - automatów, postępu, cywilizacji - pojawiła się fantastyka naukowa. W literaturze polskiej szczyt tej technologiczno-przyszłościowej fantastyki przypadał na przełom lat 60 - 70-tych i ta faza też wydaje się zmierzchająca; w tej chwili się od tego odchodzi, to już nie jest to. Zbudowaliśmy rekwizytornię SF, ale inne problemy zaczynają nas interesować - j tzn. społeczeństwo, a w związku z tym literatura i j literaci są dziś czymś innym zajęci. Przyjdzie krytyk XXI wieku, spojrzy na to, stwierdzi, że wykształcił się nowy gatunek, nowa odmiana. I będzie temu nadawał nazwy.

T. Gosk: Może znowu napisze artykuł: „Zwierciadło trwóg i wątpliwości". Tylko, że budowanie takich zwierciadeł to w ogóle funkcja literatury, nie tylko fantastyki. Bez względu na fazę rozwojową jednej i drugiej.

Kontekst

A. Niewiadowski: Tu zgoda. Właśnie chciałem zwrócić uwagę że problemy, o których mówimy: przenikanie rzeczywistości do prozy, bądź uciekanie prozy od rzeczywistości - są podejmowane przez krytyków literatury współczesnej. Przypominam dyskusję na temat nowej prozy, jaka ukazała się niedawno (październik-83) w „Życiu Literackim". Przypominam nazwiska pisarzy, jakie zostały tam wymienione: Anderman, Kirsch, Sołtysik...

M .Parowski: Rewolucja językowa w młodej prozie. Nie satysfakcjonuje mnie ten nurt. Może poza twórczością Andermana.

A. Niewiadowski: No dobrze, ale pewne poszukiwania trwają, grupa kilkunastu autorów podejmuje artystyczną próbę dialogu z rzeczywistością i powstaje pytanie: jak fantastyka ma się do tych poszukiwań? Otóż w sensie językowym, artystycznym - ma się marnie. Nasza SF jest w stosunku do osiągnięć tamtego nurtu literaturą językowo zapóźnioną. Cóż możemy im przeciwstawić, może prozę Żwikiewicza, może jeszcze dwu autorów... i koniec. W ogromnej masie polska literatura SF wykorzystuje tradycyjne nośne schematy do przekazywania miałkich treści poznawczych i dydaktycznych.

A.Smuszkiewicz: I formy podawcze wypracowane już wcześniej.

A.Niewiadowski: Ciągle właściwie jest to obracanie się w kręgu tych samych form. Może dlatego, że długi czas nie mieliśmy otwarcia na literaturę innych rynków, a może dlatego, że ciągle za tę literaturę biorą się ludzie młodzi, którzy od razu chcieliby powiedzieć wszystko, a nie mają po temu narzędzi.

M.Parowski: Nie mają narzędzi, a częściej jeszcze nie mają nic do powiedzenia. To jest prawdziwa tragedia.

A.Niewiadowski: Tak, ponieważ fantastyka to często literatura pomysłu. Człowiek chce coś przekazać - albo wydaje mu się, że chce - opowiada pewien pomysł i stawia kropkę. A.Smuszkiewicz: Fantastyka jest gatunkiem popularnym i dlatego łatwym w podejmowaniu pierwszych prób literackich i w odbiorze. Poznanie prawideł, konwencji następuje stosunkowo szybko, podobnie jak w literaturze młodzieżowej typu Niziurskiego. Potem spotykamy się ze zjawiskiem, że autor, którego nazwisko stało się sy gnałem wywoławczym SF pisze coś innego i od razu zaczynają się pretensje, zdziwienie... czy to jest w ogóle fantastyka? Weźmy przykład Lema, przykład Snerga, który po „Robocie" napisał „Według łotra". Zamiast się zapytać dlaczego au tor zmienił konwencję, dlaczego

ją łamie, ludzie wołają - to już nie jest fantastyka. Klasyfikacja idzie przy takim odbiorze przed dziełem. Weźmy prozę Truchanowskiego, można oczywiście powiedzieć, niektórzy tak robią, jakim prawem on się bierze do SF, przecież to nie jest pisarz fantastyczny... Ale przepraszam, czy on się bierze do SF, czy po prostu w tej skarbnicy, którą pisarze przez lata tworzyli, bierze pewne motywy, korzysta z nich, bo mu to jest potrzebne do pewnych spraw.

M.Parowski: Mówi pan o procesie, który wg mnie będzie się nasilał - pisarze, artyści spoza teoretycznego getta SF zaczną się posługiwać fantastyką. Widać to wyraźnie na terenie kina, mody, plastyki, muzyki. Kiedy rzucić fantastykę na panoramę innych sztuk, nie tylko literatury, widać wyraźnie, że jej udział w naszym życiu, w naszej strefie duchowej bardzo się zwiększył. Weźmy kino - filmów fantastycznych mamy w repertuarze kilkanaście, a nie jeden czy dwa jak przed dziesięcioma laty. Po „Odysei kosmicznej" jest to już kino coraz częściej bardzo wyrafinowane artystycznie, bardzo różnorodne, penetruje równie skutecznie światy przeszłe i przyszłe, bada światy alternatywne, pokazuje człowieka w różnych skomplikowanych sytuacjach, w zderzeniu nie tylko z materią. I - co najważniejsze - kino SF wyszło z getta. Jest oglądane przez wszystkich.

A. Smuszkiewicz: A może nigdy w getcie nie było?

M. Parowski: Myślę, że było. Na „godzille" i „hedory" chodziły wybrane grupy kinomanów, na „ET" czy „Poszukiwaczy zaginionej arki" pójdzie każdy. Kino fantastyczne wcześniej wyrwało się z gettowego kręgu.

T. Gosk: Po prostu jest sztuką atrakcyjniejszą i łatwiejszą w odbiorze.

M. Parowski: Zapewne. Ale chodzi mi o to, że to kino odbierane powszechnie może pomóc wyjść z getta także literaturze. Rozbije mit o prostactwie fabuł SF. Zagospodaruje głowy masowej publiczności, przerobi pewne problemy... M.Oramus: Zgadzam się - kino rąbie podstawówkę fantastyczną. Uczy języka, pokazuje rekwizyty. Tworzy dla pisarza bazę.

M. Parowski: Właśnie o to mi idzie. To kino przychodzi do potencjalnego odbiorcy literatury SF przed tą literaturą. Po filmie „Blade runner" Ridleya Scotta nawet najbardziej zaciekły przeciwnik fantastyki będzie musiał zapytać: kim właściwie był ten Dick z czołówki? Co jeszcze napisał? Chodzi mi o to, że to dobre, wyrafinowane, masowo odbierane kino SF - a takie ono jest już od paru lat - może na fantastykę nawrócić masę ludzi. Kino fantastyczne zaczęło być dobre, kiedy oderwało się od literatury SF, kiedy po etapie naśladownictwa wypracowało własne środki wyrazu, a teraz zwraca literaturze to, co było jej winne - zainteresowanie publiczności. Uważam po prostu, że mamy w kinie wielkiego sojusznika fantastyki. W pewnym sensie jest lepsze od nas na pewno za sprawą kina więcej ludzi sięgnie po książki fantastyczne, niż za sprawą najinteligentniejszych nawet wynurzeń krytyki... Tak czy inaczej musimy być gotowi na przyjęcie fali czytelników SF, która do nas idzie za sprawą kina między innymi. Dziękuję panom za udział w dyskusji.

Opracował **Maciej Parowski**

Peter KUCZKA

urodzony w 1923 roku, jest poetą, prozaikiem i wydawcą. Żonaty, troje dzieci. W Polsce są dobrze znane jego inicjatywy, zmierzające do scalenia działań edytorskich i propagacyjnych w dziedzinie literatury SF. Właśnie Kuczka, wraz z nieżyjącym już naszym pisarzem Chruszczewskim, okoto 10 lat temu zapoczątkował regularne spotkania przedstawicieli pisarzy SF krajów socjalistycznych. Lansuje on także stworzenie leksykonu pisarzy naszych krajów oraz zapoczątkowanie edycji almanachów z ich dziełami.

Opublikował kilka tomów poezji, za które został wyróżniony nagrodami im. Kossutha i Attili Wybitny scenarzysta filmowy i krytyk. W 1983 r. ukazała się jego książka o filmie SF. Wydawca serii książkowej SF „Kosmos" i magazynu „Galaktika". Opublikował wiele artykułów teoretycznych, felietonów i krytyk, między innymi znaczącą książkę pt. „Opowieści jutra". Otrzymał również nagrody międzynarodowe m.in. nagrodę Karela w Worlds SF Organisation. Pełni obowiązki przewodniczącego Komitetu Roboczego SF Węgierskiego Związku Pisarzy i zasiada w kierownictwie World SF.

Peter Kuczka

SF na WĘGRZECH

1.

Pionierską rolę w rozpowszechnianiu współczesnej fantastyki na Węgrzech odegrały książki Raya Bradbury'ego i Iwana Jefremowa, opublikowane 15-20 lat temu. A także rzeczy Asimova, Dnieprowa, Lema i braci Strugackich oraz Fryderyka Pohla, Johna Wyndhama, Van Vogta, Frederika Browna, Josefa Nesvadby i wielu innych. One to właśnie ugruntowały obyczaj rozczytywania się w SF. Pojawili się na rynku nowi autorzy, żywszy stał się ruch wydawniczy. Organizowały się kluby fanów, powstawały stowarzyszenia profesjonalne fantastyki. Zaczęto także poszukiwać kontaktu z różnymi towarzystwami amatorów i profesjonałów zagranicznych. Ten przełom umożliwiły przemiany w węgierskiej ekonomice, w myśleniu politycznym oraz w polityce kulturalnej. Na Węgrzech, kraju socjalistycznym - generowały one coraz to nowe możliwości publikowania książek.

Mieliśmy zresztą jeszcze znacznie starsze tradycje literatury science fiction, wielu znaczących pisarzy (Jokai, Babits, Karinthy, Tövolgy, Dezsa Orban etc.) pisywało utwory fantastyczne. Poszły one jednak w niepamięć po wydarzeniach II wojny światowej, i różnych przeobrażeniach społecznych. Science fiction długi czas uważano za literaturę młodzieżową i raczej rozrywkową lub też za „ucukrowany" wariant popularyzacji osiągnięć nauki. Podobnie działo się zresztą i w innych krajach socjalistycznych.

Przywykliśmy wówczas do takiego traktowania tej literatury, co nie bardzo rozumieją ludzie z zagranicy, nie orientujący się w naszych specyficznych problemach, sprawach rozwojowych i sytuacji. Wierzyliśmy, że nie ma powiązań między współczesną madziarską SF a naszymi starszymi tradycjami tego pisarstwa. Nasi zachodni koledzy nie pojmowali czasem, wobec ogromnego zapotrzebowania na książkę, nie drukuje się u nas więcej utworów czy czasopism SF, żeby zaspokoić czytelnicze żądania. Podobnie działo się z filmem, telewizją, a także w dziedzinie sztuki. Po prostu nawyk nie wytwarza się od razu, jeśli nie inspirują go od dzieciństwa twórcy, oferujący odpowiednie gry, zabawki, modele, filmy, programy telewizyjne, czy tysiące komiksów o tematyce SF, a także jeśli ma się do czynienia z brakami technologicznymi i z niepełnym rozwojem nauki, mającej przecież wspomagać życie codzienne.

W owym czasie traktowano więc jeszcze science fiction z pewną podejrzliwością i ostrożnością. Czynili to zwłaszcza poniektórzy wydawcy i autorzy głównych nurtów literatury. A także większość krytyków, odmawiając fantastyce oryginalności, odsuwając ją na margines. Była to sytuacja kontrowersyjna i jeśli pragnie się ją pojąć należy brać pod uwagę ukazane tutaj sprzeczności.

2.

Każde życie kulturalne określają charakterystyczne procesy, wywołane - spójrzmy na to z pewnym uproszczeniem - przez trzy główne grupy ludzi, aktywnie działających. Ci ludzie to przede wszystkim twórcy: autorzy, reżyserzy, kompozytorzy, plastycy. Oni kreują nowe utwory rozpowszechniane w postaci książek, filmów, muzyki czy obrazów przez pośredniczącą drugą ważną grupę. Dostarczają je grupie trzeciej: odbiorcom - czytelnikom, kinomanom, publiczności telewizyjnej, radiowej i teatralnej. „Pośrednicy" to głównie wydawcy, producenci, ajenci, i kupcy. Spróbujmy przyjrzeć się działaniom wszystkich trzech grup na rynku twórczości science fiction na Węgrzech.

To autorzy uformowali w Związku Pisarzy Węgierskich Komitet Roboczy Science Fiction jeszcze na początku lat siedemdziesiątych. Odbywa on odtąd regularne cotygodniowe sesje. Dyskutuje się więc o problemach rozpowszechniania, estetyki i krytyki SF. Raz w miesiącu odbywają się w Komitecie odczyty na temat zagadnień naukowych związanych z twórczością fantastyczną: z dziedziny astronomii, prehistorii, archeologii, fizyki, chemii, biologii, technologii, badań przestrzeni kosmicznej, cybernetyki, robotyki itp. Pokazuje się tam również i filmy, a ostatnio także filmy z wideokaset. Takie, których nie dałoby się obejrzeć gdzie indziej w naszym kraju. Odbywają się u nas, na Węgrzech, również różne spotkania na większą, szerszą skalę poświęcone omawianiu tego gatunku literatury jakim jest science fiction. Bierzemy udział w życiu wielu międzynarodowych instytucji przez reprezentantów naszego kraju. Między innymi chodzi o takie międzynarodowe organizacje jak World Science Fiction czy Europejski Konwent SF. Sami także organizujemy międzynarodowe spotkania, w których uczestniczą autorzy i krytycy Z krajów socjalistycznych. Komitet Roboczy w Związku Literatów liczy 60 członków. Oprócz autorów-pisarzy skupia jednocześnie plastyków, muzyków i lu-

dzi filmu. Udział tych różnych grup twórczych jest tym ważniejszy, że nie mają one w swoich związkach wyspecjalizowanych sekcji fantastyki. Przewodniczy Komitetowi niżej podpisany, sekretarzem spraw zagranicznych jest Peter Szabo, a sekretarzem generalnym Laszlo L. Lorincz. Biuletyn Komitetu ukazuje się cztery razy do roku na 80-100 stronicach w nakładzie 200 egzemplarzy. Ma charakter informacyjny. Zawiera również artykuły teoretyczne, krytyczne, prace badawcze i felietony. Redaguje biuletyn pisarz Zoltan Csernai. Z Komitetem w Związku Pisarzy współpracuje ściśle bliźniacza organizacja, utworzona w Związku Dziennikarzy Węgierskich. Członkowie jej to przeważnie młodzi żurnaliści, początkujący pisarze i krytycy, pracownicy radia i programów telewizyjnych. W Telewizji Węgierskiej istnieje specjalny oddział- „Elektroniczna Grupa Eksperymentalna" - zajmujący się głównie emisją utworów o tematyce fantastycznej, np. filmów opartych na twórczości Asimova, Sheckleya, Calvino, Lema, czy Aleksego Tołstoja. Robi się tu, co warto nadmienić, serie obrazów filmowych osnutych na tematyce wielkich mitów ludzkości. Inne działy Węgierskiej TV także produkują filmy SF. Ich liczba nie przekracza jednak rocznie 6-8 obrazów. Ze względu na wysokie koszty i trudności techniczne nasza twórczość filmowa, ta wielkoekranowa, nieczęsto sięga do specyfiki fantastycznej. Istnieją zaledwie dwa większe dzieła filmowe. Jedno z lat siedemdziesiątych „Okna czasu" (reżyseria T. Fejer, scenariusz P. Kuczka) i drugie z roku 1982, zatytułowane „Transport" (reż. A. Szurdi, scen. P. Kuczka). Wysoki poziom reprezentują węgierscy plastycy z obszaru SF. Z nich największy rozgłos uzyskali: Gjórgy Korga, Laszlo Panner, Pal Vergha, Laszlo Gyemant, Laszlo Amon, Tamas •Szecsko i inni. Oprócz okładek i ilustracji książkowych wykonują oni liczne obrazy, grafiki i rzeźby. Organizuje się wiele indywidualnych wystaw, a także wystaw zbiorowych tych artystów. Na Węgrzech zrodziły się pierwsze na świecie serie znaczków pocztowych o tematyce fantastycznej, dzieło artysty Pala Varghi. Na razie mniejsze znaczenie, w przyszłości prawdopodobnie duże perspektywy rokują widowiska, w których stosuje się laserowe metody projekcji obrazów.

Dotychczas jednakże nie przyznano ani jednej państwowej nagrody za dzieła z dziedziny science fiction. Węgierscy twórcy SF otrzymują odznaczenia i wyróżnienia na innych polach swej działalności.

3.

Spójrzmy z kolei na tych, którzy pośredniczą w emitowaniu twórczości fantastycznej. Większość naszych oficyn wydawniczych publikuje nieregularnie utwory SF. Są to dzieła zarówno rodzimych, jak i zagranicznych autorów. Drukuje się je w okładkach twardych lub zbroszurowanych, tak samo jak to się dzieje zresztą i w innych krajach. Niektóre prace od razu otrzymują twarde oprawy, inne z miejsca - zbroszurowane i tak już pozostaje w następnych wydaniach.

Specjalne serie książek SF wydają tylko dwie oficyny. Wydawnictwo im. Kossutha wystąpiło na rynek z serią klasyki w twardych okładkach. Było to w roku 1982. Nieco wcześniej opublikowano serie klasyki w zbroszurowanych tomach. Należy w tych seriach odnotować szczególne sukcesy niektórych dzieł. Wymieniłbym tu kilka z nich. Na przykład „Ostatni człowiek" Petera Bogatiego, „Na ostrzu brzytwy" Iwana Jefremowa, „Akcja Neutro" Istvana Nemerego. W seriach, o których mowa, książki wydawano w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy!

Większość węgierskiej fantastyki publikuje wydawnictwo Mora w trzech zasadniczych seriach. W serii z Delfinem, redagowanej przez Miklosa Ronaszegi, ukazują się książki (powieści i nowele) przede wszystkim dla nastolatków. Sam Ronaszegi to twórca wielu powieści SF i zdolny wydawca. To co publikuje ma duże znaczenie. Z książek autorów obcych wymieniłbym tu dzieła Clarke'a i Lestera del Rey, a z węgierskich powieść humorystyczną Petera Töke pod nieprzetłumaczalnym na inne języki tytułem „Anyavigak". Drugą serię Wydawnictwa Mora stanowi „Kosmos", pod redakcją Petera Kuczki. Są to najpopularniejsze książki science fiction na Węgrzech. Dotychczas wyszło już 100 tomów. Ukazuje się zaś rocznie 8-10 tytułów. Z tego 30-35 autorów węgierskich klasyków lub współczesnych. Jozsef Cserna, Maria Szepes, Peter Szentmihalyi Szabo, Istvan Kaszas, Kalman Papay, Bela Kasztowszky, Gyula Fekete, Zoltan Csernai, Peter Zsoldos, Lajos Mesterhazi - oto główni reprezentanci serii. Oraz klasycy: Frigyes Karinthy, Mor Jokai, Geza Laczko, Endre Darazs i inni. Ambicją twórców serii jest ukazanie wszystkich kierunków rozwoju science fiction na całym świecie. Dlatego drukuje się utwory Rosjan, Rumunów, Polaków, Czechów, Japończyków, Francuzów, Niemców, Anglików, Włochów, Hiszpanów, Argentyńczyków i Amerykanów. W tym pisarzy amerykańskich najbardziej znanych: Asimova, Bradbury'ego, Simaka, Sheckleya, Le Guin.

Tomy serii publikuje się w nakładach od 60 tysięcy do nawet 200 tysięcy egzemplarzy! Bardzo niskie są ceny! Okładki wykonują znani i uznani artyści, o których już tutaj mówiono.

Warto także nadmienić, że w tym samym wydawnictwie Mora wychodzi 4-6 razy w roku bardzo popularny i znany już także za granicą magazyn science fiction „Galaktika". Mamy zamiar uczynić z niego regularnie wydawany miesięcznik fantastyczny. Ponad pięćdziesiąt opublikowanych dotychczas numerów obrazuje przeszłość i teraźniejszość literatury gatunku science fiction. Publikuje się najlepsze opowiadania z całego świata. Oczywiście trudno tu wyliczać nazwiska nawet najbardziej liczących się autorów, zajęłoby to zbyt wiele miejsca. Oprócz numerów zwykłych, „mieszanych tematycznie", publikujemy także numery monotematyczne lub też poświęcone pojedynczym autorom. Bywają także numery różnych krajów. Ilustracje „Galaktiki" są poszukiwane i kolekcjonowane. W ubiegłym roku 1982 wielkie zainteresowanie wzbudził numer poświęcony bohaterskiej baśni - rodzajowi fantasy. Po raz pierwszy wówczas zademonstrowano na Węgrzech ten rodzaj fantastyki. „Galaktika" wystartowała nakładem 25-30 tysięcy, obecnie ma 90-95 tysięcy egzemplarzy. Sukcesem wydawniczym na Węgrzech była edycja „Nowego wspaniałego świata" Aldousa Huxleya z nakładem 185 tysięcy egzemplarzy, a także opublikowanie „Opowieści Następnego Stulecia", klasycznego dzieła Mora Jokaia. Dzieło to, które pochodzi z roku 1872, opisuje dzieje wojny w XX stuleciu. Zajmuje 900 stronic. Edycję przygotowała bardzo starannie Węgierska Akademia Nauk, opatrując ją licznymi objaśnieniami.

4.

Ludność Węgier, w obecnych granicach państwa, liczy około 10,5 miliona osób. Myślę, że należy to mocno zaakcentować, biorąc pod uwagę run na literaturę science fiction. Poszczególne książki SF, serie, a także numery „Galaktiki" sprzedaje się w potężnych przecież nakładach w stosunku do liczby ludności i to w ciągu zaledwie kilku dni. Później są już do kupienia na wolnym rynku, w cenie podwojonej lub potrojonej, czasem nawet dziesięciokrotnie przewyższającej pierwotną.

Ten gatunek literatury należy do najpoczytniejszych w bibliotekach publicznych. Według danych, otrzymanych na podstawie wnikliwych badań, większość czytelników rekrutuje się z osób o zainteresowaniach naukowych lub technicznych. Jednakże wśród rzeszy czytelniczej można znaleźć przedstawicieli wszystkich zawodów. Podobnie statystyki kinowe odnotowują ogromne zainteresowanie publiczności tematyką SF. Film George'a Lucasa „Gwiezdne wojny" ma publiczność liczącą 3 miliony widzów, filmy Spielberga - 2,5 miliona. Nawet słabsze obrazy fantastyczne zajmują wysokie miejsca w tego rodzaju statystykach zainteresowań kinomanów. Rzecz ma się niemal identycznie z publicznością audycji radiowych i programów telewizyjnych o tematyce SF. Także dzieła z zakresu teorii literatury fantastycznej prawda, że należą one do rzadkich ewenementów - sprzedaje się w nakładach 15 i 20-tysięcznych.

Nie istnieją w naszym kraju kluby książki SF. Natomiast czytelnicy, tak samo jak i gdzie indziej na świecie - organizują kluby miłośników, fanów. Tam dyskutuje się o gatunku, pokazuje filmy, zaprasza autorów, wydaje fanziny. Około czterdziestu klubów znajduje się na uniwersytetach, w domach kultury i w organizacjach młodzieżowych. W sumie - czyni to około 3000 członków. Około 10 procent tych fanów to aktywiści. Piszą, malują, komponują. Kluby współdziałają nie tylko z krajowymi, lecz także i międzynarodowymi organizacjami fanowskimi. Przedstawiciele ich uczestniczą w międzynarodowych konferencjach, czy jak to się określa - konwentach. Największy z takich klubów pracuje w Budapeszcie. Działa pod egidą Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, organizacji popularyzującej wiedzę. Dąży się do tego, aby funkcjonowanie klubów koordynowała centralna rada klubowa. Niestety, bez większego sukcesu.

W ostatnich latach kluby organizują dość regularnie swoje doroczne spotkania zwane Hungaroconami i wręczają ufundowaną przez siebie nagrodę im. Juliusza Verne'a najlepszym autorom. Jest to rodzaj węgierskiej nagrody Hugo. Mimo ambicji, aby nagroda ta stała się czymś znaczącym, kontakty między klubami a organizacjami zawodowców w dziedzinie SF, a także między klubami a wydawnictwami są raczej bardzo rzadkie.

Przełożył **Adam Hollanek**

1950

SF dla dorosłych (ASF):

58. [ADAMOV Grigorij]: Wygnanie władcy. Tłum. z ros. S. Furmanik. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 455, nlb. 3. Na k. tyt. aut.: G. Adamów.
59. [NĚMCOV Vladimir]: Błękitny promień. Tłum. z ros. Janusz Przymanowski. Warszawa. Wyd. „Prasa Wojskowa" [MON). 8° ss. 93, nlb. 2.15 000 egz. Nauka – Fantazja - Przygoda. - Na k. tyt. aut.: W. Niemców.
60. SAPARIN [Viktor]: Tajemnicze zniknięcie inż. Bobrowa. Tłum. z ros. Janusz Przymanowski. Wyd. II. Warszawa. Wyd. „Prasa Wojskowa" [MON]. 8° ss. 43, nlb. 2. 10 000 egz. Nauka - Fantazja - Przygoda. - Na k. tyt. aut.: W. Saparin.
61. [STUDITSKIJ Al.]: Wąwóz Batyrłar-Dżoł. Tłum. z ros. Janusz Przymanowski. Wyd.-II uzupełnione. Warszawa. Wyd. „Prasa Wojskowa" [MON], 8° ss. 111, nlb. 1. 10 000 egz. Nauka - Fantazja - Przygoda..- Na k. tyt. aut.: Al. Studzicki.
SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):
62. VERNE [Jules]: [Dwadzieścia tysięcy] 20 000 mil podwodnej żeglugi. T. I/II. Tłum. z franc. Bolesław [na t. I mylnie: Bronisław] Kielski. Wyd. II powój. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° T. I wyd. 1950, ss. 235, nlb. 2; T. II wyd. 1951, ss. 255, nlb. 2. 10 000 egz. Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.
Utopia (U):
63. FRANCE Anatol [e]: Wyspa pingwinów. Tłum. z franc. Jan Sten. Wyd. III, powój. II. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 276, nlb. 4. 10 000 egz.
64. KRASICKI Ignacy: Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. Wstęp i koment.: Bronisław Gubrynowicz, [Wyd. V od r. 1918, powój. II - w notce mylnie: III - pełne]. Wrocław. Ossolineum. 16° ss. XXXIV, 158, nlb. 1. 10 000 egz. Biblioteka Narodowa. Seria I, nr. 4. PLATOV L: Archipelag... - zob. 1951 (antydat.).
Fantazja dla dorosłych (AF):
65.BALZAC [Honore de]: Jaszczur. Tłum. [z franc,] i wstęp Tadeusz Żeleński Boy. Wyd. II. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 291, nlb. 3. 10 000 egz. Komedia ludzka. - Na k. tyt. aut.: Balzac.
Horror (W):
66.REYMONT Władysław St[anisław]: Wampir. Oprać. Adam Bar. Przedm.: Zygmunt Szweykowski. Wyd. VI [powój. I]. Warszawa. Gebethner i Wolff. 8° ss. 263, nlb. 1.
Krytyka, biografia, film (R):
67.[ĔVNINA Ĕ. M.]: Rabelais. Tłum. z ros. S. Marcinkowski [i in. Cytaty z „Gargantui i Pantagruela" tłum. [z fran.] Tadeusz Boy Żeleński. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. VII, 1 nlb., 385, tabl. 21. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: E. M. Jewnina.
68.ZIOMEK Jerzy: Ignacego Krasickiego „Historia na dwie księgi podzielona". Wrocław. Wydawnictwo Uniwersytetu i Politechniki. 8° ss. 44. Odb. z „Pamiętnika Literackiego", R: 1950, zesz. 2.

1951

SF dla dorosłych (ASF):

69.[IVANOV Valĕntin]: Władcy energii. Powieść naukowo-fantastyczna. Tłum. z ros. Alfred Windholz. Warszawa. Wyd. „Prasa Wojskowa" [MON]. 8° ss. 190, nlb. 2.10 000 egz. Nauka
Fantazja - Przygoda. - Na k. tyt. aut.: Walenty Iwanow.
70.KANDYBA F[edor): Gorąca ziemia. Tłum. z ros. Adela Kordysz. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 272, nlb. 1. 10 000 egz. Nauka - Fantazja - Przygoda.
71.LEM Stanisław: Astronauci. Powieść fantastyczno-naukowa. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 334, nlb. 4. 10 000 egz.
72.[NĚMCOV Vladimir]: Rekord wysokości. Powieść naukowo-fantastyczna. Tłum. z ros. A. i B. Maliniakowie. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 107, nlb. 1.10 000 egz. Nauka-Fantazja
Przygoda. - Na k. tyt. aut.: W. Niemców.
73.[OCHOTNIKOV Vadim]: Drogi podziemne. Tłum. z ros. Wł. Kałuba. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 179, nlb. 1. 10 000 egz. Nauka - Fantazja - Przygoda. - Na k. tyt. aut.: W. Ochotników.
74.[OCHOTNIKOV Vadim]: W świecie poszukiwań. Tłum. z ros. M[arta] Berlingowa. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 238, nlb. 2. 10 000 egz. Nauka - Fantazja - Przygoda. - Na k. tyt.. aut.: W. Ochotników.
SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):
75.[DMITRIĔV V.]: Podróż w krainę jutra. Tłum. z ros. Maurycy Zajdelman. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 70, nlb. 2. 10 000 egz. CJSF/Futurology. - Na k. tyt. aut.: W. Dmitrijew.
VERNE J.: 20 000 mil... - zob. 1950.
Utopia (U)
76.[BELAĔV Sĕrgĕj]: Dziesiąta planeta. Tłum. z ros. O. Winiecki. Warszawa. Wyd. MON. 8P ss. 62, nlb. 10 000 egz. Nauka - Fantazja - Przygoda. - Na k. tyt. aut.: S. Bielajew. Utopia/ ASF.
77.BIELICKI Marian L[ech]: Bakteria 0,78. Powieść. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 200, nlb. 4. 10 000 egz.
78.ČECH Svatopluk: Wyprawa pana Brouczka w XV stulecie. Tłum. z czesk. M[arta] Erhardt. Wyd. I powój. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 197, nlb. 2, tabl. 10. 10 000 egz. Utopia/AF.
79.[ČĔRNYŠĔVSKIJ Nikołaj]: Co robić? Z opowiadań o nowych ludziach. Powieść. Tłum. z ros. Jerzy Bręczkowski. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss, 545, nlb. 2, tabl. 6. 10 000 egz. Na k. tyt. aut : Mikołaj Czernyszewski. - Książka realistyczna z elementami fantastyki.

cdn. Przygotował **Jacek Izworski**

W 1980 r. doktor William Schopf z Uniwersytetu Kalifornii w Los Angeles przewodził wyprawie badawczej, przeszukującej jeden z najbardziej niegościnnych zakątków świata jałową, skalistą, bezwodną pustynie północno-zachodniej Australii. Nie ma na niej właściwie nic poza skałami i piaskiem. Ale za to skały powierzchniowe są wyjątkowo stare, przetrwały prawie bez zmian trzy i pół miliarda lat! Takich skał „na wierzchu" Ziemi już prawie nie ma, podobne można znaleźć tylko na Grenlandii, w Kanadzie i w Afryce Południowej. Nic dziwnego, że uczeni z Los Angeles spodziewali się ciekawych odkryć. Ale to, co znaleźli, przeszlo najśmielsze oczekiwania.

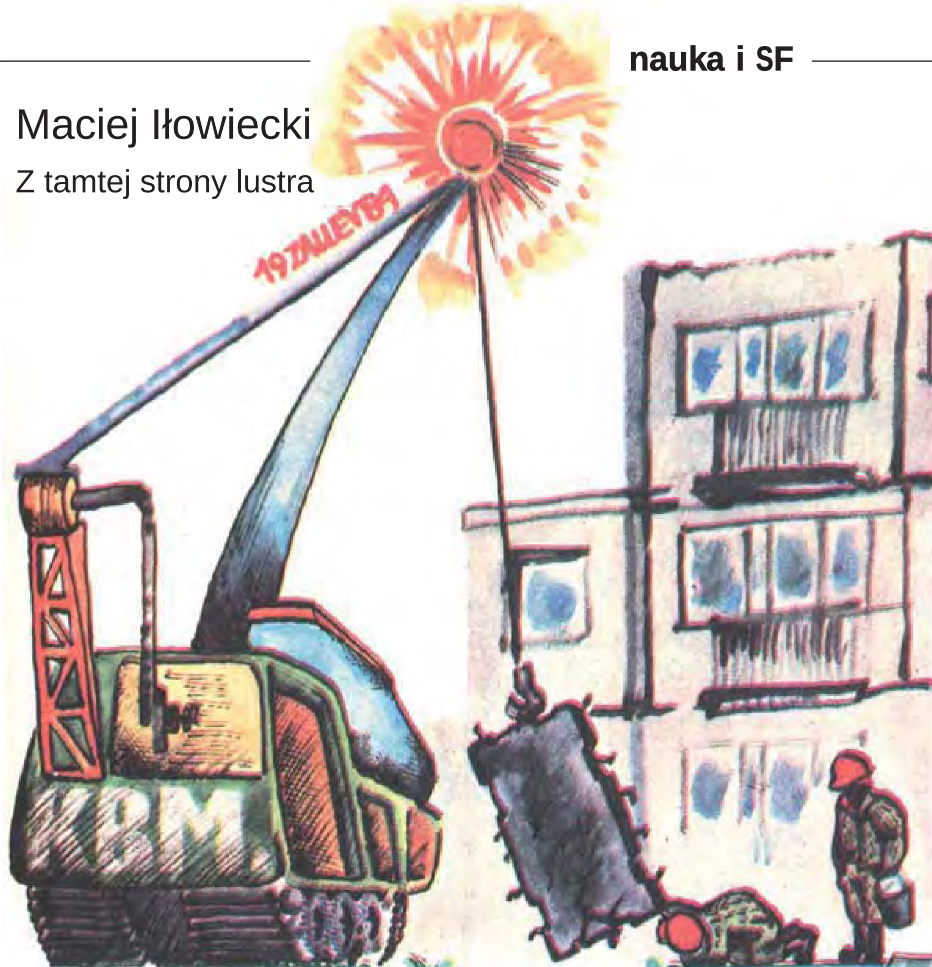
Oto po odwaleniu jednego z pękniętych bloków skalnych zauważyli utrwalone w kamieniu pozostałości po jakichś żywych istotach! Były to naturalnie organizmy bardzo proste, ale już ukształtowane w komórki i połączone w łańcuszkowate twory „jak perełki na nitce" - wedle określenia Schopta. Uczeni zawieźli mikroskamieliny do laboratoriów uniwersyteckich. Stwierdzono tam, iż po pierwsze owe „zorganizowane elementy" mają taki sam wiek, jak skała, to znaczy 3,5 mld lat. Po drugie, że na pewno egzystowały już wtedy w formie komórek. Po trzecie, że pobierały z otoczenia dwutlenek węgla, co wskazuje iż były zdolne do fotosyntezy. Mało tego: dowiedziono, że stanowiły 5 różnych form, wyraźnie od siebie odróżnialnych, mających inne szczegóły budowy. Wniosek oczywisty: przed trzema i pół miliardami lat życie na Ziemi było już rozwinięte i zróżnicowane.
Kiedy Schopf ogłosił ten wniosek na sympozjum w Los Angeles, niewielu było biologów, chcących mu uwierzyć. Rzecz w tym, że wedle przyjętych

KAMIEŃ

powszechnie poglądów (nieźle przecież przez naukę uzasadnionych), przed trzema i pół miliardami lat formy życia nie mogły być aż tak rozwinięte, musiały być znacznie prostsze. Nadto, o czym mogła świadczyć ich złożoność? Po prostu o tym, że musiały być jeszcze znacznie starsze. niż skała, która je utrwaliła, bo musiały mieć przecież jeszcze sporo czasu na ewolucję. Wszystko to nie bardzo zgadza się z hipotezami na temat formowania się globu ziemskiego i następnie ewolucji na nim życia. Wedle bowiem przyjętych dziś powszechnie ocen, wiek Ziemi zamyka się w granicach od 6 do 4,2 miliarda lat, z tym, iż większość znawców skłania się do przyjęcia 4,5 mld lat. Różne są też oceny trwania planety w formie rozżarzonego obłoku materii i potem w chaosie gigantycznych przekształceń geologicznych. Takich, w czasie których istnienie czegoś podobnie kruchego jak życie było po prostu i na pewno niemożliwe.
Oceny czasu trwania różnych wydarzeń w przeszłości nigdy nie są pewne i mogą być różne, ale jakąkolwiek z obecnie dopuszczalnych hipotez by przyjąć, Ziemia jest zwyczajnie za młoda na to, żeby życie mogło się na niej wyłonić ewolucyjnie już przed około czterema miliardami lat. A tak by być musiało, skoro przed 3.5 mld lat istniały już komórki; notabene wedle ocen większości badaczy, życie w formie komórkowej powinno się na Ziemi pojawić najwcześniej przed około 2,3 - 2,5 mld lat... Znaleziono już wprawdzie w skałach zachodniej Grenlandii ślady życia sprzed 3,8 mld lat, ale były to jakieś formy przedkomórkowe - i zresztą do dziś trwa spór, czy nie są to czasem tzw. artefekty, czyli struktury powstałe w trakcie samego badania materiału skalnego albo substancje, które dostały się tam później Tak więc powstają trzy możliwości. Pierwsza, że Schopf się omylił. Przeciw takiej możliwości świadczy fakt, iż jego znalezisko zbadano niezależnie i różnymi metodami pięć ekip w laboratoriach USA i Australii, potwierdzając zarówno wiek skaty, jak i wiek owych prakomórek oraz stopień ich zorganizowania.
Druga możliwość - że mylne są oceny wieku Zie-

Maciej Iłowiecki

Z tamtej strony lustra



DO ODWRÓCENIA

mi. Oceny te są jednak dokonane metodami dość dobrze już sprawdzonymi, opartymi m.in. na analizie promieniotwórczości ziemskich minerałów, na analizie proporcji i składu pierwiastków planety, a także na innych przesłankach. Nadto, gdyby przyjąć inny wiek Ziemi, musiałyby runąć dobrze ugruntowane teorie ewolucji takich układów gwiezdnych, jak Słoneczny, to zaś pociągnęłoby za sobą istotne zmiany we wszelkich teoriach astrofizycznych. Przewrót w astrofizyce i kosmogonii jest oczywiście możliwy zawsze, ale też zwykle sprawdza się w nauce i taka zasada: wyjaśnienia tajemniczego faktu lepiej szukać w hipotezach prostszych, niż w tak skomplikowanych, że aż wymagających zmiany dobrze ugruntowanej teorii.

Pozostaje więc trzecia możliwość: że w momencie, kiedy istniały już na Ziemi warunki dla pojawienia się życia, pojawiło się ono znacznie szybciej, niż sądzono dotychczas. To znaczy, wyłoniło się z „pierwotnej zupy" w sposób „skokowy", nagły, nie tracąc czasu na powolną ewolucję. Hipoteza „skoku" nie jest sprzeczna z prawami przyrody, wydaje się niezwykła dlatego, że przeczy naszym powszechnie już utrwalonym poglądom, naszej wierze w powolność ewolucji. Hipoteza „skoku" wymaga wszakże czegoś jeszcze: mianowicie przyjęcia dodatkowego założenia o istnieniu jakiegoś „zapłonu". Ów zapłon, niczym iskra podłożona pod beczkę prochu spowodował nagły „wybuch życia". To znaczy, w sposób nagły zmienił potencjalną możliwość w realne istnienie.

Nie jest to pomysł z zakresu fantastyki naukowej - koncepcję „zapłonu" głosi np. jeden z najwybitniejszych dziś biologów radzieckich, Nikołaj P. Dubinin, kierujący Instytutem Genetyki Ogólnej AN ZSRR w Moskwie (.ab. członek zagraniczny PAN). W rozmowie z W. Osiatyńskim („Zrozumieć świat. Rozmowy z uczonymi radzieckimi", Czytelnik 1980) uczony powiedział:„ Wydaje mi się, że do powstania życia nie wystarczy! sam budulec. Potrzebny byt jeszcze jakiś - jak dotąd bliżej nam nie znany - zapłon. Osobiście sądzę, że zapłon ten zadziałał tylko raz. (...) Gdyby zjawisko to się powtarzało, wówczas dziedziczność DNA byłaby zapisana na różne sposoby". Z drugiej strony wiadomo, że wszystkie aminokwasy wchodzące w skład białek organizmów ziemskich mają pewną cechę budowy, nazwaną lewoskrętnością. Aminokwasy wytworzone w sztucznych warunkach w laboratorium nie są wyłącznie lewoskrętne, są zawsze mieszaniną związków lewo i prawoskrętnych. W „pierwotnej zupie", to znaczy w mieszaninie różnych wielkocząsteczkowych związków, z których wykształciły się żywe struktury, ilość lewo- i prawoskrętnych aminokwasów musiała być równoważna. Ponieważ obie te formy mają identyczne cechy chemiczne, nie ma powodu, by którąś formę życie mogło „preferować". Zatem „lewoskrętność" budulca życia na Ziemi musi być sprawą przypadku. Skoro zaś tak, przypadek ów mógł zdarzyć się tylko raz. Gdyby zaś wszystko to trwało bardzo długo, musiałyby się tworzyć po równi formy prawoskrętne i lewoskrętne, i gdyby nawet owe „lewoskrętne" wygrały jakoś wyścig ewolucyjny, pozostałoby przecież trochę i tych „prawoskrętnych". Wątpliwości zresztą mnożą się - dlaczego „lewe" miałyby akurat wygrać, skoro „lewoskrętność" nie daje żadnych przywilejów?

Żeby wszystko było jeszcze bardziej skomplikowane można dodać, iż istnieje jednak na Ziemi bardzo nieliczna grupa mikroorganizmów, które w ścianach komórek - i tylko w nich, mają aminokwasy właśnie prawoskrętne! Nauka nie zna przyczyn tego stanu rzeczy. Ale i to nie koniec dziwności. Otóż w wielu meteorytach pochodzących z przestrzeni pozaziemskiej wykryto, jak wiadomo, liczne substancje organiczne, m.in. węglowodory, kwasy tłuszczowe, alkohole, aldehydy, ketony, różne związki heterocykliczne (takie, jakie na przykład wchodzą w, skład słynnego DNA), a także właśnie aminokwasy, podstawowe cegiełki białka. Sęk w tym, że owe pozaziemskie aminokwasy są na ogół prawoskrętne (choć nie brak w meteorytach i „lewoskrętnych"). W każdym razie proporcje są znowu naruszone, a jest pewne, że gdyby owe meteorytowe, kosmiczne aminokwasy tworzyły się na drodze syntezy abiogennej (to znaczy poza organizmem żywym) musiałyby być mieszaniną „lewych" i „prawych" w równowadze. Hipoteza wyjaśniająca ten fakt jest „zbyt fantastyczna" - mianowicie, że aminokwasy z niektórych przynajmniej meteorytów były kiedyś częścią jakichś pozaziemskich istot białkowych, które jednak - odwrotnie niż ziemskie wybrały właśnie „prawoskrętność". Wszystko jest tu w gruncie rzeczy niejasne i rzeczywiście sprawa lewo- i prawoskrętności aminokwasów ziemskich i pozaziemskich jest wyjątkowo tajemnicza i naprawdę trudna do wyjaśnienia. W każdym razie, jak dotąd nie znaleziono dobrego i prostego wyjaśnienia tej kwestii.

Po tej dygresji wracam do sprawy wyjściowej. Oto wiek prakomórek Schopfa, powszechna jednolitość kodu genetycznego i właśnie lewoskrętność ziemskich aminokwasów wspierają hipotezę „zapłonu". Pozostaje jedynie drobiazg: co było owym zapłonem? Dubinin unika bezpośredniej odpowiedzi. Możemy snuć domysły: zapłonem byłżeby odpowiednio bliski wybuch gwiazdy supernowej? Gwałtowna katastrofa na Słońcu i wzrost promieniowania, które „pobudziło" nieruchawe związki organiczne „pierwotnej zupy" do samoorganizacji w struktury wyższego rzędu? Wielkie zderzenie Ziemi z jakimś ciałem kosmicznym? Wszystko to jest teoretycznie możliwe, pozostaje wszakże pewna wątpliwość. W felietonie „Wielkie wymieranie" („Fantastyka" nr 3/84) przytoczyłem hipotezy wyjaśniające zagładę dinozaurów 65 mld lat temu. Hipotezy te również opierają się na założeniu katastrofy i zresztą nieźle ją uzasadniają. Chodzi tylko o to - czy nie za dużo owych katastrof? Czy słuszne byłoby założenie, że większość istotnych w ewolucji życia momentów, większość zdarzeń kształtujących dzisiejsze oblicze życia na Ziemi i nas samych miałoby być wynikiem przypadkowych katastrof?

Jeśli odstąpić od hipotezy kosmicznych katastrof, pozostają jeszcze inne możliwości. Wymienię dwie. Pierwsza, że - jak chcą najmodniejsze obecnie teorie Prigogine'a i Eigena (obaj laureaci Nobla) - związki chemiczne na pewnym etapie skomplikowania swej budowy zaczynają się „samoorganizować" i nieuchronnie muszą utworzyć żywe struktury. Życie byłoby więc wedle tej hipotezy immanentną (jak się to uczenie powiada) cechą materii, koniecznością, którą w odpowiednich warunkach materia zawsze musi sama osiągnąć. Nie potrzeba tu, oczywiście, żadnych impulsów z zewnątrz ani katastrof. Upraszczam te niezmiernie trudne teorie; ale chodzi o ich sens najogólniejszy. Stworzony przez Eigena matematyczny model tzw. hypercykli wskazuje właśnie, iż życie musiało pojawić się nagle, skokowo, i że początkowo jego rozwój ewolucyjny przebiegał bardzo szybko i „sam się napędzał".

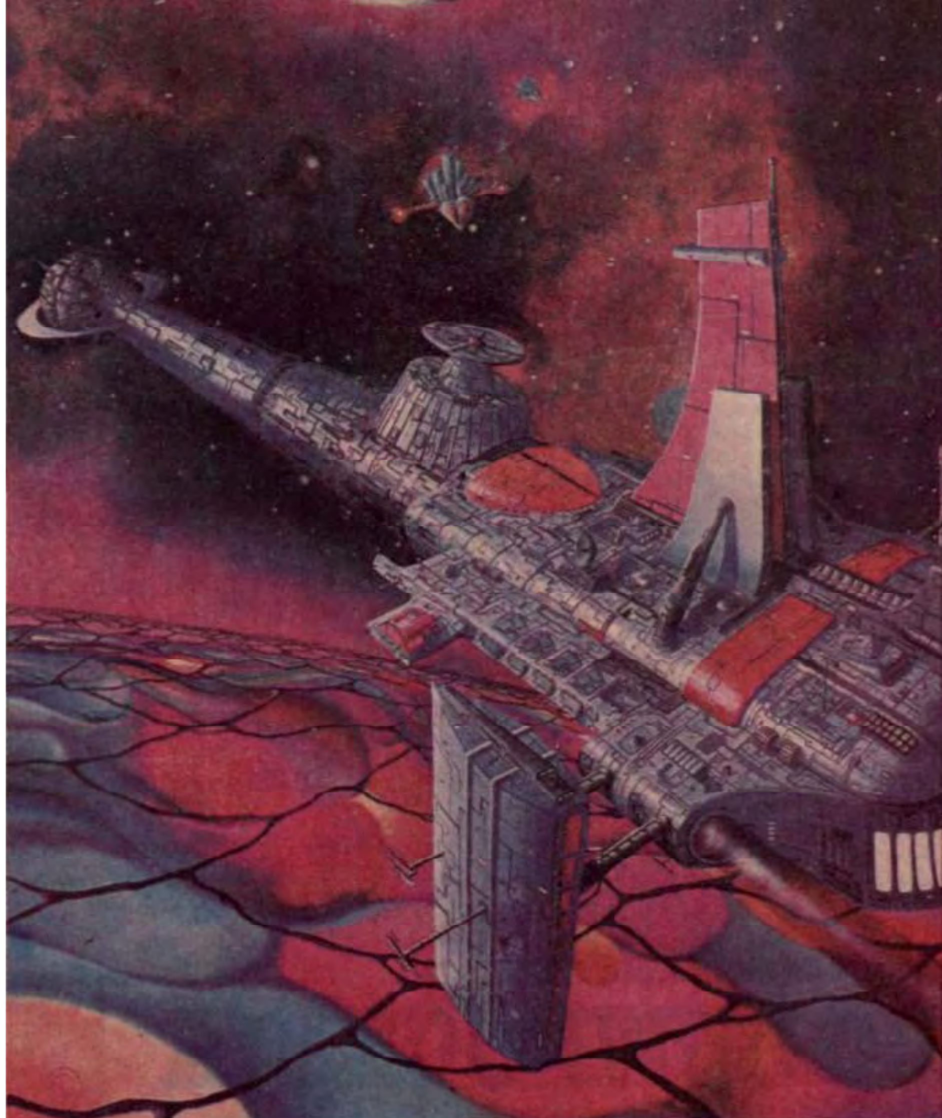
Wielu wybitnych uczonych nie przyjęło jeszcze w pełni tej hipotezy. Nie miejsce tu, by przytaczać argumenty przeciw. Niektórzy sądzą, że samorzutne wyłonienie się życia z materii martwej - czy to drogą przypadku, zapłonu, czy to w wyniku samorzutnej „samoorganizacji" materii - byłoby po prostu niemożliwe. Tak wybitny uczony, jak noblista Francis Crick, współodkrywca struktury DNA, czyli fundamentu współczesnej biologii molekularnej, woli inną, przecież jeszcze bardziej niezwykłą możliwość. Że mianowicie życie jest o wiele starsze od Ziemi, że towarzyszy innym układom gwiezdnym od dawna, że podróżuje w Kosmosie i właśnie stamtąd przybyło i osadziło się na Ziemi. Trudno w to uwierzyć, ale racjonalista Krick idzie jeszcze dalej: życie na Ziemi zostało posiane przez KOGOŚ świadomie! To znaczy, że jakaś starsza od naszej cywilizacja w odpowiednim czasie przesłała na Ziemię zarodki życia.

William Schopf, który swym rozgrzebaniem skał w Australii sprawił nauce tyle kłopotu, powiedział w którymś z wywiadów:„wiele jeszcze pozostało kamieni do odwrócenia." Otóż właśnie: niezależnie od tego, ile jeszcze pojawi się zdumiewających hipotez i które z nich uznamy za zasadne, jest rzeczą najwspanialszą, że tyle jeszcze zostało kamieni do odwrócenia i że pod każdym z nich zawsze jeszcze można znaleźć coś nieoczekiwanego.

Na pytanie o liczbę planet w naszym układzie wykształcony laik bez trudu odpowie - dziewięć. Czy jednak a pewno jest ich 9? Amerykańscy astronomowie analizując zakłócenia orbit Urana i Neptuna doszli do wniosku, że w Układzie Słonecznym istnieje jeszcze jedna, nie odkryta dotychczas planeta. Obserwowane zakłócenia wskazują, ich zdaniem, na istnienie znacznej masy lub skupiska mas na zewnątrz orbity ostatniego (na razie) w naszym układzie Plutona. Zakłócenia te mogą być wywołane przez planetę zbliżoną rozmiarami do Plutona i oddaloną od niego o 8 mld km. Zatem me 9, a 10 planet. Czy jednak na pewno 10?

W skład Układu Słonecznego wchodziła w przeszłości jeszcze jedna planeta - twierdzą astronomowie. Jej miejsce określone zostało hipotetycznie w 1766 r. Wówczas to niemiecki astronom J. D. Titius odkrył prawidłowość w odległościach kolejnych planet od Słońca, upowszechnioną następnie przez innego Niemca Bodego i znaną współcześnie pod nazwą reguły Titiusa-Bodego. Reguła ta głosi, że przyjmując odległość Ziemi od Słońca za jednostkę astronomiczną (n) odległość pozostałych planet Układu od naszej gwiazdy można określić wg wzoru:

$$0,4 + (0,3 \times 2^n)$$



Poszukiwacze planet

Marek Car

Od wspomnianej reguły istnieją dwa wyjątki. Je, autor nie przewidział lokalizacji odkrytego w 1846 r. Neptuna, nadrabiając to odkryciem nie istniejącej planety między Marsem i Jowiszem w odległości 2,8 jednostek astronomicznych od Słońca.

W określonym przez Titiusa miejscu dopiero po prawie 40 latach odkryto w 1801 r. niewielką planetkę, w rok później następną, by w końcu zlokalizować w przestrzeni pas ponad 2

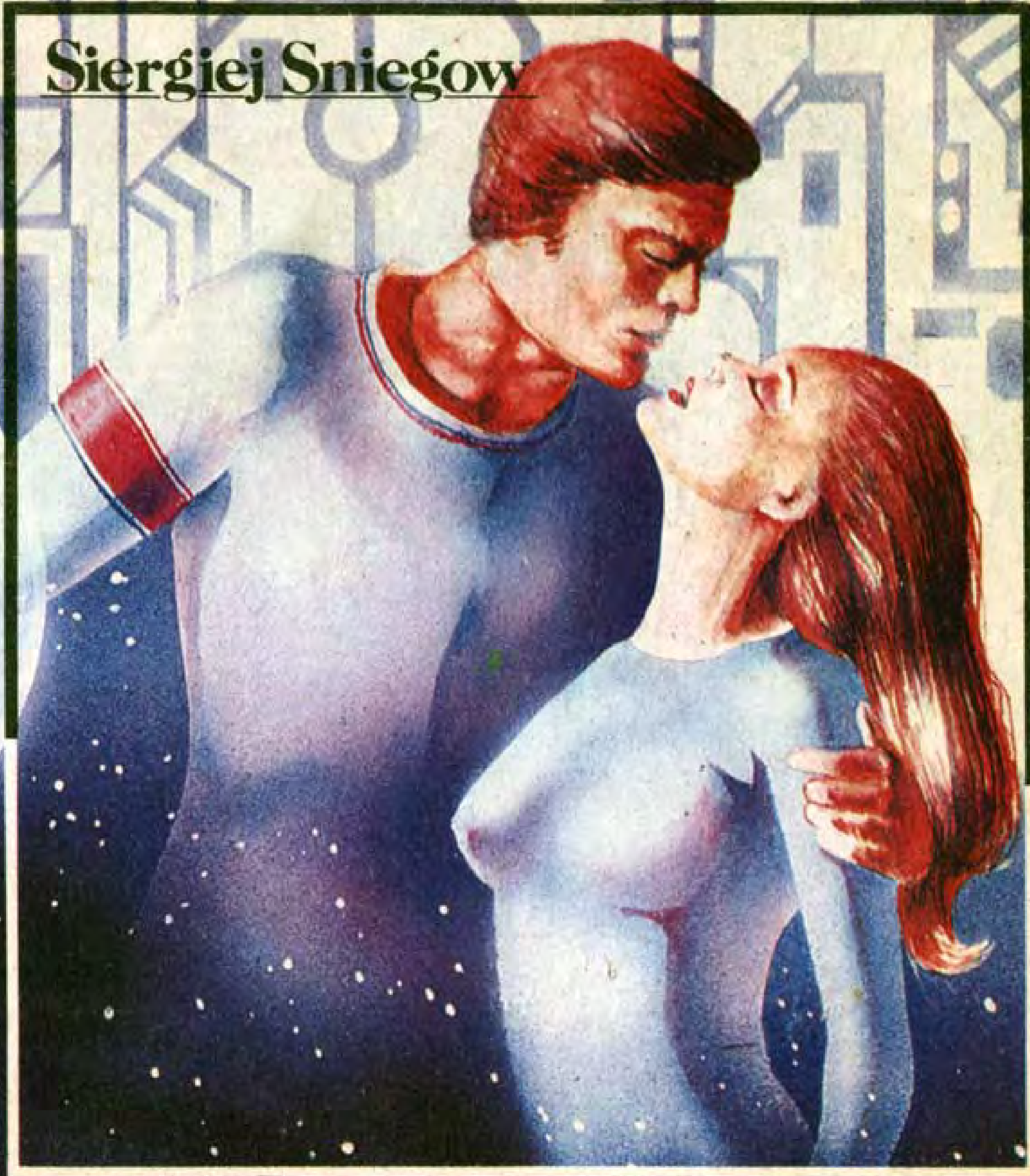
Planeta	ODLEGŁOŚĆ od Słońca w jednostkach astronom.	
	wg reguły Titiusa-Bodego	rzeczywista
Merkury	$0,4+(0,3x2^{-1}) = 0,4$	0,39
Wenus	$0,4+(0,3x2^{0}) = 0,7$	0,72
Ziemia	$0,4+(0,3x2^{1}) = 1,0$	1,00
Mars	$0,4+(0,3x2^{2}) = 1,6$	1,52
Faeton?	$0,4+(0,3x2^{3}) = 2,8$	2,80 asteroidy
Jowisz	$0,4+(0,3x2^{4}) = 5,2$	5.19
Saturn	$0,4+(0,3x2^{5}) = 10,0$	9,51
Uran	$0,4+(0,3x2^{6}) = 19,6$	19,1
Neptun	-	30,0
Pluton	$0,4+(0,3x2^{7}) = 38,8$	39,4
Decymon	$0,4+(0,3x2^{8}) = 77,4$	-

Saturn - 15. Ale tylko 5 spośród tych 28 ciał niebieskich porównywalnych jest wielkością z Księżycem. Kowal sugeruje dalej, że wiele niezwykłych prawidłowości ruchu Księżyca, parametrów jego orbity i związanych z nim zjawisk zachodzących na powierzchni Ziemi (zaćmienia Słońca, przypływ i odpływ, itp) świadczyć może o tym, że w przeszłości celowo umieszczono go na orbicie okołoziemskiej jako naturalny pomnik naszych braci w rozumie. W ten sposób chcieli oni zwrócić na siebie uwagę i zachęcić ludzkość do obserwacji astronomicznych. Ba, radziecki astronom obliczył nawet wydatek energii, niezbędny na przemieszczenie Księżyca - ciała o masie 73,4 x 10^{24} g - z orbity o promieniu 2,8 jednostek astronomicznych (1 j.a. - ca 149 min km) na orbitę o promieniu równym jednostce astronomicznej. Wydatek ten, równy 2 x 1038 ergów, jakkolwiek wydaje się nam gigantyczny, równy jest energii emitowanej przez Słońce w ciągu zaledwie jednego dnia. Dla supercywilizacji, która złamała, być może, tajemnice grawitacji, podobne przedsięwzięcie nie wydaje się bynajmień 295 km). Spowodowałoby to pokrycie się Marsa kilkumetrową warstwą wody, pojawienie się atmosfery i wzrost temperatury na powierzchni tej planety. W Układzie Słonecznym pojawiłaby się jeszcze jedna planeta, na której mogłoby rozwijać się życie. Nauka podpowiada też zupełnie inne rozwiązanie. W latach sześćdziesiątych na łamach pism fachowych pojawiły się poparte wyliczeniami spekulacje na temat możliwości istnienia w Układzie Słonecznym jeszcze jednej planety - Vulcana, najbliższego sąsiada Słońca i Merkurego. Wskazywały na to pewne zaobserwowane zakłócenia orbity Merkurego. Niewiele brakowało, a liczba planet Układu wzrosłaby więc do 12. Zakłócenia okazały się jednak zwykłym błędem w . obliczeniach, który dosyć szybko skorygowano. Być może los Vulcana podzieli również dziesiąta planeta (Decymon?) i Faeton-Księżyc. Czy jednak poszukiwacze planet dadzą za wygraną?

grafika Franciszek Cinarski



Przedstawiamy kolejną pracę nadesłaną na nasz Konkurs plastyczny. Wyniki konkursu opublikujemy w jednym z najbliższych numerów.


Siergiej Sniegow
R. Wojtyński
W JĄDRZE
GALAKTYKI
fantastyka